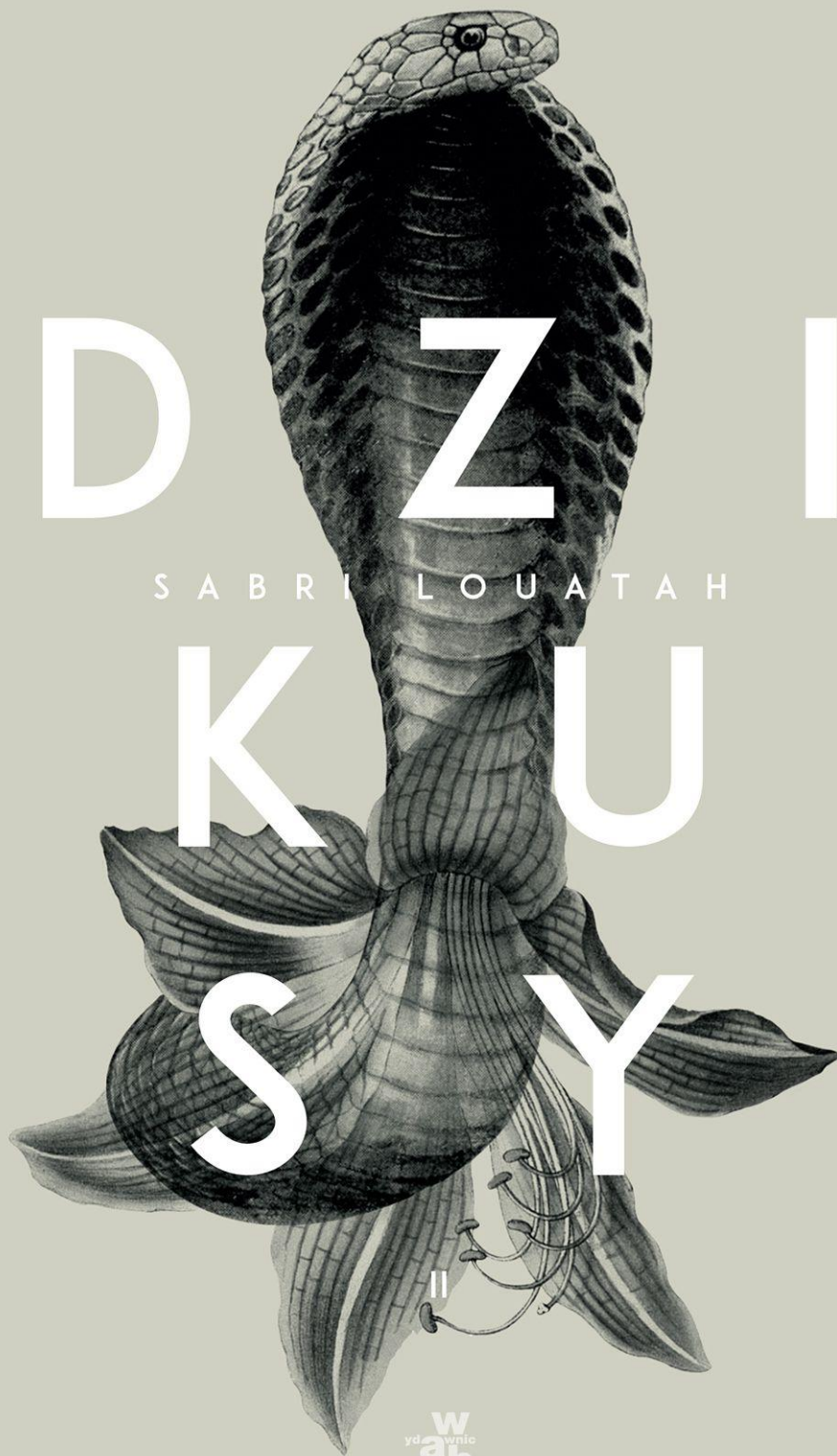


UPIÓR NAWIEDZIŁ EUROPE



Sabri

Louatah

DZIKUSY

Tom 2.

Upiór nawiedził Europę

przełożyła Beata Geppert



Niedziela

Rozdział 1 „Sarko morderca”

1

W chwili, gdy satelity naszych służb specjalnych zarejestrowały pierwsze niepokojące ruchy tłumów na przedmieściach Paryża, gdy zdawało się, że wyposażone w ekrany i telebimy stadiony, bary i place całego kraju zapadną się pod wpływem osłupienia i gniewu, Henri Wagner, sędzia śledczy z pionu do walki z terroryzmem paryskiego trybunału, spokojnie podziwiał kamienne figury świętych czuwające nad placem Świętego Piotra w Watykanie.

Poprzedniego dnia dołączył do małżonki, a nazajutrz miał zamiar wyjechać; Paola pragnęła jeszcze raz zobaczyć Kaplicę Sykstyńską, w której się spotkali dwadzieścia lat wcześniej, lecz pół godziny po nabyciu biletów wstępu sędzia pośpiesznie wyszedł na zewnątrz, z głową zaprzątniętą kłopotami zawodowymi.

Pani Wagner była dość znaną pianistką. Melomani kojarzyli ją głównie pod nazwiskiem panińskim – Paola Ferris. Po chwili podeszła do stojącego nieruchomo męża, jak młody chłopak opartego łokciami o jedną z barierek odgradzających kolejki do kas, przed którymi tej pogodnej wiosennej niedzieli czekało zaskakująco mało osób.

– Czy coś się stało?

Sędzia wzruszył ramionami, zastanawiając się, czy powiedzieć małżonce, o co chodzi. Miał siwe włosy, ale czarne i gęste brwi. Cała jego twarz, choć poorana zmarszczkami, promieniała nieprzezwykłą młodością. Przy swoim wysokim wzroście poruszał się nieco niezgrabnie, miał wystające jabłko Adama, a rozpięte górne guziki koszulki polo jeszcze podkreślały jego swobodny wygląd. Oparł ręce na biodrach i wzniosł wzrok ku niebu.

Jeden z jego ochroniarzy odszedł na bok, żeby odebrać telefon. Drugi zwrócił spojrzenie w tym samym kierunku co sędzia. Obaj należeli do Służby Ochrony Rządu, która regularnie wymieniała oficerów strzegących bezpieczeństwa najbardziej zagrożonych pracowników wymiaru sprawiedliwości; choć dopiero niedawno zostali mu przydzieleni, byli do siebie podobni nawet w nieformalnym stroju, na który się zdecydowali, mając w planach weekend w towarzystwie „klienta”: skórzane kurtki, sportowe buty, ciemne okulary. Sędzia Wagner był pewien, że wcale się ze sobą nie umawiali. Przy obiedzie nazwał to „mimetyzmem zawodowym”, ale żaden z goryli o ogolonych czaszkach nie skwitował tego zwrotu nawet cieniem uśmiechu.

– Zaskakujące, prawda?

Sędzia zadał pytanie żonie, która po raz trzeci z rzędu poczuła wibrowanie komórki w torebce. Zapytała, co takiego jest zaskakujące, i nie czekając na

odpowieź, nacisnęła zielony klawisz telefonu. Z rękoma założonymi za plecy sędzia Wagner zrobił kilka kroków wzdłuż kolumnady. Potężne posągi odcinały się od prawdziwie wiosennego nieba, po którym śmigwały figlarne obłoczki. Goniący je wiatr mógł się okazać dotkliwie zimny, sędzia postawił więc kołnierz kurtki, dumając nad złudzeniem optycznym, które w równym stopniu zachwycało go, co budziło niepokój i zawroty głowy: wydawało się, że po niebie płyną nie obłoki, ale majestatyczne posągi świętych, nagle przebudzone z wiecznego snu – podobnie jak się to dzieje, gdy siedzimy w stojącym pociągu i odnosimy wrażenie, że pociąg na sąsiednim torze wcale nie ruszył z miejsca, tylko nadal stoi, a to nasz niezauważenie zaczął sunąć do przodu.

– Spójrz, Paola...

Gdy obrócił głowę w stronę żony, zobaczył, że jej twarz zszarzała. Dłoń przykrywała na wpół otwarte usta, duże jasne oczy zmatowiały ze zgrozy.

Oficer ochrony, który również rozmawiał przez telefon, chwycił sędziego Wagnera za łokieć i poprowadził na drugi koniec placu, przekazując mu słuchawkę. Podczas gdy szef sekcji antyterrorystycznej na szczeblu prokuratury wyjaśniał mu sytuację, Paola usiłowała dodzwonić się do Aurélie, chcąc sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Córka odpowiedziała nieco zaspianym głosem. Paola zaproponowała, że zanim oni wrócą do domu, zaopiekuje się nią ciotka. O dziwo, Aurélie nie zaprotestowała.

W samochodzie jadącym do hotelu wzięła męża za rękę, która w przeciwieństwie do jej dłoni nie drżała; gdy zadzwoniła kolejna osoba, aby go poinformować o nowych, tragicznych szczegółach, jego wzrok był spokojny i poważny.

Kiedy się rozłączył, czułym wzrokiem obrzuciła jego pociągłą, mocną czaszkę okrytą siwą czupryną.

– Przyszłość jest teraz – szepnęła.

Mąż położył rękę na jej dłoni.

– Zawsze uważałam, że jego slogan wyborczy jest... – Nie znajdując żadnego przymiotnika, zamilkła.

– Proroczy? – rzucił nieoczekiwanie sędzia, nie spuszczając wzroku z wyświetlacza smartfona.

– Nie to miałam na myśli... Słuchaj – podniosła nagle głos, jakby się rozżościła. – Wyglądasz, jakby to cię zupełnie nie obeszło. Ostatecznie ktoś próbował zabić kandydata na prezydenta!

– Paola...

– Boże, to po prostu straszne. Ktoś do niego strzelał. To straszne. Jakim cudem udaje ci się zachować taki... olimpijski spokój?

Na twarzy sędziego Wagnera pojawił się trudny do rozszyfrowania uśmiech. Siedząc przez chwilę w milczeniu, jakby się zastanawiał nad dziesięcioma innymi

sprawami, odchrząknął, a następnie odpowiedział żonie, podczas gdy ich wynajęty samochód pędził nabrzeżami Tybru:

– Moja droga, o ile mitologia od samego początku nas nie oszukiwała, na Olimpie panowało wszystko z wyjątkiem spokoju...

2

Na oddziale ratunkowym uniwersyteckiego szpitala klinicznego w Grogny najpierw pojawiła się chmara facetów wyposażonych w słuchawki douszne, a po chwili dwie fale umundurowanych motocyklistów. Do wrzasków tych pierwszych dołączyły gwizdki tych drugich, którym towarzyszył rozkaz natychmiastowej ewakuacji parteru. Jakaś pielęgniarka wyprowadzająca pacjenta z pokoju ośmieliła się poskarżyć, ale ordynator natychmiast kazał jej wykonać polecenie i nie marudzić.

Po burzy nastąpiła jeszcze bardziej przerażająca cisza, którą ledwo zakłócały sygnały aparatury medycznej. Nikt spośród personelu nie ważył się nawet przełknąć śliny. Wydawało się, że wystarczy jedno słowo, a ci potężni, spięci, naładowani adrenaliną faceci mogą eksplodować.

Jakiś cherlawy i prawie łysy stażysta upuścił stetoskop, który upadł na wyłożoną kafelkami posadzkę. Żujący gumę oficer spiorunował go wzrokiem. Najwyraźniej był obdarzony nadludzkim słuchem, bo jako pierwszy usłyszał zbliżający się konwój. Dwie sekundy przed resztą obecnych ruszył w kierunku automatycznych drzwi.

Nosze błyskawicznie przemknęły przez próg, po drodze mijając osłupiałe pielęgniarki i pozwalając im odkryć to, co dotychczas zaledwie podejrzewały: tożsamość pacjenta, dla którego cały oddział zamieniono w strefę pod najwyższym nadzorem.

Młoda stażystka zajęła się żoną kandydata, zmierzyła jej ciśnienie, przyniosła wody.

W niedużym pomieszczeniu, do którego zaprowadzono Esther Szawisz, stażystka nie zdołała powstrzymać szlochu. Po chwili dołączył do niej doświadczony ratownik, który w pierwszej kolejności sprawdził źrenice pacjentki.

– Pani Szawisz, zapewniam, że pani mąż jest w bardzo dobrych rękach. Profesor Lu...

– Dokąd go zabraliście? Co macie zamiar...?

– Proszę się uspokoić. Pani mąż jest w bardzo dobrych rękach.

Korzystając z chwili nieuwagi ratownika, Esther Szawisz wstała, wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem, gdzie żaden z ochroniarzy nie ośmielił się jej zatrzymać. Stała przed pomalowaną w czerwone pasy szybą, za którą można było dostrzec zakrwawioną głowę jej męża pod oslepiająco białym światłem jarzeniówek. Kula trafiła w lewy policzek, rozrywając tkankę po prawej stronie;

widok był wstrząsający.

Esther Szawisz zemdląca. Gdy odzyskała świadomość, zobaczyła nad sobą ochroniarza i Jean-Sébastiena Vogela, szefa kampanii, który zdjął krawat i z pochyloną głową przyglądał się jej nie tyle ze współczuciem, ile z pełną niepokoju i lekkiej paniki ciekawością.

Esther spędziła kwadrans na rozmowie przez telefon ze swą córką Jasmimą, która parę godzin wcześniej wróciła do domu; Vogel spojrzeniem zapewnił Esther, że mieszkanie Jasminy przy kanale Saint-Martin należy do najlepiej strzeżonych w stolicy. Pół godziny później przyszedł do niej ordynator, pomógł usiąść na łóżku i wyjaśnił sytuację głosem tak łagodnym, że przez chwilę odniosła wrażenie, jakby została nafaszerowana morfiną lub opatulona niewidoczną substancją o konsystencji waty, która miała ją chronić przed całą przemocą świata.

– Pani Szawisz, nazywam się profesor Lucas, przez ostatnie pół godziny staraliśmy się...

Jakiś pyłek utknął mu w gardle. Profesor uniósł palec i odwrócił się, żeby odkaszlnąć. Ton profesora, tembr jego głosu... Esther Szawisz objęła głowę ramionami w przekonaniu, że to już koniec, a profesor próbuje ją poinformować o śmierci męża. Zdażyła nawet postawić się na miejscu tego lekarza, który ma za zadanie wyjaśnić jej, dlaczego nic się nie dało zrobić, na miejscu tego niepozornego lekarza, który zapewne setki razy setkom rodzin mówił o śmierci ich bliskich, za każdym razem zmuszony używać tych samych odrażających, pozornie wstrzemięźliwych peryfraz: zmarł, nie przeżył, a nawet haniebnego *odszedł*...

Nie tym razem.

– Przepraszam. No więc tak. Zrobiliśmy tomografię, która pozwoliła stwierdzić, że kula nie dosięgła mózgu. Przeszła przez czaszkę od jednego policzka do drugiego. Można więc mówić o ogromnym szczęściu, niemniej istnieje prawdopodobieństwo, że pod wpływem szoku u pani męża nastąpiło pęknięcie tętniaka. Przez pół godziny staraliśmy się ustabilizować ciśnienie tętnicze, żeby móc bezpiecznie przetransportować pacjenta do specjalistycznego ośrodka. Uprzedziliśmy neurochirurgów i neuroradiologów ze szpitala Val-de-Grâce...

– Czy on z tego wyjdzie?

– Przytrafiło mu się coś... naprawdę poważnego i nie będę ukrywać, że operacja, której musi zostać poddany, niesie ze sobą ogromne ryzyko, ale przeprowadzą ją jedni z najlepszych chirurgów w kraju, może pani być tego pewna.

Esther Szawisz stłumiła szloch. Łagodny, profesjonalny ton lekarza ponownie przełamał jej wrodzone opory.

– Jak będziecie go przewozić? – zapytała nagle, wstając, żeby towarzyszyć mężowi w transporcie.

– Śmigłowcem to zaledwie dziesięć minut stąd. Może pani pojechać autem, konwój chyba już czeka. A pani córka – dodał profesor Lucas, rzuciwszy okiem na

Vogela – jest już w drodze do szpitala Val-de-Grâce.

Esther Szawisz odwróciła się w stronę Vogela.

– Jean-Sébastien, czy to był zamach terrorystyczny?

– Oczywiście, ale na razie jest zbyt wcześnie, aby...

– Dlaczego nikt nam nie powiedział, że *rzeczywiście* coś mu grozi? A...

Valérie Simonetti? Nie wiedziała? Ale ty wiedziałeś, prawda?

– Esther, będzie śledztwo i ci, którzy są za to odpowiedzialni...

– Czy teraz nic mu nie grozi? Odpowiedz: czy on teraz jest bezpieczny?

– Esther – odparł Vogel ze spuszczoną głową – dzwonił do mnie prefekt paryskiej policji i poinformował, że wysłano sześć jednostek CRS¹, by zabezpieczyć całą okolicę szpitala Val-de-Grâce.

Esther Szawisz uniosła ręce i gniewnie pokręciła głową.

– Prefekt policji? Dieuleveult? Przecież on nie znosi Idera...

– Esther, przestań – przerwał jej Vogel.

Ten, który miał największe szanse na objęcie stanowiska premiera za prezydentury Szawisza, wziął w dłonie zaróżowione od niepokoju ręce Esther.

– To nie tak, tu już nie chodzi o politykę, to był atak na całą Francję, rozumiesz? Na Francję.

Kilka sekund później eurocopter pogotowia ratunkowego wystartował z dachu uniwersyteckiego szpitala klinicznego w Grogny i oddalił się w kierunku słońca, przelatując nad bliskimi przedmieściami, obwodnicą, wschodnimi dzielnicami Paryża i Sekwaną, po czym wylądował na dziedzińcu szpitala wojskowego Val-de-Grâce, gdzie zgromadzona wokół noszy grupa lekarzy i pielęgniarzy szykowała się na przyjęcie najważniejszego pacjenta tego roku.

3

– Czerwone konie.

Takie były pierwsze słowa wypowiedziane przez Rabi'ę po przebudzeniu z głębokiego snu, trwającego w jej odczuciu przez cały dzień. Gdy wreszcie zdołała w miarę normalnie podnieść powieki, dodała, że widziała, jak czerwone konie cwałują po niebie wśród milczących, proroczych grzmotów. Fu'ad zmierzył jej puls i przyłożył wierzch dłoni do zlanego potem czoła.

Uderzywszy kilkanaście razy ramieniem, od czego przez cały następny dzień miał siniaki i obolałe mięśnie, zdołał wyważyć drzwi mieszkania Rabi'i. Okruchy szkła na posadzce w przedpokoju nieco go zaskoczyły. W końcu znalazł ciotkę leżącą bez kołdry na łóżku, pogrążoną w głębokim śnie.

Kiedy uniosła dłoń, chcąc w powietrzu zmaterializować galop koni, Fu'ad zobaczył, że wyraz jej twarzy się zmienia. Pył z innego świata opadł. Zaczęła sobie przypominać.

– Gdzie jest Karim? Gdzie mój syn?

Chwyciła Fu'ada za nadgarstek i wyskoczyła z łóżka.

– Ciociu, co się stało? – krzyknął. – Wytłumacz mi!

Rabi'a straciła równowagę i opadła na łóżko. Wymamrotała kilka słów, które z trudem zrozumiał: Omar, telefon, Paryż.

– Omar? – zapytał Fu'ad.

– Jak Omar Sharif – mówiła półprzytomnie Rabi'a. – Poznaliśmy się przez Meetic, a potem... potem...

– Przyniosę ci wody.

– A Luna? Gdzie jest moja córka?

Nalewając wody do butelki, żeby sobie oszczędzić wielokrotnych wędrówek, lewą ręką wyjął z kieszeni komórkę i ze zgrozą zobaczył około trzydziestu nieodebranych połączeń: nieco wcześniej wyłączył opcję wibrowania. A migającego nieprzerwanie od kwadransa wyświetlacza po prostu nie widział. Ścisnął nieduży, pokryty plastikiem prostopadłościan, aż zbieleły mu kostki u rąk.

Nie zakręcając wody, wpatrywał się w wyważone drzwi, które widział nie tyle oczami, ile obolałym ramieniem, tak obolałym, że w tej właśnie chwili uważał za absolutnie i przeraźliwie oczywiste, iż widzenie to ból i być może nigdy dotychczas w swoim życiu nie widział niczego innego niż ten rozwalony zamek wiszący jak metalowy strzęp na brzegu wyłamanej framugi.

Dokładnie w tej chwili Fu'ad wiedział, że już wie, tylko jeszcze nie wiedział co. Zamiast oddzwonić na ostatni zapisany numer, zamiast odebrać telefon Rabi'i, który od jego wejścia do mieszkania nie przestawał dzwonić, popchnął dwuskrzydłowe przeszklone drzwi do salonu i włączył telewizor: wszystkie programy telewizji naziemnej przerwano i zastąpiono wydaniem specjalnymi. Poszukał LCI. Od dawna przywykł do czerwonego paska u dołu ekranu w stacjach informacyjnych. A to przegłosowano jakąś ustawę, a to jakąś zaginioną osobę znaleziono martwą, a to na którymś letnim uniwersytecie wygłoszono jakieś politycznie niepoprawne zdanie. Tym razem jednak to kandydat Partii Socjalistycznej na prezydenta kraju padł ofiarą zamachu. Tyle to Fu'ad już wiedział. Ale było jeszcze coś.

Podkreślił głośność.

Zaproszeni komentatorzy usiedli w studiu bez uprzedniej wizyty w charakterystornii. Ich nosy lśniły, pot przyklejał kosmyki włosów do zmarszczonych czoł. Nigdy gorączkowość tych ludzi, zmuszonych do zabrania głosu w ciągu mniej niż dwudziestu sekund pod rygorem wykluczenia z rozmowy, nie wydała się Fu'adowi tak namacalna. Miał już za sobą udział w kilku programach, wkrótce czekały go następne w ramach intensywnej promocji wysokobudżetowej komedii, która tego lata wchodziła na ekrany, a w której grał jedną z głównych ról.

– Fu'ad?

Sylwetka Rabi'i była nieco zdeformowana przez wypukłe szkło szybek w drzwiach. Nie zdążywszy ściszyć telewizora, Fu'ad obrócił się w stronę ciotki, żeby zagrozić jej drogę do salonu. Głos dziennikarza prowadzącego debatę właśnie po raz kolejny przypominał *breaking news* stulecia:

– W chwili, gdy do państwa mówimy, tożsamość zamachowca nie została jeszcze ustalona. Na wideo z zarejestrowanym momentem strzału, którego postanowiliśmy państwu nie pokazywać, widać, że jest to młody człowiek, może nawet nastolatek, zapewne azjatyckiego lub północnoafrykańskiego pochodzenia. Więcej dowiemy się...

Fu'adowi nie udało się powstrzymać ciotki zbyt długo. Złapała pilota. Oszołomiony Fu'ad, który wreszcie wiedział to, czego od początku się spodziewał, nadal nie był w stanie w to uwierzyć. Uwierzył dopiero wówczas, gdy Rabi'a kilkakrotnie gorączkowo przeleciała pilotem przez ileś stacji, aż w końcu zamiast spiętych, nieprzyzwoicie zajadłych twarzy komentatorów i dziennikarzy pojawił się nieruchomy, powiększony wizerunek młodego zamachowca o płaskich kościach policzkowych i szeroko otwartych oczach, pełnych strachu i łez, wyraźnie widocznych pomimo pikseli.

– Karim...

4

O siedemnastej trzydzieści lekarz uznał, że stan zdrowia Karima pozwala na jego zatrzymanie. Dopiero po dwóch godzinach udało się opanować spektakularny napad drgawek, którego dostał w furgonie CRS, podczas gdy nad nim toczył się gorączkowy spór, dokąd należy go zawieźć: „pod numer trzydziesty szósty” czy „do Levallois”. Karim przysłuchiwał się tej niezrozumiałej debacie, dopóki kompletnie nie stracił oddechu. W Levallois-Perret mieściła się nowiusieńka siedziba Centralnej Dyrekcji Wywiadu Wewnętrznego (DCRI) – powstałej w wyniku połączenia Dyrekcji Nadzoru Terytorialnego (DST) i Centralnej Dyrekcji Wywiadu Ogólnego (DCRG) – którą Sarkozy wymarzył sobie jako francuski odpowiednik FBI; w jej skład wchodziły między innymi służby kontrwywiadowcze zajmujące się zwalczaniem terroryzmu. Nowinę, że tam właśnie będzie przesłuchiwany, Karim przyjął puszczeniem pawia na parę rangersów, które odruchowo się na nim zemściły kopniakiem w górną wargę.

Śladu po kolejnym ciosie nie dawało się już rozróżnić na jego twarzy, opuchniętej od uderzeń zadanych mu przez tłum, który bez interwencji ochroniarzy zapewne by go zlinczował. Poza zaaplikowaniem leków na uspokojenie oskrzeli trzeba mu było pośpiesznie założyć kilka szwów wokół ust. Podczas gdy młody, pilnie strzeżony pacjent drzemał pod wpływem narkozy, lekarz utyskiwał na zachowanie funkcjonariusza CRS:

– Szczerze mówiąc, mógł pan się trochę pohamować – warknął tonem tym

bardziej potępiającym, że nie miał najmniejszego zamiaru komukolwiek składać meldunku o tym incydencie.

Karim otworzył oczy dopiero na autostradzie; wieziono go z prędkością, którą uważał za możliwą tylko w grach wideo. O dziwo, nie miał wrażenia, że za chwilę wzleci w powietrze, tylko raczej zapadnie się w otchłań czasu, gdzie eksploduje na miliard pęcherzyków powietrza.

Zadawano mu pytania, słyszał samego siebie próbującego na nie odpowiadać.

Ponownie zasnął, a gdy otworzył oczy, w oddali pojawił się futurystyczny budynek złożony z dwóch identycznych brył z lśniącego w słońcu szkła. Konwój zjechał na wielopoziomowy parking. Pisk opon ponownie ukołysał Karima do snu.

Kiedy się obudził, już nie otaczali go policjanci wrzaskiem żądający przeliterowania nazwiska; znajdował się w dziwnie cichym pomieszczeniu w suterenie, gdzie przez dwa wysokie, prostokątne, zakratowane okna światło wiosennego, tonącego w kurzu dnia spływało na komputery przełączone na tryb uśpienia. Od czasu do czasu na dziedzińcu, który Karim widział z żabiej perspektywy, zatrzymywały się stopy w oficerkach. Nagle pojawiła się opuszczona lufa karabinu automatycznego. Po niej nogi w szarych spodniach i czarnych mokasynach. Panująca na dziedzińcu krzątanina kontrastowała z ciężką ciszą po tej stronie okien, najprawdopodobniej wyposażonych w podwójne szyby.

Odzyskawszy w pełni świadomość, Karim zdał sobie sprawę, że został przykuty kajdankami do podłokietnika krzesła. Nie pierwszy raz w życiu czuł metalową bransoletkę na nadgarstku, ale podczas poprzednich przejść z policją kajdanki nigdy nie były tak ciasno zapięte. Najdrobniejszy ruch nadgarstka powodował dociśnięcie bransoletki do kości i wgniecenie metalu w ciało, w następnej sekundzie przypominając o wszystkich obolałych miejscach na twarzy i torsie.

Po pewnym czasie do celi weszło dwóch mężczyzn. Byli identycznego wzrostu, nosili identyczne garnitury bez krawata. Ten wyglądający bardziej złowrogo, w podkoszulku widocznym spod białej koszuli, miał zapadnięte oczy i półotwarte usta. Stał przy otwartych drzwiach za Karimem, podczas gdy jego kolega o żywym spojrzeniu oparł się pośladkiem o biurko.

– Cóż, Abd al-Karim. Jestem kapitan Tellier.

Był ruchliwy i niezręczny, jakby nie dawał sobie rady z własnym wzrostem. Tłuste blond włosy miał związane w kucyk i wyglądał, jakby pierwszy raz w życiu włożył marynarkę. Karim nie od razu dostrzegł, że kapitan ma zajęczą wargę. Od tej chwili nie widział niczego innego, tylko tę rozszczepioną górną wargę i widoczne w szczelinie żywe mięso, które wszystko tłumaczyło: ostre spojrzenie, niezgrabną sylwetkę, mściwy głos.

– Co słychać, Abd al-Karim?

Karim chciał wspomnieć o zbyt ciasnych kajdankach, ale obawiał się, że długo nie będzie mieć okazji, aby sformułować jakąkolwiek prośbę. Odchrząknął, pragnąc jak najszybciej wyjaśnić, że trzeba się zająć jego matką, lecz na samą myśl o matce zakręciło mu się w głowie: uwięziona przez Mauluda Ibn Barakę pewnie nadal jest w niebezpieczeństwie, a Nazir... Nie zdążył jednak otworzyć ust; kapitan Tellier nie zadał pytania po to, żeby Karim na nie odpowiedział, tylko po to, by mógł usłyszeć jego głos.

– Nie będziemy tu siedzieć przez całą noc. Strzelałeś do kandydata na prezydenta. Teraz nam powiesz, dlaczego to zrobiłeś, kto ci dostarczył broń i dlaczego na rękojeści wygrawerował litery SRAF, powiesz nam wszystko, ale zaczniesz od wyjaśnienia, gdzie możemy znaleźć twoją komórkę.

– Moją komórkę?

– Tak, twoją komórkę. Nikomu nie wmówisz, że nie masz komórki, więc gdzie ona jest? Nie znaleźliśmy jej ani przy tobie, ani na placu przed merostwem. No więc? Gdzie jest twoja komórka?

Karim nie wykrztusił ani słowa; chętnie by powiedział, że wyrzucił komórkę na moście, ale nie był pewien, czy ta scena mu się przyśniła, czy naprawdę miała miejsce. Kapitan Tellier zorientował się, że chłopak odpływa. Gdy po raz drugi wymówił słowo „komórka”, wywołało ono u Karima taki sam efekt, jakby zostało wypowiedziane w obcym języku.

– No dobrze, uspokójmy się – podjął kapitan. – Nie wiesz, co to komórka, ale chyba pamiętasz, co to takiego numer telefonu, prawda?

Karim kiwnął potakująco głową, gdyż całkowita cisza nasilała jego zawroty głowy.

– Okej, to teraz na kartce papieru napiszesz nam nazwiska i numery telefonu wszystkich członków swojej rodziny i znajomych. Rozumiesz? Możesz to dla nas zrobić?

– Ale przecież oni nie mają nic wspólnego z... – ocknął się nagle Karim.

Do pomieszczenia wszedł funkcjonariusz, który podał kapitanowi jakiś dokument. Była to kartoteka Karima z krajowego rejestru karnego, zawierająca listę wszystkich popełnionych przez niego wykroczeń. Podczas lektury dolna warga kapitana drżała.

– Kradzież, znieważenie funkcjonariusza, handel środkami odurzającymi, przemyt, niszczenie mienia publicznego... No cóż, jak widzę, nie jesteś tu całkiem nowy. Będziesz musiał nam wytłumaczyć, jak się przechodzi od dilerki do zabójstwa na tle politycznym, ale na razie zrób tylko ten spis, o który prosiłem, okej? No, dalej, cała lista kontaktów plus rodzina.

– Mogę najpierw zadzwonić?

Kapitan zerknął na swojego kolegę z tak komicznie błędnym grymasem i w sposób tak karykaturalny, że gdyby nie został kapitanem w policji do walki

z terroryzmem, bez cienia wątpliwości mógłby bywać na festiwalach niezależnego rocka z nieodłączną puszką heinekena w dłoni, skrętem w ustach i tym samym spłowiąłym blond kucykiem, jak ci wszyscy podstarzali młodzieńcy, którzy mimo upływu lat starają się zachować swoje dawne nawyki zbuntowanych nastolatków. Jednak głos kapitana Telliera, choć brzmiał jak głos podstarzałego młodzieńca starającego się ukryć skazę na górnej wardze, tylko chwilami sprawiał wrażenie życzliwego. Kapitan zignorował pytanie Karima i drażył dalej:

– Zapisujesz wszystkich, kogo sobie przypominasz: braci, siostry, kuzynów, kuzynki, wujaszków, tatę, mamę...

– Co im chcecie zrobić? – zaniepokoił się Karim.

Kapitan wyprostował się. Jego rozdrażnienie objawiało się długimi wdechami i mechanicznym wyciszaniem głosu.

– Musimy przesłuchać wszystkich, którzy cię znają, zwykła rutyna.

– Wyrzuciłem komórkę – oświadczył nagle Karim. – Wyrzuciłem z mostu do rzeki.

– Wyrzuciłeś komórkę do Sekwany? O której? Dlaczego?

– Z powodu zdjęć... ale... nie wpadła do wody... – przypomniał sobie Karim, nawet nie próbując oddzielić prawdy od snu: wszystkie informacje jawiły mu się jak szczegóły ujrzane podczas drzemki w późnych godzinach popołudniowych.

Kapitan mocno odchylił głowę i skierował podbródek do sufitu.

– A zegarki? Dlaczego miałeś na ręce dwa zegarki?

– Ja... zapomniałem...

– Posłuchaj, braciszku, chyba nie zdajesz sobie sprawy, co zrobiłeś. Ale mamy czas, żeby o tym pogadać. Dużo czasu.

Karim spuścił wzrok.

– Dwa razy byłeś zatrzymywany na dwadzieścia cztery godziny. Czyli wiesz, jak to wygląda, prawda? Godziny przesłuchań przez takich jak ja, którzy bez przerwy na ciebie wrzeszczą. Tyle że my nie jesteśmy z brygady do walki z przestępczością z Saint-Étienne-sur-Loire, tu jest siedziba policji do walki z terroryzmem. Więc pozwól, że ci wytłumaczę. Prokurator postawi ci najpoważniejsze zarzuty, jakie można znaleźć w kodeksie karnym. My będziemy cię przesłuchiwać przez czterdzieści osiem godzin, po tych pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach prokurator przedłuży ci areszt o kolejne czterdzieści osiem i znowu, aż do stu czterdziestu czterech. Spróbuj sobie wyobrazić, jak się będziesz czuć po tych stu czterdziestu czterech godzinach. Jesteś dobry w rachunkach? Wszyscy Arabowie są dobrzy w rachunkach, no nie? Sto czterdzieści cztery godziny, ile to jest dni? Sam sobie policz. – Kapitan zmarszczył lewy policzek i przejechał palcem po powiekach, jakby wycierał niewidoczne krople potu. – Możemy oczywiście skończyć w jedną noc, o ile nam wszystko powiesz. To zależy

od ciebie, od tej chwili wszystko zależy od ciebie.

5

Oszołomiony umysł Karima zaczął dodawać czterdziestoosmiogodzinne bloki. Dla wygody zaokrąglił czterdzieści osiem do pięćdziesięciu i wyszła mu szaleńcza liczba sześciu dni, podczas gdy jego drżąca ręka wypisywała imiona ciotek. Szybko zdał sobie sprawę, że nie pamięta żadnego numeru telefonu, nawet własnego stacjonarnego.

Kapitan zauważył, że długopis znieruchomiał u góry drugiej kolumny. Karim już chciał poprosić go o pomoc przy znalezieniu numeru telefonu matki, gdy z korytarza usłyszał głos Nazira.

Bezwiednie zamarł z lewą ręką wokół prawego nadgarstka, a jego oddech przyśpieszył; po chwili poczuł szalejący puls w żyłę na napuchniętym od ucisku kajdanek przedramieniu.

– Co jest? – zapytał kapitan. – Ducha zobaczyłeś?

Karim pochylił głowę i ujrzał na korytarzu wysoką ciemną sylwetkę, która wydawała policjantom rozkazy tym samym nieznoszącym sprzeciwu tonem, jaki często można było usłyszeć u Nazira. Pomyślał, że może to jednak nie on, co po chwili, gdy postać obróciła się w jego stronę, okazało się prawdą. Był to młody mężczyzna o regularnych rysach twarzy, lodowato niebieskich oczach i włosach równie intensywnie jasnych, jak Nazira były ciemne; ubrany w czarny garnitur i granatowy krawat, stał oparty na lasce.

Zbliżył się do pokoju, w którym przesłuchiowano zatrzymanych, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Karima. Kiedy wszedł, kapitan na znak szacunku wstał i poprawił poły marynarki.

– Więc to jest nasz zawadiaka? – zapytał nowo przybyły głosem, w którym brzmiał tak samo złowrogi śmiech jak w głosie Nazira. – Na Boga, toż to jeszcze dzieciak...

– Tak jest. Dopiero zaczęliśmy go przesłuchiwać.

– No to kontynuujcie, kontynuujcie – rzucił mężczyzna, nie przestając mierzyć Karima wzrokiem. – Pani minister pragnie zapewnić, że macie jej pełne zaufanie. Proszę na słówko, kapitanie.

Kapitan ruszył za nim. Karima urzekła siła bijąca od tego trzydziestolatka, który potrafił wymusić na swoim otoczeniu tak idealne milczenie. Choć nawet na nikogo nie spojrział, obaj oficerowie, starsi od niego o jakieś dwadzieścia lat, wyprężyli się jak potulni gimnazjaliści wezwani na rozmowę do gabinetu dyrektora.

Po wyjściu na korytarz mężczyzna zapytał kapitana, co dotychczas udało się z Karima wyciągnąć. Tellier wspomniał o komórce, moście i innych szczegółach, które „szczeniak” sobie przypomniał: stateczek wycieczkowy, tylna elewacja

katedry Notre Dame...

– Sam widzisz, jaki jesteś ważny – oznajmił kapitan, gdy jasnowłosey duch pożegnał się i oddalił, opierając się na lasce. – Obudziłeś zainteresowanie samego dyrektora gabinetu minister spraw wewnętrznych.

Karim nie słuchał; nie potrafił sobie przypomnieć rysów twarzy jasnowłosego mężczyzny. Wszystko, co zapamiętał, to jego niewiarygodnie niebieskie spojrzenie i dołeczek w podbródku.

– No dobra, to na czym stanęliśmy?

– Wiem, że mam prawo do adwokata – zaryzykował Karim, odzyskując przytomność umysłu.

– No, no, lepiej byś się przymknął – rzucił drugi policjant, którego zachrypnięty głos Karim usłyszał po raz pierwszy. – Mam uwierzyć, że znasz jakiegoś adwokata?

Karim zaczerwienił się po uszy. Podczas poprzednich zatrzymań widział, jak wyglądają adwokaci z urzędu. Zazwyczaj byli to studenci z roztargnieniem wertujący akta przydzielonego im klienta, a jednocześnie bez przerwy wysyłający esemesy. Znakomicie natomiast pamiętał reportaż w programie *Envoyé spécial* o mecenasie Aribim, którego dziennikarze pragnący mu zniszczyć reputację przewali „adwokatem Arabów”. Należał do gwiazd palestry, mówił najczystszą francuszczyzną i doprowadził do uniewinnienia dziesiątków oskarżonych, samych Arabów.

– Chcę, żeby moim obrońcą był mecenas Aribi.

Miał wrażenie, że przywołuje jakąś postać z *Dragon Ball Z*.

– Mecenas Aribi? – powtórzył kpiąco porucznik. – Która izba?

– Co?

Karim nie zrozumiał, ale porucznik raczej nie zamierzał mu pomóc. Kapitan poczuł się zmęczony.

– W jakim mieście pracuje ten twój mecenas Aribi?

– Nie wiem. Pewnie w Paryżu.

Porucznik wyciągnął flamaster i zanotował nazwisko adwokata.

– Zadzwonimy do niego, jak zaczniesz gadać.

– Ale proszę pana... – Karima nagle ogarnęła panika. – Moja matka, trzeba koniecznie coś zrobić, ona...

– Co z nią?

Od porucznika biła taka nienawiść, że Karim zupełnie skołowaciał.

– Chcę porozmawiać z matką, trzeba do niej zadzwonić, ona...

– Nie – przerwał mu kapitan Tellier. – Prokurator formalnie odebrał ci prawo do telefonów. To mogłoby zaszkodzić w śledztwie.

– Przecież oni nie mają z tym nic wspólnego! To moja rodzina!

– Dla ciebie to rodzina – uciał Tellier – a dla nas przestępcza siatka. Nie

pozwolimy ci ostrzec pozostałych członków siatki, chyba tyle jesteś w stanie zrozumieć?

6

W Szpitalu Północnym w Saint-Étienne Fu'ad kilkakrotnie przespacerował się między pokojem, w którym po zaśląbnięciu położono starą ciotkę Zalicę, a pawilonem oddziału ratunkowego, gdzie po dokonaniu analizy we krwi Rabi'i stwierdzono śladowe ilości GHB, słynnej pigułki gwałtu.

Pielęgniarka na oddziale ratunkowym nie wiedziała, w co ręce włożyć. Podała środki uspokajające Rabi'i, która od czasu, gdy usłyszała nowinę, przechodziła czwarty atak paniki. Fu'ad zapytał, czy może porozmawiać z pielęgniarką na osobności. Miała podkrążone oczy i wyglądała, jakby lada moment miała wybuchnąć.

– Będziecie badać, czy była... napastowana?

– Chodzi panu o napastowanie seksualne, tak? Oczywiście, że będziemy. Proszę pana...

– Kiedy?

Pielęgniarka, która właśnie wymieniała worek kroplówki, zamarła w pół ruchu i z zamkniętymi oczami obróciła się w stronę Fu'ada.

– Szanowny panie, jak pan widzi, jest nas dzisiaj mniej niż zwykle, proszę więc iść dotrzymać towarzystwa ciotce, napić się kawy, cokolwiek, tylko proszę pozwolić nam pracować, zgoda?

Mentorski ton, na który w ostatniej chwili wpadła przy słowie „zgoda”, tak zirytował Fu'ada, że jego szczęki i kark napięły się jak u szarżującego byka.

Po wizycie u ciotki Zalichy, która spała w pokoju na trzecim piętrze, po upewnieniu się, że mała Luna znalazła opiekę u babki, po wielokrotnych kursach windą z umysłem kurczowo wczepionym w zapach szpitalnej zupy, aby nie myśleć o tym, co się stało, Fu'ad stanął w końcu nad drzemiącą Rabi'ą i zrozumiał, że nie dotrwa do końca dnia, jeśli się nie dowie, co u Jasminy.

Wyciągnął telefon i przejrzał listę nieodebranych połączeń, szukając imienia ukochanej. Nie było go. W chwili, gdy miał nacisnąć zielony klawisz swojej nieśmiertelnej, kupionej siedem lat temu nokii, zdał sobie sprawę, że *to* niemożliwe, że nie może ot tak, po prostu do niej zadzwonić: jego ukochana to córka Szawisza, a Szawisz to człowiek, któremu jego młodszy kuzyn dopiero co strzelił prosto w twarz.

Po raz pierwszy od lat Fu'ad zamarzył o kims starszym, kogo mógłby poprosić nie tyle o radę, ile o precyzyjną, szczegółową, a przede wszystkim bezdyskusyjną instrukcję, jakie kroki powinien podjąć.

Ta starsza osoba niestety nie istniała. O jakich zresztą krokach może być mowa, skoro sama droga rozsypuje się na jego oczach?

Krążąc wte i wewte po korytarzu oddziału ratunkowego, dostrzegł wuja Idira, który natarczywie przepytował pielęgniarkę o tlenionych włosach, stojącą pod tablicą z nazwiskami pacjentów. Wuj nie golił się od poprzedniego dnia; na widok jego szczeciniastego policzka i zagubionego wyrazu twarzy Fu'ad pomyślał, że po ostatniej godzinie wydarzenia poprzedniego dnia wydawały się tak odległe, jakby miały miejsce miesiąc wcześniej. Ślub Slima, profanacja czcigodnego wuja Farhata. Odstępy czasowe zaczęły się zazębiać, wirować jak w kalejdoskopie, aż Fu'ad, który nie spał od przynajmniej trzydziestu sześciu godzin, musiał oprzeć się plecami o ścianę, żeby nie utracić równowagi.

– Fu'ad, gdzie jest Rabi'a?

Wuj Idir miał łzy w oczach. Upał i sweter w czerwonej kratę, który uznał za stosowne włożyć na koszulę, sprawiły, że jego pociągła twarz napuchła i nabrała niepokojącego koloru. Fu'ad położył rękę na ramieniu wuja, zbierając w sobie całą energię, jaka mu jeszcze pozostała, by nie wybuchnąć płaczem.

– Wiziałeś w telewizji? Wiziałeś Karima?

Wuj nie mógł dojść do siebie. Fu'ad zaprowadził go do pokoju Rabi'i i posadził na jedynym krześle przeznaczonym dla gości.

– Chcesz szklankę wody, wujku? Chcesz wody?

Wuj Idir nie odpowiadał. Patrzył na leżącą w łóżku szwagierkę, starając się opanować przerażenie, jakie go ogarnęło w chwili, gdy twarz Karima pojawiła się na wszystkich ekranach telewizyjnych Francji.

– Zwoiłeś na policję, żeby im powiecieć?

Fu'ad chciał zapytać: dlaczego ja? dlaczego to właśnie ja miałbym dzwonić na policję?

Z plastikowym kubeczkiem w ręce poszedł do toalety, położył dłonie na krawędzi sedesu i zmusił się do wymiotów. Potem wyprostował się i ochlapał twarz wodą, sam siebie oszukując, że sprawy mają się lepiej.

– Zaraz do nich zadzwonię – powiedział do wuja, wróciwszy do pokoju. – Ale musimy też zadzwonić do adwokata. Karim będzie potrzebować obrońcy. My zresztą również.

– My również? – powtórzył wuj, podnosząc na siostrzeńca wzrok, w którym niepokój mieszał się z niezrozumieniem.

Fu'ad przypomniał sobie, jak w sali weselnej naśladował jego wiejski akcent, a Rabi'a dostała takiego napadu śmiechu, że aż musiała się zgiąć w pół, by nie popuścić.

– My wszyscy – odpowiedział Fu'ad, wychodząc z pokoju i nawet nie próbując ukryć emocji.

W pierwszej kolejności nie podpalono samochodu, tylko skuter przy głównej

ulicy willowej osiedla Rameau-Givré w Grogny. Przez następne dwadzieścia minut jego właścicielka nic o tym nie wiedziała: przyjechawszy spędzić niedzielę wyborczą w towarzystwie ojca, Ja'il Zajtun siedziała właśnie w toalecie z macbookiem na kolanach, zatopiona w lekturze serwisu Avernus.fr, nowej biblii jej ojca, na której poranny wstępniak autorstwa Putéolego, szefa serwisu, stanowczo wzywał do niegłosowania na Szawisza.

Piętnaście wieków historii, żeby tego doczekać? Piętnaście wieków przelewania krwi, potu i łez, piętnaście wieków dziejów Francji, żeby jakiś liberalny, kosmopolityczny eurodeputowany został przez cynicznych speców od reklamy mianowany Zbawcą Narodu? Piętnaście wieków patriotyzmu, by zobaczyć, jak jakiś mistrz komunikacji wdzieczy się do agencji ratingowych i bardziej dba o to, aby go pokazywano od lepszego profilu, niż o los Francji?

Ja'il już miała wyjść z toalety i po raz drugi tego dnia pokłócić się z ojcem, gdy na wyświetlaczu iPhone'a zobaczyła najczęściej widywane zdjęcie ze swojej listy kontaktów: Fu'ada.

– Ja'il? Słyszysz mnie?

– Mój Boże, Fu'ad, widziałeś? To jakiś smarkacz! Jakiś osiemnastoletni smarkacz!

– Ja'il, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Jego głos był cichy i pełen bólu. W niczym nie przypominał ryku lwa ani donośnego głosu Stentora, którego karierą kierowała od czasu *Bohatera meczu*.

Ja'il przejechała palcami po gęstej rudej czuprynie, podczas gdy Fu'ad wyjaśniał, że tym osiemnastoletnim smarkaczem jest jego młodszy kuzyn Karim.

Przez kilka sekund siedziała w milczeniu przed ekranem komputera rozłożonego na jej nagich kolanach, z szeroko otwartymi, choć nic niewidzącymi oczami. Nie mogąc jej zobaczyć, Fu'ad nie był pewien, czy połączenie nie zostało przerwane.

– Ja'il?

– Fu'ad, ja... mój Boże, ja nie wiem, co powiedzieć.

– Musisz mi pomóc.

– Oczywiście – odparła, nie mając pojęcia, o co Fu'ad może ją poprosić.

– Ja'il, potrzebuję adwokata. Najlepszego, jakiego można znaleźć.

Wzięła się wreszcie w garść. Położyła iPhone'a na stercie rolek papieru toaletowego i przestawiła go na tryb głośnomówiący, żeby poszukać w kontaktach nazwiska adwokata, z którego usług dyrektorka jej agencji korzystała dwa lata wcześniej.

– Znajdę, nie bój się. Znam jednego karnistę, młody facet, pracuje w jednej z najlepszych kancelarii...

– Nie chcę być natrętny, ale to bardzo, *bardzo* pilna sprawa...

– Tak, już, ja...

Nie zdążyła jednak skończyć zdania. Jej ojciec załomotał w drzwi łazienki.

– Tato, co ci odbiło?

– Ja’ il! Podpalili twój skuter!

– Oddzwonię – rzuciła do Fu’ada.

Gdy wyszła z toalety, zobaczyła, że ojciec wspiął się na taboret i próbuje zdjąć coś z górnej półki biblioteki zajmującej całą ścianę salonu.

– Co ty robisz, tato?

Pan Zajtun nie odpowiadał. Ja’ il podbiegła do okna i rzeczywiście zobaczyła własny skuter stojący w płomieniach obok śmietnika. Ojciec zszedł z taboretu, trzymając w rękach swój karabin z czasów wojny algierskiej.

– Co ty wyprawiasz? Czyś ty kompletnie oszalał?

– No nie, co za dużo, to niezdrowo! – uniósł się pan Zajtun, podkreślając swój akcent repatrianta z Algierii. – Zmusili do wyjazdu panią Zelmatti, zmusili do wyjazdu nieszczęsnego Serge’a Touatiego, chyba nie myślisz, że mnie też im się uda zmusić do wyjazdu!

Ja’ il chciała wyjąć karabin z rąk ojca, ale panicznie bała się broni. Zresztą on i tak nie był w stanie odblokować mechanizmu podajnika. Widziała, jak gniew opuszcza jego drżące dłonie i wypływa na dolną część twarzy. Teraz staruszek zacznie się dławić, wrzeszczeć i przeklinać. Wpadnie w gniew i zacznie mamrotać sam w swoim kącie, czyli wszystko w normie.

Zadzzwoniwszy na policję, Ja’ il przyglądała się przez okno krwawym promieniom słońca schodzącego coraz niżej na drugim końcu ulicy. Jej skuter cicho płonął; wyglądał tak surrealistycznie, że Ja’ il niemal przestała o nim myśleć.

Kuzyn Fu’ada strzelał do Szawisza.

Im częściej powtarzała sobie w duchu to zdanie, aby mu nadać jakkolwiek treść, tym bardziej słowa zaczynały żyć własnym życiem i wyglądać jak abstrakcyjne woluty, pozbawione wszelkiej natury i niemogące już nieść żadnego znaczenia.

Zamknęła oczy, a po chwili znowu je otworzyła na ciche, jakby sparaliżowane sąsiedztwo. Widoczna w oddali sala koncertowa imienia Baldassare Galupiego bez trudu górowała majestatem nad całą okolicą; w pogodne wieczory zawsze następował moment, gdy tarcza zachodzącego słońca pojawiała się w idealnie prostokątnym prześwicie tego ultranowoczesnego, niezwykle kosztownego budynku, zdaniem jej ojca kompletnie zbędnego, który Szawisz zbudował na samym początku swojej pierwszej kadencji w Grogny.

– Mój Boże – prychnął pan Zajtun. – Masz pojęcie, że ludzie wciąż głosują?

– Wciąż głosują? Jak to możliwe?

Pan Zajtun dał córce znak, żeby zamilkła, ponieważ chciał posłuchać wiadomości na TF1. Wieczór wyborczy rozpoczął się cztery godziny wcześniej, niż planowano, wydaniem specjalnym z wklejonym w narożniku ekranu ujęciem

opustoszałego placu przed merostwem w Grogny, upstrzonego ponurymi żółtymi taśmami pozostawionymi przez policję. W studiu pojawiali się kolejni goście, politycy *kierowali swe myśli* ku rodzinie Szawisza. Według najnowszego komunikatu on sam był w stanie krytycznym, ale wobec braku bardziej szczegółowych informacji o stanie jego zdrowia wybory toczyły się dalej. Zgodnie z zapowiedzią za godzinę miała się odbyć konferencja prasowa przedstawiciela Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odpowiedzialnego za organizację wyborów prezydenckich.

W oczekiwaniu na przyjazd policji Ja'il wyszła z papierosem na balkon, żeby zadzwonić do zaprzyjaźnionego adwokata. Gdy tak stała i ubijała tytoń w marlboro light, postukując filtrem o paznokiec kciuka i wahając się, czy go zapalić, dotarły do niej pierwsze, jeszcze dalekie odgłosy zamieszek.

Zza ostatniego domu na końcu ulicy, z bloków HLM osiedla Rameau-Givré, wylała się fala gówniarzy w kominiarkach. Dziwne dźwięki eksplozji dotarły aż do spokojnej dzielnicy willowej, w której mieszkał pan Zajtun.

Ja'il gestem przywołała ojca na balkon, skąd razem obserwowali nadciągającą na ich ulicę grupę czternasto-, piętnastolatków trzymających w rękach koktajle Mołotowa, którymi rzucali równie łatwo, jakby to były petardy, we wszystkie samochody, jakie znalazły się na ich drodze, i wykrzykujących hasło, które miało się stać lejtmotywem nadchodzących rozruchów:

– Sar-ko mor-der-ca! Sar-ko mor-der-ca!

Pan Zajtun błyskawicznie zamknął okiennice i w półmroku, słabo rozświetlonym przez zepsutą lampę halogenową, zaczął szukać naboju do swojego starego karabinu, tyle że tym razem na poważnie.

8

Wielki Momo przeczekał wyjazd Fu'ada i matki Karima, po czym wrócił do piwnicy po zawinięty w szmatę pistolet, który ukrył pod bluzą dresową; nigdy w ciągu ostatnich miesięcy broń nie wydała mu się tak ciężka, nawet kiedy Karim dał mu ją po raz pierwszy, żeby przyjaciel też mógł sobie poćwiczyć. Momo najpierw uznał to za dziwny pomysł, ale po pewnym czasie nawet zaczął to lubić, zwłaszcza pod wpływem zachęt ze strony Nazira, kuzyna Karima, od którego dostali broń i pieniądze na rozkręcenie czegoś, co nazywali „swoim małym biznesikiem”.

Wsiadł do tramwaju przy placu Sadi-Carnot, przy czym wpadł na dobry pomysł, żeby kupić bilet, skasować go i usiąść tuż za motorniczym, słusznie przypuszczając, że wezwana przez kontrolerów straż miejska będzie się raczej kierować na tył wagonu. Jazda wlokła się chyba z godzinę. Wielki Momo miał w głowie tylko jedną myśl, niejasną i postrzępioną, której tematem głównym był jego najbliższy przyjaciel; w żadnym jednak momencie myśl ta nie zamieniła się

w klarowne zrozumienie sytuacji, w jakiej znalazł się Karim, a pośrednio on sam.

Gdy w końcu dojechał do placu Bellevue w południowej części miasta, ociekał potem. Jakiś gość z dzielnicy rozpoznał go i podszedł zagadać.

– Odwalilo ci czy jak? Przy takiej pogodzie nosić dres! Na rany, wyglądasz jak Turek!

Powszechnie uważano, że latem Turcy ubierają się ciepło, a zimą chodzą w samej koszuli. Wielki Momo bał się, że broń wyleci mu spod dresu. Pożegnał się więc z natrętem i ruszył dalej, rozglądając się, czy wśród ligustrów wokół jego bloku nie kryją się policjanci.

Ojciec drzemał przed telewizorem. Jego chrapanie nie do końca zagłuszało podekscytowany głos dziennikarki powtarzającej informację dnia dla tych, którzy dopiero włączyli telewizor po powrocie z innej planety.

Jego wierny owczarek niemiecki Sultan zorientował się, że Wielki Momo jest mocno zdenerwowany; szczeknął parę razy w jego kierunku, obracając pysk raz w lewo, raz w prawo i od czasu do czasu węsząc jak bawół.

Siąkając nosem, Wielki Momo pogłaskał go po łbie. Potem szybko poszedł do swojego pokoju i wepchnął parę ciuchów do sportowej torby. Zamykając ją, zawahał się, czy nie włożyć do środka pistoletu. Lepiej byłoby wyrzucić go gdzieś po drodze. Ale perspektywa, że będzie łaźnić po ulicy, mając przy sobie ukrytą broń, wydała mu się nie do przyjęcia. Spróbował ukryć pistolet w adidasie, w końcu owinał go w ręcznik i upchnął jednak na dnie torby.

A potem stanął nieruchomo na środku pokoju, w którym panował kompletny bałagan.

Sultan patrzył na niego z otwartym pyskiem, próbując zrozumieć, co się dzieje. Wielki Momo rozpiął suwak bluzy dresowej i zobaczył, że jego T-shirt aż zmienił kolor od potu. Rozebrał się i stanął z nagim torsem naprzeciw psa, zastanawiając się, czy zwierzę rozumie, do jakiego stopnia fałdy na jego brzuchu są obrzydliwe, gdy nagły dzwonek do drzwi wejściowych osadził go w miejscu.

Jeśli nie otworzy od razu, ojciec obudzi się i trzeba będzie wszystko mu wytłumaczyć; jeżeli natomiast otworzy i okaże się, że to policja, będzie zgubiony.

Z trudem włożył pierwszy z brzegu T-shirt, którym okazała się koszulka piłkarskiej reprezentacji Algierii, po czym podszedł do drzwi i wyjrzał przez judasza. Za drzwiami stała sąsiadka z chlebem i przygotowanym rano tażinem. Jego owdowiały ojciec był tak uprzejmy, że wszystkie damy z dzielnicy pały do niego uczuciem i przynosiły mu kuskus, ciastka, a nawet resztki baraniny. Wielki Momo przyjął od sąsiadki chleb z tażinem i wyjaśnił, że bardzo się śpieszy.

– Co tam knujesz, mały konspiratorze?

– Nic takiego! – wykrzyknął.

Niemile zaskoczona niesympatycznym tonem, który po raz pierwszy usłyszała z ust Wielkiego Momo, sąsiadka obróciła się na pięcie i bez słowa

odeszła.

Najtrudniej było pożegnać się z Sultanem. Czując po przerywanym oddechu ojca, że wkrótce się obudzi, Wielki Momo musiał otrzeć łzy i jak najszybciej wyjść. W ustach nadal czuł smrodliwy oddech wiernego owczarka. I tego wspomnienia kurczowo się uczepił, gdy ponownie wyszedł na dwór i odkrył, że broń palna – niezależnie od tego, czy jest schowana w bluzie dresowej, czy na dnie torby – waży absurdalnie dużo, jeśli, jak w tym przypadku, ma choćby pośredni związek z zabójstwem deputowanego Republiki.

Rozdział 2

Machina

1

Plac przed merostwem w Grogny zamknięto, żeby faceci z dochodzeniówki mogli dokonać oględzin i pobrać próbki do badań. Za barierkami strzeżonymi przez ubranych w stroje bojowe funkcjonariuszy CRS gromadzili się sklepikarze, okoliczni mieszkańcy i przygodni gapie, niepotrafiący opuścić miejsca, które przekształciło się w scenę zbrodni, i niemogący do końca uwierzyć w to, co się tu stało. Wciąż przybywali nowi dziennikarze, których siły porządkowe bez skrupułów odpierały. Atmosfera zrobiła się nerwowa, gdy radny miejski z otoczenia Szawisza potracił jednego z kamerzystów i przewrócił jego dźwiękowca.

Dokładnie na wprost merostwa, nie zwracając uwagi na całe zamieszanie, ubrany w sam podkoszulek właściciel chińskiej knajpki zmiatał confetti spod drzwi swojego zakładu. Zręcznym drgnięciem warg regularnie strząsał słupki popiołu z trzymanego w ustach papierosa na dopiero co zamiecioną ulicę, być może rozmyślając o chwili, gdy wszyscy ci czatujący na ciąg dalszy gapie poczują ssanie w żołądku.

Zgromadzeni na podjeździe pod ratuszem czekali na prokuratora miasta Paryża. Bowiem wszystkie akty terrorystyczne dokonane na terytorium kraju leżały we właściwości trybunału paryskiego: tego typu sprawy zawsze trafiały do sędziów i prokuratorów miasta Paryża, niezależnie od tego, czy przestępstwo zostało popełnione pod korsykańskim słońcem, czy w lasach Bretanii.

Jeszcze przed przyjazdem prokuratora, który miał zlecić prowadzenie śledztwa wybranej przez siebie formacji policyjnej, w nieoznakowanej furgonetce zaparkowanej na skraju placu przesłuchiowano Valérie Simonetti, szefową ochrony Szawisza. „Walkiria” siedziała wyprostowana na ławeczce, na której zazwyczaj siadywały osoby legitymowane. Dwóch policjantów z brygady antyterrorystycznej odebrało jej broń i słuchawkę douszną. Pułkownik Simonetti odpowiadała na ich pytania krótkimi, precyzyjnymi zdaniami. Jej głos nie drżał. Twarz nie wyrażała choćby śladu niepokoju. Dłonie spoczywały płasko na złożonych kolanach. Tylko sztywna postawa i gładkie, odrobinę bardziej niż zwykle napięte policzki pozwalały odgadnąć, że jest załamana.

– Czyli nie było żadnych błędów w procedurze – zastanawiał się na głos jeden z policjantów, bazgrzący po kartce, na której miał sporządzać notatki. – Pani zdaniem jedyny element poza normą to major Coûteaux, który w ostatniej chwili poprosił o zmianę stanowiska... Ale nie zgodziła się pani, żeby był „kewlarowym”, i przydzieliła go do drugiego kręgu ochrony osobistej, zgadza się?

– Tak jest – odpowiedziała szefowa ochrony.
– Sądzi pani, że to major Coûteaux ponosi odpowiedzialność za przeoczenie zamachowca w tłumie?

– Nie oskarżam swoich ludzi bez dowodów – odparła Valérie, krzyżując wzrok z policjantem mającym niższą szarżę niż ona. – Jeśli kogokolwiek można w tej sprawie winić, to tylko mnie.

Oficer przewrócił kartkę w notesie.

– Chciałbym, żeby mi pani opowiedziała o zagrożeniach, o jakich była pani informowana przez DCRI. Kiedy dowiedziała się pani o Nazirze Narruszu, kuzynie zamachowca?

– Dwa tygodnie temu. Uzyskałam dostęp do akt ekipy śledczej, która go rozpracowywała, oraz parokrotnie spotkałam się z Boulimierem.

Prefekt Boulimier, należący do kręgu ludzi zbliżonych do Sarkozy’ego, kierował DCRI od chwili jej powstania, czyli od dwa tysiące ósmego roku.

– Nigdy nie było żadnych tarć między pani ekipą a ludźmi rozpracowującymi Nazira Narrusza?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kiedy dostawałam nowe informacje, wzmacniałam ochronę deputowanego Szawisza. Dostosowywałam się. Wszyscy moi ludzie mieli przy sobie zdjęcie Narrusza, jednak znacznie więcej uwagi przywiązywaliśmy do tropu Al-Ka’idy. Reszta wyglądała mało poważnie. Poza tym...

Jej słowa przerwało wejście do furgonetki dwóch mężczyzn. Podobnie jak oficerowie z brygady antyterrorystycznej mieli na sobie ciemne, źle dobrane garnitury. I tak samo jak tamtych można by ich wziąć raczej za przedstawicieli handlowych niż za supergliny. Tyle że w przeciwieństwie do oficerów z brygady antyterrorystycznej ci dwaj nie pracowali w DCRI, lecz w IGS, czyli w wydziale wewnętrznym zajmującym się przestępstwami popełnianymi przez policjantów. W furgonetce powstało pewne zakłopotanie, do którego nowo przybyli byli przyzwyczajeni, lecz u tej, którą mieli powiadomić, że na czas śledztwa zostaje zawieszona w obowiązkach służbowych, a następnie przesłuchać, ich przybycie nie wywołało nawet najlżejszego drgnięcia powiek.

– Generalny Inspektorat Policji Narodowej – oznajmił pierwszy z przybyłych, nie zwracając sobie głowy podaniem swego nazwiska. – Powiedziano nam, że prokurator jest już w drodze. Proponuję, żebyśmy się przenieśli do naszej siedziby, będzie nam łatwiej rozmawiać...

Valérie Simonetti wstała miękkim, pewnym ruchem. Pochyliła się, żeby nie uderzyć głową o dach furgonetki, i wysiadła, mając po obu bokach funkcjonariuszy IGS, nad którymi górowała wzrostem. W drodze do samochodu po raz ostatni spojrzała na podjazd przed ratuszem. Na wspomnienie strzału głębiej wciągnęła powietrze. Dotknęła tylnych drzwi auta, którym miała jechać jak zwykła

podejrzana. Od chwili strzału nagromadziło się w niej tyle wściekłości, że zanim kierowca odblokował zamek, omal nie urwała klamki.

2

– Jesteś młody, ale bezwzględnie musisz jedną rzecz zrozumieć, mój drogi *zastępczo*: w naszym kochanym kraju dla każdej służby stworzono służbę, która z nią rywalizuje: choć realizuje te same cele, a najwyższy interes narodu ma wypisany na frontonie swojej siedziby, zawsze będzie wołała wkładać kij w szprychy służby konkurencyjnej niż zgodnie z nią współpracować. Tak, tak... Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Prefektura Policji w Paryżu, SDAT, czyli Wydział Antyterrorystyczny, i DCRI... Bo widzisz, dla tych, którzy za swój obowiązek poczytują żeglowanie po tych wzburzonych falach, wojna służb stanowi fakt równie fundamentalny jak samo istnienie przestępczości...

Jean-Yves Lamiel, potężny prokurator miasta Paryża, często wdawał się w tego rodzaju dywagacje, którymi teraz zamęczał swojego młodego zastępcę do spraw zwalczania terroryzmu, podczas gdy wiozący ich samochód dojeżdżał do Grogny. Lamiel miał najbardziej charakterystyczną gębę w całym paryskim sądzie, kształtem przypominającą gruszkę z karykatur Honorégo Daumiera, tyle że ta akurat gruszka wyglądała jak nafaszerowany witaminami organizm genetycznie zmodyfikowany: obwisłe policzki, dolna część twarzy opuchnięta, jakby miała za chwilę eksplodować, kosztem części górnej cechującej się komicznie cofniętym czołem i wylupiastymi oczami.

Żeby ukryć swój prostacki wygląd, uciekał się do wykrętnej, akrobatycznej elokwencji, której ukoronowaniem była jego pasja *moralizatorska*, prawdziwy konik wielkiego prokuratora: zamiłowanie do pouczenia zajmowało większą część jego dni, a jeśli wierzyć czwartej pani Lamiel, również nocy... Nigdy nie był tak szczęśliwy jak wówczas, gdy znajdował oryginalny sposób, aby przypominać prawdy oczywiste, które młodszy koledzy, rozdrażnieni jego beztróskim marnotrawstwem czasu na słowotok, tracili z oczu na skutek praktyki, rutyny i technicznych aspektów codziennej pracy.

– Pozwolisz, że coś ci narysuję – ożywił się Lamiel, odnosząc wrażenie, że jego zastępca nie poświęca mu całej swej uwagi. – Są to sprawy, o których rzecz jasna wiesz, ale jedynie *abstrakcyjnie*, natomiast... natomiast!... gdy przychodzi moment na podjęcie decyzji, choćby takiej, jaką wkrótce będę musiał podjąć, nie liczy się ani to, co człowiek wie w teorii, ani nawet to, że działa w sposób w pełni świadomy. Otóż nie: liczy się to, co człowiek *widzi*...

Przy słowie *widzi* jego oczy jeszcze bardziej wyszły z orbit.

Z kieszeni zapinanej na trzy guziki marynarki wyjął papierową serwetkę, z teczki luksusowe pióro, po czym narysował następujący schemat:



– Kiedy patrzysz na to bez żadnego opisu, co ci to przypomina?

Młody zastępca zrobił minę, jakby się koncentrował. Nie ośmielał się powiedzieć swojemu czcigodnemu szefowi, że nie przypomina mu to niczego z wyjątkiem Pac-Mana.

– Pozwól, że ci wyjaśnię. Duża głowa, która pożera małą, to wielka DCRI kochanego prefekta Boulimiera. Wyobraź sobie ekipy śledcze mające dostęp do tajnych akt, całą galaktykę tajniaków i agentów... A ta mała kulka bohatersko stawiająca opór tamtej, z którą dzieli te same pomieszczenia w Levallois, to SDAT, czyli Wydział Antyterrorystyczny kierowany przez pułkownika Mansourda. I powiem ci, że w SDAT pracują najlepsi gliniarze do walki z terroryzmem we Francji, prawdziwa elita. Poza tym SDAT wchodzi w skład policji sądowej. Kiedy my, prokuratorzy, mamy wybierać policjantów do prowadzenia szczególnie delikatnych spraw, zawsze wolimy, żeby po słowie „policja” padało słowo „sądowa”, prawda? Wybór jest więc prosty: albo Boulimier, który podlega bezpośrednio ministerstwu, albo Mansourd, który dokładnie w tej chwili czeka w moim gabinecie w Pałacu Sprawiedliwości – czyli albo tajniacy, albo supergliny.

– Tak, ale...

– Masz rację: DCRI rozpracowywała Nazira Narrusza od kilku tygodni, ja sam wydałem zgodę na podsłuch czterech telefonów komórkowych oraz na fizyczne śledzenie paru typków... Byłoby więc logiczne, żebym pozwolił tej samej ekipie śledczej, która już zajmowała się Narruszem, na dalsze prowadzenie sprawy, prawda? A jednak chcę, żeby śledztwo prowadziła służba konkurencyjna, czyli SDAT. Możesz mi powiedzieć dlaczego?

– Bo w oczach opinii publicznej DCRI jest zbyt blisko władzy? Bo Sarkozy i Boulimier to przyjaciele od wielu lat?

– Oczywiście, ale nie tylko. Nie widzisz? Naprawdę nie *widzisz*?

Samochód zatrzymał się przy żółtych taśmach otaczających plac przed merostwem w Grogny. Kierowca nie wyłączył silnika, czekając na znak prokuratora, który wbił w swojego nieszczęsnego zastępcę przebiegły, a zarazem drapieżny wzrok i parsknął:

– To Pac-Man!

Zastępca skrzywił się.

– No właśnie, tak sobie myślałem, że...

– Spójrz na rysunek! Ja też jestem małą kulką pożeraną przez wielką głowę,

jedynym prokuratorem na wysokim szczeblu mianowanym wbrew opinii prezydenta, „wysepką oporu wobec sarkozistowskiego zawłaszczania wymiaru sprawiedliwości”, jak napisano w moim portrecie opublikowanym na ostatniej stronie „Libération”... Wysepką oporu, ha, ha, ha! Lepiej by napisali: „Prokurator Lamiel, mała niestrawna kulka w paszczy Pac-Nation...”. Oto więc, co oświadczymy, mój drogi *zastępczo*: wszczynamy postępowanie przygotowawcze, wyznaczamy sędziego śledczego, a samo dochodzenie powierzamy SDAT. Po tym oświadczeniu zaczną się szept, spekulacje, ludzie pomyślą: wreszcie niezależna prokuratura, która nie chodzi na pasku władzy. Prokuratura tak niezależna, że zgadza się przekazać sprawę sędziemu śledczemu. Zostawiam ci ten rysunek – powiedział na zakończenie, po czym postępując i wysuwając język, dźwignął się z miękkiego siedzenia samochodu. – Masz w nim całe państwo. Może ci się przydać, gdy za dwadzieścia lat będziesz zajmować moje stanowisko...

Lamiel zobaczył kawalkadę furgonów CRS pędzących w kierunku dzielnic, w których zaczynały się starcia. Zapinając trzeci guzik marynarki, dodał:

– O ile za dwadzieścia lat będzie jeszcze jakieś państwo...

3

Początkowo zamieszki ograniczyły się do osiedla Rameau-Givré w Grogny, ale już przed osiemnąstą około setki spalonych samochodów znaleziono wokół miejsc, gdzie gromadziły się tłumy wyborców: przy wyjściu ze stadionu Charléty, na Canebière, w centrach kilku miast na prowincji, gdzie często dochodziło do spontanicznych rozruchów.

Zupełnie innego rodzaju ogień płonął w samym sercu stolicy, kilka metrów od Pałacu Elizejskiego. Jedną z najbardziej emblematycznych postaci sarkozizmu, Marie-France Vermorel, minister spraw wewnętrznych, wezwała około trzydziestu osób do położonej w podziemiach ministerstwa sali międzyresortowego centrum antykryzysowego, wyposażonej w aparaturę high-tech i olbrzymi okrągły stół z mikrofonami, telefonami i ekranami dla każdego z uczestników. Na naradzie pojawiły się najgrubsze ryby francuskiej policji, włącznie z prefektem Boulimierem.

Żelazna dama z placu Beauvau kolejno zwymyślała wszystkich uczestników zebrania, nie bacząc na powagę ich urzędów.

– I jak ja teraz wyglądam? Ktoś ma na ten temat coś do powiedzenia? Zamach na życie kandydata na prezydenta... Gdzie my jesteśmy? W jakimś amerykańskim serialu? Któryś odcinek mi umknął? Nikt nie jest niezastąpiony, wbijcie to sobie do waszych małych, tępych łbów! Banda nieudaczników...

Gdy przyszła pora na Boulimiera, którego elitarnie służby nie były w stanie przewidzieć zamiarów enigmatycznego Nazira Narrusza, stojący pod ścianami gorliwi asystenci mieli wrażenie, że gigantyczny, wiszący nad stołem szefów

zyrandol w kształcie spodka zaraz spadnie na ich czcigodne łysiny.

Spotkanie dobiegało końca, gdy na dziedziniec Pierre-Brossolette ministerstwa wjechało czarne renault vel satis. Wartownik ze straży republikańskiej otworzył drzwi samochodu i zobaczywszy złoconą gałkę laski, rozpoznał młodego protegowanego pani minister. Mający dwadzieścia dziewięć lat Pierre-Jean Corbin de Montesquiou (do którego oficjalnie zwracano się panie de Montesquiou, a prywatnie P.J.) był zdecydowanie najmłodszym szefem gabinetu ministra we Francji. Studia w ENA ukończył jako drugi na roku, ale zamiast wstąpić do Generalnego Inspektoratu Finansów, Rady Stanu lub Trybunału Obrachunkowego, popełnił świętokradztwo i wybrał karierę prefekta. Montesquiou nigdy zresztą nie skrywał swoich ciągot ku administracji, a raczej niepohamowanego zamiłowania do suwerennej wszechwładzy, jaka się z nią wiązała. Pracę przy placu Beauvau rozpoczął jako doradca, szybko zyskując opinię niezastąpionego. Z formalnego punktu widzenia nie był dyrektorem gabinetu, które to stanowisko zajmował ktoś od niego starszy i mający mniej imponujący profil zawodowy; on sam był zastępcą dyrektora gabinetu, ale minister Vermorel, najbardziej zaufana współpracowniczka prezydenta, nazywała go swoją *lewą ręką*, dodając, że w ministerstwie nadzorującym policję lewa ręka jest zdecydowanie bardziej potrzebna.

Kto mógł, ten rozumiał, a nie było takich wielu. Montesquiou zrozumiał: jego gabinet mieścił się obok gabinetu pani minister, on sam dysponował samochodem z szoferem oraz miał prawo tykać i rugać sześćdziesięciolatków, którzy byli znakomitymi komisarzami, inspektorami i pracownikami administracji lokalnej, gdy on jeszcze koszulę w zębach nosił.

Wchodząc do holu centrum antykrzysowego, gdzie pani minister wciąż dawała upust swej złości, otrzymał kartkę, na którą rzucił okiem, i mruknął:

– Nie powinno się już zmienić.

Nie dał po sobie poznać, co sądzi o przekazanych mu danych. Lekko unióśł jedną z jasnych brwi na widok frekwencji, ale na wynik nie zareagował. Położył laskę na gerydonie i używając pleców swego asystenta jako stolika, na skrawku papieru listowego naskrobał przybliżony procent wyborców, który namaścił nowego prezydenta Republiki. Złożył karteluszek na pół i wszedł do sali. Po ministerialnej awanturze rozpoczęła się – za pośrednictwem wielkiego ekranu widocznego dla wszystkich siedzących wokół stołu – wideokonferencja prefektów.

– Może pan łaskawie wstać – zwróciła się minister rozkazującym tonem do szefa CRS – i zwolnić miejsce dla mojego dyrektora gabinetu?

– Oczywiście, pani minister.

Szef CRS ze skwapliwym uśmiechem spełnił prośbę, ale zakola po obu stronach jego czoła zaczerwieńczyły się ze złości i wstydu.

Jakiś wysoki siwiejący prefekt opisywał środki, które podjął, aby zamknąć lotniska i wzmocnić kontrolę na granicach. Po prefekturach krążyła lista PSZ

(Punktów Szczególnego Znaczenia), a JSM (Jednostki Sił Mobilnych) zaczęły obstawiać najbardziej newralgiczne miejsca kraju: porty, elektrownie, rozjazdy kolejowe...

– Prezydent w trybie pilnym zwoła Radę Bezpieczeństwa i Obrony Narodowej – ciągnął prefekt. – Tymczasem po raz pierwszy od stworzenia planu Vigipirate ogłosiliśmy najwyższy poziom zagrożenia.

Wszystkim zrzędył miny, w ustach zaschło. Wiele szklanek wody opróżniono w ciszy, która zapadła po tej informacji: dla siedzących tu ludzi, choć przywykłych do sytuacji kryzysowych, był to prawdziwy skok w nieznaną.

Zaspokoiwszy pragnienie, prefekt mówił dalej:

– Środki ochrony rządu zostały znacząco wzmocnione. Prezydenta przenieśliśmy z jego sztabu wyborczego do bunkra w Pałacu Elizejskim.

Jak się przekonał kierowca Montesquiou, ulica Faubourg-Saint-Honoré, gdzie pod numerem pięćdziesiątym piątym mieścił się pałac prezydencki, faktycznie była zablokowana: stały tam cztery oddziały CRS wzmocnione przez Gwardię Republikańską.

– Siły porządkowe we wszystkich departamentach postawiono w stan najwyższej gotowości, a ich pierwsze zadanie to niedopuszczenie, aby zamieszki wyszły poza przedmieścia Paryża.

Montesquiou poczekał, aż prefekt skończy, zanim przekazał złożony karteluszek pani minister.

Na jej twarzy również nie dało się dojrzeć żadnej reakcji. Jednak kilka sekund później przerwała kolejnemu mówcy, przedwcześnie wyłysiałemu i kompletnie osłupiałemu doradcy:

– Wystarczy, nie możemy dłużej zwlekać z konferencją prasową.

Wyniki wyborów i tak wkrótce miały się ukazać na internetowych stronach szwajcarskich i belgijskich gazet, których nie obowiązywały drakońskie reguły instytutu sondażowego CSA.

– Tak jest, pani minister – odpowiedzieli szefowie służb, jak jeden mąż zrywając się z krzesel.

Minister stała przez chwilę nieruchomo, nie spuszczać wzroku z Boulimiera. W nakręconym potajemnie filmie wideo, o którym plotkowano przez całe święta Bożego Narodzenia, Carla Bruni mówiła o niej jako o „tej Vermorel”; pierwsza dama przyznawała, że na widok minister spraw wewnętrznych przechodzą ją ciarki, oraz ze smutkiem stwierdzała, że jest ona jedyną osobą we Francji, przed którą jej niesforny małżonek spuszcza czasem wzrok...

W końcu numer jeden DCRI również skłonił się przed panią minister, która złożyła na pół otrzymaną od Montesquiou karteczkę i przekazała ją swojemu sąsiadowi po lewej, a ten po sekundzie podał ją dalej. Po minucie wynik pięćdziesiąt dwa przecinek dziewięć procent wbił się w głowy wszystkich szefów

służb policyjnych równie mocno jak parę chwil wcześniej krzyki pani minister, których echo nadal nie zamierało w pięknych, luksusowych korytarzach dawnego pałacu.

4

Takie wybuchy złości w zasadzie należały do przywilejów prezydenta. Przekonanie Vermorel, że ma prawo tak ostro traktować szefów policji i żandarmerii, świadczyło o jej wyjątkowej pozycji w aparacie władzy. Była rasowym politykiem, a przy tym czerpała złośliwą radość z łajania prefektów, których szczerze nie znosiła. Awantury uniknął tylko jeden człowiek, któremu w drodze do gabinetu pani minister towarzyszył Montesquiou, tym razem sprowadzony do roli zwykłego lokajczyka: wszechpotężny prefekt paryskiej policji, Michel de Dieuleveult, którego autorytet w służbach policyjnych konkurował z autorytetem pani minister. Paryska prefektura policji mieściła się na wprost katedry Notre Dame, w samym sercu Île de la Cité, dysponowała czterdziestoma tysiącami ludzi, własną służbą wywiadowczą i słynnym na cały świat bastionem pod numerem trzydziestym szóstym na Quai des Orfèvres. Była prawdziwym państwem w państwie.

Vermorel przyjęła prefekta w cztery oczy, aby wymienić się z nim informacjami na temat Nazira Narrusza. Dieuleveult był człowiekiem ograniczonym, nieufnym, farbującym sobie włosy na czarno. Przypominał diakona z dnia na dzień mianowanego kardynałem. Z jego oczu ukrytych za grubymi szylkretowymi oprawkami okularów, z których szkielec dawno zesła powłoka antyrefleksyjna, przez cały czas emanowało łagodne osłupienie. Dieuleveult ani nie osiągnął jeszcze takiego wieku, ani nie miał tak wylewającego się brzucha, aby nosić pasek od spodni aż tak wysoko, tuż nad pępkiem: była w tym jakaś pachnąca naftaliną, choć niemal niedostrzegalna forma kokieterii, która sprawiała, że przyłapany bez marynarki w swoim gabinecie w prefekturze policji przypominał kapelana z czasów kolonialnych.

– Pani minister – powiedział prefekt policji z nieco zgryźliwą uprzejmością – nie wiemy nic ponad to, co figuruje w aktach DCRI.

Minister nie chciała patrzeć mu w oczy ukryte za barykadą odbijających się w szklach refleksów światła; gdy pokazywały się przy jakimś niekontrolowanym ruchu głowy, przypominały płaskie, pozbawione wyrazu migdały, niezdradzające żadnej emocji, nawet pogardy, z którą jego brwi nigdy się nie rozstawały.

– Panie prefecie – oznajmiła poważnie – przypuszczam, że w okolicznościach tak, hm... apokaliptycznych możemy liczyć na niezłomne wsparcie pańskich ludzi.

– Oczywiście, pani minister, bezpieczeństwo stolicy to bezpieczeństwo Francji...

Ze słów prefekta paryskiej policji przebijała nieskrywana złośliwość, ale wrogie stosunki panujące między tymi dwiema osobistościami prawicy były znane od tak dawna, że już nikt nie zwracał na nie uwagi.

– No dobrze, zobaczymy – dodała Vermorel, chcąc jednak mieć ostatnie słowo.

Następnie zaczęli rozmawiać o środkach, jakie prefekt ma zamiar podjąć, aby stolicy zapewnić bezpieczeństwo.

– Pozostaje mi życzyć pani powodzenia – zakończył prefekt policji z niewzruszonym wyrazem twarzy. – To znaczy... *nam* życzyć powodzenia.

Zostawszy w gabinecie sama z Montesquiou, minister głęboko westchnęła i skierowała wzrok na czerwone diody migające na aparacie telefonicznym.

Montesquiou przeglądał w komórce internetowe wydania gazet. Machinalnie usiadł głębiej w fotelu, przez krótką chwilę przypominając opryskliwego nastolatka w gabinecie dyrektorki szkoły, będącej zarazem jego własną matką. Pod wpływem przeczytanych informacji nagle się wyprostował.

– Boże drogi, Internet szaleje. Ludzie piszą naprawdę byle co, proszę posłuchać – powiedział, podnosząc oczy na panią minister, która nie odrywała wzroku od narożnika marmurowego blatu biurka. – „Robiono wszystko, by zniesławić Szawisza, wrzucano informacje oparte na źródłach niejawnych, zatrute strzały, grzebano w jego przeszłości, poszukiwano kochanek, podejrzanych przyjaźni, niezręcznych wypowiedzi, wstydlivych głosowań. Nic. Zaczęto więc liczyć, ile razy był w meczecie, i w każdym z odwiedzonych przez niego meczetów próbowano znaleźć jakiegoś radykalnego imama lub kuzyna jakiegoś mętnego salafickiego kaznodziei, żeby udowodnić jego niejasne powiązania. Tyle że niczego takiego nie było. Niczego do ukrycia, niczego, czym można by go zaszantażować. Szawisz był rozpaczliwie czysty... A w dniu wyborów ktoś do niego strzela. Nie trzeba być zwolennikiem teorii spiskowych, żeby zadać sobie pytanie, czy...”.

– Pierre-Jean – przerwała mu z westchnieniem minister.

– To felieton dziennikarza z pewnego porannego radia, pojawił się na jego blogu. Już zacytowany na Twitterze przez trzech znanych działaczy opozycyjnych. I pomyśleć, że deputowani rozpowszechniają tego typu hipotezy! Może sobie pani wyobrazić, co będzie, jeśli nadal będą na prawo i lewo wrzucać takie teksty?

– Przyjrzymy się temu we właściwym momencie. Na razie mamy inne sprawy na głowie niż wypociny jakichś nieszczęsnych blogerów...

Odchrząknęła. Napięcie ostatnich dwóch godzin opadło. Zobaczywszy, że minister porusza ustami, aby je rozgimnastykować, i zrozumiałwszy, do kogo za chwilę będzie dzwonić, Montesquiou opuścił gabinet. Vermorel otworzyła szufladę biurka, wyjęła tabletkę paracetamolu i wrzuciła do szklanki wody, którą sobie naląła przed naradą. Obserwowała, jak musująca, ciskana po całej szklance

pastylka rozpuszcza się i nieuchronnie, z jakąś pogodną rezygnacją, która zmęczonej minister wydała się niemal szlachetna, niknie w kotłującej się wodzie. Podobny los czekał najwyższych urzędników państwowych i wszystkich tych, którym interes Francji leżał na sercu: w ramach swoich praw i obowiązków musieli być gotowi nieuchronnie i bez reszty zniknąć.

Gdy pastylka była już tylko małym, płaskim płatkem na powierzchni wody, Vermorel jednym haustem wypila zawartość szklanki, po czym wybrała numer prezydenta, zastanawiając się, w jaki sposób go zawiadomić, że policyjna i sądowa machina poszła w ruch, ale przede wszystkim rozmyślając nad procentami, nad tą idiotyczną i fatalną liczbą, pięćdziesiąt dwa przecinek dziewięć procent, która nigdy nie zniknie, nawet gdyby ją zanurzyć w kwasie siarkowym.

5

Samolot, którym lecieli państwo Wagnerowie, wylądował na Roissy parę minut przed dziewiętnastą. Uprzedzony przez asystentkę, że konferencja prasowa naczelnego lekarza szpitala Val-de-Grâce odbędzie się za chwilę, sędzia Wagner zażądał od oficerów ochrony, aby jeszcze na lotnisku znaleźli jakiś odbiornik telewizyjny. Thierry, którego Paola nazywała Aqua Velva, rozejrzał się po terminalu. Po chwili dostrzegł tłumek kłębiący się za kolejką do fast foodu.

Pod wysoko zawieszonym monitorem stało ze trzydziestu nabożnie wsłuchanych pasażerów tranzytowych, którzy mieli tu pozostać jeszcze przez jakiś czas, jako że wszystkie loty zostały zawieszane. Stali nad walizkami, pot spływał im po twarzach. Gdy tylko na ekranie pojawił się mikrofon oraz nieduży asystent w okularach regulujący jego wysokość, zaczęli się wzajemnie uciszać jak w kinie.

– Znam jednego, który z całej tej historii musi być nadzwyczaj zadowolony – mruknęła Paola.

Sędzia Wagner nie zareagował. Stał w ostatnim rzędzie z ochroniarzami niemal przyklejonymi mu do pleców. Paola nie była w stanie znieść milczącego oczekiwania ich niedużej grupki. Uważnie przyjrzała się mężowi, aby ocenić stopień jego zaabsorbowania, i na widok lekkiego zmarszczenia jego lewego policzka uznała, że może się odezwać.

– Powiem ci szczerze, Henri, po tym wszystkim nie będę potrafiła normalnie rozmawiać z Putéolim. Rozumiem, że od dawna się przyjaźnicie, ale co za dużo, to niezdrowo. I ten Tristan, który się kręci wokół Aurélie, no nie, bardzo mi przykro, ale...

– Cóż, przyznaję ci rację, że mu odbiło. Ale nie mów, proszę, że on się cieszy z zamachu...

– Jest w siódmym niebie!

– Nie, no błagam. A jeśli chodzi o jego syna, co niby miałbym zrobić? Oskarżyć go o podrywanie bez zgody rodziców jednej ze stron?

– Ćśśś, idzie.

Naczelnny lekarz szpitala Val-de-Grâce podszedł do mikrofonu i odchrząknął, rzucając wokół siebie surowe spojrzenia, aby się zorientować, do której kamery ma mówić. W nieruchomych dłoniach trzymał kartkę papieru. Jego pozbawiona wyrazu twarz wskazywała, że jest podwójnie nawykły do tajemnicy zawodowej: jako lekarz i jako lekarz wojskowy. I nagle sędziemu Wagnerowi – podobnie jak milionom Francuzów, którzy w tej samej chwili patrzyli na tę twarz – wydało się kompletnie niestosowne, aby człowiek tak mocno wzbraniający się przed zabieraniem publicznie głosu miał im za chwilę przekazać najbardziej oczekiwaną informację roku.

Zaskoczenie było tym większe, gdy otworzył usta i okazało się, że mówi z tak nieskrywanym południowoschodnim akcentem jak pierwszy lepszy gaskoński rzeźnik.

– Dobry wieczór państwu, nazywam się profesor Saint-Samat i jestem naczelnym lekarzem szpitala Val-de-Grâce. Deputowany Szawisz został do nas przywieziony o szesnastej zero pięć. Zrobiono mu angiografię mózgową, która potwierdziła wstępną diagnozę: pęknięcie tętniaka. Przeprowadzona przeze mnie i profesora Neymego operacja polegała na wyłączeniu malformacji poprzez zaklipsowanie uszkodzonego odcinka naczynia. Operacja przebiegła pomyślnie, nie było żadnych komplikacji, zdołaliśmy zatrzymać krwawienie. Mamy nadzieję, że hemostaza się utrzyma. Stan hemodynamiczny pacjenta podczas całej operacji pozostał stabilny, ale sami państwo rozumieją, że uwzględniając powagę sytuacji, pacjent jest... hm... utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej.

Profesor Saint-Samat surrealistycznie powoli odwrócił jedyną kartkę papieru, którą trzymał w ręce.

– Opieka na oddziale intensywnej terapii jest teraz prowadzona zgodnie z obowiązującymi procedurami: deputowany Szawisz został podłączony do respiratora. Oczywiście najbliższe godziny będą mieć kluczowe znaczenie.

W kierunku jego pociągłej, pozbawionej wyrazu twarzy nieustannie strzelały flesze. Przestał czytać z kartki i po raz pierwszy przeniósł wzrok na inną kamerę.

– Chciałbym jeszcze dodać, że w chwili obecnej lekarze nie są w stanie przedstawić krótkoterminowego rokowania dotyczącego stanu zdrowia deputowanego Szawisza. Dziękuję państwu za uwagę.

Cały terminal eksplodował i rozjazgotał się uwagami, komentarzami, przewidywaniami. Sędzia Wagner wraz z małżonką zostali zaprowadzeni do samochodu służbowego, który od kwadransa czekał pod zakazem parkowania.

– A co będzie – zapytała Paola – jeśli Szawisz wygra wybory, leżąc w stanie śpiączki?

– Jak wygra, to wygra. Przypuszczam, że jeśli się szybko nie obudzi, Rada Konstytucyjna unieważni wybory i przeniesie je na następny miesiąc... po

wyborach parlamentarnych. W sumie totalny bajzel. A jeśli wygra Sarkozy, no cóż, wówczas fakt, że jego przeciwnik leży w śpiączce, nie będzie mieć żadnego znaczenia. Chyba że Rada Konstytucyjna postanowi inaczej. W tym zakresie Rada ma władzę absolutną.

Paola nie potrafiła się zdecydować, czy to dobra, czy zła nowina. Gdy samochód wyjechał z lotniska, zapytała z irytacją:

– Domyślam się, że jedziesz prosto do Pałacu?

Sędzia wyciągnął dłoń w kierunku szyi żony, która początkowo wygięła ją ulegle, lecz w chwili, gdy jego skóra zetknęła się z jej skórą, otrząsnęła się na znak buntu.

Od czasu śmiertelnych gróźb ze strony korsykańskich nacjonalistów Paola miała do męża pretensję, że wybrał ten właśnie zawód – potwornie wymagający, absurdalnie czasochłonny, w którym ekscytacja prowadzonym śledztwem wyglądała na jedyną nagrodę. Ów korsykański „kontrakt”, który zakończył się odkryciem niedużej bomby podłożonej pod jego samochód, zmienił nawet rysy twarzy sędziego: zuchwa wysunęła się do przodu, czoło cofnęło, a w jego zdecydowanie twardszym spojrzeniu coraz rzadziej dawało się dostrzec przeblysłk żartobliwej myśli lub głębokiego uśmiechu. Nieustannie natomiast pojawiały się w nim cienie: rywalizacja wśród służb antyterrorystycznych, groźby śmierci, złe oceny, wrażenie, że jest odsuwany na boczny tor – w poprzednim roku dostał zaledwie pięć nowych spraw...

Paolę aż skrzywiło przy próbie ukrycia złego humoru.

– Nasz pierwszy weekend od pół roku... Pięknie nam się udało...

6

Dwóch ludzi czekało na sędziego Wagnera u prokuratora miasta Paryża. Siedzący na swoim biurku prokurator Lamiel we własnej osobie, z którym Wagner grywał we wtorki w tenisa, oraz stojący przy oknie pułkownik Mansour, legendarny dowódca SDAT, któremu sędzia zawdzięczał wykrycie trzy lata wcześniej materiału wybuchowego podłożonego pod jego samochód służbowy przez korsykańskich nacjonalistów.

– Panie sędzio, czekaliśmy już tylko na pana. Widział pan frekwencję?

– Osiemdziesiąt dziewięć procent, rzeczywiście dużo.

– Czegoś takiego nigdy nie było!

Lamiel wyciągnął z lamusa Wagnera i Poussina, czyli tych sędziów zajmujących się zwalczaniem terroryzmu, którzy byli najbardziej niechętni wobec metod potężnego sędziego Rochu, od dwudziestu lat uosabiającego – zarówno w oczach opinii publicznej, jak i w rzeczywistości – niezłomną walkę z terroryzmem; sam prokurator miał zwyczaj nazywać ich „artystami”, a teraz nakazał przewodniczącemu trybunału, aby im właśnie przydzielił najważniejsze

postępowanie roku.

Politycznie Lamiel sytuował się na lewicy, co mocno irytowało szczyty władzy. Podczas zabawy w komórki do wynajęcia, którą rok przed kampanią prezydencką wywołało odejście na emeryturę ówczesnego prokuratora generalnego, Sarkozy'ego spotkał bunt ze strony Najwyższej Rady Sądownictwa wydającej negatywną opinię wobec kolejnych nazwisk proponowanych przez Pałac Elizejski na strategiczne stanowisko szefa paryskiej prokuratury. W końcu prezydent musiał się zgodzić na Lamiela, choć udało mu się upchnąć w jego zespole jednego czy dwóch bliskich sobie ludzi; zdaniem specjalistów był to jednak pusty gest bez znaczenia, wszyscy bowiem wiedzieli, że we Francji prawdziwym szefem do walki z terroryzmem jest sędzia Rochu, noszący przydomek Potwora z Saint-Éloi, od nazwy znakomicie zabezpieczonej galerii na ostatnim piętrze Pałacu Sprawiedliwości, gdzie mieściły się biura sędziów wyspecjalizowanych w zwalczaniu terroryzmu.

Kampania pogłębiła rów między Sarkozym a wymiarem sprawiedliwości (do czego przyczyniły się podwójne morderstwo popełnione przez jakiegoś recydywistę oraz kolejna wypowiedź prezydenta na temat pobłażliwości i nieodpowiedzialności sędziów), podczas gdy Szawisz opowiadał się za faktyczną niezależnością prokuratury wobec władzy wykonawczej i obiecywał dziesięcioletni „plan Marshalla dla sądownictwa”, zjednując sobie tym samym miążdżącą większość przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości, którzy w końcu poczuli, że wiatr zmienia kierunek na korzystniejszy. Na czele paryskiej prokuratury, nareszcie płynącej pod prąd wobec władzy, stał więc Jean-Yves Lamiel – ten sam Lamiel, który teraz rozejrzał się po gabinecie ciemnym od bordowych tapet i dębowych boazerii, a następnie uroczyście podał Wagnerowi jakiś dokument: był to wstępny akt oskarżenia, na podstawie którego można było wszcząć postępowanie, a którego główne elementy miał zamierzać przedstawić podczas pierwszej konferencji prasowej.

– Cóż, Henri. Muszę powiedzieć ci coś, co na pewno cię zmartwi. Podobnie jak zmartwiło minister spraw wewnętrznych...

– Zamachowiec był pod obserwacją? – spróbował zgadnąć Wagner. – Nasze służby wiedziały o nim, tak?

– Nie. Przed chwilą miałem okazję go widzieć – odparł Lamiel, nadal siedząc na biurku. – Ma osiemnaście lat, to zwykły chuligan, dwa razy stawał przed kolegium za jakieś drobne wykroczenia, za każdym razem dostając nieduży wyrok w zawieszeniu. Nie, to prawdopodobny zleceniodawca był pod obserwacją.

Rozpiął marynarkę i obszedł biurko.

– Pięć tygodni temu zadzwonili do mnie z DCRI z informacją o działalności nieznanej grupy pod nazwą SRAF. Nikt nie wie, co znaczy skrót SRAF, wiadomo tylko, że jest to tajny ruch kierowany przez niejakiego Nazira Narrusza, będącego kuzynem Abd al-Karima Abu Na'imi-Narrusza, zamachowca z dzisiejszego

popołudnia. Wszcząłem postępowanie przygotowawcze w sprawie udziału w zorganizowanej grupie w celu popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym oraz wydałem prokuraturze zezwolenie na podsłuchy. Do dzisiaj śledztwo dreptało w miejscu ze względu na paranoiczną nieufność owego Nazira Narrusza.

– Jakim cudem podsłuchy niczego nie przyniosły? – zapytał z niedowierzaniem Wagner.

– Pozwoliły ekipie DCRI zlokalizować kryjówkę broni i domniemanego współnika, członka owej organizacji SRAF. Tyle że była to zwykła przynęta.

– Wspólnik?

– Wszystko! Kryjówka broni, współnik. Pod koniec podsłuchiwaaliśmy jego trzy komórki, przy czym Nazir Narrusz świetnie wiedział, że na dwóch z nich ma założony podsłuch i, no cóż, nie oszukujmy się, genialnie manipulował ekipą śledczą.

Wagner osłupiał. Jakim cudem taka amatorszczyzna była możliwa? Wielokrotnie współpracował z komisarzami z DCRI i ich profesjonalizm nigdy nie budził żadnych wątpliwości.

– A trzecia? – zapytał.

– Na razie nie dostałem jeszcze transkryptów podsłuchów, mieliśmy ogromne problemy, żeby do nich dotrzeć. Tak czy owak, po zamachu zdążył zapewne zniszczyć wszystkie trzy komórki. Mamy do czynienia z kimś bardzo... przebiegłym.

– Ile ma lat? Jest islamistą? Powiązany z którąś ze znanych grup? Z Al-Ka'ida Islamskiego Maghrebu?

– Nic z tego – odpowiedział prokurator. – Nazir Narrusz ma dwadzieścia dziewięć lat. Studia wyższe, najpierw kurs przygotowawczy na literaturoznawstwo, potem filologia klasyczna na Sorbonie, w końcu prawo ubezpieczeniowe. Założył kilka małych spółek, w tym jedną w Saint-Étienne, skąd pochodzi jego rodzina. Prywatną agencję ochroniarską, która zbankrutowała. Zajął się działalnością społeczną w środowiskach lokalnych, walczył o powiększenie powierzchni mizarów, lobbował za budową meczetu, o którym wszyscy mówili podczas kampanii. Właśnie wtedy DCRI zaczęła się nim interesować. Problem polegał na tym, że Narrusz nie bywał w żadnym podejrzanym meczecie, nie miał żadnych związków ze znanymi siatkami.

– Czyli co? Utworzył uspioną komórkę?

– Nie, gorzej. Absolutny koszmar: radykalnie autonomiczny ruch. Autarkiczną zjawę, nie do wykrycia przez nasze zwykłe radary. No i jak mamy to wytłumaczyć prasie...

– A zamachowiec?

– Na razie wiele nie powiedział. Twierdzi, że nie wie, gdzie jego kuzyn teraz

przebywa, a ja nie sędzę, żeby kłamał. Zażądałem rozesłania listów gończych za Nazirem Narruszem w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy. Powinniśmy też wystawić europejski nakaz aresztowania.

Sędzia Wagner potrząsnął głową.

– Jak można było stracić go z oczu? – uniósł się złością. – To jednak niewiarygodne, że nie udało się wcześniej go zatrzymać. Był śledzony? Co się właściwie stało?

– Kolejna niezręczność DCRI – odpowiedział Lamiel. – Pułkownik Mansourd ma na ten temat własne zdanie. Pułkowniku?

Pułkownik nadal wyglądał przez okno. Był prawdopodobnie jedynym oficerem policji sądowej we Francji z tak gęstą długą brodą: czarna i kręcona, prawdziwa broda patriarchy, pasowała do jego grzywy Samsona. Miał na sobie obcisły czarny podkoszulek z długimi rękawami, podkreślający jego szeroki, umięśniony tors o muskulaturze z dawnych czasów, która niczego nie zawdzięczała sztangom i hantlom na siłowni, tylko raczej przypominała dawnych byczków z Brygad Tygrysa.

Jego czarne dżinsy nikły w półmroku. Wagnerowi nagle przyszło do głowy, że gdyby poświecić latarką poniżej pasa, zapewne pojawiłyby się solidne końskie nogi. Gdy jednak pułkownik-centaur wyszedł z cienia, Wagner zobaczył, że Mansourd ma zwykłe ludzkie nogi, a jego ręka spoczywa na kaburze i gładzi kolbę służbowego pistoletu z delikatnością jawnie przeczącą jego potężnej budowie; przypominał kolosa, który swym gigantycznym palcem głaszcze po nosie małego kotka.

– Prawdopodobnie miał cztery komórki – odpowiedział pułkownik. – Może więcej. Na tych, które DCRI podsłuchiwała, podawał fałszywe informacje, dzwoniąc pod numery zarejestrowane pod fałszywymi nazwiskami. Śledztwo zostało kompletnie sknocone, a nasi koledzy przekazują dokumenty i transkrypty podsłuchów w ilościach śladowych.

– To się teraz zmieni – oświadczył Wagner. – Nie ścigamy już domniemanego szefa jakiegoś bzdurnego ruchu, ale zleceniodawcę politycznego zabójstwa. I od razu uprzedzam, że wyciągniemy wszystkie transkrypty podsłuchów, co do jednego.

– Dobrze – mruknął Lamiel, obracając głowę w kierunku Mansourda, ale nie podnosząc na niego wzroku. – Teraz albo nigdy musicie wykazać, że jesteście wariaci więcej od swoich kolegów z DCRI. Dzisiaj w nocy będziecie pracować w regionalnej komendzie policji sądowej z Saint-Étienne. Nie musicie zwracać się do Levallois po nakazy zatrzymania, załatwajcie to na miejscu.

– A przede wszystkim żadnych kamer! – krzyknął Wagner. – Nie życzę sobie, by prasa zaczęła się mieszać do mojego śledztwa. Mam nadzieję, że nadajemy na jednej długości fali, pułkowniku?

Pułkownik potwierdził lekkim zaciśnięciem warg. Zauważył jednak, że prokurator wygląda na lekko zirytowanego: stał z założonymi ramionami i wytrzeszczonymi oczami, które nie patrzyły w żadnym konkretnym kierunku.

Przed wyjściem Mansour bacznie przyjrzał się zdjęciom Nazira na liście gończym. Wagnera zdjęcia fascynowały mniej niż intensywność wzroku ogara ze SDAT. Na okolonej brodą twarzy o wyraźnie wyrzeźbionych rysach oczy zdawały się płonąć czerwonym ogniem.

– Złapiemy go, panie sędzio – mruknął Mansour. – Może mi pan zaufać.

– Proszę mnie informować na bieżąco, pułkowniku – odpowiedział Wagner.

Pułkownik Mansour wyszedł z gabinetu.

Sędzia i prokurator spojrzeli na ślad na wykładzinie, jaki po nim pozostał. Obaj odnieśli takie samo wrażenie: Mansour był jak toczący się walec. Który dzisiaj toczy się dla nas, jutro dla kogoś innego, ale zawsze w tym samym kierunku: schwytania Nazira Narrusza.

7

– Ale postać, ten Mansour – rzucił prokurator i dodał innym tonem: – Muszę ci coś jeszcze powiedzieć, Henri. Nazir Narrusz jest bratem niejakiego Fu’ada Narrusza, aktora, który odnosi niebywałe sukcesy w serialu na M6. Pewnie nie czytujesz tabloidów, w przeciwnym razie dotarłyby do ciebie plotki o romansie między Fu’adem Narruszem a Jasminą Szawisz.

Sędzia Wagner uniósł brwi na znak zaskoczenia.

– Tak, chodzi o córkę Szawisza.

– Mansour o tym wie?

– To on mi powiedział przed twoim przyjściem. Jeden z jego ludzi szybko sprawdził w służbie ochrony Szawisza.

– No i? – zapytał sędzia.

– Nic szczególnego. Oczywiście służby specjalne go znają, ale niczego nie znalazły. W rejestrze skazanych nie figuruje, żadnej bójki, nawet żadnego mandatu: na papierze facet jest czysty jak łąza...

– Zobaczymy dziś wieczorem.

– I jeszcze coś, Henri – powiedział z wahaniem Lamiel. – Cóż, nie będę owijał w bawełnę: nie jestem przekonany, że naszych przyjaciół z prasy powinniśmy kompletnie odcinać od informacji o postępach w śledztwie.

– Tyle że jeśli zaczniemy informować prasę, ci nieudacznicy z DCRI ujawnią się i zajmą całe miejsce w mediach. Jeśli damy się wciągnąć w ich grę pod tytułem kto da więcej, sytuacja może się wymknąć spod kontroli.

– Henri, jak świetnie wiesz, jutro rano mam pierwszą konferencję prasową. Zdajesz sobie sprawę, że to samo czeka mnie każdego dnia?

Wagner nawet wirtualnie nie chciał się pogodzić z taką perspektywą.

Promień słońca przeniknął między zasłonami i oświetlił jego siwą głowę. Sędzia uniósł brwi, które przez kontrast wyglądały na ciemniejsze niż kiedykolwiek.

– Oni będą szukać winnych, Henri. Nie mówię, że dostaną ich od nas na tacy, ale musimy coś im dać. Nie chodzi zresztą tylko o media, także prokurator generalny będzie to bardzo pilnie śledzić. Połowę popołudnia spędziłem uwieszony na telefonie, rozmawiając z ministerstwem. Wszystkie kariery zależą od tej sprawy. Podkreślam: wszystkie.

– Panie prokuratorze – zaczął uroczyście Wagner. – Zostałem wyznaczony do prowadzenia śledztwa w sprawie zamachu na deputowanego Republiki, a zarazem kandydata na prezydenta. I nie mam zamiaru rezygnować z żadnych tropów. Od jutra chcę rozszerzyć zakres podsłuchów oraz podjąć wszelkie kroki konieczne dla wykrycia prawdy. Z góry jednak zapowiadam: proszę się nie spodziewać zatrzymania wszystkich członków rodziny zamachowca w świetle jupiterów. Byłoby to całkowicie przeciwnie skuteczne, wystarczy popatrzeć na ostatnie wyczyny Rochu. Te jego metody...

– Pełna zgoda, Henri, pełna zgoda. Jego metody są absolutnie skandaliczne. A raczej po prostu nieskuteczne. Wiatr wieje w innym kierunku, sprawy zostały uporządkowane. Tym razem nie będzie wojny między prokuraturą a sędzią śledczym, a przede wszystkim między poszczególnymi formacjami policji. Nie mówię, że przyszłość sądownictwa antyterrorystycznego to my, niemniej... nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że leży ona w naszych rękach.

Sędzia czekał na jakieś „ale”. Lamiel wstał i podprowadził swojego tenisowego partnera do okna. Na dziedzińcu Pałacu Sprawiedliwości panowało niezwykle ożywienie jak na niedzielne popołudnie.

– Ale w nadchodzących dniach będą od nas oczekiwać rzeczy niemożliwych, Henri. Będą od *ciebie* oczekiwać rzeczy niemożliwych, a do tego w rekordowym czasie. Mam nadzieję, że jesteś na to gotów.

8

Wuj Idir ruszył za Fu’adem natychmiast po zakończeniu konferencji prasowej naczelnego lekarza szpitala Val-de-Grâce. Oglądał ją na tym samym telewizorze, na którym poprzedniego dnia jego syn przyglądał się wyborcom wiwatującym na cześć Szawisza w czasie mityngów i ich surrealistycznie powiększonym oczom. Fu’ad ujrzał wuja nadbiegającego korytarzem z patetyczną niezręcznością człowieka w podeszłym wieku, podczas gdy od pielęgniarki, z którą się wcześniej kłócił, po długich naleganiach usłyszał, że Rabi’i zrobiono badania, czy nie padła ofiarą napaści seksualnej.

– Została zgwałcona? – zapytał Fu’ad ze zgrozą.

– Proszę się uspokoić – odparła pielęgniarka.

– Do cholery, proszę mi odpowiedzieć na pytanie!

Pielęgniarka cofnęła się o krok i zdenerwowanym głosem zagroziła, że jeśli Fu'ad nie zniży tonu, wezwie ochronę.

– No jak, uspokoił się pan? A więc badania niczego nie wykazały...

– Czyli nikt jej nie obmacywał?

– Badania niczego nie wykazały – powtórzyła.

– Mój Boże... – westchnął Fu'ad, zamykając oczy.

Chciał podziękować pielęgniarce, jakby to jej zawdzięczał dobre wieści, zmienił jednak zdanie i pobiegł w kierunku sali, w której leżała Rabi'a. Zapukał do drzwi, ale nie udało mu się wejść: ciotka właśnie się ubierała, krzątając się po pokoju z głową opuszczoną jak u szarżującego tryka.

– Musimy natychmiast jechać do Luny, *maskina* została całkiem sama. Nie wiesz, co zrobili z moją komórką?

– Cioteczko, spokojnie – próbował przemówić jej do rozsądku Fu'ad, który w końcu zdołał otworzyć drzwi. – Nie denerwuj się!

– To nie jest chwila na spokój – sapnęła wzburzona Rabi'a. – Musimy...

Zamilkła i omiotła pomieszczenie wzrokiem, jakby nagle zamiast komórki zaczęła szukać przyczyn, dla których istoty ludzkie spędzają czas na jakichkolwiek poszukiwaniach.

Fu'ad miał wrażenie, że ciotka zaraz wybuchnie płaczem. Położył rękę na jej ramieniu tak delikatnie, jakby miał do czynienia z flakonikiem nitrogliceryny.

Tymczasem Idir udał się w kierunku pokoju Zalichy, ale dyżurna pielęgniarka poinformowała go, że pora odwiedzin minęła, a zresztą pani Narrusz śpi kamiennym snem. Gdy zszedł oszołomiony na dół, wpadł na Dunję, której żałosny wygląd uderzył go nie mniej niż jej mina winowajczyni.

– Co tu robisz? – zapytała Dunja, ocierając łzy i przesadnie siąkając nosem, jakby to był zwykły katar.

– Psisiedłem ziobacić się z Zalichą i... Rabi'ą... A ty? Nikt nie mógł się do ciebie dozwoić... Byłaś...

Dunja dostrzegła nadchodzących Fu'ada i Rabi'ę. Chciała się cofnąć, ale zrozumiała, że wpadła w pułapkę. Fu'ad ruszył biegiem w jej kierunku.

– Do jasnej cholery, gdzie ty byłaś, mamó? – wrzasnął. – Od czterech godzin usiłuję się do ciebie dozwoić! Od czterech godzin!

Dunja zasepiła się, ale w złości syna znalazła nieoczekiwany pretekst, aby wydobyć się z tego, zdawałoby się, beznadziejnego położenia.

– Po pierwsze, opanuj się. Mówisz do własnej matki! Nie jestem twoją dziewczyną, jasne?

Fu'ad poczuł, że matka coś przed nim ukrywa, nie chciał jej jednak robić sceny w obecności wuja. Dunja rozplątała kok, zwinęła go ciasniej i podeszła do Rabi'i, która nawet nie próbowała dopytywać, dlaczego siostra znikła, tak bardzo jej ulżyło, że w końcu może dać upust rozpaczy.

Najpierw Fu'ad odwiózł do domu Idira. Po wszystkich przeżytych emocjach starszy nie chciał być sam; na szczęście czekał na niego Ra'uf, a wraz z nim perspektywa niemal normalnego wieczoru wyborczego, podczas którego będzie słuchać, jak syn mu tłumaczy, dlaczego jego, Idira, pokolenie niczego nie rozumie, natomiast pokolenie Ra'ufa poza wigorem młodości posiada mądrość liczb i skomplikowanych teorii.

Lecz po przyjeździe do domu Idir zobaczył Ra'ufa siedzącego na klatce schodowej i kompletnie zbitego z tropu, zmęczonego ciągłym aktualizowaniem ulubionych stron na iPhone, którego wyświetlacz był uświniony od śladów palców.

– To wszystko jest jakieś... pokręcone – wymamrotał Ra'uf, zbyt późno zdając sobie sprawę, że wobec aktualnej sytuacji przymiotnik ten brzmi śmiesznie, ale w swoim zwykłym słowniku nie znalazł żadnego dostatecznie mocnego.

Fu'ad nie pamiętał, czy od wczesnego poranka miał okazję widzieć się z kuzynem, który teraz siarczyście ucałował go w oba policzki.

– Muszę ci coś powiedzieć, Fu'ad – oświadczył z wahaniem Ra'uf.

Fu'ad poczuł, że nie ma siły na zapowiadającą się dyskusję.

– Porozmawiamy później – odparł po cichu i wraz z Idirem wsadził go do samochodu, gdzie już czekały Dunja i Rabi'a.

Słońce zachodziło za hałdy dawnej kopalni Clapier. Fu'ad wjechał na chodnik, żeby zaparkować, i podniósł wzrok w kierunku pustego balkonu, na którym poprzedniego wieczoru palił z Karimem papierosa. Dzieciaki przerwały grę w piłkę, żeby popatrzeć za tymi świątecznie ubranymi ludźmi o dziwnie swojskich twarzach, którzy poruszali się krokiem zarazem tragicznym i zdecydowanym.

W windzie Dunja gładziła włosy Rabi'i, starając się uniknąć oskarżycielskiego spojrzenia syna. Gdy kabina stanęła na trzecim piętrze, drzwi mieszkania babki gwałtownie się otworzyły i na klatkę schodową wybiegła Luna, której nic nie potrafiło powstrzymać przed rzuceniem się z głośnym krzykiem w ramiona matki.

Babka wpuściła wszystkich do mieszkania, by nie zwracać uwagi sąsiadów. W tłoku, jaki zapanował w korytarzu, Rabi'a i Luna, obejmując się, przeszły przed szeregiem współczujących, przerażonych ciotek i wujów przybyłych na ślub, potem przed Slimem, aż dotarły do Kamelii, która stała jako ostatnia i wyciągała ramiona do ciotki, by wraz z nią zapłakać.

Rabi'a weszła do salonu babki, który znała na pamięć. Poprzedniego dnia przed odjazdem do sali weselnej cała rodzina siedziała tu i oglądała kasetę VHS z Karimem grającym muzykę klasyczną na clavinovie, którą dostał od dziadka pod choinkę.

Między dwoma napadami płaczu Rabi'a zdołała zapytać:

– Abu Zida nie ma?

– Pracuje do dziewiątej – odpowiedziała sucho Raszida.

Najmłodsza z sióstr Narrusz trzymała w ramionach Rayanne'a, kołysząc go do snu i nie przestając z oddali patrzeć z wyrzutem na Rabi'ę i Lunę.

Mała Mirjam pojawiła się w drzwiach łazienki i podbiegła do swojej ulubionej ciotki. Objęła ją w pasie i przytuliła się do jej piersi. Rayanne wyrwał się z objęć matki i też podbiegł do Rabi'i.

Wszystkie dzieci uwielbiały Rabi'ę. A ona przez mgłę nieszczęścia, które na nią spadło, przypomniała sobie, że również uwielbia dzieci.

Rozdział 3

Pięćdziesiąt dwa przecinek dziewięć procent

1

Fu'ad, choć ledwo żywy ze zmęczenia, jako jedyny z obecnych nie miał twarzy mokrej od łez i nie wyglądał na załamane ogromem katastrofy. Babka zachowywała dumną i surową minę, ale nikomu już nie dogryzała, przez cały czas poszukując jakiegoś zajęcia, żeby nie dać się pokonać cierpieniu widocznemu we wzroku pozostałych.

Wyszedł na balkon, gdzie za największą z doniczek zobaczył kupkę popiołu. Ostatnie promienie słońca ożywiały różowy odcień betonowej balustrady. Upał jeszcze nie zelżał, a światło tak silnie zalewało mieszkanie i odbijało się na ekranie przed chwilą włączonego telewizora, że babka musiała zaciągnąć zasłony, aby cokolwiek zobaczyć. Rozpoznawszy głos Davida Pujadasa, Fu'ad wsunął głowę w drzwi balkonu. Cała rodzina stała wokół telewizora.

– Dobry wieczór państwu, minęła godzina dwudziesta. W tej niezwykle kryzysowej, absolutnie wyjątkowej sytuacji, jaka w historii naszego kraju nigdy nie miała miejsca, możemy już państwu podać wyniki drugiej tury wyborów prezydenckich...

Po lewej stronie ekranu pojawiła się twarz Szawisza. Słupek obok jego nazwiska urósł do pięćdziesięciu dwóch przecinek dziewięciu procent, podczas gdy słupek obok nazwiska Sarkozy'ego zatrzymał się na czterdziestu siedmiu przecinek jeden procent.

– Ider Szawisz wygrał wybory prezydenckie większością pięćdziesiąt dwa przecinek dziewięć procent głosów – oznajmił David Pujadas głosem zachrypłym od zmęczenia i powagi sytuacji. – Przy absolutnie rekordowej frekwencji: osiemdziesiąt dziewięć przecinek cztery procent wyborców poszło do urn... Po raz pierwszy w historii Francja wybrała prezydenta przebywającego w stanie śpiączki – dodał, spuszczać wzrok, jakby onieśmielony czerwoną lampką kamery i dziesiątkami milionów ludzi, które symbolizowała.

Zabraknie więc oświadczenia prezydenta elekta ogłoszonego na gorąco w sztabie wyborczym. Nie dało się zresztą zauważyć ani wybuchów entuzjastycznej radości w transmisjach dupleksowych z jego sztabu, ani oznak zawodu w obozie przegranych. To znaczy radość i zawód, owszem, były, lecz boleśnie osłabione niezwykle okolicznościami, w jakich ogłoszono wyniki głosowania.

Nicolas Sarkozy ostrożnym tonem uznał swoją porażkę, życząc przeciwnikowi, aby jak najszybciej wyszedł ze stanu śpiączki. Następnie wyjaśnił, że w okresie przejściowym jego rząd będzie zdolny do dalszego sprawowania

władzy oraz że w oczekiwaniu na decyzje Rady Konstytucyjnej podjęto „szereg działań” w celu zapewnienia Francuzom bezpieczeństwa, poczynając od zamknięcia przestrzeni powietrznej i ogłoszenia najwyższego poziomu zagrożenia w ramach planu Vigipirate.

– Pragnę uspokoić moich rodaków – dodał na zakończenie, patrząc w obiektyw tak, jakby to on był gospodarzem programu. – Nie mają się czego obawiać, jeśli chodzi o ewentualny wakat na najwyższym stanowisku w państwie. Członkowie Rady Konstytucyjnej są ludźmi odpowiedzialnymi; całkowicie ufam w ich zdolność do podejmowania właściwych decyzji. Francja jest silna, nasze instytucje są solidne i jestem przekonany, że po tym niesłychanym, absolutnie *skandalicznym* zamachu na nasze bezpieczeństwo narodowe duch jedności narodowej zwycięży nad...

Jeszcze się nie skończyło przemówienie prezydenta, gdy Marine Le Pen, która w pierwszej turze zajęła czwarte miejsce, wydała komunikat dla agencji AFP, w którym chwaliła go za stanowczość, wyrażając zarazem zaniepokojenie ryzykiem „wojny domowej”. W stacjach radiowych mówiono o konieczności prewencyjnego przywrócenia stanu wyjątkowego. Inni domagali się, by Zgromadzenie Narodowe i Senat na wspólnym posiedzeniu przyznały Nicolasowi Sarkozy’emu pełnomocnictwo do sprawowania władzy. Natomiast na TF1 jakiś młody człowiek, przewodniczący Młodych Socjalistów za Szawiszem, w starciu z Jean-François Copém stracił nad sobą panowanie i oznajmił, że „rozumie” narastające w całym kraju buntownicze nastroje. Copé zepchnął go do obrony i zmusił do przyznania, że wspiera owe nastroje. Po tej ewidentnej gafie kamera zatrzymała się przez dłuższą chwilę na twarzy zarośniętego działacza, która oblała się purpurą nie tyle z gniewu, ile ze świadomości, że tym jednym zdaniem właśnie zakończył swoją dopiero rozpoczynającą się karierę. I rzeczywiście, dwa dni później został usunięty z Partii Socjalistycznej; chodziło o to, by dać przykład, a rozgoryczonych działaczy zniechęcić do przedstawiania wizerunku PS jako partii tyle dbającej o bezpieczeństwo narodowe ile o zeszłoroczny śnieg.

Tego jednak wieczoru większość Francuzów reagowała tak samo jak rodzina Narruszów, zgromadzona niemal w komplecie w salonie u babki: wznoszenie brwi, potrząsanie głową, rzecz jasna odrobina ulgi, ale przede wszystkim ogromny niepokój i posępne wrażenie, że zamiast – jak im to obiecano – triumfu człowieka, który miał dla nich zdjąć gwiazdkę z nieba, stali się świadkami, jak w ostatniej chwili ktoś im porwał słońce.

2

Fu’ad wrócił na balkon i skierował wzrok na „dwa pagórki u babki”, czyli dwie hałdy odpadów kopalnianych widoczne w czerwono-pomarańczowej smudze wieczornego światła, przypominając sobie ów dzień, gdy jako dziecko wybrał lewy

pagórek, podczas gdy Nazir wybrał prawy, uznawszy go za lepszy.

Fu'ad ponownie zerknął na listę nieodebranych połączeń. Nadal nie było ani jednego od Jasminy. Zebrał się na odwagę i zadzwonił. Kiedy od razu usłyszał pocztę głosową, zaczął roztrząsać różne hipotezy. Skoro jej ojciec leży w stanie śpiączki, to może, siedząc w jego pokoju, Jasmina nie ma prawa korzystać z telefonu. Albo po prostu linia jest zajęta, bo pewnie tysiące ludzi dzwonią do niej z wyrazami współczucia i otuchy, trzeba więc spróbować jeszcze raz. Spróbował. Dziesięć razy w ciągu czterech minut. Zostawił kilka wiadomości, mając wrażenie, że nagrywa je w próżnię, jakby wysyłał listy do skrzynki pocztowej nieboszczyka, tyle że w tym konkretnym przypadku nikt, żaden urząd, nie przysłał zawiadomienia o ich nieodebraniu.

Po chwili pojawiły się nowe hipotezy, już nie jako gumowe piłeczki, którymi zręcznie żonglował, ale jako rozgrzane do czerwoności kręgle, które raniły jego miłość własną i miłość do Jasminy: dowiedziała się, że Karim to jego kuzyn, i nie chce rozmawiać z nikim, kto należy do rodziny zabójcy jej ojca, nawet jeśli tym kimś jest jej chłopak.

Przestał się zadrećcać i wciągnął głęboko powietrze, by nabrać odwagi na powrót do salonu, gdzie znowu zapanowało zamieszanie. Wyprzedził go jednak Slim, który wsunął za zasłonę swą szczupłą nogę w opiętych białych spodniach z poprzedniego dnia.

– Fu'ad?

– Tak, zaraz – burknął starszy brat, nawet nie próbując złagodzić tonu. – Już idę, daj mi dwie minuty.

– Nie, teraz – nalegał Slim, szarpiąc za zasłonę. – W telewizji pokazują Karima!

Fu'ad wpadł do salonu, gdzie nawet nie spojrzał na plazmowy ekran telewizora babki, lecz objął wzrokiem zgromadzoną przed nim rodzinę, która od czasu jego ucieczki na balkon nie ruszyła się ani o centymetr; z jednym, acz istotnym wyjątkiem: wszyscy trzymali teraz dłonie przy ustach. Z każdym zdaniem Pujadasa na temat tożsamości zamachowca po ich purpurowych ze wstydu policzkach płynęły coraz obfitsze strugi łez. Po twarzy Rabi'itusz do rzęs pomieszany ze łzami spływał aż do kącików drżących warg.

Babka zaczęła mówić po kabylsku, ale zbyt szybko, by najmłodsze z jej córek mogły zrozumieć. Jednak słuchając jej intonacji, nawet mała Mirjam mogła odgadnąć, że babka ciska dramatyczne lamenty i zaklęcia.

Rabi'a podkreśliła głośność do przedostatniej kreski. Nikt nie ośmielił się poprosić, by choć trochę ściszyła.

– Dołączył do nas nowy gość – oznajmił David Pujadas ze wzmożonym entuzjazmem w głosie. – Być może dzięki niemu nieco lepiej zrozumiemy okoliczności zamachu na życie prezydenta... to znaczy kandydata Szawisza –

poprawił się. – Xavier Putéoli, jest pan redaktorem naczelnym serwisu *Avernus.fr*. Dzisiaj wieczorem opublikował pan pierwszą część artykułu Marieke Vandervroom o DCRI. *Niewiarygodne* porażki supertajnego śledztwa, wojna służb kontrwywiadowczych... Artykuł ten wzbudził szereg kontrowersji, a DCRI w specjalnym komunikacie dla AFP całkowicie zdementowała wszystkie jego tezy. Ale najpierw pytanie, które teraz każdy sobie zadaje: czy pańskim zdaniem ów młody zamachowiec, o którym wiemy tylko, że ma na imię Abd al-Karim, działał na zlecenie tajnej grupy o czteroliterowej nazwie, którą zapewne często, nawet bardzo często będziemy w nadchodzących dniach słyszeć: SRAF?

Rayanne, który z palcem w buzi siedział pod telewizorem, nagle zaczął raz za razem w niego uderzać. Dwie ciotki natychmiast ruszyły, by go powstrzymać, ale było już za późno: płaski telewizor zachwiał się i spadł ze zbyt wąskiego stolika.

Podczas gdy Slim i Taufik próbowali go ponownie podłączyć, w salonie zapadła cisza, przerywana nieustającym szlochem Rabi'i.

Zorientowawszy się, że jej komórka wibruje, Rabi'a osuszyła łzy.

– To pani Caputo, sąsiadka. A czegoż ona chce?

Slimowi i Taufikowi udało się włączyć telewizor, ale na ekranie pojawiło się tylko śnieżenie. Po chwili Rabi'a postanowiła odebrać telefon od sąsiadki, żeby się dowiedzieć, po co dzwoni.

W tej samej chwili Fu'ad otrzymał wiadomość od Ja'il z informacją, że zdołała mu znaleźć adwokata.

3

Wyszedł na balkon, żeby z nią porozmawiać, a gdy w salonie ponownie rozległ się diabelski jazgot telewizora, zaciągnął zasłonę.

– Właśnie widziałam w telewizji. Fu'ad, to okropne, to po prostu... całym sercem jestem z tobą.

– Dziękuję, Ja'il. Znalazłaś adwokata?

– Nawet do niego dzwoniłam. Pracuje w kancelarii słynnego mecenasa Szafrana i uważa, że Szafran to najlepszy adwokat do takiej sprawy, w zeszłym roku wybronił grupę ludzi, których niesłusznie oskarżono o terrorizm.

– Karim nie został niesłusznie oskarżony – przerwał jej Fu'ad.

– No tak, faktycznie... Posłuchaj, Szafran to wielka gwiazda palestry. Jest przewodniczącym stowarzyszenia walczącego o poprawę warunków we francuskich więzieniach, doprowadził do uniewinnienia niezliczonej liczby ludzi i... poczekaj, mój kumpel, który pracuje w jego kancelarii, powiedział, że Szafran często broni *pro bono*. Masz czym zapisać jego numer? Najlepiej zadzwoń od razu...

Rozległ się głośny krzyk Rabi'i, który dotarł nie tylko na balkon, ale i na

parking mediateki, gdzie ludzie wysiadający z samochodów zaczęli podnosić głowy.

– Ja’il, wyślij mi jego numer esemesem, odezwę się później.

Jednak nie ośmielił się wrócić do salonu.

Do jego uszu dobiegały strzępy kłótni, w której przewijało się słowo „policja”. W ostrych głosach jej uczestników brzmiało jak synonim katastrofy. Fu’ad nagle zdał sobie sprawę, że zachowuje się tak, jakby samego siebie zaczął już uważać za przestępcę. Odsunął zasłonę i wszedł do salonu, gdzie zobaczył ciotkę Raszidę przemawiającą do rodziny i pokazującą palcem na niewinne buzie swoich dzieci, jakby to były dowody winy Karima.

– Skąd niby mamy wziąć pieniądze? – wrzeszczała. – Myślisz, że będę narażać swoje własne dzieci? *Wa-Allah*, mowy nie ma, żebyśmy mieli płacić za wyczyny twojego pokręconego synalka!

Fu’ad chciał zapytać, co się dzieje, ale Rabi’a nie dała mu czasu, by wziął ją w obronę. Chodziło nie tyle o słowa Raszidy, ile o jej pogardliwe wydęcie warg, od którego Rabi’a poczuła się jak spoliczkowana.

Okryła się rumieńcem upokorzenia i zalała młodszą siostrę bezładną lawiną inwektyw. Babka zaś chwyciła dzieci za ręce i przekazała Kamelii, każąc je wyprowadzić do sypialni.

Wtulone w obfity biust Kamelii dzieci podniosły na nią wzrok pełen rezygnacji i oszołomienia. Przywykły do kłótni między rodzicami, ale były oczywiście zbyt młode, aby zrozumieć, co jest niezwykłego w tej akurat awanturze, przed którą tak nieporadnie usiłowano je uchronić.

– To nic takiego, kociątka – powiedziała niepewnym głosem Kamelia. – Mama jest zła, ale to minie, wszystko będzie w porządku...

Stojący przy drzwiach balkonowych Fu’ad nie robił na rodzinie tego wrażenia co zwykle. Gdy babka wkroczyła między swoje rozwścieczone córki, nagle wydał się nieduży i nieznaczący obok tej posępnej postaci o szpakowatych włosach i złowróznej, niewytłumaczalnej charyzmie.

Babka uspokoiła całe towarzystwo za pomocą kilku zdań po kabylsku, brzmiących jak zaklęcia.

Stary wuj Idir spojrzeniem zakazał swojej żonie Wardzie opowiadania się za Rabi’ą czy Raszidą. Fu’ad dostrzegł jednak, że obie starsze siostry zdecydowanie stoją po stronie najmłodszej i jej niewinnych dzieci.

Dłoń, w której trzymał telefon, zaczęła drżeć. Wrócił zatem na balkon, oparł się o balustradę i z zamkniętymi oczami próbował powoli oddychać.

Kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył wokół siebie jakże przyjazny pejzaż: z przodu budynek mediateki Tarentaize, w głębi hałdy pokopalniane, po prawej różowo-zielone bloki HLM, wyglądające jak klocki Lego z atrapami okien – musiały to być atrapy, bo czy można na poważnie mieszkać w tak infantylnej

geometrii klatek na króliki? – i wreszcie po lewej plac, na którym szalały dzieciaki, u podnóża kościoła Saint-Ennemond o skromnej, prostej fasadzie; miał wrażenie, że zna go jak własną kieszeń, chociaż jego noga nigdy nie stanęła w środku świątyni.

Podniósł wzrok: po ciepłym słonecznym dniu bezwietrzne niebo przypominało krystaliczną powierzchnię górskiego stawu ledwo muśniętą malowanymi tym samym pigmentem błękitami, na których tle miękko odbijał się spiczasty czubek topoli.

Fu'ad nastawił ucha na odległy gwar miasta. Aby oderwać uwagę od nieznośnej kakofonii dźwięków dobiegających z salonu, musiał się skoncentrować na szumie ruchu drogowego, równie uspokajającym w mieście jak łoskot fal na brzegu oceanu lub szmer wiatru na łące. Stopniowo jednak ów zgiełk zaczął rosnać. W ulicę, przy której mieszkała babka, wjechało więcej niż zwykle pojazdów. Fu'ad wychylił się i zobaczył kilkanaście radiowozów podjeżdżających pod mediatekę. Syreny milczały, ale migające na dachach koguty szybko zburzyły subtelną harmonię akwarelowego wieczoru.

– Fu'ad! Fu'ad!

Od jakiejś pół minuty Dunja ciągnęła go za rękaw. Odwrócił się w stronę matki i na jej twarzy zobaczył odbicie własnego osłupienia.

– Fu'ad! U Rabi'i była policja, teraz jadą tutaj, sąsiadka podała im adres!

– Nie – szepnął Fu'ad nieswoim głosem. – Już przyjechali.

Dunja wyjrzała przez barierkę i zobaczyła około trzydziestu mężczyzn wchodzących do budynku. Niektórzy byli w kominiarkach, z bronią ciężką i taranami. Inni po prostu w białych kamizelkach kuloodpornych z napisem na plecach: POLICJA SĄDOWA.

Wszyscy trzymali w rękach broń i mieli groźne miny. Zanim Dunja cofnęła się do ogarniętego zamętem mieszkania, zauważyła jakiegoś brodacza namiętnie żującego gumę, w kamizelce z napisem POLICJA SĄDOWA na plecach; podniósł na nią wzrok, jakby poczuł, że jest pod obserwacją.

Mężczyźni w hełmach weszli do zatłoczonego salonu jako pierwsi, niczym stado nosorożców. Po drodze uszkodzili narożnik kredensu i ponownie zrzucili telewizor. Gdy zapadło coś, co choć w przybliżeniu przypominało ciszę, brodacz otworzył usta.

– Rabi'a Abu Na'imi Narrusz! – krzyknął.

Rabi'a nerwowo podskoczyła.

– Jestem pułkownik Mansour z Wydziału Antyterrorystycznego. A to komisarz Faure z komendy policji w Saint-Étienne. Od tej chwili – oświadczył, zerkając na zegarek – czyli od godziny dwudziestej pierwszej dwadzieścia dwie jest pani oficjalnie zatrzymana.

Przybita tymi słowami oraz administracyjnym i policyjnym piekłem, jakie

zapowiadały, Rabi'a pozwoliła założyć sobie kajdanki, czemu towarzyszyły okrzyki całej rodziny: „Nie! Jak to?”. Fu'ad uciszył wszystkich gestem i zapytał pułkownika:

– Z jakiego powodu? Jakie zarzuty jej postawiono?

Otyły komisarz z Saint-Étienne bez wahania odpowiedział:

– Że jest matką swojego syna.

Pułkownik srogo łypnął na komisarza i udzielił własnej odpowiedzi:

– Takie same, jakie zostaną postawione wszystkim dorosłym osobom przebywającym w tym pomieszczeniu: udział w zorganizowanej grupie w celu popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym.

W chaosie, jaki po tych słowach nastąpił, Fu'ad cudem zdołał wszystkim uświadomić, że mają prawo zachować milczenie, że nikt i nic nie może ich zmusić do mówienia oraz że wszystko, co powiedzą podczas pobytu w areszcie, wcześniej czy później zostanie użyte przeciw nim.

Jeden z policjantów kazał Fu'adowi stanąć przodem do ściany i założył mu kajdanki, aby go zmusić do milczenia. W tym momencie Luna wybuchła płaczem. Widok kajdanek na nadgarstkach matki wzburzył ją, widok kajdanek na nadgarstkach Fu'ada – upokorzył.

Pułkownik rozkazał, by najstarszym z obecnych nie zakładać „bransoletek”. Wobec tego niewiarygodnego spektaklu Raszida jako pierwsza straciła nad sobą panowanie.

– Przecież my nic nie zrobiliśmy! To jej syn! To on zabił prezydenta! My nie mamy z tym nic wspólnego!

Warda zaczęła trajkotać w podobnym duchu, ale spotkało się to z żywą dezaprobatą Idira, który zarówno swojej żonie, jak i pozostałym stanowczo kazał milczeć:

– *Seseum.*

Słowo rozeszło się jak dreszcz po całym mieszkaniu babki.

Stojąc naprzeciw Rayanne'a, Kamelia położyła dłonie na swojej wzburzonej piersi. Wkrótce nie było słyhać niczego poza płaczem dzieci. Aż do chwili, gdy ten rozszlochany tłum zdominował władczy głos babki, która po kabylsku nakazała obecnym iść za policjantami, ale niczego im nie mówić.

Pułkownik Mansour popatrzył na starą damę, na jej pochylone plecy i spojrzenie bizona, z którego niczego nie dało się wyczytać.

4

Rabi'a nie miała pojęcia ani o zachowaniu siostr, ani o rozkazie babki: wraz z Luną została już wyprowadzona z mieszkania do radiowozu, który od przyjazdu stał z włączonym silnikiem. Fu'ada wsadzono do osobnego pojazdu, który ruszył z piskiem opon. Pułkownik Mansour pomógł Rabi'i wsiąść na tył radiowozu,

delikatnie kładąc rękę na jej głowie.

Po chwili jej siostry, w kajdankach lub bez, również wyprowadzono z budynku, którego wszystkie okna były otwarte, a z każdego z nich wyglądały głowy osłupiałych sąsiadów.

Samochód, którym wieziono Rabi'ę i Lunę, na pełnym gazie przejechał przez centrum miasta aż pod budynek, w którym mieszkały. Pod okiem pułkownika Mansourda dziesięciu funkcjonariuszy SDAT przeprowadziło skrupulatne przeszukanie w skromnym mieszkaniu pod numerem szesnastym przy ulicy de l'Éternité, przeglądając zawartość komód, szaf i szuflad, prując łóżka, poduszki i kanapę, ze spokojną, metodyczną i kontrolowaną drapieżnością konfiskując wszystkie albumy ze zdjęciami, twarde dyski dwóch komputerów, notesy, cenzurki i dzienniczki szkolne, korespondencję, partytury, a także wszelkie, choćby najniewinniejsze papiery urzędowe, o ile tylko figurowało na nich imię Abd al-Karima, które stało się, rzecz można, radioaktywne. Piwnicę również opróżniono, przeczesano i zaplombowano w oczekiwaniu na przybycie dochodzeniówki.

– Toż to prawdziwa jaskinia Ali Baby! – krzyknął jeden z policjantów. – Trzeba będzie nam wyjaśnić, z czego chłopak mógł sobie zafundować te wszystkie zabaweczki...

Wróciwszy na trzecie piętro, Mansourd zdjął kajdanki z nadgarstków Rabi'i, pozwalając jej wypłakać się w ramionach córki.

– Pułkowniku!

Jeden z poruczników zawołał go do pokoju Rabi'i, gdzie dokonał ciekawego odkrycia, które z uśmiechem przedstawił swojemu przełożonemu, ale na widok reakcji Mansourda uśmieшек natychmiast znikł z jego twarzy. Chodziło o pozakładany co trzecią stroną egzemplarz książki *Czekając na świt*, której publikacja towarzyszyła rozpoczęciu kampanii wyborczej Szawisza; widoczny na okładce ówczesny kandydat, a obecny prezydent elekt nigdy nie robił wrażenia równie żywego.

5

Jasmina Szawisz wreszcie została sama w pokoju ojca. Oparła się czołem o łóżko, omijając wzrokiem owinięte w bandażę ciało z rurkami wystającymi z nosa i gardła. Sygnały dochodzące z elektroencefalografu mieszały się z szumem pozostałych elementów aparatury, rywalizując na głupotę z charczeniem i pogwizdywaniem respiratora.

Jasmina puściła rękę ojca, wyprostowała szczupłą klatkę piersiową i poddała się strumieniowi beładnych myśli krążących między absurdem wiadomości, które obie z matką dostawały od kilku godzin od wielkich tego świata, a tym fragmentem *Czarodziejskiego fletu*, o którego zaśpiewanie zawsze prosił ją ojciec: gdy dzwoneczki Papagena odstraszały Maurów Monostatosa, a muzyka przewycięża

przemoc. Ojciec uwielbiał tę scenę, zawsze śmiał się jak dziecko, kiedy Maurowie zaczynali tańczyć, jakby dziecięca muzyka rzuciła na nich czar; Jasmina nawet nie zdała sobie sprawy, kiedy zaczęła nucić do wtóru szumiącym maszynom.

– *Das klingett so herrlich, das klingett so schön... Trallalala la trallalala! Nie hab'ich so etwas gehört und geseh'n! Trallalala...*

Spojrzała na poźółkłą jak u mumii skórę rannego w nadziei, że zobaczy, jak ojciec się budzi, jego piękna, jasna twarz o regularnych rysach wyzwala się z bandaży i ożywia, a on zaczyna z nią rozmawiać i spierać się o Mozarta. Jasmina zawsze uważała, że jego obsesyjna miłość do tego kompozytora nie pozwala mu odkryć innych wielkich dokonań muzycznych, repertuaru barokowego, współczesnego... Po chwili ojciec wzniesie oczy ku górze i szeroko się roześmieje, jak podczas ich najbardziej zajadłych kłótni, po raz kolejny powtarzając swoją teorię, że najpiękniejszą wizję demokracji znalazł właśnie w *Czarodziejskim flecie*: równorzędny szacunek, wręcz równorzędne zainteresowanie, równorzędną ciekawość wobec aspiracji prostaczka Papagena i szlachetnego Tamina.

Rozmawiał o tym tylko na prywatnych kolacjach z bliskimi, nigdy się nie poddając, nawołując do najwyższego pojednania, wspominając, że jeśli zostanie wybrany, uzupełni program szkolny o obowiązkową naukę o Mozarcie i naukę ducha jego muzyki, dwie lekcje tygodniowo prowadzone przez wykwalifikowanych nauczycieli. W pewnym stopniu zrealizował to w Grogny, otwierając bezpłatne szkoły muzyczne i budując nową salę koncertową. Muzyka klasyczna stanowiła dla niego apogeum europejskiej cywilizacji, jej największy skarb i najpiękniejszy dar dla ludzkości. Gdy zaczynał mówić o *allegro* w utworach Mozarta, jego orzechowe oczy nabierały blasku. Zapominał o długu publicznym, o agencjach ratingowych, o bezrobociu wśród młodzieży. „Ktoś mnie weźmie za masona”, żartował do ucha żony lub wybranego świadka, którego łobuzerskimi palcami złapał za ramię. Po czym wybuchał szczerym, dźwięcznym śmiechem, od młodości niezmiennym ani o ton.

Taki ojciec jak Szawisz oznaczał dla Jasminy konieczność pogodzenia się z tym, że na zawsze pozostanie najważniejszą osobą w jej życiu. Nie przewidziała jednak, że jeśli na kilka miesięcy ojciec stanie się najważniejszą osobą w życiu milionów innych, tragedia może, a nawet musi nastąpić.

A teraz ani się nie śmiał, ani nie mówił.

Jasmina usłyszała, jak uchylają się drzwi. Weszła matka. Za nią w korytarzu stali Vogel i Habib, każdy rozmawiając po cichu przez komórkę. Vogel przykrywał słuchawkę dłonią, Habib drapał się po policzku kikutem. Za nimi pojawiła się chuda, wysoka sylwetka mężczyzny, który skrzyżował wzrok ze spojrzeniem Jasminy; był to Montesquiou, dyrektor gabinetu minister spraw wewnętrznych. Wyślizgnął się jak wąż z jej pola widzenia, nie pozostawiając za sobą niczego poza prowokacyjnie, ukosem sterczącą łaską.

– Moja droga, konwój jest gotowy, potrzebujesz jeszcze chwili?

Esther próbowała złagodzić ton głosu, ale w jej oczach pozostał wyraz bezwzględności, ślad po rozmowie z „ludźmi prezydenta”.

– Co tu robi ten facet?

– To Montesquiou z gabinetu Vermorel...

– Wiem, ale co on tu robi?

– Przyszedł porozmawiać z nami o śledztwie. Muszę ci coś powiedzieć, kochanie.

Jasmina przyglądała się matce, gotowa w każdej chwili wybuchnąć na jej słowa.

– Ten młody człowiek, który strzelał do ojca, nazywa się Abd al-Karim. Abd al-Karim Abu Na’imi Narrusz. I jest kuzynem Fu’ada.

Jasmina zadrżała.

– Czy od chwili zamachu Fu’ad do ciebie dzwonił?

– Nie – zaprotestowała Jasmina, czując, że płoną jej uszy. – To niemożliwe... Fu’ad...

– Poczekaj, Jasmino.

– Nie mam przy sobie komórki, zapomniałam wziąć, wychodząc... w całym tym zamieszaniu... Ale...

Esther Szawisz złapała córkę za ramiona.

– Na razie nic nie wiadomo. Nikt Fu’ada o nic nie oskarża. Nikt. Chciałabym tylko wiedzieć, czy... czy byłabyś w stanie porozmawiać z policjantami o...

Dalszego ciągu Jasmina nie usłyszała, bo zaczęła sobie rozcierać uszy. Lecz im bardziej je tarła, tym bardziej miała wrażenie, że naprawdę zapłoną żywym ogniem.

Esther Szawisz obróciła się w stronę Habiba, Vogela, Montesquiou i jeszcze jednego mężczyzny, którzy zza drzwi dyskretnie słuchali rozmowy.

– Moja droga – podjęła matka – jeśli chodzi o Fu’ada...

Jasmina gwałtownie wstała. Pociągnęła nosem, żeby zdusić szloch, i wyszła z pokoju, starannie omijając wzrokiem sępy, które na nią czekały za zakrętem korytarza.

6

Wytrącona z równowagi po wyjściu córki Esther dała znak Habibowi i Vogelowi, aby do niej dołączyli.

– Myślisz, że mogłabym porozmawiać z Aurélienem Coûteaux? – zapytała Habiba.

– Tak, oczywiście – odparł doradca jej męża do spraw komunikacji. – Został przesłuchany i z powrotem przydzielony do ochrony Jasminy. Chcesz z nim teraz porozmawiać?

– Bardzo proszę. Szef DCRI jest z wami?
– Boulimier? Tak. Mam go tu poprosić?
– Nie – odparła Esther, rzuciwszy okiem na łóżko męża. – Porozmawiamy na korytarzu.

Numer jeden DCRI, który parę godzin wcześniej zebrał cięgi od minister spraw wewnętrznych, złożył uszanowanie pani Szawisz, kłaniając się tak nisko, jak mu pozwalał wielki kałdun. Twarz Charles’a Boulimiera była szeroka, kwadratowa i pozbawiona wyrazu, a zamiast ust miał prostą kreskę, wojowniczo prostopadłą do płytkiego dołeczka w podbródku. Twarz szefa kontrwywiadu pasowała więc do jego zawodu, choć brakowało mu odpowiedniej sylwetki: gdy został prefektem, jeszcze bardziej utył, do czego przyczyniły się polityka, jej bankiety i przyjęcia, a także zwyczaj zapinania marynarki tylko na górny guzik, co zamiast elegancko ukrywać okrągły brzuch – jak sobie zapewne wyobrażał – jeszcze bardziej go podkreślało.

– Panie prefekcie – zaczęła Esther Szawisz – dziękuję za tak szybkie przybycie.

– To normalne, droga pani.

– Powiem wprost: nie zgadzam się, żeby moja córka była przesłuchiwana. Po tym wszystkim, co nas dotknęło, żeby jeszcze miała...

– Oczywiście.

– Proszę robić swoje, ale na to nie wyrażam zgody.

– Ależ, droga pani, mamy metody alternatywne – zasugerował Boulimier.

– Sam pan rozumie – podjęła Esther Szawisz, mrużąc oczy. – Nie chcę, żeby była zamieszana w... Dla mnie najważniejsze jest jej bezpieczeństwo.

– Osobiście tego dopilnuję.

Serge Habib, pierwszy doradca Szawisza do spraw komunikacji, dał znak Aurélienowi Coûteaux, żeby do nich podszedł. Esther cierpliwie przyjęła jego wyrazy współczucia, po czym przeszła do rzeczy.

– Coûteaux, zna pan oczywiście pana Boulimiera z DCRI. Chcę, żeby coś pan dla mnie zrobił.

– Co tylko pani sobie życzy – odpowiedział skwapliwie młody oficer ochrony.

– Nie życzę sobie, żeby on do niej dzwonił, Aurélien. Niech pan robi, co pan uzna za stosowne, ale nie zgadzam się, żeby moja córka była w to wszystko zamieszana. Szczegóły proszę ustalić z panem Boulimierem.

Coûteaux milcząco przytaknął, nie ośmielając się podnieść oczu na potężnego szefa kontrwywiadu. Esther gorączkowo przerwała ciszę.

– Mam do pana zaufanie, Aurélien – powiedziała jednym tchem, a następnie zwróciła się do Boulimiera: – Nigdy się nie mylę w swojej ocenie ludzi, panie prefekcie. Bardzo proszę, żeby tę sprawę osobiście pilotował Aurélien.

Boulimier uśmiechnął się z szacunkiem. Natomiast Coûteaux skłonił się niedoszłej pierwszej damie tak nisko, że na jego dobrze uczesanej czaszce mogła dostrzec grzeczny przedziałek rozdzielający gęste, ciemne włosy.

7

Dowiedziawszy się przez telefon, że zatrzymanie rodziny Narruszów przebiegło bez problemów, sędzia Wagner wpadł na dziwny pomysł: zamiast od razu wracać do Pałacu Sprawiedliwości, poprosił kierowcę, żeby go zawiózł do Grogny. Od paru godzin było już ciemno, ochroniarze sędziego trochę się więc skrzywili i przypomnieli mu, że po mieście krążą patroli CRS.

Sędzia machnął ręką i ponownie zagłębił się w swoich myślach i aktach spraw, coraz mniej je od siebie odróżniając.

Z zadumy wyrwały go wyjące syreny i cienie furgonów CRS stojących wzdłuż ulicy na odcinku pięćdziesięciu metrów. Z powodu zamieszek ulicznych zwierzchnicy będą się od niego domagać wyników niemożliwych do osiągnięcia w wyznaczonym czasie. Gdy tak obserwował długą, opustoszałą aleję bez żadnych nocnych autobusów, okratowane witryny zamkniętych sklepów i gorące napięcie, w jakim oddziały CRS szykowały się do akcji, nagle poczuł klucie w sercu, mogące u mężczyzny w jego wieku zapowiadać bliski zawał.

Wśród policjantów w mundurach bojowych dostrzegł dowodzącego oddziałem kaprała, który wyszedł mu na spotkanie. Wagner przedstawił się. Na znak szacunku funkcjonariusz CRS stanął na baczność.

– W czym możemy pomóc, panie sędzio?

– Chciałem się po prostu zorientować, co się dzieje, na własne oczy zobaczyć...

Zamieniwszy kilka słów z kapralem, Wagner przekonał się, że sytuacja jest poważna, a ryzyko, że rozruchów nie da się powstrzymać, wysoce prawdopodobne. Spojrzał na byczy kark policjanta, jego pięści w rękawicach i tors, który w kamizelce kuloodpornej wyglądał na monstualny. Na twarzy kaprała malowało się napięcie, ale jego oczy błyszczały entuzjazmem jak u dzieciaka, który po wyjściu ze szkoły szykuje się do bijatyki. Jednak słuchając wyjaśnień na temat imponujących środków wdrożonych przez policję oraz technik walki ulicznej „tak znakomicie wykorzystywanych przez tych dzikusów”, Wagner skupiał się tylko na własnych żyłach, niemal czując, jak się zwężają.

– Wszystko w porządku, panie sędzio? – zaniepokoił się policjant.

Sędzia kiwnął głową, nie potrafił jednak dłużej trzymać rąk założonych za plecami i pochyłać czoła do przodu na znak, że uważnie słucha.

Z końca alei dobiegły odgłosy wystrzałów. Zza baletu granatowych sylwetek, hełmów i flash-balli dało się dostrzec płomień koktajlu Mołotowa, którym ktoś celował w ich kierunku.

– Panie sędzio – odezwał się kapral – radzę się stąd oddalić.

Jego ochroniarze też obstawali, że należy jak najszybciej wracać. Wagner przytaknął zmęczonym głosem i wsiadł do samochodu. Znowu zadzwonił do pułkownika Mansourda i poprosił o informacje dotyczące zachowania Fu'ada Narrusza, aktora i brata Nazira.

– Nie było żadnych kłopotów przy jego zatrzymaniu, panie sędzio.

Mansourd nie miał nic więcej do powiedzenia. Sędzia postanowił więc nie owijać w bawełnę.

– Pułkowniku, z nim trzeba postępować z dużym wyczuciem. To jest, a raczej był chłopak córki Szawisza. Co pan o tym sądzi?

– Muszę go najpierw przesłuchać.

Wagner przez chwilę milczał.

– Szczerze mówiąc, to mi się wydaje grubymi nićmi szyte. Chłopak spotyka się z córką kandydata, na którego życie jego brat planuje zamach...

– Co pan proponuje, panie sędzio?

– Został odseparowany od reszty rodziny, tak? Moim zdaniem najlepiej będzie przesłuchać ich i zwolnić.

– Słucham?

Pułkownik najwyraźniej nie rozumiał, dokąd sędzia zmierza.

– Proszę posłuchać. Jeśli pozostawimy ich w areszcie, wszyscy oczywiście będą zachwyceni, poczynając od prokuratora Lamiela. Tyle że takich grup przestępczych to ja mam, lekko licząc, tuzin rocznie. Możecie tych ludzi przesłuchiwać nawet przez całą noc, ale moim zdaniem lepiej ich zwolnić i poddać ścisłej inwigilacji. Zwłaszcza Fu'ada Narrusza.

Mansourd nie wiedział, jak zareagować. Sam pomysł wydał mu się kompletnie absurdalny.

– Najprawdopodobniej jest powiązany ze spiskiem – ciągnął Wagner, mówiąc teraz bardziej do siebie niż do pułkownika. – Nie będzie łatwo go złamać. Natomiast jeśli go zwolnimy i poddamy inwigilacji... Cóż – uśmiechnął się. – Niech pan się weźmie do przesłuchań, a potem zobaczymy.

– Tak jest, panie sędzio – mruknął Mansourd.

– Aha, i ostatnia sprawa: odzyskaliście komórkę szczeniaka?

– Oddelegowałem do tej sprawy dwóch ludzi – odpowiedział Mansourd. – Sprawdzili wszystkie firmy obsługujące stateczki wycieczkowe i biuro rzeczy znalezionych. Na razie nic.

– Czyżby kłamał?

– Nie sądzę. Musimy jeszcze sprawdzić stateczki przy Pont Neuf. I jeszcze jedną firmę, której nazwa mi umknęła. To kwestia kilku godzin...

– Dobrze – uciął Wagner. – Proszę mnie informować.

– Sam widzisz...

Faris podskoczył.

– ...najtrudniej jest zrobić S.

Faris spojrział w lusterko. Od czasu, gdy wyjechali na autostradę A36, Nazir nie powiedział ani słowa. Jego pokryta czarnymi kręconymi włosami głowa pochylała się nad jakimś przedmiotem, który trzymał między kolanami, dłubiąc przy nim tak intensywnie, że lepiej było mu nie przeszkadzać. Dojeżdżali już zresztą do Bazylei, granica francusko-szwajcarska była w zasięgu ich wzroku. Nazir schował swoją tajemniczą dłubaninę i odwrócił się do tyłu: ze światła dziennego pozostały już tylko gasnące złocistoczerwone blaski w coraz niższej części tylnej szyby maybacha.

– Teraz będzie jak w kinie. Hej, słuchasz mnie? – Pstryknął palcami. – Pamiętaj, że jesteś kierowcą algierskiego dyplomaty i nie masz czasu na głupoty, okej? No, pokaż mi, jak wygląda w twoim wykonaniu facet, który nie ma czasu na głupoty.

Faris obrócił ogoloną głowę, ale jego wzrok napotkał profil Nazira, który z otwartymi ustami rozglądał się po okolicy pełnej światła i zamieszania.

– To nie jest normalne – mruknął.

Zamiast dwóch czy trzech celników pod budynkiem stało kilkunastu funkcjonariuszy straży granicznej i żołnierzy uzbrojonych w famasy. Kierowca samochodu o dwa pojazdy przed nimi został poproszony o zjechanie na bok w celu przeprowadzenia dokładnej rewizji. Nazira zaniepokoiło, że z auta wysiadła rodzina blondasów, wyglądająca najbardziej banalnie i najmniej podejrzanie na świecie.

– Dlaczego zatrzymują wszystkie samochody? – uznał za stosowne zapytać Faris, pokazując tym samym, że nie utracił czujności. – Coś się musiało wydarzyć – dodał, przypomniawszy sobie pędzące po ulicach Paryża furgony CRS.

Nazir przełknął ślinę i przerzucił całą walizkę w poszukiwaniu krawata. Farisowi również kazał założyć krawat i powrócił do uprzedniej pozycji: napięty i nieruchomy, nerwowo oddychał, prawie stojąc między zagłówkami przednich siedzeń, z paznokciami wbitymi w nie jak w skórę żywego zwierzęcia.

Na ustach pojawił mu się tik, który strasznie irytował Farisa: jego język wysuwał się powoli przez szparę między rozchylonymi wargami i miękkiem, groźnym ruchem oblizywał dolną. Faris miał wrażenie, że Nazir zaraz skoczy mu do gardła i wyrwie żyłą szyjną. Nie ośmielał się odwrócić, żeby sprawdzić, w którą stronę są skierowane jego kły, ani zerknąć do lusterka w obawie, że napotka jego niewiarygodnie czarny wzrok, który zbyt szybko przechodził od obłąkanej brutalności do łagodnego ciepła, być może jeszcze bardziej przerażającego.

Dwa samochody stojące bezpośrednio przed nimi też zostały skierowane na

bok, aż w końcu przyszła pora na ich maybacha, na którego dwaj pogranicznicy skierowali podejrzliwy wzrok. Młodszy szepnął coś na ucho koledze, który nie bardzo go słuchał, skupiając uwagę na swoim walkie-talkie. Nazir wstrzymał oddech. Po chwili młodszy podszedł do szyby od strony Farisa.

– Poproszę o papiery samochodu.

Faris wyjął fałszywe dokumenty ze schowka na rękawiczki i spojrzał na funkcjonariusza zapewne podejrzanym, a może nieco agresywnym wzrokiem, bo ten otworzył dowód rejestracyjny i podszedł do bocznej szyby obok tylnego siedzenia. Była przyciemniona o ponad osiemdziesiąt procent, co teoretycznie jest zakazane. Nazir ujrzał czerwoną twarz młodego górala z przyłożonymi do skroni dłońmi: funkcjonariusz usiłował zobaczyć, kto siedzi w samochodzie na dyplomatycznych numerach.

Zebrał się na odwagę, owinął szyję czarnym szalikiem i wysiadł z auta z przyklejonym do ucha smartfonem. On i pogranicznik tworzyli dość komiczny kontrast: długa, sępia sylwetka Nazira obok krępej, nonszalanckiej, niemal kwadratowej sylwetki rudego funkcjonariusza. Przyjezdny Marsjanin uznałby ich zapewne za przedstawicieli dwóch różnych gatunków.

– Mogę zapytać, co się dzieje, panie oficerze?

Nie istniało ani jedno jego zdjęcie z zarostem, który od kilku dni zapuszczał, ale przypuszczalnie nawet w półmroku był podobny do siebie na fotografii, którą zamieszczono na liście gończym. Przyglądał się bacznie oczom pogranicznika, szukając w nich śladu podejrzliwości.

Lecz w oczach funkcjonariusza nie było śladu niczego. Równie dobrze mogłyby należeć do wołu.

– Rutynowa kontrola, proszę pana. Może pan otworzyć bagażnik?

Nazir nie chciał otwierać bagażnika, w którym co prawda miał tylko walizkę, ale bał się, że jeśli pozwoli temu kretynowi na te jego „rutynowe kontrole”, wokół samochodu zgromadzi się stado celników.

– Wyjaśnię panu, na czym polega mój problem, panie oficerze – oświadczył Nazir z akcentem dość zbliżonym do akcentu wuja Idira. – Otóż chodzi o to, że za pół godziny muszę być w Zurychu.

– Przepraszam, że nalegam – powiedział funkcjonariusz, nie dając się onieśmielić. – Jednak w zaistniałych okolicznościach mamy rozkaz przeszukania wszystkich samochodów. *Wszystkich* samochodów.

W tej irytującej wymianie zdań Nazir nie potrafił powściągnąć wewnętrznego uśmiechu satysfakcji: własnymi rękoma stworzył owe okoliczności.

– Proszę posłuchać. Widzi pan tę dłoń? Za pół godziny ma uścisnąć dłoń ambasadora Algierii w Szwajcarii i szczerze mówiąc, nie sądzę, aby pan ambasador był uszczęśliwiony na wieść, że jeden z członków jego korpusu dyplomatycznego został zatrzymany na granicy.

Wąsaty kolega młodego pogranicznika właśnie zakończył rozmowę przez walkie-talkie. Wzniósł oczy ku niebu i położył rękę na ramieniu młodego górala, rzucając przelotne spojrzenie na Nazira.

– Przepraszamy pana, może pan jechać. Serdecznie przepraszamy.

Nazir wbił wzrok w podgolony kark młodszego funkcjonariusza straży granicznej, chcąc jeszcze coś dodać. Postanowił jednak wsiąść z powrotem do samochodu, ale na tyle powoli, żeby nie uronić ani słowa z bury, jaką wąsacz dał koledze, wielokrotnie powtarzając słowo „dyplomatyczny”, a na koniec pukając go w czoło.

– No już – powiedział w końcu Nazir purpurowemu ze zdenerwowania Farisowi. – Naprzód, młodzieży świata.

I tymi słowami, nie oglądając się za siebie, Nazir pożegnał się z krajem, w którym przyszedł na świat.

Rozdział 4

Zuryski gambit

1

Podczas gdy samochód zbliżał się do świateł Zurychu, Nazir zauważył, że Faris ziewa coraz częściej. Szwajcarska autostrada była mniej gładka, niż przypuszczał. Nagle wyobraził sobie, że zmęczony Faris traci kontrolę nad pojazdem; niemal poczuł wibrację poślizgu i dziwne erotyczne wrażenie przy wypadaniu z szosy, które musiałyby zakończyć się śmiercią.

Nie mogąc już ryzykować żadnego kontaktu z Francją, Nazir schował swoje trzy smartfony do torby, po czym uniósł podbródek i zajął się studiowaniem muskularnego profilu Farisa, który ziewał bez zasłaniania ust i nawet nie próbował samego siebie przekonać, że potrafi zapanować nad zmęczeniem.

– Wiesz, co to jest wypadek, Faris?

Słowa Nazira, które po raz pierwszy nie były ani rozkazem, ani ukrytą obelgą, zaskoczyły kierowcę.

– Wypadek następuje wtedy, gdy świat biegnie szybciej, niż go postrzegamy, gdy świat biegnie szybciej niż my. Rozumiesz, co to znaczy?

– Tak, Nazir, ja bardzo uważam, nie dener...

– Nie o to mi chodzi. I tak zrobimy zaraz przerwę. Zatrzymaj się na pierwszym parkingu przy autostradzie. Chcę, żebyś zrozumiał, co to jest wypadek, nie tylko samochodowy.

Głos miał podobny do rąk: sękaty i nieprzewidywalny.

– Świat kręci się coraz szybciej. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Faris zobaczył uniwersalny i gościnny znak restauracji. Był jak koło ratunkowe: jeśli wystarczająco szybko dotrą do zjazdu, nie będzie musiał odpowiadać na pytanie.

– Co możemy więc zrobić, żeby świat przestał pędzić szybciej od nas?

– Yyy... ja... sam nie wiem... Zobacz, przed nami zjazd na parking...

– Powiem ci, Faris, i mam nadzieję, że to dotrze do twojego mózdzku: jedyny sposób, aby świat nie pędził szybciej od nas, to pędzić szybciej od niego.

Podczas gdy samochód podjeżdżał pod budynek restauracji ozdobiony gigantycznym plastikowym stekiem, Nazir zaczął opowiadać Farisowi, chociaż ten nie zadawał żadnych pytań, co parę godzin wcześniej wydarzyło się we Francji, w kraju, w którym obaj się urodzili i do którego zapewne zbyt szybko nie wrócą.

Tyle że nie wyjaśnił, iż to on, Nazir Narrusz, zaplanował taki, a nie inny bieg wydarzeń.

– Szczerze mówiąc, odechciało mi się jeść – powiedział Faris, nie dając rady podwójnej porcji frytek. – Lubiłem Szawisza. Kto właściwie do niego strzelał?

Kurwa, nie mogę w to uwierzyć. – Wypuszczając sztucce, które z brzękiem upadły na talerz, podniósł głos. – To obrzydliwe! Jak po raz pierwszy...

– Co po raz pierwszy? – parsknął Nazir.

– No jak to co? Po raz pierwszy mieliśmy mieć arabskiego prezydenta...

– Arabskiego prezydenta, i co jeszcze... Idę zapłacić. Spotykamy się przy samochodzie. Pośpimy przez godzinę, a potem jedziemy dalej. Jeśli dobrze liczę, jesteśmy już o godzinę spóźnieni.

Faris nie ośmielił się nic odpowiedzieć. Jego mózg pęczniał i kurczył się jak gąbka wędrująca przez chaotyczną wilgoć czasu. Biedak był kompletnie zagubiony.

Nazir usiadł na miejscu pasażera, zostawiając Farisowi tylne siedzenie, żeby mógł się wyciągnąć.

– A ty nie będziesz spać? – zapytał Faris, widząc łokieć Nazira nad oparciem.

– Przestań zadawać pytania i przekimaj się. – Czując, że powinien okazać nieco względów kierowcy, dodał: – Na szczęście nigdy nie sypiam dłużej niż trzy godziny na dobę.

Ukołysany tą tajemniczą informacją Faris oddalił się w objęcia Morfeusza.

Kiedy się obudził, samochód nadal stał w tym samym miejscu. Przeciągnął się, ale jego ramiona uderzyły o miękką podsufitkę, która aż się prosiła, żeby ją pogłaskać. Nazir nie zwracał na niego szczególnej uwagi, Faris wysiadł więc z samochodu i zrobił krótką gimnastykę.

Zdążył kompletnie zapomnieć, co go tak przeraziło podczas kolacji, ale wszystko powróciło, gdy usiadł za kierownicą i zobaczył, jak Nazir w białych rękawiczkach i z wysuniętym koniuszkiem języka za pomocą składanego noża, którego jelec i śrubki połyskiwały w świetle wewnętrznej lampki, wycina jakies litery na rękojeści pistoletu.

– Prawdziwy? – zapytał idiotycznie Faris.

Zamiast odpowiedzi Nazir kazał mu spojrzeć w lusterko, w którym Faris zobaczył litery F, A, R i S starannie wyryte na jasnej drewnianej rękojeści. W pierwszej chwili pomyślał, że to jego imię, ale w żaden sposób nie mógł się dopatrzeć litery I.

– A, o to ci chodziło, że najtrudniej jest zrobić S! – krzyknął. – Ale co znaczy „FARS”? I w ogóle po co ci ten gnat?

– To dla ciebie – powiedział Nazir, zdejmując białe rękawiczki. – A czyta się na odwrot.

Czytane bez pomocy lusterka litery układały się w napis SRAF, co nadal niewiele Farisowi mówiło.

– To prezent powitalny, wyjaśnię ci po drodze. Aha, chciałbym, żebyś sobie zapisał pewien adres. Weź kartkę i pisz.

Faris pogmerał w schowku pod przednią szybą, gdzie znalazł jakiś notes. Choć, jak sobie szybko przypomniał, żadnego notesu nie potrzebował.

– Przecież wiesz, Nazir, że ja wszystko zapamiętuję... No wiesz, liczby.

– Nie będziemy ryzykować, pisz. Nie jesteś, do cholery, analfabeta.

– No raczej nie – bąknął Faris.

– Hermannsweg siedem – podyktował Nazir. – To w Hamburgu, w Niemczech. Gdyby coś poszło nie tak, tam się spotkamy. Okej?

Faris z rozdziawionymi ustami patrzył na ten dziwaczny adres.

– Jedziemy! W Zurychu czeka na nas niespodzianka. Nie chcę, żeby czekała zbyt długo.

Faris wsadził pistolet do schowka pod przednią szybą i ruszył. W ciągu pół godziny dojechali do centrum miasta. Nazir, który znał je jak własną kieszeń, kazał Farisowi jechać za niebieskim tramwajem, a potem labiryntem krętych uliczek pokrytych idealnie równym asfaltem, które ich doprowadziły pod czteropiętrowy budynek o gładkiej jasnoniebieskiej fasadzie. Ledwo Faris wyłączył silnik, zobaczył zaparkowaną po drugiej stronie ulicy beemkę dającą sygnały światłami. Wieczór był brudny i zamglony od upału, reflektory beemki pozostawiały rozmyte plamy na horyzoncie.

Nazir kazał Farisowi mrugnąć światłami w odpowiedzi. Po chwili z beemki wysiadł jakiś facet; zgniótł papierosa między palcami i przeszedł na ich stronę ulicy, zapinając po drodze koszulę, żeby schować złoty łańcuch na torsie.

– Przecież to Maulud! – krzyknął podniecony Faris. – Co on tu robi?

Nie zaszczyciwszy kierowcy ani jednym spojrzeniem, Maulud Ibn Baraka otworzył drzwi samochodu i usiadł na miejscu pasażera. W lusterku wstecznym popatrzył na Nazira.

– Kurwa, w życiu nie widziałem tylu gliniarzy! Na wszystkich rogatkach rozstawili blokady!

– Robili ci jakieś kłopoty na granicy? – zapytał Nazir, przesuając się na środek tylnego siedzenia. – Masz przy sobie fałszywe papiery, no nie? Nikt za tobą nie jechał?

– Nie, nikt. *Wa-Allah*, takiego paszportu, jak żyję, nie widziałem. Skąd go wytrzasnąłeś? Nie miałem pojęcia, że paszport biometryczny też można sfalszować. Perełka, prawdziwa perełka!

Nazir nie odzywał się. Rzucił na prawo i lewo spojrzenia, które zdawały się wysysać każdy fragment horyzontu, na jaki padały.

– Nikt za tobą nie jechał?

– Jasna cholera, za kogo ty mnie masz? – warknął Ibn Baraka. – Siedziałem w pierdłu, kiedy ty bawiłeś się jeszcze lalkami. Znam się na sztuczkach tych wściekłych psów z brygady antynarkotykowej, możesz mi, kurwa, wierzyć!

W pokoju, w którym przesłuchiowano Karima, w końcu padło nazwisko Mauluda Ibn Baraki. Kapitan Tellier wpisał je do protokołu oraz zanotował na żółtej karteczce, którą przekazał swojemu zastępcy z rozkazem, aby natychmiast je sprawdził. Tellier zorientował się, że Karim jest bliski utraty przytomności: siedział ze wzrokiem wbitym w diodę kamery internetowej nagrywającej przesłuchanie, a gdy tylko kapitan zaczął stukać w klawisze komputera, monotony dźwięk sprawiał, że oczy same mu się zamykały, a głowa kiwała w lewo i w prawo.

Kapitan walnął pięścią w stół, na co Karim wyprostował się.

– Zdajesz sobie sprawę, że twoja historyjka jest funta kłaków warta? Z jednej strony mamy Nazira, który jakoby tobą manipuluje, z drugiej Mauluda Ibn Barakę, który bierze twoją matkę na zakładnika... Jednym słowem, winni są wszyscy oprócz ciebie! A facet, który cię wiozł samochodem i pokazywał zdjęcia matki, dlaczego to nie on strzelał? Dlaczego Nazir miałby prosić osiemnastoletniego gówniarza o zastrzelenie Szawisza, zamiast wynająć zawodowca? To są jakieś banialuki! Ba-nia-lu-ki! Odpowiadaj!

– Nie wiem. Chce mi się spać. Mam prawo do...

– Nie masz żadnych praw! Strzelasz do polityków, do przedstawicieli państwa, dlaczego państwo miałyby uważać, że należą ci się jakiegokolwiek prawa? Jak wyglądał ten rzekomy wspólnik Nazira, który cię zawiózł do Grogny?

– Chce mi się spać...

– Jak wyglądał?

– Był rudy – rzucił Karim.

– No widzisz, możemy się dogadać. Rudy, powiadasz...

I znowu rozległo się stukanie klawiszy. Karim mówił dalej, żeby nie zapaść w sen:

– I miał taką cienką bródkę, taką... nie pamiętam, jak to się nazywa.

– Kozia?

Karim przytaknął, ale już całkiem stracił siły: siedząc na krześle bez oparcia, nisko zwiesił ramiona i pozwolił głowie bezwładnie opaść.

– Dobrze ci radzę, żeby twoja historyjka o komórce nie okazała się jakimś głupim żartem.

– Co?

– Nadal jej nie znaleźliśmy. Mówisz, że ją wyrzuciłeś przez barierkę mostu, że spadła na przepływający pod spodem stateczek wycieczkowy, to dlaczego jej nie znaleźliśmy?

Karim znowu zaczął zapadać w sen.

– Wiesz co? Ja ci wierzę.

Karim z trudem otworzył oczy.

– Tak, wierzę ci. Kuzyn daje ci gnata i kasę, ty trenujesz strzelanie, jakby to

była jakaś zabawa, potem on ci wysyła esemesy, a ty masz wrażenie, że ktoś cię słucha, wreszcie poświęca ci czas. Rozumiem, serio. Przyjazd do Paryża, matka i Ibn Baraka, jasne, wszystko rozumiem, słowo. Tylko jednej rzeczy nie mogę ni cholery zrozumieć. Dlaczego strzelałeś.

– No jak to... Ibn Baraka uwięził moją matkę, widziałem zdjęcia, co mogłem zrobić?

– Zawiadomić policję! Cokolwiek! Do kurwy nędzy, chyba wiedziałeś, co to znaczy strzelać do kandydata na prezydenta!

– Ja... byłem naćpany – szepnął Karim. – I wykończony... Czułem się, jakby to była jakaś gra wideo.

Kapitan rozdziawił usta, potrząsnął głową, zaklął pod nosem i postanowił przerwać katusze Karima. Odesłał go do celi i zadzwonił do przełożonego, żeby mu przekazać wersję „szczeniaka”; nie miał zresztą wątpliwości, że chłopak wyjątkowo dobrze zasłużył sobie na to przezwisko.

Mansour był akurat w toalecie komisariatu w Saint-Étienne. Jego rozpięty rozporek gapił się na stalowy pisuar. On sam gładził wiszący mu na szyi medalion ze zdjęciem.

Na dźwięk nazwiska Ibn Baraki głośno sapnął.

– Pułkowniku?

– Ibn Baraka, coś mi to mówi. Oddzwonię. Poczekaj, oglądaliście zapisy z kamer monitoringu zainstalowanych na placu przed merostwem?

– Jeszcze ich nie dostaliśmy, pułkowniku.

– To na co, do cholery, czekasz? Aż ci je przywiozę?

Mansour rozłączył się. Wychodząc z toalety, zauważył, że policjanci z regionalnej komendy policji patrzą na niego jak na celebrytę. Nie bez powodu. Corocznie we Francji wszczyna się kilkaset postępowań w ramach walki z terroryzmem, ale bardzo mało z nich, lub wręcz ani jedno, nie dotyczy prawdziwego szaleńca, autentycznie zdeterminowanego, by wszystko rozpieprzyć. Bez cienia wątpliwości to właśnie dla takich przypadków Mansour postanowił zająć się walką z terroryzmem, a nie po to, by asystować sędziemu Rochu, noszącemu przezwisko Potwór, przy jego medialnie nagłośnionych operacjach wyłapywania alterglobalistów z Larzac, bardziej zainteresowanych wędlinami i kempingiem na dziko niż próbami zagrożenia bezpieczeństwu państwa.

Ukończywszy szkolenie w Brygadzie Pościgowo-Interwencyjnej (BRI) u komisarza Broussarda, większość kariery Mansour przepracował w DST, a potem objął dowództwo SDAT. Koordynował pracę kilkunastu ekip śledczych teoretycznie pod kierownictwem komisarza; ten jednak w rzeczywistości miał głowę tylko do codziennego podpisywania korespondencji oraz do utrzymywania relacji z placem Beauvau. Sprawy, które rozwiązywał Mansour, były tak delikatnej natury, że kontaktował się bezpośrednio z gabinetem Ministerstwa

Spraw Wewnętrznych. Jego reputacja uzasadniała to odstępstwo: wyszedł i zatrzymał dwóch wrogów publicznych numer jeden oraz zapobiegł większej liczbie zamachów niż ktokolwiek inny. Bezgraniczny upór i szorstkie maniery znacząco spowolniły jego karierę (nie chciał wziąć udziału w żadnym konkursie na komisarza i nigdy nie podlizywał się żadnemu politykowi), ale zjednały mu absolutny respekt ze strony jego podwładnych i najwyraźniej również policjantów, których nigdy na oczy nie widział.

Odprawiany ich wzrokiem, przeszedł przez wypełnioną ludźmi salę, w której starsi członkowie rodziny Narruszów popłakiwali przy rozsianych po sali biurkach, zaklinając się, że nic ich nie łączyło z Karimem i Nazirem. Dwójka dzieci zaczęła się bawić z telefonistką, a ich bieganina i głośne okrzyki tworzyły nastrój zupełnie nielicujący z powagą komisariatu. Mansour zarządził, aby tylko osoby najbliższe Nazirowi i Karimowi przesłuchiowano w mieszczących się na górze celach dla aresztantów. Ludzie ze SDAT zajęli się więc przesłuchiwaniem Fu'ada, czyli brata Nazira, Dunji, jego matki, oraz Rabi'i, matki Karima. Slim, o dziwo, znalazł się wśród „niewinnych” i był przepytany w dużej sali na dole – może dlatego, że policjanci wzięli go za małoletniego.

Mansour wszedł bez pukania do gabinetu komisarza Faure'a.

– Ibn Baraka Maulud, coś panu to mówi?

– No owszem, to nasz lokalny ojczulek chrzestny. Od lat próbujemy go dopaść.

Podniecony Mansour zamknął drzwi.

– Kto się u was zajmuje tą sprawą? Brygada antynarkotykowa?

– Tak. Mamy jedną ekipę, która pracuje nad tym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Początkowo interesowała się nim policja sądowa z Lyonu, ale...

– Proszę wezwać kapitana, który prowadzi to śledztwo.

Komisarz, choć nie był zachwycony, że ktoś w ten sposób wydaje mu rozkazy, posłusznie zadzwonił do kapitana. Mansour niecierpliwie drapał się po brodzie.

– Proszę mi go dać!

Chwycił słuchawkę i zażądał, aby kapitan w minutę streścił mu aktualny stan śledztwa. Kapitan na drugim końcu linii nie sprawiał wrażenia zbyt skorego do współpracy.

– Antyterrorysta czy nie, nikomu nie pozwolę rozjechać sprawy, którą prowadzę od kilku miesięcy, tylko dlatego, że...

– Kapitanie – przerwał mu Mansour. – Działam na polecenie sędziego Wagnera z pionu do walki z terroryzmem paryskiego trybunału. Nie pytam pana o zdanie, a pańskie śledztwo głównie mnie obchodzi; proszę tylko o odpowiedź na jedno proste pytanie: czy w ciągu tego weekendu ktoś od was go śledził, tak czy nie?

– Nie. Zgubiliśmy go dziś rano, wczoraj wieczorem był na weselu i...

– Zadam panu jeszcze jedno pytanie. Nie musi pan oczywiście odpowiadać, ale przypominam, że poszukujemy człowieka, który zlecił zabójstwo kandydata na prezydenta. A więc: czy założyliście mu pod samochodem odbiornik GPS? Cokolwiek, co by nam pomogło w geolokalizacji?

Bez zezwolenia sędziego takie działanie było nielegalne, ale często stosowane w przypadku przewlekłych śledztw. Kapitan z brygady antynarkotykowej, wyraźnie zakłopotany, długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Tak czy owak – bąknął w końcu – pański sędzia nigdy nie da zgody...

– Bingo! – wykrzyknął Mansour. – Zgodą sędziego sam się zajmę.

Podczas gdy komisarz ścigał brygadę antynarkotykową i techników, którzy założyli ów odbiornik GPS, pułkownik Mansour popędził w kierunku cel dla aresztantów, żeby wypytać Fu'ada, Dunję i Rabi'ę o wszystko, co mieli do powiedzenia na temat Mauluda Ibn Baraki.

3

Noc była ciężka i duszna. Z rozchełstaną koszulą obnażającą owłosiony tors kaid z Saint-Étienne kręcił w palcach papierosa, czekając na włączenie się zapalniczki.

– Cholerny wrak.

– No dobra – powiedział Nazir, kończąc pisanie esemesa. – Pora na wycieczkę do banku.

Maulud Ibn Baraka zrobił w tył zwrot, mając nadzieję, że Nazir nie ma na myśli dosłownie tego, co powiedział: pora na wycieczkę do banku.

– Jak to? – zapytał, szeroko otwierając oczy.

– Idę po kasę dla ciebie i Farisa. Chyba nie sądziłeś, że się szwendam z dwustoma tysiącami euro w walizce?

– O nie! – Ibn Baraka podniósł głos. – Nie tak się umawialiśmy. Co to za sztuczki? Od kiedy zresztą banki są otwarte o północy?

– Spokojnie – odparł Nazir. – Nie idę do samego banku, tylko obok. Jestem umówiony.

– Z kim? Co ty mi tu wstawiasz? Idę z tobą.

– Maulud, przestań truć. Jutro o siódmej rano muszę być w Hamburgu. Idę po pieniądze, wracam tutaj, rozliczamy się i rozchodzimy każdy w swoją stronę. Niech każdy dba o siebie, a Bóg zadba o nas wszystkich.

– Myślisz, że ci pozwolę ot tak sobie pójść?

– Zostawię ci swój paszport, jeśli to cię uspokoi! Wymienimy się...

Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni czarnej marynarki i rzucił paszport na kolana Ibn Baraki, który pokiwał głową.

– Dawaj swój – nie ustępował Nazir. – Paszport. Nie chcę, żebyś się zmył

z moim...

Ibn Baraka przyglądał się w lusterku Nazirowi, którego wyraz twarzy ani na chwilę nie uległ zmianie: był skoncentrowany i podszyty ironią, podkreślona lekko uniesioną jedną brwią i językiem powoli oblizującym regularny zarys dolnej wargi. Kaid podał mu swój fałszywy paszport.

– Ale wezmę swoją brykę i pojedę za tobą – dodał.

– Równie dobrze możemy odkręcić wszystkie szyby, puścić muzykę raï na pełny regulator i wywiesić na masce algierską flagę. Kurwa, pomyśl przez chwilę: gdybym chciał cię wyrolować, w ogóle bym się tutaj nie pojawił.

Lecz Ibn Baraka wciąż był nieufny: ze strony Nazira zawsze można było spodziewać się pułapki. W końcu zabrał jego paszport i przesiadł się do własnego auta.

Maybach ruszył, a za nim beemka z Mauludem Ibn Baraką siedzącym za kierownicą i ogryzającym paznokcie. Cztery kwartały dalej maybach zatrzymał się u stóp przeszklonego budynku. Nad gigantycznymi drzwiami obrotowymi widniał potwornie długi napis po niemiecku kończący się na -BANK. Za przyszyżonym iglakiem obok banku mrugał jakiś szyld. Maulud wysiadł z beemki i znowu wsiadł na miejsce pasażera w maybachu.

– Co tam tak mruga? Nic nie rozumiem. Czy ty mnie przypadkiem nie próbujesz wykołować? Uważaj, bo...

– Przecież masz mój paszport! Tu stoi mój samochód! Co ty sobie wyobrażasz? Że wezmę pieniądze pod pachę i ucieknę na piechotę? A walizka? Mam tu wszystko! Wracam za dwadzieścia minut.

Mauluda Ibn Barakę ogarnęły złe przeczucia, ale nie miał wyboru. Czując się pewniej z paszportem Nazira w ręce, patrzył za nim, jak idzie ścieżką przez trawnik w kierunku obrotowych drzwi. Miał na sobie czarny garnitur w prążki, brązowe półbuty, białą koszulę i wąski krawat marki Paul Smith. Ze smartfonem przy uchu skręcił za bankiem w lewo i zniknął wśród drzew, w ostatniej chwili rzuciwszy dziwnie kpiące spojrzenie na przyciemnione szyby maybacha.

Ibn Baraka nacisnął zapalniczkę.

– Słuchaj – przerwał ciszę Faris. – Jeśli chodzi o mojego brata, chciałem tylko zapytać...

Ibn Baraka spojrzał ostro na Farisa. W jego wzroku wściekłość mieszała się z nienawiścią. W końcu nie wytrzymał i wrzasnął:

– Prosiłem cię, żebyś się do mnie odzywał? Jak śmiesz otwierać przy mnie dziób? Za kogo ty się masz, śmieciarzu, żeby mi zawracać dupę swoim cholernym braciszkiem, który zaginął? Wydaje ci się, że jesteśmy na planie *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie?* Czy ja wyglądam jak kierownik biura rzeczy znalezionych? No, odpowiadaj!

Samochód sędziego Wagnera zatrzymał się pod jego kamienicą na skraju parku Buttes-Chaumont. W mizernym świetle lampki nad tylnym siedzeniem sędziego przeglądał transkrypty podsłuchów z komórki Nazira Narrusza. Ochroniarz podniósł wzrok na oświetlone okno na piętrze, gdzie dostrzegł sylwetkę pani Wagner.

– Panie sędzio?

Wagner zdjął okulary i również spojrzął w kierunku oświetlonego okna. Po raz pierwszy w czasie tego śledztwa wracał do domu po północy. Zgasił lampkę i przejechał dłonią po twarzy, potem po zdrętwiałym karku. W tym momencie usłyszał dzwonek szyfrowanego telefonu.

– Panie sędzio, mówi Mansour. Mamy cynk, gdzie może obecnie przebywać jeden z głównych współników Nazira, Maulud Ibn Baraka, o którym niedawno rozmawialiśmy. W Zurychu, ale chyba musimy błyskawicznie wkroczyć do akcji. Najlepiej jeszcze dziś w nocy.

– Pułkowniku, odpowiedzi na wniosek o udzielenie pomocy prawnej nie dostanę wcześniej niż jutro rano. Zwłaszcza w przypadku Szwajcarii...

– Panie sędzio, to pilne. Bardzo pilne. To niezwykła okazja, żeby...

– Skąd pochodzi cynk?

Mansour uruchomił całe swoje zasoby tupetu, by nie powiedzieć prawdy.

– Z przesłuchania matki Nazira.

– Ma pan protokół? Oficer policji sądowej wszystko zanotował na piśmie?

Mansour potwierdził, równocześnie gromadząc swoich ludzi w biurze komisarza.

– Dobra, zobaczę, co się da zrobić. Obudzimy kogoś w Ministerstwie Sprawiedliwości, może najlepiej będzie powołać wspólną ekipę śledczą. Mam tylko nadzieję, że pański cynk jest wiarygodny.

Nagle Wagnerowi przemknęło przez głowę, że Mansour coś przed nim ukrywa.

– Chwileczkę, pułkowniku. Ibn Baraka był przedmiotem zainteresowania brygady antynarkotykowej, tak? Oby tylko się nie okazało, że ten pański cynk pochodzi z nielegalnie założonego odbiornika GPS...

– Panie sędzio – odparł Mansour – sam mi pan dopiero co przypominał, że nasz priorytet to złapanie Nazira...

Wagner westchnął. W przeciwieństwie do Mansoura musiał myśleć o przestrzeganiu procedur: gdyby w czasie procesu wyszło na jaw, że podczas pościgu za Nazirem i jego współnikami używano nielegalnie założonych odbiorników GPS, adwokaci dostaliby linię obrony wyłożoną na tacy.

– Czasami konieczność stoi ponad prawem – dodał Mansour, chcąc wyrzucić presję na sędziego.

– Nie, pułkowniku. Konieczność nie stoi ponad prawem. Konieczność nigdy nie stoi ponad prawem.

– Panie sędzio? Chyba powinniśmy jak najszybciej...

– Proszę robić, co do pana należy, pułkowniku. Ale chwilowo proszę się powstrzymać od jakiegokolwiek interwencji.

Ponownie zapalił lampkę i poprosił kierowcę, aby go zawiózł do Pałacu Sprawiedliwości, a sam wybrał numer prokuratora Lamiela.

5

Wspominając o Dunji jako źródle informacji, Mansour nie do końca skłamał. Kiedy wpadł jak burza do pokoju, w którym ją przesłuchiowano, warknął do porucznika leniwie stukającego w klawiaturę, żeby wyszedł na papierosa. Dunja nie przestawała kasłać; na widok jej uczciwej twarzy, która budziła w nim niezrozumiały szacunek, postanowił obrać podejście łagodne: proszę spojrzeć, niczego nie notuję, chciałbym tylko wiedzieć, czy Nazir jeździł ostatnio do Zurychu, proszę mi powiedzieć, proszę spojrzeć, niczego nie zapisuję, wyłączyłem komputer. Faktycznie niczego nie notował, a Dunja nawet się nie zorientowała, że Mansour z naciskiem powtarza to zdanie. Powiedziała mu więc prawdę, gdyż nie miała sobie niczego do zarzucenia.

Pół godziny później pułkownik Mansour wrócił jednak do celi, gdzie Dunja zapadła w drzemkę, i włączył komputer.

– Pani Narrusz, proszę mi teraz powtórzyć to, co mi pani przedtem powiedziała, musimy wszystko zaprotokołować.

Dunja, śmiertelnie zmęczona i bardziej zajęta stanem swoich oskrzeli niż dziwacznymi manewrami policjanta, powtórzyła:

– No więc wiem, że w zeszłym roku dwa razy był w Zurychu.

– Kto? Pani syn Nazir, tak?

– Tak, mój syn Nazir – odparła, czując napływające do oczu łzy.

– Proszę się nie śpieszyć – powiedział spokojnie Mansour, choć jego kolana nerwowo podrygiwały pod stołem.

– No więc drugi raz to było chyba w marcu dwa tysiące dwunastego, poprosił, żebym mu zrobiła przelew. A ponieważ... widzi pan, to on zawsze przelewał pieniądze na moje konto, chociaż ja pracuję, ale on zawsze nalegał i przelewał mi dość spore sumy, nie zawsze sprawdzałam, bywało i po dwa, trzy tysiące euro. Kiedy więc poprosił o pięć tysięcy i obiecał, że je odda, nie miałam powodu, by mu odmówić, rozumie pan, prawda? No to przelałam te pieniądze do Zurychu, przykro mi, ale nic więcej na ten temat nie wiem. Nie wiem, po co tam jeździł, nie wiem, po co prosił o przelew. No... to tyle.

Mansour spisywał zeznania Dunji w miarę, jak mówiła. Dziesięć sekund zajęło mu ponowne przeczytanie całego protokołu. Gdy skończył, przez chwilę

przyglądał się jej pięknej jasnej twarzy otoczonej szpakowatymi, gładko przyczesanymi włosami i łagodnym, tragicznym oczom.

– Powinna pani pójść do lekarza – powiedział niepewnym głosem, odwracając od niej wzrok. – Pani kaszel brzmi niepokojąco.

Uniesieniem brwi Dunja pokazała, że usłyszała jego radę. Mansour d wyszedł z protokołem przesłuchania w ręce. Przefaksował go do biura Wagnera, po czym zaczął nerwowo krążyć po korytarzu komisariatu, czekając na telefon i decyzję sędziego. Bez międzynarodowej pomocy prawnej nie mógł podjąć żadnych działań. Sędzia zapewne obudzi kogoś w gabinecie Ministerstwa Sprawiedliwości, a ten ktoś, biorąc pod uwagę rangę sprawy, obudzi kogoś w szwajcarskim Ministerstwie Sprawiedliwości. Gdy tylko Mansour d dostanie potwierdzenie, że procedura została wszczęta, nawiąże kontakt ze szwajcarską policją, żeby jak najszybciej zatrzymała Ibn Barakę. Zeznania Dunji oraz intuicja podpowiadały mu, że istnieją duże szanse, aby Nazir również przebywał w Zurychu. Kiedy jednak zadzwonił telefon, nowiny od sędziego okazały się kiepskie.

– Mansour d, otrzymałem protokół i rozmawiałem z prokuratorem Lamielem, mamy zbyt słabe podstawy, żeby...

– Jasny piorun!

– Proszę posłuchać, Mansour d. Wpadliśmy z Lamielem na inny pomysł: zmontuje pan ekipę złożoną z trzech, czterech samochodów i pojedzie do Szwajcarii. Będzie to oczywiście misja niejawna. Wsiądziecie Ibn Barace na ogon, tylko musicie pamiętać, że jesteście na terytorium obcego państwa i nie możecie wkraczać do akcji.

– Z całym szacunkiem, panie sędzio, ale czas, którego potrzeba, żeby... Jasne, zgoda. Wyślę ekipę z Levallois. Dojadą tam jeszcze w nocy. Dziękuję, panie sędzio, będę pana informować na bieżąco.

Komisarz z Saint-Étienne podszedł do Mansour da z marsowym wyrazem twarzy. Pułkownik cierpliwie wysłuchał jego narzekań:

– W całym mieście zaczęły się zamieszki. Spodziewam się posiłków z innych miast. Potrzebuję pomieszczeń biurowych. Natychmiast.

– W gruncie rzeczy zakończyliśmy już przesłuchania członków rodziny. Proszę mi tylko zostawić trzy cele dla aresztantów, okej? – poprosił z uśmiechem Mansour d.

Furgon CRS wjechał na sygnale na parking komisariatu. Mansour d i komisarz wyjrżeli przez żaluzje: przywieziono kilkunastu szczeniaków. A.M. W żargonie policyjnym: Agresywna Młodzież. Skądinąd sami P.A.: Północni Afrykańczycy.

Mansour d przekazał członkom rodziny Narruszów, że są wolni. Twarz Idira spływała potem. Skinął głową w stronę Abu Zida i Mathieu, którzy z własnej woli zgłosili się na policję, gdy do pierwszego zadzwoniła jego matka, a do drugiego

żona.

– A Rabi’a? – zapytał Abu Zid. – Dunja? Zostają tu na noc?

– Będziemy państwa informować. Proszę teraz wracać do domów, a gdyby coś się państwu przypomniało, drzwi są otwarte.

Faktycznie były otwarte. Do pokoju wprowadzono grupę drobnych chuliganów w kajdankach. Ledwo przekroczyli próg, zaczęli gwizdać i skandować:

– Sar-ko mor-der-ca! Sar-ko mor-der-ca!

Funkcjonariusze CRS szturchali ich po głowach, żeby się uspokoili. Pod wystraszoną spojrzaniem małego Rayanne’a wyprowadzono ich do izby wytrzeźwień. Przechodząc obok Slima, jeden z nich skrzywił się z niesmakiem i skrzyżował wzrok z jego spojrzeniem, po czym zniknął za zakrętem korytarza.

Szukając ojca, Rayanne zaczął biegać jak oszalały po korytarzu. Jeden z funkcjonariuszy CRS złapał go w ramiona i szeroko się uśmiechnął.

– Dokąd tak pędzisz, mały?

Chłopiec popatrzył na twarz funkcjonariusza pod osłoną z pleksi, na jego wielkie dłonie w czarnych rękawicach, które wyglądały jak łapska King Konga, i zaniósł się cichym szlochem. Zadyszany po serii niełatwych zatrzymań policjant postawił go z powrotem na ziemi. Gdy tylko jego stopy dotknęły podłogi, mały znowu zaczął biegać tam i z powrotem w poszukiwaniu ojca.

– Tak to się zaczyna – mruknął funkcjonariusz CRS do kolegi. – Taki słodki i nieśmiały, a za dziesięć lat będzie do nas strzelać ze śrutówki. Ja nie mogę...

6

Nazir zatrzymał się przed witryną z białymi żaluzjami i olbrzymim migającym neonem: *Coiffeursalon*. Na drzwiach zamiast żaluzji wisiały ładne zasłonki w kratę i dzwonek. Gdy popchnął drzwi, zobaczył, że przyciągnął uwagę trzech spośród czterech osób przebywających w salonie. Zrozumiał, że ten czwarty to jego kontakt. Waldstein.

Stał przy kasie i sprawdzał faktury; miał na sobie równie nienaganny fartuch jak jego młodszy kolega, który pędzlem nakładał krem do golenia na twarz klienta przyglądającego się Nazirowi w przyciemnionym lustrze. Jakaś nastolatka z ustami niedomkniętymi z powodu aparatu ortodontycznego, rozwalona na fotelu z umywalką do mycia włosów, wertowała czasopismo, niczego nie czytając; rzuciła na nowo przybyłego spojrzenie pełne ni to intensywnej ciekawości, ni to krowiej obojętności.

– *Guten Abend* – powiedział Nazir do wszystkich obecnych, ale patrząc wyłącznie na dziewczynę.

Skóra pod jej migdałowymi, nagle spłoszonymi oczami zaczerwieniła się; klient (jej ojciec?) odpowiedział na słowa Nazira głosem zachrypniętym od długiego milczenia, jakie zapewne panowało w salonie przed tym późnym

i najwyraźniej niespodziewanym najściem.

Białe fartuchy obu fryzjerów przypominały stroje laborantów na siłę wciągniętych w jakiś podejrzany eksperyment; ten, który zajmował się klientem, pytająco kiwnął głową w kierunku Nazira.

Nazir jednym tchem wypowiedział pierwszą część zdania hasła:

– *Ich möchte mir das Haar schneidenlassen...*

Przez chwilę przyglądał się reakcji starszego fryzjera, stojącego nieruchomo przy kasie i skupionego na księdze rachunkowej, po czym dodał:

– *...den Bart überhaupt nicht.*

Najprawdopodobniej to z nim był umówiony, tyle że on wciąż nie reagował. Młodszy gestem zaprosił Nazira na fotel sąsiadujący z tym, na którym klient z namydloną twarzą czekał na golenie. Nazir nie chciał jednak zdejmować marynarki, za nic w świecie nie chciał zdejmować marynarki. Zaskoczony fryzjer próbował przyciągnąć uwagę szefa. Ten przymknął oczy, następnie oddalił się na zaplecze, odkręcił kran, poczekał na ciepłą wodę i energicznie umył ręce.

Kiedy wrócił, Nazir siedział od stóp do głów okryty białą peleryną, osłaniającą cały fotel wraz z podłokietnikami i nogą na kółkach. Szef otworzył szufladę pod marmurowym blatem, skąd na ślepo wyjął nożyczki i staroświecką brzytwę, której blask rozszedł się po całym salonie. Nazir nie przewidział, że będą mieli towarzystwo, co ich zmusi do odegrania tej komedii; zamiast pełnego strzyżenia poprosił o podcięcie włosów na karku i wokół uszu.

Pan Waldstein w rzeczywistości nie nazywał się Waldstein, a każda bruzda na jego kwadratowej, pozbawionej zarostu twarzy zdawała się nosić piętno wszystkich fałszywych nazwisk, którymi się posługiwał w swoim długim życiu tajniaka. Był krzepkim sześćdziesięciolatkiem z kurzajką w kąciaku lewego oka, sprawiającą, że jego lewa powieka opadała, a cała mimika odbywała się raczej po drugiej stronie twarzy. Miał dziwny nos, niemal równie szeroki na wysokości nozdrzy jak między oczami, ale nie tak potężny jak u bokserów, przypominający miękki placek pośrodku twarzy. Gdy przestawało się na niego patrzeć, już się nie pamiętało, jak wygląda.

Położył brzytwę przed Nazirem, jakby chciał go przestraszyć, a nożyczkami zabrał się do cieniowania czarnych włosów na głowie klienta. Nazir nie okazywał śladu zaniepokojenia, ale czas płynął. Powiedział Ibn Barace, że wróci za dwadzieścia minut: wkrótce minie dziesięć, a on wciąż czeka, aż zostanie sam z Waldsteinem, aby się z nim rozliczyć. Uzbroidł się jednak w cierpliwość, unikając patrzenia w lustrze na dziewczynę i skupiając wzrok na Waldsteinie na wypadek, gdyby ten złapał za brzytwę i usiłował mu poderżnąć gardło.

Wizja ta zdjęła go przerażeniem: czy zdoła wyswobodzić ramiona, żeby się bronić? Siedzący obok klient dostał do ręki lusterko, aby ocenić jakość golenia. Ze wszystkich stron obejrzał dokładnie podbródek. Waldstein skończył cieniowanie,

wziął do ręki brzytwę i przybliżył ją o kilka milimetrów do karku Nazira, który zadrżał.

– *Was machen Sie denn? Nur den Haarschnitt, hab'ich gesagt!*

Waldstein uśmiechnął się triumfalnie, spoglądając na niego w lustrze. Klient wstał, żeby odebrać marynarkę i zapłacić, dziewczyna ruszyła za nim. Kiedy zniknęli, Waldstein zwolnił swojego młodszego kolegę, który i tak wyglądał, jakby się bardzo śpieszył. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Nazir zerwał się z fotela i wrzasnął, przechodząc na francuski:

– Co to za cyrk, do kurwy nędzy? Mieliśmy być sami! Co to jest, klienci o północy?

– Nie wszystko da się w życiu skontrolować, młody człowieku – odpowiedział spokojnie Waldstein bez śladu akcentu. – Czasami pracujemy wieczorem, co prawda nigdy tak późno jak dziś, ale... Powiedzmy, że był to klient, któremu się nie odmawia.

Zdjął fartuch pod wściekłym spojrzeniem Nazira i zaprowadził go na zaplecze. Za szafą był ukryty olbrzymi sejf. Waldstein otworzył drzwi i wyjął pierwsze metalowe pudło. Postawił je na stole na środku pomieszczenia i otworzył, po czym poszedł po drugie. Pierwsze było wypełnione niewiarygodną liczbą banknotów po pięćset euro.

– Bez wygłupów, szybciej – warknął Nazir, podczas gdy Waldstein z trudem przytargał drugie pudło i zasapany postawił je na stole.

W drugim pudle była mniej więcej połowa tej liczby banknotów co w pierwszym. Poza tym metalowa walizka, do której można je było przełożyć, pistolet i paszport, na który Nazir zachłannie się rzucił.

– Nathaniel Assouline – przeczytał półgłosem. – Urodzony dwudziestego piątego września osiemdziesiątego trzeciego w Paryżu. Widzę, że potrzebuję jeszcze tygodnia, żeby mieć równie piękny zarost...

Waldstein pomógł mu w zapakowaniu metalowej walizki. Nazir wyjął z kieszeni komórkę.

– Jeszcze jeden ruch i będzie mat.

Waldstein stał z uśmiechem automatycznego pilota przyklejonym do twarzy.

– Mam nadzieję, że kiedy będą pisać moją biografię, ten rozdział zatytułują *Zuryski gambit*. Gra pan w szachy?

Waldstein pokręcił przecząco głową i wreszcie wykrztusił:

– Nie ma pan pojęcia, na jakie ryzyko się narażam...

– Dostaje pan za to pieniądze – odciął się Nazir. – I to całkiem niezłe.

– Jeśli pan sądzi, że robię to dla pieniędzy... O co chodzi z tym telefonem?

Nazir nie odpowiedział, tylko wybrał numer najbliższego komisariatu.

Dość biegłym niemieckim (głoskę *r* wymawiał z bawarskim akcentem) powiadomił policjantów, że w samochodzie przed bankiem, obok którego właśnie

się znajduje, siedzi dwóch facetów, którzy planują rabunek z bronią w ręce.

Tylnymi drzwiami Waldstein zaprowadził go na prywatny parking, na którym drzemały dwa samochody. Wsiadli do ogromnego czarnego bmw, Waldstein za kierownicę, Nazir na miejsce pasażera. Auto było wyposażone w miłą dla oka drewnianą deskę rozdzielczą i siedzenia pokryte luksusową beżową skórą. Przez minutę jechali długą alejką, aż znaleźli się po drugiej stronie kwartału domów, dwieście metrów od wejścia do banku.

7

Od sędziego Wagnera, który w końcu wrócił do Pałacu Sprawiedliwości, pułkownik Mansourd dostał polecenie, aby przedłużyć areszt tych, których nazywał „najbliższą rodziną”. Luna odjechała wraz z babką tak zmęczona, że nawet nie płakała. Pierwsze słowa Rabi’i na widok wchodzącego do pokoju pułkownika dotyczyły córki: kiedy będzie mogła się z nią zobaczyć?

– Niedługo, proszę się nie niepokoić.

– A z synem?

W odpowiedzi pułkownik tylko uniósł brwi. Usiadł na krześle na kółkach i zabrał się do czytania protokołu sporządzonego przez porucznika, który przeprowadził pierwsze przesłuchanie.

– Proszę pana, jestem śpiąca. Wszystko, co miałam do powiedzenia, powiedziałam już pańskiemu koledze. Tamten straszny człowiek uwięził mnie, nafaszerował narkotykami i... Naprawdę mam już dość, chcę się zobaczyć z synem, proszę mi przynajmniej powiedzieć, że nic mu nie jest!

Pułkownik odłożył papiery na stół.

– Oświadczyła pani, że nic nie wiedziała o relacjach między Abd al-Karimem a Nazirem. Nie wiedziała pani, że od miesiący codziennie do siebie wydzwaniiali, że Nazir regularnie dawał pani synowi pieniądze?

– Nie, ja sądziłam... Nie wiedziałam!

– Jak więc może pani wyjaśnić stojące w piwnicy konsole do gier? Nowe ciuchy? I wszystkie pozostałe skarby?

– Przecież ja nigdy nie schodziłam do piwnicy!

– Nigdy?

– Na głowy moich dzieci, niech na miejscu trupem padną, jeśli kłamię, nigdy w życiu nogi w piwnicy nie postawiłam! Zazwyczaj w piwnicy niczego nie ma. Przysięgam, nie mam pojęcia, co oni tam wyprawiali z Wielkim Momo. Zresztą ja się strasznie boję myszy – dorzuciła z rozbrajającą szczerością.

Pułkownik zapisał dwa słowa na skraju kartki.

– Kto to taki, Wielki Momo?

Rabi’a zagryzła wargi.

– To kolega Karima. Ale on nie ma nic wspólnego z...

– Pełne imię i nazwisko?

– Chyba nie będziecie...

Wystarczyło, że pułkownik westchnął.

– Mohammed, Mohammed Balajdi. Ale przysięgam, *zarma*, nie ma grzeczniejszego chłopaka niż Wielki Momo...

– Jestem pewien, że nie ma również grzeczniejszego chłopaka niż Abd al-Karim. Adres?

– Mieszka nad Bellevue, przy ulicy Forges dwadzieścia cztery.

Mansour nagle zmienił temat.

– Co pani mówi słowo SRAF?

– Słucham?

Rabi'a ręką przeczesła kręcone włosy i zasłoniła nimi oczy, jakby nie chciała patrzeć na otaczający ją koszmar.

– SRAF. Nigdy nie słyszała pani słowa SRAF?

– *Sraf?* – powtórzyła z kabylskim akcentem.

Pułkownik wyglądał na zainteresowanego.

– Po kabylsku *sraf* to znaczy nerwy, gniew. Mieć *sraf* to znaczy dać się ponieść nerwom, wpaść w gniew.

Mansour miał zamiar podrażnić ten ciekawy temat, ale zadzwoniła jego komórka. Słyszając podniecony głos sędziego Wagnera, wyszedł z pokoju.

– Pułkowniku, Maulud Ibn Baraka został zatrzymany przez szwajcarską policję pod bankiem w Zurychu. Na podstawie anonimowego telefonu. Siedział w samochodzie ze współnikiem, niejakim Farisem. W schowku pod przednią szybą policjanci znaleźli parabellum kaliber dziewięć, takie samo jak u szczeniaka. No i najlepsze: na rękojeści są wygrawerowane litery SRAF. Dało to do myślenia jednemu ze szwajcarskich policjantów, który na szczęście oglądał wiadomości w telewizji.

– Ani śladu po Nazirze?

– Coś mamy. I to raczej dobrą nowinę. Ibn Baraka nie chce puścić farby, ale jego współnik, Faris, najwyraźniej jakiś pomagier, w końcu przyznał, że Nazir wybiera się do Hamburga. Że ma tam być jutro o siódmej rano. Według policjantów są szanse, że chłopak pęknie i powie coś więcej. Zabieram się do wystawienia wniosku o pomoc prawną, a pan niech dalej grilluje rodzinę. Czy technicy już skończyli zakładanie podsłuchów?

– W mieszkaniu matki szczeniaka tak. Zostaje jeszcze mieszkanie matki tego drugiego, Nazira. Moim zdaniem areszt jednej i drugiej należy przedłużyć przynajmniej do jutra wieczór...

– Już o tym rozmawialiśmy, pułkowniku. Przepraszam, mam teraz inne sprawy na głowie.

Mansour rozłączył się i zamyślił, zanim wrócił do celi, w której siedziała

Rabi'a. Nie podzielał entuzjazmu Wagnera co do śladu hamburskiego: zbyt łatwo się to układało.

Zaczął się zastanawiać nad tym, co Rabi'a mu powiedziała o słowie SRAF. Wszyscy analitycy szukali jakiegoś skrótu, a wystarczyło zapytać któregoś z członków rodziny Nazira. Niewykluczone, że śledztwo DCRI było prowadzone jeszcze bardziej niedbale, niż początkowo sądził.

Z izby wytrzeźwień dobiegały wrzaski. Komisarz przyszedł powiadomić Mansourda, że dwa kolejne furgony CRS wiozą nowych aresztantów.

– Od dawna czegoś takiego tutaj nie widzieliśmy – zauważył. – Ostatni raz to było chyba podczas zamieszek w dwa tysiące piątym. Jak pan myśli, tym razem będzie podobnie?

Mansourd nie odpowiedział. Komisarz ciągnął, ocierając spocone czoło:

– Wszystkie te dzikusy myślą, że Szawisza zamordował Sarkozy! Chciałbym zobaczyć ich gęby, kiedy się zorientują, że to zrobił ktoś od nich... Przesną wtedy wrzeszczeć o spisku.

Tymczasem wyzwiska pod adresem Sarko niosły się po wielu komisariatach w całej Francji. Mansourd poszedł zerknąć na tych chłopaków, którzy pięściami walili w szyby celi. Następnego dnia wszyscy staną przed miejscowym kolegium do spraw wykroczeń. Wystarczy jedna taka noc, by żądanie *przykładnego* ukarania chuliganów stało się powszechne.

– *Sraf* – mruknął Mansourd pod nosem na widok rozwścieczonych śniadych twarzy nastolatków, tuzinami zgarnianych do paki.

Idący za nim komisarz nie dosłyszał. Mansourd obrócił się w jego stronę, aby odpowiedzieć na pytanie, które tamten zadał dwie minuty wcześniej.

– Nie będzie jak w dwa tysiące piątym, będzie gorzej, a wie pan dlaczego? Bo tym razem to nie jeden z nich padł ofiarą faktycznego czy rzekomego nadużycia ze strony policjantów, ale ktoś, kto im obiecał, że takie rzeczy już nigdy nie będą się działy, a oni mu uwierzyli. Zabito ich prezydenta, komisarzu. Po raz pierwszy dali się wkręcić, przecież zna pan liczby równie dobrze jak ja: dziesiątkami tysięcy wpisali się na listy wyborcze, a teraz ich nadzieje legły w gruzach. O nie, może mi pan wierzyć, będzie znacznie gorzej niż w dwa tysiące piątym.

Jeden z chuliganów, wyjątkowo rozgorączkowany, kopnął w drzwi i zaklął pod adresem dwóch policjantów, którzy patrzyli na nich jak na małpy w cyrku. Zrozumiawszy, że to nic nie da, odcharknął i splunął na szybę, budząc entuzjastyczne okrzyki swoich kumpli i zmuszając stróżów prawa, aby weszli do klatki i pałami zaprowadzili spokój.

8

W pokoju, w którym przesłuchiowano Fu'ada, nie działała klimatyzacja. Sierżant wygrzebał stary wentylator, ale nie zdołał go uruchomić. Otworzył więc

okno; choć pokój mieścił się na pierwszym piętrze, policjanci nie mieli żadnych obaw, bo okno było zakratowane. Za nim rysował się czubek świerka stojącego nieruchomo w parnej, bezwietrznej nocy. W pewnym momencie ciszę zakłóciło cykanie świerszcza. Zasadniczo w pokoju było cicho: Fu'ad odmawiał odpowiedzi na pytania przesłuchujących. Od kilku godzin siedział w milczeniu; świadom swoich praw, nie odzywał się ani słowem pod nieobecność adwokata.

Pułkownik Mansour pchnął drzwi i gestem wywołał porucznika na korytarz. Fu'ad słuchał równomiernego piłowania świerszcza, z pogardą myśląc o pierwszym wierszoklecie, któremu przyszło do głowy, by ten natarczywy, tępy dźwięk uznać za metaforę śpiewu.

– Wciąż nic? – zapytał Mansour.

– Nic. Nie chce mówić bez adwokata. Twardy z niego zawodnik.

Mansour wszedł do pokoju i dał znak drugiemu policjantowi, żeby też się wyniósł. Kiedy już został sam z Fu'adem, usiadł przed komputerem i włączył Internet.

– Podobno jesteś aktorem? Moi koledzy widzieli cię w jakimś serialu. Cóż, sprawdźmy, co nam powie ciocia Wiki... *Bohater meczu*. „Odkrycie serialu, Fu'ad Narrusz...”. I tak dalej, i tak dalej... Nie będziemy wszystkiego czytać, zresztą telewizja to nie nasz problem. Bo nasz problem, a właściwie nasze *równanie* wygląda następująco. – Na chwilę zamilkł i uniósł wyprostowany kciuk, jakby zaczynał wyliczanie. – A więc bohater meczu spotyka się z córką prezydenta. Zaś brat bohatera meczu organizuje zamach na życie prezydenta. Nadażasz?

Fu'ad chciał odpowiedzieć, że nie znają się na tyle, by Mansour mówił do niego per ty. Powstrzymał się jednak. Ten brodaty superglin w czarnym T-shircie nie przestawał go intrygować. Hipoteza, że on, Fu'ad, mógłby być powiązany ze spiskiem, bo spotykał się z Jasminą, dotychczas nawet nie przemknęła mu przez myśl. Teraz jednak wersja ta wydawała się przerażająco wiarygodna, jeśli przyjąć punkt widzenia tych ludzi.

– Posłuchaj – ciągnął Mansour, zaciskając pięść. – Nie będę owijać w bawełnę: ustawodawstwo antyterrorystyczne jest tak skonstruowane, że zarówno ciebie, jak i całą twoją rodzinę mógłbym jutro kazać doprowadzić przed oblicze sędziego śledczego. Wystarczy, że go poproszę o wystawienie nakazu, a już o ósmej rano pakuję was wszystkich do radiowozu i wiozę do Pałacu Sprawiedliwości. Masz pojęcie, co będzie dalej?

Fu'ad musiał spuścić wzrok, żeby tym razem również nie odpowiadać.

– Sędzia może postawić wam wszystkim zarzut udziału w zorganizowanej grupie w celu popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym. Może podjąć decyzję o tymczasowym aresztowaniu, które w przypadku czynu terrorystycznego może trwać nawet trzy lata. Trzy lata w więzieniu o zaostrzonym rygorze we Fleury-Mérogis, w otoczeniu najgorszych bandziorów. Wasi adwokaci

będą krzyczeć, że to skandal, a wtedy sędzia do spraw swobód i zatrzymań uchyli decyzję o tymczasowym aresztowaniu wobec większości spośród was. Jednak najbliżsi członkowie rodziny Nazira i Karima, czyli ty, twój brat Slim, twoja matka i ciotka Rabi'a nie wywiniecie się tak łatwo.

Fu'ad, który uprzednio starał się nie słyszeć cykania świerszcza, teraz usiłował skupić się tylko na nim.

– Jak sobie wyobrażasz te trzy lata tymczasowego aresztu? Będzie tak: co cztery miesiące, tuż przed upływem terminu, sędzia śledczy ponownie wezwie was do siebie na przesłuchanie. Powiecie, że o niczym nie wiecie i niczego złego nie zrobiliście, więc sędzia śledczy przekaze sprawę sędziemu do spraw swobód i zatrzymań, żeby przedłużył wasz areszt. A najgorsze nie jest ani to, że będziecie siedzieć w więzieniu, ani że entuzjazm komitetu wsparcia powołanego przez waszego adwokata kiedyś zwiędnie, ani że z biegiem czasu media zaczną marzyć, by osoby odpowiedzialne za śmierć ich ukochanego prezydenta Szawisza gniły w więzieniu do końca swych dni. Nie, nic z tego nie jest najgorsze. Najgorsze to mała Luna.

Fu'ad podniósł wzrok i spojrział w osłupieniu na pułkownika.

– Nie masz co robić takiej miny. Zaraz po postawieniu twojej ciotce zarzutów Luna zostanie przekazana opiece społecznej i oddana do rodziny zastępczej. Wiem, co teraz powiesz: że może się nią zająć twoja babka. I być może nawet masz rację, jednak szczerze mówiąc: bez urazy, ale nie odniosłem wrażenia, aby niewinni członkowie rodziny palili się do ponoszenia kosztów całej tej imprezy. Wydało mi się raczej, że mają do was potężne pretensje. Istnieje zresztą inne rozwiązanie. Jeśli nadal będziecie odmawiać składania zeznań, opóźnimy przekazanie sprawy sędziemu i będziemy przedłużać wasze zatrzymanie o kolejne czterdzieści osiem godzin i kolejne... Aż w końcu nam powiecie to, czego chcemy się dowiedzieć.

– Przecież my nic nie wiemy! – wybuchnął wreszcie Fu'ad.

– Tak nie ma, każdy coś wie. Nie miałeś żadnych podejrzeń? Wątpliwości? Nie wierzę, że cała rodzina ani przez chwilę nie zastanawiała się, co kombinują Karim z Nazirem... A do tego ty, który spotykasz się z córką Szawisza, no kurwa mać, przecież to jawna kpina!

– Pan nie wie, o czym mówi... Ja...

– Słucham?

Fu'ad zorientował się, że cokolwiek powie, będzie za dużo: zrzucając winę na Nazira, pograży całą rodzinę. Przecież Nazir jest jej częścią, podobnie jak ten absurdalny świerszcz jest częścią nocy.

– Odmawiam składania zeznań, dopóki nie zobaczę się z adwokatem.

– Świetnie.

Pułkownik przeciągnął się i zacisnął pięści.

– Jeszcze kilka lat temu udział w zorganizowanej grupie w celu popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym podlegał karze więzienia do lat dziesięciu. Zgodnie z ostatnią nowelizacją ustaw dotyczących bezpieczeństwa wewnętrznego kara ta uległa zaostrzeniu do lat dwudziestu. Nie będziecie oczywiście siedzieć dwadzieścia lat, może tylko cztery lub pięć pomimo okoliczności obciążających, czyli udziału w zabójstwie pierwszego arabskiego prezydenta naszego pięknego kraju. Z dobrym adwokatem posiedzenie może jedynie rok czy dwa, a z bardzo dobrym ani jednego dnia. Tyle że w oczekiwaniu na proces spędzicie w tymczasowym areszcie jakieś trzy lata. Dostaniecie od państwa odszkodowanie, co odbije się szerokim echem w mediach. Odsiedzicie w więzieniu trzy lata kompletnie bez sensu. Dla wielkich tytułów w prasie. A następnego dnia Sarkozy, ponownie wybrany na urząd prezydenta, palnie jakąś głupotę lub media opublikują wideo szympana w muszce grającego *Marsyliankę* na flecie poprzecznym, a z głośnego skandalu, który budził emocje poprzedniego dnia, ze skandalu waszego życia nie pozostanie nawet ślad. Więc koniec żartów, panie aktorze. Nie gramy tutaj w króla milczenia. Pokazałeś, że potrafisz trzymać dziób na kłódkę przez dwie, trzy godziny. Zobaczymy, jak się będziesz czuł za siedemdziesiąt dwie godziny. Tak, tak, przy sprawach związanych z terroryzmem możemy cię zatrzymać na trzy doby bez widzenia z adwokatem. Skądinąd brawo, umiesz milczeć i grać twardziela, super, mógłbyś dostać Złotą Palmę w Cannes. Tyle że tutaj nie robimy żadnego castingu. Tutaj jest świat rzeczywisty. A świat rzeczywisty polega na tym, że jeśli nadal będziesz odgrywać tę komedię, za dziesięć dni twoja kuzyneczka wyląduje w rodzinie zastępczej, zaś twój młodszy brat Sulajman w pierdlu. A ten twój braciszek wydał mi się... jak by tu powiedzieć... odrobinę wydelikacowany, jeśli wiesz, co mam na myśli...

Pułkownik zamilkł i rzucił na Fu'ada spojrzenie tak intensywne, jakby jego milczenie miało zapowiadać najgorsze katastrofy.

Fu'ad był równie intensywnie skupiony. Poruszał zuchwą, lecz jego usta pozostawały zamknięte, zęby zaciśnięte. Nagle przez jego twarz przebiegł długi dreszcz, w którym wyrażała się i koncentrowała cała rozterka, którą odczuwał. W chwili najwyższego napięcia jego nozdrza zwężyły się. Gdy napięcie zelżało, Fu'ad zamknął oczy, wyprostował się na krześle, po czym głośno i wyraźnie powtórzył:

– Odmawiam składania zeznań, dopóki nie zobaczę się z adwokatem.

Poniedziałek

Rozdział 5

Łuk kupidyna

1

Zdecydowane zwycięstwo Szawisza zeszło oczywiście na drugi plan – zarówno w prasie krajowej, jak i zagranicznej – na skutek tragedii, która dotknęła prezydenta elekta. Mówiono o trzęsieniu ziemi o sile dziesięć w skali Richtera, o powtórce z jedenastego września w wersji francuskiej. Na pierwszych stronach gazet zdjęcia zamachu rywalizowały ze wskaźnikami giełdowymi, które poleciały na łeb na szyję. W najnowszym numerze „Libération” cała pierwsza strona była czarna. Na całym świecie wstępniaki przywoływały widmo „Republiki pozbawionej głowy”.

We Francji głównym tematem porannych audycji radiowych, obok naznaczonej goryczą koronacji faworyta mediów w wyścigu do Pałacu Elizejskiego, był bilans „pierwszej nocy zamieszek”, który wszystkie stacje bez namysłu i skrupułów porównywały do rozruchów z jesieni dwa tysiące piątego roku. Tylko po nocy z niedzieli na poniedziałek doliczono się dwóch tysięcy stu pięćdziesięciu podpalonych samochodów, około trzydziestu zaatakowanych budynków publicznych, zdewastowanych pomieszczeń dwóch młodzieżowych domów kultury na przedmieściach Paryża, a przede wszystkim kompletnie zniszczonego żłobka na północ od Grogny, pod który chuligani podłożyli ogień. Przed kamerami palono trójkolorowe flagi, obrzucano kamieniami radiowozy, do niektórych nawet strzelano pociskami dużego kalibru. W kolegiach do spraw wykroczeń przez cały dzień kłębiły się tłumy ludzi.

Publicyści zwracali uwagę, że w dwa tysiące piątym dopiero po tygodniu grabieży odnotowano taki poziom brutalności. Profesjonaliści z branży medialnej zachowywali się tak, jakby komentowali wyniki spodziewanego czempiona box office’u sal kinowych w następnym tygodniu, zestawiając je z wynikami *Wielkiej włóczędzy* lub *Titanica* tydzień po ich wejściu na ekrany: zapowiadali taką pożogę, jakiej kraj nie zaznał od czasu epizodów wojny domowej, które wydawały się równie odległe w czasie jak Komuna Paryska i miały równie małe znaczenie. Rozruchy dotyczyły zresztą jedynie ubogich dzielnic na paryskich przedmieściach i w kilku miastach na prowincji. Wszyscy się zastanawiali, czy prezydent Republiki, którego kadencja upływała kilka dni później, skieruje do rządu wniosek o wprowadzenie na tych obszarach stanu wyjątkowego.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oświadczyło, że sytuacja jest pod kontrolą i nie wymaga żadnych szczególnych środków, jednocześnie prosząc media, aby nie dolewały oliwy do ognia. W porannych debatach pojawiło się kilka kąśliwych komentarzy pod adresem premiera François Fillona, który od

„wydarzeń” z poprzedniego dnia pozostawał w ukryciu. Kadencja prezydenta Sarkozy’ego upływała dopiero siedemnastego maja, czyli dziesięć dni później; do tego czasu rząd musiał kierować bieżącymi sprawami kraju. W szeregi większości parlamentarnej wkradła się jednak panika; nigdy dotąd bowiem nie było tak oczywiste jak w ów poniedziałkowy poranek, że prawdziwym szefem rządu jest Marie-France Vermorel, minister spraw wewnętrznych, terytoriów zamorskich, samorządów terytorialnych i imigracji.

Po pięciu latach sarkozizmu ta, która była głównym strategiem zwycięstwa odniesionego w dwa tysiące siódmym roku, okazała się najskuteczniejszą bojowniczką na rzecz Sarkozy’ego po jego wyborze na najwyższe stanowisko w państwie. To jej zawdzięczał „popularyzację” swojej narracji oraz zdobycie głosów skrajnej prawicy; w chwili, gdy wszyscy opuszczali tonący okręt, ona jedna pozostała wierna dotychczasowemu prezydentowi.

2

Wbrew pozorom to właśnie jej oddanie służbie publicznej sprawiło, że nazajutrz po zamachu przystąpiła do działań w sferze medialnej. Choć cały poranek spędziła na bieganiu od stacji do stacji, pod koniec dnia wyglądała na osobę najmniej wykończoną spośród wszystkich członków rządu, który zasadniczo doszedł już do fazy terminalnej. Jej przezwisko „premier bis” nigdy nie było tak zasłużone, pomyślał Montesquiou, stojąc nieruchomo w półmroku kulis kolejnej stacji telewizyjnej z ręką zaciśniętą na gałce laski.

France 2 zdecydowała się na wykorzystanie studia wyborczego z poprzedniego wieczoru, skąd teraz nadawała niekończące się wydanie specjalne. Siedząc naprzeciw całej czeredy specjalistów, którzy nie ośmielali się odezwać, Vermorel minimalizowała znaczenie nocnych zamieszek. Dopiero prowadząca, upomniana z reżyserki przez słuchawkę w uchu, postanowiła się wtrącić.

– Przepraszam, że przerywam, pani minister, ale mamy bezpośrednie połączenie z Pałacem Sprawiedliwości, gdzie właśnie rozpoczyna się konferencja prasowa prokuratora Lamiela...

Vermorel wyprostowała się, wyraźnie dotknięta. Gdy na kogoś kierowała wzrok, słychać było trzask przeładowywanej broni palnej. Nawet widzowie siedzący po drugiej stronie szklanego ekranu mogli odnosić wrażenie, że naczelną policjantka Francji trzyma ich na muszce; gdyby tak było faktycznie, Francja pod rządami Vermorel byłaby równie przerażająca jak pluton egzekucyjny mierzący do sześćdziesięciu pięciu milionów podejrzanych...

Zacisnęła węzeł pomarańczowej apaszki, myśląc ze smutkiem, że nie zdążyła wygłosić swojego ostatniego zdania, i uniosła podbródek w kierunku wielkiego monitora połączenia dupleksowego z nadzieją, że nikt jej nie każe komentować wystąpienia prokuratora ani odpowiadać na pytania o jej relacje

z ministrem sprawiedliwości – byłym zwolennikiem Chiraca, który między pierwszą a drugą turą zdradził rząd, oznajmiając, że „uwiódł” go zaproponowany przez Szawisza program reformy sądownictwa.

Prokurator Lamiel stał przed niesłuchanie wyrafinowanym rzutnikiem. Jego genetycznie zmodyfikowana gruszkowata głowa skwapliwie potakiwała każdej wskazówce technika, który pomagał mu w obsłudze komputera. Z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć, że sala prasowa Pałacu Sprawiedliwości nigdy nie była tak zatłoczona. Lamiel musiał parokrotnie przerywać wystąpienie, czekając, aż ucichnie wrzawa wśród fotografów i kamerzystów, którzy przepychali się i przewracali krzesła. Oświadczył, że zatrzymany „zamachowiec” usłyszy następujące zarzuty: usiłowanie zabójstwa osoby zajmującej stanowisko publiczne (dobrze usłyszeliście, Szawisz nadal żyje, zdawał się sugerować prokurator, znacząco unosząc brwi) wraz z mocno obciążającą okolicznością, jaką stanowi dokonanie czynu terrorystycznego, a także udział w zorganizowanej grupie w celu popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym.

Finałowym akordem konferencji prasowej była oczywiście projekcja listu gończego za Nazirem Narruszem, lat dwadzieścia dziewięć, narodowości francuskiej, metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, oczy czarne, podejrzanym o kierownictwo sprawcze zamachu na kandydata Szawisza, uzbrojonym i niebezpiecznym, ściganym na podstawie europejskiego nakazu aresztowania.

Podczas gdy Francja i cały świat po raz pierwszy miały okazję zobaczyć na zdjęciu paszportowym wielkie, szalone, niemal pozbawione białek oczy Nazira i jego wydłużoną, spiczastą, łysą czaszkę, podczas gdy Francja i cały świat zamarły w zadziwieniu, że wrogiem publicznym numer jeden może być tak młody, czysty, pozbawiony zarostu człowiek, niemający nawet „typowo” północnoafrykańskiego wyglądu, Nazir jechał prowadzonym przez współnika samochodem po niemal pustej autostradzie, której jaskrawożółte linie wymalowane na jezdni oraz niemieckie tablice informacyjne zaczynały wyraźnie pogarszać mu nastrój.

Po zakończeniu konferencji prasowej Waldstein wyciągnął rękę, żeby wyłączyć radio, ale Nazir ubiegł go, równocześnie rzucając zaniepokojone spojrzenie w lusterko i zastanawiając się, czy szary sedan jadący za nimi od dziesięciu kilometrów to ten sam samochód, który zauważył już przy wyjeździe z Zurychu.

– Ciekawe, które z moich zdjęć wybrali – powiedział, zmieniając temat.

Waldstein milczał. Zaczynał ziewać. Na tylnym siedzeniu sedana pojawiła się sylwetka drugiego człowieka.

– Proszę skręcić w najbliższy zjazd – rozkazał Nazir Waldsteinowi.

– Czy pan oszalał! Będziemy musieli zawrócić i stracimy mnóstwo czasu...

Już raz kazał mi pan zawracać i proszę spojrzeć, która jest godzina!

Nazir nerwowo postukiwał palcami po tablicy rozdzielczej.

– No już, szybko! Proszę zjechać w ostatniej chwili!

Waldstein posłusznie skręcił w ostatniej chwili. Nazir kazał mu zwolnić, odwrócił się i zobaczył, że szary sedan już za nimi nie jedzie.

3

Po powrocie ze studia telewizyjnego, gdzie w końcu nie poproszono jej o komentarz po konferencji prasowej prokuratora, Vermorel przyjęła u siebie w gabinecie małego szarego człowieczka o twarzy przeoranej dwiema długimi bruzdami przypominającymi szramy.

Ów człowieczek w wytartym garniturze pracował w DCRI, gdzie prowadził tajne operacje, kierując już nieistniejącą sekcją do spraw medialnych już nieistniejącej DCRG. Jego rola polegała nie tyle na inwigilacji prasy, ile na dostarczaniu prawdziwych plotek i fałszywych sensacji dziennikarzom, którzy cieszyli się jego łaską lub niełaską. Żaden dział prasowy żadnego innego ministerstwa nie mógł rywalizować pod względem wiedzy i posiadanych sieci informatorów z tym asem wywiadu, którego nazwisko zawsze pozostawało w cieniu. Montesquiou, siedzący obok niego naprzeciw wystawnego biurka pani minister z inkrustowanego złotem mahoni, nie odrywał pogardliwego wzroku od drobnych, poplamionych atramentem dłoni specja do spraw medialnych.

Rozmowa była krótka, a jej cele zostały szybko nakreślone: w zamian za wyłączny dostęp do najgorętszego materiału prasowego szef pewnego serwisu miał się zobowiązać, że przez kilka tygodni nie będzie publikować dalszych rewelacji uzyskanych w wyniku śledztwa dziennikarskiego, które mogły zdyskredytować najważniejszą w tej chwili formację policyjną.

Tą formacją była Centralna Dyrekcja Wywiadu Wewnętrznego.

Zaś szefem serwisu – Xavier Putéoli.

Kwadrans później z ust człowieczka z już nieistniejącej Centralnej Dyrekcji Wywiadu Ogólnego, który zadzwonił z budki położonej o dwa kroki od placu Beauvau, Putéoli dowiedział się, o jaki materiał chodzi.

– Dostanie pan nakręcone potajemnie wideo z zatrzymania.

Putéoli, który początkowo nie chciał się zgodzić na żaden kompromis, długo milczał, nie tyle rozważając wszystkie za i przeciw, ile radując się w duchu na myśl, co pierwszeństwo w publikacji tego wideo będzie oznaczać dla serwisu Avernus.fr.

Konferencja prasowa prokuratora nie przyniosła żadnych szczegółów dotyczących zamachowca poza jego imieniem, które wszyscy i tak już znali. Wielkie stacje telewizyjne zmobilizowały swoich najlepszych dziennikarzy śledczych, którzy dotarli do pełnego nazwiska i adresu owego „Abd al-Karima”. Wszystkie telewizje puszczały więc na okrągło zdjęcia spod numeru szesnaście przy ulicy de l'Éternité, choć chwilowo nic się tam nie działo. Na zadawane

pytania okoliczni mieszkańcy przyoblekali pełen zakłopotania i niedowierzania wyraz twarzy, charakterystyczny dla sąsiadów osób, na które z dnia na dzień spadła jakaś tragedia: opisywali Karima jako chłopca nieśmiałego, który może zrobił w życiu parę głupstw, ale często bywał pomocny i usłużny. A rodzina Narruszów w sposób naturalny stała się chimerą, równie fikcyjną jak jednorożce i wiedza oparta na horoskopach: „rodziną, w której nigdy nic się nie działo”.

Po redakcjach krążyła już pogłoska, że zamachowiec to kuzyn Fu’ada Narrusza, *Bohatera meczu*, ale na razie nikt nie opublikował tej informacji. Jeśli chodzi o wideo z zatrzymania, była to kwestia godzin, wręcz minut: sąsiedzi zaczną w końcu dzwonić do gazet, a filmiki nagrane komórkami osiągną niebotyczne ceny. Chwilowo jednak stacje telewizyjne nie miały niczego do zaproponowania z wyjątkiem obrazów pustego budynku i spektakularnych przebitek na sceny z zamachu, które Putéoli właśnie przeglądał u siebie w biurze.

Istniało siedem różnych wersji: te nakręcone przez stacje telewizyjne, które filmowały kandydata wychodzącego z lokalu wyborczego, oraz te nagrane telefonami komórkowymi, na których widać było przede wszystkim panikę i chaotyczne ruchy tłumu po wystrzale. Na żadnym jednak nie było widać twarzy kandydata. Zatrzymując w odpowiednim momencie nagranie France 24, można było domyślić się purpurowego rozbryzgu krwi po lewej stronie ekranu, ale ujęcie pokazywało przede wszystkim tors Karima, unoszącego ramię i oddającego strzał. Brak obrazu zmasakrowanej twarzy ofiary perwersyjnie zapewniał olbrzymi sukces nagraniu, podobnie jak kiedyś działo się z filmami, na których widać było wyskakujące przez okna ofiary zamachu z jedenastego września: wyglądało to strasznie, ale można było oglądać je i oglądać bez końca; byłoby to absolutnie niemożliwe, gdyby filmy kończyły się widokiem roztrzaskanych na bruku, rozkawałkowanych ciał, widokiem zbyt koszmarnym, by na niego patrzeć.

Putéoli zgasił ekran komputera i wrócił do rozmowy telefonicznej.

– Zgoda – powiedział głosem, w którym pobrzmiwał trudny do ukrycia triumf.

4

Xavier Putéoli był niski i niezgrabny, zawsze ubrany w kamizelkę, blezer i muszkę. Miał błyszczące policzki, złośliwe oczy o fałszywym spojrzeniu i uśmiech wiecznego studenta szkoły handlowej – choć nigdy jego stopa w szkole handlowej nie stanęła. Należał do tych facetów, którzy słodkim, ugrzecznionym tonem mówią „Ach, jakże mi miło” i ściskają dłoń rozmówcy, zanim jeszcze zaczną z nim rozmawiać, a nawet zanim w ogóle go dostrzegą. Bez przerwy się uśmiechał, ale nigdy oczami: jego przymilne zachowanie potrafiło uspić, podczas gdy on sam ani na chwilę nie tracił czujności, spoglądając na rozmówcę z niepokojem i jakąś niewytłumaczalną niechęcią, która kazała mu spuszczać

wzrok, gdy tylko krzyżował się ze spojrzeniem jego vis-à-vis.

Urodzony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym w Mostaganem, przybyły do Francji dwa lata później, w sześćdziesiątym ósmym roku był w klasie maturalnej; wziął udział w studenckiej rewolcie, ale nigdy nie zdołał stanąć na czele choćby najmniejszego komitetu. Od chwili, gdy na zebraniu jakiś burżujski maoista nazwał go „niedojebanym upierdliwcem”, na śmierć i życie znienawidził francuską lewicę z jej jaśniepańskimi, wyniosłymi, uwodzicielskimi manierami. Został dziennikarzem politycznym w „Le Point”, gdzie pracowicie pokonywał kolejne szczeble za cenę tysięcy zdrad i upokorzeń, o których do dziś zaświadczał jego umykający wzrok. Gdy nie udało mu się dochrapać stołka redaktora naczelnego tygodnika, w którym uczył się zawodu, założył serwis internetowy „swobodnego” dostępu do informacji; dzięki niemu zdołał przyciągnąć wszystkich tych, „od prawa do lewa”, którzy mieli dosyć „szklanego sufitu politycznej poprawności”.

Serwis Avernus.fr okazał się szczytem jego kariery i najwspanialszym osiągnięciem. Łacińska, zaczerpnięta z Wergiliusza dewiza serwisu brzmiała: *facilis descendus Averni*, co można przetłumaczyć jako: nic łatwiejszego jak zejść do piekieł, nic łatwiejszego jak popaść w ruinę moralną. Aby się przed tym uchronić, poślubił bogatą Normandkę z tytułem, blondynkę, katoliczkę, skromną i bezbarwną, która urodziła mu pięcioro blond dzieci, należycie białych i ochrzczonych; najmłodsze z nich, Tristan, właśnie usiłowało się do niego dodzwonić.

Nie odebrał telefonu, gdyż przez żaluzje swojego gabinetu zobaczył wbiegającą do open space’u energiczną sylwetkę dziennikarki, autorki materiału o DCRI i prefekcie Boulimierze. Wyłączył ekran komputera, szykując się na spotkanie z Marieke Vandervroom, która pojawiła się w swej nieśmiertelnej kurtce ze świńskiej skóry. W przeciwieństwie do innych dziennikarzy jak zwykle nie zadała sobie trudu, by choćby zapukać do drzwi czy porozmawiać przez chwilę o dupie Maryni: wpadła jak furia z dymiącymi nozdrzami, po czym cisnąwszy torbę i moto-cyklowy kask na krzesło, z nieoczekiwaną wściekłością potrząsnęła komórką.

– To jakiś żart? – warknęła swym pięknym głosem, niskim i zachrypniętym.
– Pięć miesięcy śledztwa, a ty z dnia na dzień zawieszasz publikację? I zawiadamiasz mnie o tym esemesem? *Esesemesem?*

Trzydziestopięcioletnia Marieke nie była zatrudniona w redakcji Avernus.fr. Dawno już uznała, że tylko praca na warunkach wolnego strzelca pozwala na prowadzenie uczciwych śledztw dziennikarskich. Proponowała więc swoje materiały różnym gazetom, które pokrywały koszty i korzystały z jej umiejętności węszenia, nie musząc znosić jej wstrętnego charakteru.

– To nie takie proste – próbował miękko łagodzić Putéoli.

– Nie takie proste! – wrzasnęła Marieke. – Rozpracowuję najbardziej tajną

grupę śledczą w służbach zwalczających terroryzm, a w dniu publikacji artykułu ktoś dokonuje zamachu na kandydata na prezydenta! No i zupełnie przypadkiem...

Nie dokończyła zdania.

Początkowo chodziło o opisanie nieprzejrzystego funkcjonowania FBI Sarkozy'ego, później Marieke wpadła na trop grupy przeprowadzającej operacje specjalne, która, choć formalnie nie istniała, była podporządkowana bezpośrednio Boulimierowi, a więc zapewne zajmowała się inwigilacją Nazira Narrusza. Cały materiał podzielono na cztery części, aby zapewnić lepszą czytelność załączonych dowodów.

– Postarajmy się uspokoić, Marieke. Usiądź, proszę.

Lecz Marieke nie przyjęła propozycji. Wściekle wypięła pierś. Jej szeroka jak ocean twarz nagle nabrała ceglastej barwy ojczystej Flandrii. Putéoli ponownie włączył ekran komputera. Nie chcąc widzieć iskier sypiących się z oczu Marieke – wielkich jak u psa husky, a jeszcze powiększonych przez gniew – udawał, że czyta e-maila.

– Przepraszam – podjął, jakby właśnie skończył czytać. – Posłuchaj, Marieke, to tylko drobne przesunięcie w czasie, nie ma powodu tak tego przeżywać.

– W pierwszym artykule nie ma niczego! Ani o Boulimierze, ani o podsłuchach założonych Nazirowi Narruszowi!

– I tak jest dość, żeby nas oboje postawić przed sądem.

– Gówno prawda! Zaledwie pokazujemy nieprzejrzystość działań firmy i jej schemat organizacyjny za trzy grosze, to tylko jakaś *zasrana fiszka do Wikipedii!* Przecież nie możemy na tym poprzestać, to kompletny absurd!

– Nigdy nie mówiłem, że nie opublikujemy reszty, przestań bredzić, daj mi tydzień, tylko tydzień, to jeszcze nie koniec świata... Pozwól, że cię oświecę: o ile mi wiadomo, za fiszkę do Wikipedii nikt nie ląduje w pudle. Natomiast za ujawnienie tajemnicy wojskowej w postaci schematu organizacyjnego DCRI, i to już w pierwszym artykule...

Marieke okręciła się wokół własnej osi, spoglądając na open space i przebywające w nim osoby, które mechanicznie odwróciły wzrok. W napadzie furii szarpnęła za żaluzje i obróciła się ponownie w stronę Putéolego, łapiąc swój kask motocyklowy i pasek starej torby na ramię.

– Trzy dni! – krzyknęła, zamykając oczy, żeby znowu nie wybuchnąć. – Jeśli w czwartek nie opublikujesz dalszego ciągu, szukam innego wydawcy albo wrzucam całość do Internetu...

– Jezu, usiądź, skończ z tym cyrkiem. Czy ty w ogóle rozumiesz moją sytuację? Ja nie mam takich środków jak „Washington Post” czy „Le Monde”. Muszę najpierw mieć pewność, że...

– Nic z tego – przerwała mu Marieke. – I tak nigdy nie powiesz prawdy,

więc po prostu daj mi słowo, że za trzy dni opublikujesz resztę, i na tym chwilowo poprzestańmy.

– Słowo – skłamał Putéoli, wstając, żeby ją odprowadzić do wyjścia. – Ale nie za trzy dni, tylko za pięć. W sobotę wrzucam wszystko on-line, okej?

Lecz Marieke była już za drzwiami i szła przez open space, każąc wszystkim obecnym słuchać skrzypienia jej torby, botków i nieśmiertelnej skórzanej kurtki, onieśmielając ich zarówno swoim swobodnym zachowaniem, jak i energicznym stukotem obcasów.

5

Francja budziła się wśród setek budynków obsmarowanych graffiti „Sarko morderca”, blogosfera huczała od pogłosek na temat spisku uknutego w najwyższych kręgach, dziennikarze miotali się w poszukiwaniu newsów, lecz Karim, któremu wreszcie pozwolono na kilkugodzinny odpoczynek, miał w głowie tylko jedno: zanim zapadnie w nieświadomość, chciał usłyszeć tak szczególny tembr głosu matki, o którym myślał przez cały czas, gdy po raz tysięczny zadawano mu te same pytania.

Po kilku godzinach snu zorientował się, że przesłuchują go dwie ekipy, nocna i dzienna; biorąc pod uwagę zachowanie poruczników bez nazwisk, którzy obudzili go o szóstej rano, tę nocną, kierowaną przez kapitana Telliera, należało uznać za ekipę dobrych gliniarzy. Ci dzienni nie pozwalali mu bowiem ani usiąść, ani pójść do toalety i nie wierzyli w ani jedno jego słowo, podczas gdy ich nocni koledzy zadowalali się grzecznymi prośbami o doprecyzowanie tej czy innej odpowiedzi. Najbardziej brutalny porucznik z dziennej ekipy wyglądał jak szop pracz, a mówił jak trener rugby. Jego niski głos odbijał się od ścian, zamiast przez nie przechodzić; z jego twarzy biła tępota pełna nie tyle samozadowolenia, ile poczucia wszechwładzy, w każdej chwili gotowa przerodzić się w małą złośliwość.

– Przestań opowiadać pierdoły, ty śmierdzący gnojku!

Rugbista ustawił krzesło z poprzedniego dnia pod ścianą i przesłuchiwał Karima na stojąco, a gdy ten naprawdę nie dawał już rady, podsuwał mu taboret, tyle że taboret był jeszcze gorszy niż nic: nieistniejące oparcie, o którym marzyły jego plecy, bez przerwy stało mu przed oczami.

W chwilach ciszy, na które od czasu do czasu pozwalał sobie Rugbista, Karim odtwarzał w myślach *la, la, la, la* matki, cztery orientalne nuty, które intonowała z grzbietem jednej dłoni opartym o czoło, z drugą dłonią na biodrze; przypominał sobie jej wielkie, leciutko wypukłe oczy rozszerzone od teatralnego zakłopotania, zaskoczenia lub oburzenia: tandetność jej spojrzeń nie budziła w nim teraz irytacji, lecz dawała poczucie ukojenia. Na przekór wrzaskom Rugbisty i waleniu pięścią w stół przez jego kolegę w okularach i butach trekkingowych

Karim starał się odtworzyć specyficzne ciepło głosu matki i jego szczególny tembr, które powracały do niego niezdolnymi do wzniesienia pożaru iskierkami przypominającymi zawilgocone petardy.

W poszukiwaniu matki palce Karima biegały po kwadracie padającego na biurko światła. Wspominał późne godziny nocne, kiedy pozwalał sobie na słuchanie muzyki klasycznej. Matka zaskakiwała go niekiedy, a on udawał, że śpi lub słucha hip-hopu, poruszając rytmicznie głową z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi wargami.

– Będiesz do końca życia gnąć w kryminale, nie masz już nic do stracenia, wypłuj wreszcie prawdę!

Prawda była jednak taka, że nie miał im nic do powiedzenia. Kochał matkę, czego ani razu jej nie wyznał od czasu, gdy przegonił ją wzrostem, niemniej taka właśnie była prawda: kochał matkę, tęsknił za nią i żadna inna prawda nie przychodziła mu do głowy.

Kilka kroków od celu dla aresztantów kapitan Tellier dowiedział się przez telefon, że w ostatniej firmie stateczków wycieczkowych również nie znaleziono komórki Karima. W jej siedzibie odbyła się jednak dość dziwna scena, którą zajmujący się sprawą porucznik opowiedział kapitanowi z detalami. Otóż kiedy przyszli do sekretariatu firmy przy Pont Neuf, młoda recepcjonistka zadzwoniła pod kilka numerów i oznajmiła, że nikt nie słyszał o żadnej komórce.

– Ale później – ciągnął porucznik – pojawił się jej szef i poprosił o rozmowę na stronie. Poszliśmy do jego małego biura, gdzie nam powiedział, że w niedzielę po południu jakaś Amerykanka zgarnęła z pokładu komórkę, która spadła z mostu na tyłach Notre Dame.

– Zapytałeś przynajmniej, o której to było?

– Nie, ale sekundę, szefie. Facet powiedział, że ta Amerykanka odniosła komórkę w miejsce, skąd stateczki ruszają, czyli tam, gdzie właśnie siedzieliśmy, u stóp wieży Eiffla, a wieczorem zgłosiła się po nią jakaś młoda kobieta.

– Co?! – prawie wrzasnął Tellier.

– Ktoś od nas. Według tamtego gościa miała odznakę policyjną. Zapytałem, czy wie, do jakiej należała formacji, ale powiedział, że sama blacha mu wystarczyła...

Kompletnie osłupiały kapitan dopiero po chwili zadał pytanie, które samo się narzucało.

– Jak wyglądała ta tajemnicza policjantka?

– Facet mówił, że jakoś dziwnie – odparł porucznik, który od niedawna pracował w SDAT. – Miała bardzo jasne włosy i... zaraz, co on jeszcze dodał? Aha, że miała na sobie oficerki.

– Oficerki? Co to za bzdury?

Tellier wszedł do celi Karima, prosząc Rugbistę i Turystę, żeby sobie zrobili

krótką przerwę. Zdziwieni wyszli na korytarz.

– Co wiesz o amazonce? – zapytał Tellier bez namysłu.

– O czym? – Karim nie bardzo zrozumiał pytanie.

– O przyjaciółce Nazira, która jeździ konno. Co o niej wiesz?

Karim rozdziawił usta w niewątpliwie szczerym osłupieniu. Tellier zamknął oczy i głęboko odetchnął. Gdy je ponownie otworzył, wyglądały łagodnie, niemal przyjaźnie.

– Posłuchaj, kochasiu – powiedział takim głosem, jakby przepraszał, że przerywa ciszę. – Nie chcę cię martwić, ale twoja historyjka nie brzmi zbyt wiarygodnie.

Od tej nagłej łagodności łzy napłynęły Karimowi do oczu. Zmarszczył brwi, żeby całkiem się nie załamać.

– Postaw się na moim miejscu, Karim. Wyrzuciłeś komórkę na stateczek wycieczkowy, a my nie jesteśmy w stanie jej znaleźć... – Wyliczał dalej, choć bez przekonania. – Zastanów się. Mieszkasz sobie w Saint-Étienne, kuzyn kupuje ci broń, tygodniami ćwiczysz strzelanie, w dniu wyborów dostajesz od niego bilet kolejowy do Paryża i ani przez sekundę nie przychodzi ci do głowy, że chodzi o zamach na Szawisza? Nie chcę być złośliwy, ale ludzie uważają, że albo jesteś najlepszym aktorem na świecie, albo kompletnym debilem!

Na myśl, że mógłby zostać uznany za kompletnego debila, Karim przestał odczuwać jakiegokolwiek pozytywne emocje. Dotknięty do żywego, wzruszył ramionami i parsknął.

– Też coś.

– Czemu nie powiesz prawdy? Że wszyscy byli w to zamieszani, cała twoja rodzina. Kuzyni, ciotki, matka... Jak mogli niczego nie zauważyć? Jak mogli, ot tak, pozwolić ci wyjechać? Przyznaj się, po co przyjechałeś do Paryża? Wiedziałeś, prawda?

Karim pokręcił głową. Był zmęczony, ale nie zrezygnowany. Wciąż wierzył, że ich przekona, pewnie jeszcze nie teraz, ale jak odzyska chociaż część sił. Na razie ból powracał co kilka sekund w tym czy innym kształcie. Bolały go ręce, kolana, biodro, usta, głowa. Jego ciało było jednym wielkim kłębkim bólu, anonimowego bólu, który w niego wszedł, zajął całą przestrzeń, uderzał z nagłą i bez ostrzeżenia.

– Mówiłem, ten rudy facet...

– Przecież nawet nam nie powiedziałaś, jak on się nazywa. A co robiłeś, zanim do niego poszedłeś? W twojej opowieści jest dziura.

Zanim do niego poszedł, Karim spotkał się z Aurélie, ale o tym nie powie im nigdy. Wciąż nie pamiętał głosu własnej matki, ale nagle, z palącą jasnością przypomniał sobie usta Aurélie, których miękkość i świeżość schodziły się w malutkim trójkącie nad górną wargą, wystającym jak dziób statku; dałby

wszystko, by móc go dotknąć palcem lub językiem.

W chwili niepohamowanego uniesienia ośmielił się zapytać kapitana, który był chyba w dobrym humorze i w przeciwieństwie do swoich grubiańskich kolegów wydawał się przyjaźnie nastawiony:

– Jak się nazywa taki mały wystający trójkącik na górnej wardze, o, tutaj?

Kapitan zbaraniał i spojrzał na stojącego obok ze skrzyżowanymi ramionami porucznika, który uśmiechnął się i wywrócił oczami.

– Czy ten kretyn jaja sobie ze mnie robi? Masz, kurwa, pojęcie? Jaja sobie robi!

Tellier podniósł głowę i przesunął palcem po swojej zajęczej wardze. Jednak zanim Rugbista i Turysta otworzyli drzwi, udzielił Karimowi odpowiedzi:

– Łuk kupidyna.

6

Bez wątplenia to nie łuk kupidyna interesował Tristana Putéolego w Aurélie. Ani jej plecy i ramiona pływaczki, które według niego zmniejszały jej piersi, nawet jeśli było to tylko złudzenie optyczne. Zresztą od zamachu już go nie chciała, ledwo była w stanie na niego patrzeć.

Późnym przedpołudniem Tristan przyjechał po nią skuterem na basen Joséphine-Baker. Miał ze sobą drugi kask, żeby ją odwieźć do domu, ale na jego widok Aurélie zawróciła, nie chcąc z nim zamienić nawet słowa. Dopóki Tristan, którego oczy załśniły okrucieństwem, nie znalazł sposobu, żeby przyciągnąć jej uwagę i powstrzymać wściekłe ruchy jej pięknej głowy, jeszcze mokrej po wyjściu z wody.

– Chyba rozumiesz, że długo nie zdołam zmuszać ich do milczenia? Zdajesz sobie sprawę? Jeśli nic nie powiemy, zostaniemy uznani za współników, a mój ojciec mnie zabije...

Idąca prosto przed siebie Aurélie gwałtownie przystanęła. Jej zaczerwienione od chloru oczy spoglądały na basen surrealistycznie zawieszony nad Sekwaną, tak blisko jej powierzchni, że zdawał się na niej unosić.

– Kurwa, Tristan, nie rób tego. Daj mi trochę czasu.

– A co dostanę w zamian?

Nie odpowiedziała, tylko zmierzyła chłopaka wściekłym spojrzeniem.

– Posłuchaj, Aurélie, nie możemy tego ciągnąć. Co to zresztą zmieni? Czy powiemy teraz, czy za tydzień, wychodzi na jedno: spędziliśmy popołudnie z chłopakiem, który zaraz potem zabił Szawisza! Tego nie da się ukryć, to jakiś idiotyzm! Gorzej niż idiotyzm, to samobójstwo!

– Po pierwsze, Szawisz żyje – zirytowała się Aurélie. – Po drugie, owszem, to wiele zmienia. Jeśli będę mieć trochę czasu, spróbuję porozmawiać z ojcem. Bo jak wyjdzie na jaw, że to on kieruje śledztwem w sprawie Karima, podczas gdy

Karim jest ze mną związany...

– Dobrze sobie, związany!

– Jak to wyjdzie na jaw – ciągnęła Aurélie, zamknąwszy oczy, żeby mu nie dać w twarz – wszyscy uznają, że mój ojciec nie jest obiektywny i że...

– I że co? Zwariowałaś? Co niby ma się zdarzyć? Namówisz ojca, żeby po cichu zwolnił Karima z paki? O to ci chodzi? Kurwa, ty już kompletnie odleciałaś! Nie wiem zresztą, co takiego cię urzekło w tym arabskim gnojku... Ciągnie cię do łobuzów i tyle. Marzysz o zbiorowym gwałcie przez bandę dzikusów, tak?

Aurélie wzięła kask z rąk Tristana, który przestraszył się, że dziewczyna roztrzaska mu kask na głowie. Lecz ona po prostu włożyła go na własną.

– Wiesz, dlaczego nigdy nie będę z tobą chodzić?

– Bo mnie kochasz.

– Bo jesteś zwykłym douchebagiem². Chyba specjalnie dla ciebie wymyślono to słowo, palancie.

– A kto ci powiedział, że mam ochotę z tobą chodzić? Wystarczyłoby, żebyś...

Tristan wybuchnął śmiechem, po czym na prośbę Aurélie odwiózł ją na Île de la Cité i zostawił u wejścia do Pałacu Sprawiedliwości, przed żelaznym ogrodzeniem, którego złocone szpice lśniły w promieniach wiosennego słońca.

– Teraz spadaj – powiedziała Aurélie, oddając mu kask. – A jeśli chcesz zachować choć cień nadziei, że będziesz mógł całemu światu opowiedzieć, jak to zaciągnąłeś mnie do łóżka, lepiej przekonaj swoich debilnych koleśki, żeby trzymali gębę na kłódkę. Jasne?

Tristan uśmiechnął się szeroko.

– *Deal.*

Następnie odjechał zygzakiem w kierunku bulwaru Saint-Michel, cały podekscytowany na myśl, że wkrótce uda mu się bzyknąć Aurélie.

Tymczasem dziewczyna jeszcze bardziej potargała sobie włosy, przywołała na twarz swą najbardziej urokliwą minę kociątka i podeszła do policjantów pilnujących wejścia dla gości. Jeden z nich zgodził się zaprowadzić ją na ostatnie piętro Pałacu, pod drzwi galerii Saint-Éloi, gdzie wpuszczano jedynie po weryfikacji przez czytnik linii papilarnych. Czekając, aż ojciec wyjdzie z gabinetu, Aurélie usiadła na podniszczonej ławeczce. Poprzedniej nocy nie spał w domu; koło pierwszej nad ranem Aurélie usłyszała matkę grającą cichutko na fortepianie; dopiero ostatni akord zagrała tak głośno, że jego rozpaczliwy ton poniósł się przez ściany aż do pokoju córki na drugim końcu mieszkania.

Ojciec otworzył drzwi gabinetu; był bez marynarki, ręce miał splecione za plecami, a pod pachami plamy potu.

– Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę? Mam nadzieję, że nie stało się nic poważnego?

Aurélie wstała. Miała zaledwie kilka sekund, by ocenić, w jakim ojciec jest humorze i jakie ma szanse, aby go wzruszyć. Niestety, w drzwiach pojawiła się kobieta w zaawansowanej ciąży, która nie poświęciwszy Aurélie ani jednego spojrzenia, dotknęła łokcia sędziego, prosząc go, żeby się pośpieszył.

– Tatusiu, ja...

Lecz „tatuś” miał głowę zajętą bieżącymi sprawami. Aurélie widziała to po sposobie, w jaki przeszedł do porządku dziennego nad ciszą, która zapadła po jej słowach.

– Nie ma sprawy, porozmawiamy dziś wieczorem. O której wracasz?

– Późno, ale odwiedzę twój pokój – odpowiedział sędzia Wagner, całując córkę w czoło.

– A wczoraj wróciłeś w ogóle na noc czy nie?

– Nie, zdrzemnąłem się w gabinecie.

– A tak przy okazji, nie mówi się „odwiedzić czyjś pokój” – dodała Aurélie z łobuzerskim uśmiechem. – Mówi się „odwiedzić kogoś”. Przynajmniej tak mi się wydaje. No dobrze, nie przeszkadzam ci.

Lecz zdarzyło się coś, czego zbiegająca po schodach Aurélie nie dostrzegła: przez dobre pół minuty jej ojciec stał u wejścia do galerii Saint-Éloi, oszołomiony przedziwnym przecuciem, tak dziwnym, że nawet w najgłębszych zakamarkach umysłu nie ośmielał się go sformułować.

7

Kobietą w ciąży, która niemal pociągnęła Wagnera za rękaw, była Alice, jego asystentka. Sędzia nie potrafił się bez niej obejść, bez jej jasnej twarzy o podłużnych, oliwkowozielonych, zawsze uśmiechniętych oczach, stanowiących nieoczekiwaną przeciwwagę dla szarości i brutalności spraw, które prowadził. W wieku trzydziestu dziewięciu lat Alice spodziewała się drugiego dziecka z mężczyzną, którego Wagner nigdy nie poznał i o którym nigdy nie rozmawiali. Czasami, gdy Paola wpadała w wojowniczy nastrój, sędzia zazdrościł owemu nieznanemu.

Alice miała nie tylko ładną buzię, ale również wąską talię i szczupłe ramiona, które nawet w ciąży pozostały szczupłe. Prawdę mówiąc, była nie tyle elegancka, ile energiczna, chwilami na granicy nieporadności, ale w ów *czarujący* sposób, który prostodusznym buziom nadaje rodzaj filuternego wdzięku. Ateizm sędziego rodem ze studenckiej rewolty sześćdziesiątego ósmego roku sprawiał, że dobry humor asystentki zdawał mu się jednak nieco podejrzany, a mówiąc wprost – katolicki; odbierał go jako rodzaj moralnie rozmyślnego *rozradowania* na podłożu ideologicznej indoktrynacji. Wybuchy radości bliskich aprobował jedynie wówczas, gdy były spontaniczne i absolutnie bezinteresowne.

Alice nie należała rzecz jasna do „bliskich”, a radość nie stanowiła chleba

powszedniego w galerii Saint-Éloi, czego gorzką ilustrację sędzia Wagner ujrzał po powrocie do panującego w jego pionie zamętu: młody sędzia Poussin, którego wraz z nim wyznaczono do prowadzenia sprawy, właśnie wrócił z siedziby SDAT w Levallois, dokąd przewieziono Mauluda Ibn Barakę i Farisa, by tam ich przesłuchać.

– B-B-Baraka nie pęknie – wyjąkał Poussin – ale ten F-F-Faris wszystko wyśpiewał. Zawiózł Nazira do Z-Z-Zurychu samochodem na f-f-fałszywych numerach dyplomatycznych, więc bez problemu przejechali granicę. Po przyjeździe Nazir p-p-powiedział, że idzie do banku po pieniądze dla B-B-Baraki. Ale dopadli ich szwajcarscy p-p-policjanci, znaleźli pustą walizkę, a w schowku p-p-parabellum z wy-wy-wygrawerowanym napisem SRAF. No i na-na-najważniejsze, co w końcu wyznał: gdyby coś p-p-poszło nie tak, Nazir umówił się z nim w Hamburgu. B-B-Baraka niczego nie p-p-potwierdza. Mamy adres, zawiadomiłem służby łącznikowe ministerstwa, ż-ż-żeby nas skontaktowały z Niemcami. Na szczęście wystawiliśmy europejski nakaz aresztowania...

Guillaume Poussin był na pierwszy rzut oka tak chorobliwie nieśmiały, że aż trudno było uwierzyć w jego zawód sędziego śledczego, a gdy zaczynał mówić, nie sposób było pojąć, jakim cudem zrobił tak błyskawiczną karierę: w wieku trzydziestu ośmiu lat znalazł się w jednostce do walki z terroryzmem, o której wielu mogło tylko marzyć. Był jedynym przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości w tym skrzydle Pałacu mającym wszystkie włosy na głowie, do tego czarne i błyszczące. Był chudy, miał długi nos oraz wy-wy-wyraźne zamiłowanie do golfów i marynarek z łatami na łokciach.

– Powinniśmy tam wysłać Mansourda – powiedział Wagner. – Musimy poprosić Niemców o oddelegowanie do sprawy służb antyterrorystycznych, nie tylko policji. Nie możemy pozwolić, żeby nam się wymknął. Co tam się mieści? Jakiś dom, hotel?

– Muzeum – odparł Poussin i dodał, nawet nie zaglądając do notatek: – Hermannsweg siedem. Tam jest t-t-tylko muzeum, żadnych mieszkań.

– Muzeum?

– T-t-tak. Muzeum lalek. Nieco poza centrum, w dzielnicy zamieszkaney głównie przez T-T-Turków.

Zaskoczony Wagner opadł na krzesło i objął głowę rękoma. Nie potrafił wyzbyć się nadziei, że zatrzyma Nazira następnego dnia po zamachu; nie powinien ulegać tej obietnicy chwały, lecz zmęczenie zaczynało już mącić mu w głowie.

– Guillaume, mógłby pan pojechać do Saint-Étienne, aresztować niejakiego Wielkiego Momo i przeszukać tę prywatną agencję ochroniarską, którą prowadził Nazir Narrusz? No i dopilnować, żeby miejscowa policja nie zawałiła śledztwa na szczeblu lokalnym...

– J-J-Jasne, wyjadę jeszcze dziś wieczorem.

– Niech się pan też zajmie skargą, którą złożył Fu’ad Narrusz, brat Nazira, w nocy z soboty na niedzielę. Ktoś napadł na jego wuja i namalował mu na czaszce jakieś obsceniczne wzory... – tu Wagner zajrzał do dokumentu, który mu przefaksował komisarz z Saint-Étienne – ...i swastykę. Po pierwsze, nie możemy pozwolić, żeby rodzina wzięła sprawy we własne ręce. W razie konieczności trzeba im zagrozić sankcjami. A przede wszystkim spróbować zrozumieć związek między tą napaścią a naszą sprawą.

– Czy p-p-prokuratura w Saint-Étienne otrzymała już tę skargę?

– Tak, zastępca prokuratora wszczął postępowanie przygotowawcze. Trochę sporo roboty, ale poprosiłem Lamiela, żeby wyznaczył panu kogoś do pomocy.

Nie miał jednak wyjścia. Pułkownik Mansour został wyznaczony jako koordynator wszystkich służb ścigających Nazira, natomiast on sam zajmował się koordynowaniem koordynatora i wszystkich postępowań równoległych.

– Alice?

Sędzia chciał ją poprosić o wystawienie dwóch nakazów: skierowanego do policji nakazu doprowadzenia do jego gabinetu „członków bliskiej rodziny” oraz skierowanego do nich samego nakazu stawienia będącego zwykłym wezwaniem. Chwilowo jeszcze nie wiedział, która opcja będzie lepsza.

Lecz Alice nie odpowiadała, tylko siedziała ze wzrokiem wbitym w ekran komputera.

– Panie sędzio – wykrztusiła wreszcie martwym głosem. – Musi pan to zobaczyć...

Wagner, Poussin i asystentka tego ostatniego podeszli do biurka Alice, która nachyliła ekran notebooka: na stronie Dailymotion serwis Avernus.fr wrzucił jako „główny news dnia” tajne wideo z zatrzymania rodziny Narruszów przez funkcjonariuszy SDAT.

Nie było żadnych scen przemocy, wszyscy zachowywali się spokojnie, ale nikt nie miał zasłoniętej twarzy (nie bez powodu: Wagner zakazał powiadamiania prasy); majsterkowicze z Avernus.fr – wystarczająco zdolni, by na dole ekranu wielkimi literami wstawić nazwę serwisu – niechęć, a raczej *całkiem świadomie* nie zamazali niczyich twarzy, nawet dzieci, po których niedyskretny zoom kamery radośnie się prześlizgiwał, podobnie jak po odsłoniętych twarzach funkcjonariuszy SDAT.

Przed oczami sędziego zatańczyły czerwone plamy.

Włączył mały telewizor ukryty w szafie z sejfem, w którym leżały stosy dokumentów. Na LCI „należący do paryskiej palestry” mecenas Chalid Aribi udzielał właśnie wywiadu, w którym mówił, że młody Abd al-Karim „oraz jego rodzina” poprosili go, aby ich reprezentował, a także oburzał się na nieludzkie traktowanie kobiet, starców i dzieci przez „gliniarzy” z brygady antyterrorystycznej. „Dzieci!”, podkreślał, marszcząc krzaczaste brwi wezyna

i szeroko otwierając wielkie ciemne oczy.

– Oświadczam, że mamy do czynienia z początkiem olbrzymiej kampanii medialnego linczu, kampanii niegodnej wymiaru sprawiedliwości kraju, który chlubi się swoją przeszłością w dziedzinie obrony Praw Człowieka! Nie wiem, który sędzia wysłał o dziesiątej wieczorem brutalnych funkcjonariuszy policji, każąc im porywać kobiety i dzieci. Nie miejmy żadnych złudzeń: to były porwania! Życzę temu małostkowemu sędziemu, aby był w stanie zasnąć, gdybym to bowiem ja znalazł się na jego miejscu, bez tony proszków nie potrafiłbym zmrużyć oka...

Sędzia nie otworzył ust. W koszuli rozpiętej po pępek mecenas Aribi pozował przed kamerami wszystkich stacji, nie zaprzestając składania zajadłych, prowokacyjnych deklaracji. Nawet zza ekranu czuć było jego wodę toaletową po pięćset euro za flakon.

– Proszę to wyłączyć – powiedział sędzia tytułem komentarza.

8

Parę chwil później zadzwonił kapitan Tellier, aby złożyć raport z przesłuchania Karima. Przy najdrobniejszym zawahaniu rozmówcy Wagner, który nadal nie potrafił się uspokoić, głęboko wciągał powietrze, próbując zapanować nad zniecierpliwieniem.

– Wersja Karima i jego matki na temat Ibn Baraki są spójne... Ale wyszło na jaw coś jeszcze, panie sędzio. Korespondent France Bleu został znaleziony u siebie w domu, zakneblowany i przykuty do kaloryfera. Twierdzi, że wczoraj rano ukradziono mu legitymację prasową i sprzęt reporterski.

– Podał rysopis napastników?

– Napastnika, panie sędzio, był tylko jeden napastnik. Rudy brodac. Jego rysopis pasuje do faceta, który według szczeniaka ułatwił mu przebicie się przez tłum.

– Znakomicie, kapitanie. Zdjęliście odciski palców?

– Wyniki będą jutro wieczorem, a rano powinniśmy mieć taśmy z kamer monitoringu zainstalowanych na placu przed merostwem w Grogny. Prokurator Lamiel uważa, że powinniśmy sporządzić portret pamięciowy tego rudzielca i rozesłać go do prasy.

– Hm... – zadumał się Wagner. – Nad portretem jeszcze się zastanowimy. Na razie wystawimy list gończy. Zadzwoń do Lamiela. Czy mam panu dać do pomocy sekcję dochodzeniową żandarmerii?

Kapitan wydawał się zaskoczony.

– Chyba nie... Zmobilizowaliśmy trzy ekipy śledcze; pułkownik potwierdzi, że dajemy sobie radę.

Sędzia skinął potakująco głową, czego rozmówca i tak nie mógł zobaczyć, po czym rozłączył się. Akurat miał dzwonić do Mansourda, gdy z korytarza

dobiegł go znajomy głos. Obrócił głowę w kierunku Alice, która uniosła brwi.

Sędzia Rochu właśnie wrócił. Z Pakistanu, dokąd niechętnie wyjechał w związku z jakimś starym śledztwem, na wielokrotne prośby rodzin ofiar. Uniesienie brwi przez Alice oznaczało, że Potwór jest wściekły: ominęło go całe zamieszanie, a przede wszystkim nie było go na miejscu, aby przewodniczącemu trybunału przeszkodzić w przekazaniu śledztwa Wagnerowi.

Zastukał do drzwi, nie zwracając najmniejszej uwagi na Alice.

– Panie sędzio – powiedział zadyszany. – Moje gratulacje.

Był wysoki, otyły, nosił szelki i obficie się pocił. Przez cały czas ocierał sobie chustką idealnie łysą czaszkę i nigdy, przenigdy nie zamykał ust, o czym wszyscy wiedzieli i z lubością to parodiowali – a usta miał mięsiste, niemal negroidalne, jaskrawoczerwone i wykrzywione nigdy nieznikającym grymasem niesmaku.

Wagner wstał, żeby się z nim przywitać. Podając mu swą wielką, wilgotną, serdelkowatą dłoń, drugą ręką Rochu złapał kolegę za łokieć. Zbliżył usta do jego ucha i korzystając z tego, że Alice siedzi zbyt daleko, by go usłyszeć, wyszeptał ugrzecznonym tonem:

– Nie dasz sobie rady, panie sędzio; odpuść i przekaż mi sprawę, zanim się ośmieszysz. Sam wiesz, że jesteś na to za cienki, *panie sędzio*...

Wagner wyzwoił ramię z łapska Potwora.

– Dziękuję za wyrazy wsparcia – powiedział głośno. – Nie chcę być nieuprzejmy, ale moja asystentka i ja mamy mnóstwo roboty. Jeszcze raz dziękuję i... – nie zdołał się powstrzymać – proszę być spokojnym, śledztwo posuwa się do przodu, nawet pan sobie nie wyobraża, jak szybko...

Alice była przyzwyczajona do napadów wrogości w gabinecie szefa, lecz sceny, w których uczestniczyli ci dwaj sędziowie, zdawały się otoczone jakąś nasączoną jadłem watą; rzucane przez nich bomby były „brudne”, radioaktywne, znacznie bardziej niezdrowe niż wybuchy agresji korsykańskich bojowników, którzy dowiadując się o postawionych im zarzutach, wyzywali Wagnera od *pinsut*³, obiecywali mu podkładanie bomb, podrzynanie gardła i inne tego typu rozrywki. Wyglądało na to, że groźby te ani trochę Wagnerowi nie przeszkadzają. Podobnie jak scena, która przed chwilą odbyła się na oczach zaniepokojonej asystentki.

Z nowym wigorem powrócił do pracy, jakby zawiść i niechęć Potwora wzmocniły go, a życzenia porażki odegrały rolę dwóch filiżanek mocnej kawy.

Zadzwoił do Mansourda.

– Pułkowniku, kiedy dostaniemy zapisy z kamer monitoringu przed bankiem?

Chodziło o kamery zainstalowane na parkingu wspólnie użytkowanym przez bank, przed którym aresztowano Mauluda Ibn Barakę i Farisa Aït Baszira, oraz przez salon fryzjerski, do którego prawdopodobnie wszedł Nazir Narrusz.

– Boję się, że będzie to trudne – odpowiedział pułkownik. – Nawet we Francji banki niechętnie udostępniają nagrania... Musimy złożyć oficjalny wniosek, ale wyciągnięcie od nich taśm może potrwać dwa, trzy dni, może nawet dłużej...

– Zaraz się tym zajmę – odpowiedział Wagner, kreśląc jakieś notatki. – Jeśli chodzi o naszych zatrzymanych, proszę ich zwolnić. I przekazać im wezwania, które zaraz panu przyślę.

Mansour nie krył zaskoczenia.

– Panie sędzio, miałem wrażenie, że...

– Nie. Podjąłem decyzję. Złożyliśmy wnioski do operatorów sieci, cała najbliższa rodzina jest na podsłuchu, mieszkanie matki Nazira naszpikowaliśmy mikrofonami... Proszę mi wierzyć, w ten sposób dowiemy się znacznie więcej.

Pułkownik zaczął nerwowo postukiwać w medalion wiszący mu na szyi. W jego głowie pojawiła się myśl: a może tyrada adwokata przstraszyła sędziego, który nie chce wyjść na potwora?

– Panie sędzio – ośmielił się Mansour – jeśli to z powodu mecenasa Aribiego...

– Słucham, pułkowniku, proszę skończyć zdanie.

– Przepraszam, panie sędzio. To pan kieruje śledztwem i świetnie wie, co robić.

Od paru chwil Wagner gryzmołił jakieś nieczytelne zawijasy. Odłożył pióro.

– Opowiem panu ciekawą historię, pułkowniku. Na początku kariery usłyszałem pewne zdanie od jednego z największych sędziów w kraju. Pracowałem wówczas jako sędzia śledczy na jakimś kompletnym zadupiu w Lotaryngii. Któregoś dnia dostałem sprawę matki, ofiary gwałtu, podejrzanej o uduszenie własnego dziecka. Nie zdołała dokonać aborcji, więc zaraz po porodzie zabiła niemowlę. Dzieciobójczyni. Podczas pierwszego przesłuchania przyjęła bierną postawę, jej wzrok umykał, trudno było wyciągnąć z niej choćby słowo. Postawiłem jej zarzuty i wydałem nakaz tymczasowego aresztowania. Drugiego dnia pobytu w więzieniu popełniła samobójstwo.

– Panie sędzio...

– Proszę mi pozwolić dokończyć, pułkowniku. Oczywiście poczułem się bardzo nieswojo, uważając, że nie zadałem sobie dość trudu, by jej zadać właściwe pytania. Poszedłem do przewodniczącego tamtejszego trybunału, który teraz jest słynnym sędzią w Paryżu. Kazał mi sprawdzić, czy wszystko w papierach jest w porządku, czy nie brakuje ani jednego podpisu asystenta, czy z prawnego punktu widzenia moje postępowanie było bez zarzutu. Ja mu na to: „Przecież nie po to do pana przyszedłem”. Spojrzał na mnie z uśmiechem i powiedział: „Ach tak? Niech pan sobie wbije do głowy, że tego zawodu nie da się wykonywać bez strat ubocznych”. Tego zawodu nie da się wykonywać bez strat ubocznych...

– Tak, panie sędzio, ale...

– Pułkownik, nie poślę całej rodziny do aresztu tylko po to, żeby sprawić przyjemność mediom, prokuraturze czy nawet papieżowi. A jeśli pan sądzi, że groteskowe Darz Bór! tego adwokata w jakimkolwiek stopniu wpłynęło na moją decyzję, nic na to nie poradzę. Ma pan nakazy stawiennictwa?

Pułkownik zerknął na otrzymane papiery.

– Tak jest, panie sędzio. Zaraz wyjeżdżam dołączyć do ekipy w Hamburgu.

– W ciągu godziny dostanie pan zgodę na międzynarodową pomoc prawną. Liczę, że pan go złapie, pułkowniku. Chwileczkę – przypomniał sobie nagle. – Byłbym zapomniał: znaleźliście komórkę?

– Mieliśmy drobny problem, ktoś już ją odebrał, najwyraźniej ktoś od nas, ale opowiem panu później, to chyba nie jest aż tak pilne jak złapanie tego szaleńca...

Sędzia kiwnął głową, rozłączył się i poczuł na twarzy pełen podziwu wzrok Alice. Udając, że go nie dostrzega, poprosił o jeszcze jedną filiżankę kawy.

Rozdział 6

Upiór nawiedził Europę

1

Na placu Léon-Blum w jedenastej dzielnicy Paryża mieściła się knajpa Le Vidocq, w której regularnie bywali oficerowie policji sądowej. Knajpa była podzielona na dwie części: taras dla przypadkowych gości i duża sala w głębi, gdzie pozerający krwisty befszyk kapitanowie snuli opowieści o swoich bohaterskich wyczynach. Niepisana reguła zabraniała stołowania się w Le Vidocq tajniakom z brygady do walki z przestępczością, nawet w stopniu majora. Stali bywalcy czuli się tutaj jak w domu, przy butelce dobrego pouilly-fuissé omawiali rozwój swoich karier. Tego dnia w południe, gdy przy barze pojawiła się posągowa sylwetka pułkownik Valérie Simonetti, cała grupa śledczych ostentacyjnie wstała od stołu i wyszła, świadomie rezygnując z deseru, by tej, która nie potrafiła zapewnić bezpieczeństwa Szawiszowi, pokazać, że jest *persona non grata*.

Valérie obejrzała się za nimi: najmłodszy nie potrafił zignorować jej wzroku i podniósł na nią przepaszające spojrzenie, na co ona odpowiedziała życzliwym przymknięciem pięknych niebieskich oczu. Była umówiona z komisarzem Thomasem Maheutem, jednym z niewielu przyjaciół, jakich miała w policji i co do którego mogła mieć pewność, że nigdy jej nie zawiedzie. Nie było go ani w głębi sali, ani na tarasie, zamówiła więc białe porto i została przy barze.

Miała na sobie czarne spodnie, ciasno przylegające do umięśnionych ud, białą koszulkę na ramiączkach i lekki żakiet. Thomas przyszedł spóźniony o pięć minut. Musiał odrobinę wspiąć się na palce, żeby Walkirię – często twierdził, że to on nadał jej kiedyś to przezwisko – cmoknąć w policzek na powitanie.

– Jesteś pewien, że nie masz problemu z pokazywaniem się tutaj ze mną?

Thomas zeszywniał z oburzenia.

– Robili ci jakieś uwagi? Niech no tylko któryś sobie pozwoli, zatłukę jak psa...

Bez munduru trzydziestopięcioletni komisarz Maheut coraz bardziej upodabniał się do łobuzów, których ścigał. Co prawda nosił koszulki polo bez logo i dwa razy na dzień starannie się golił, jednak z upływem czasu jego surowe poczucie higieny straciło swój kojący wymiar; twarde spojrzenie, wojowniczy podbródek i ciężka, nieufna dolna warga sprawiały, że wyglądał jak jeden z tych groźnych typów, obok których nikt nie chce siadać w środkach transportu publicznego. Miał złamany nos, chropawą skórę, jasne kręcone włosy.

Usiedli przy dwuosobowym stoliku. Niby przypadkiem goście przy stoliku obok zrezygnowali z kawy i poszli do baru zapłacić.

– Ani jeden z tych durniów do pięt ci nie dorasta. Gdybym, kurwa, poszedł

teraz za głosem serca...

Valérie bardzo lubiła Thomasa. Odkąd się znali, próbował ją poderwać, ale udało mu się spędzić z nią tylko trzy noce – przypominające pojedynki epizody bez przyszłości z jedną z tych kobiet, jakie coraz trudniej można spotkać w zacisznym otoczeniu, w którym komisarz ostatnio się obracał.

Thomas stanowił przedmiot dumy swojej rodziny, która – jak sam mawiał z lekkim odcieniem goryczy – „należała do francuskich dołów”. Został policjantem, aby nie spędzić życia przy fabrycznej taśmie: błyskotliwe studia na wydziale prawa, najmłodszy komisarz we Francji, w wieku trzydziestu pięciu lat był już szefem dyrekcji do spraw porządku publicznego i ruchu drogowego paryskiej prefektury, co zawdzięczał niemal ojcowskiemu zaufaniu, jakim go obdarzał jego mentor, prefekt paryskiej policji Dieuleveult. Nie chcąc się upodobnić do któregoś z otaczających go dupków ze ściśniętymi pośladkami, przesadnie podkreślał swoje ludowe korzenie, nadal chętnie używając słów *cholera* i *kurwa*, ale coraz częściej przedkładając wyrafinowaną *dupę srącą od miesiąca* nad bardziej banalną *dupę Jasiu*.

Valérie i Thomas nie tracili czasu; rozmowa zesłała na Szawisza, zanim Walkiria skończyła saczyć porto. Thomas nie miał żadnych wątpliwości: zamach był dziełem jakiegoś „samotnego wilka”.

– Ci gówniarze są walnięci, słowo daję. Jasna cholera, oni mają kompletnie, ale to kompletnie nierówno pod sufitem! Wcześniej czy później coś takiego musiało się zdarzyć.

Valérie zerknęła na zegarek, który nosiła z tarczą po wewnętrznej stronie nadgarstka.

– Daję głowę, że w telewizji pojawi się cała plejada kretynów, którzy będą nam wmawiać, że to wszystko wina społeczeństwa i cholera wie co jeszcze. Czego im, kurwa, trzeba więcej? W dniu wyborów jakiś bydlak strzela do polityka, a my będziemy słuchać jakichś... jakichś...

Wielość możliwych inwektyw, którymi pragnął obrzucić owych wyimaginowanych intelektualistów, oszołomiła go, ograniczył się więc do westchnienia. Skinął na kelnera, żeby zamówić coś do picia.

– No co? – mruknął, unikając wzroku Valérie, która często zachowywała się wobec niego jak starsza siostra. – Tylko mały kieliszeczek. Biorąc pod uwagę, co nas czeka, musimy sobie trochę dogodzić.

Uspokoiwszy się już po pierwszym łyku, młody komisarz mówił dalej:

– Dobra, a tak na poważnie, skąd się wziął ten zuch, który strzelał? Z Al-Ka’idy? Pewnie teraz zaczniecie nas karmić jakimiś wydumanymi teoriami...

– Skąd! – odpowiedziała cicho Valérie. – Śledztwo i tak prowadzi Wydział Antyterrorystyczny Mansourda. Sama wiem niewiele więcej niż ty: tylko tyle, że sporo głów polecą w DCRI. Boulimier uprawia jakieś podejrzone gierki... Przecież

szczeniak nie mógł sam tego wszystkiego przygotować, jego kuzyn też nie, to niewiarygodne: przez cały czas służby ich pilnowały, a jednak nie udało się wkroczyć na czas... To po prostu... niewiarygodne.

Zdjęła żakiet, przyciągając kilka spojrzeń muskularnymi nagimi ramionami, które pokrywał delikatny blond puszek. Każdy ruch nadgarstków uwidaczniał jej atletyczne bicepsy, ładnie przecięte błękitnymi żyłami na tle jasnej skóry. Thomas uniósł brwi, odpędzając od siebie wspomnienie ich ostatniej nocnej potyczki, do której doszło na długo, zanim Szawisz wybrał ją na szefa swojej ochrony osobistej.

– Wiesz, że już wyznaczyli sędziego do tej sprawy? – wtrącił Thomas. – Chcą pokazać, że śledztwo będzie prowadzone w sposób całkowicie niezależny i przejrzysty. Zgadnij kogo.

– Henriego Wagnera?

– We własnej osobie.

– No popatrz tylko – powiedziała Valérie, ponownie zerkając na zegarek. – Myślałam, że od czasu tej afery z korsykańskimi nacjonalistami jest już skończony... Jak do tego doszło, że dostał sprawę stulecia?

– Cóż, polityka – wygłosił sentencjonalnie komisarz. – Zmiana prokuratora w przeddzień wyborów, wszyscy obstawiają, że Szawisz wygra, a do władzy dojdzie lewica... W intrygach pałacowych doprawdy trudno się rozeznąć.

Zadzwoił jego telefon.

– Skoro mowa o intrygach pałacowych...

Wstał, odebrał połączenie i wyszedł na taras. Zza szyby restauracji Valérie widziała, że rysy twarzy mu tężeją. Kiedy wrócił, zapytała:

– Wielki Manitou?

– Muszę spadać. Kurwa, przepraszam.

Valérie uparła się, że zapłaci. Thomas i tak nie mógł czekać, aż kelner przyniesie czytnik kart kredytowych. Dał się więc zaprosić i wyszedł z zatłoczonej sali. Na tarasie przecucie kazało mu odwrócić się, dzięki czemu zobaczył, jak Valérie udaje obojętną w otoczeniu niechętnych spojrzeń sfory.

2

Jadący za motocyklistą prefektury policji samochód z przyciemnionymi szybami zaparkował w drugim rzędzie, tuż przed autem komisarza Maheuta. Przez tylne okno wysunęła się sinawa dłoń wystająca z rękawa antracytowego garnituru, która gestem nakazała komisarzowi, by wsiadł do samochodu. Rozpoznawszy auto i skrajnie powściągliwe zachowanie prefekta paryskiej policji, Maheut posłusznie wsiadł i zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Dieuleveult poprosił kierowcę, by zaczekał na zewnątrz, a następnie zaczął mówić, ani na chwilę nie obracając się w stronę „gościa” i nie przestając przewracać zapisanych notatkami kartek.

– Wczoraj wieczorem widziałem się z minister spraw wewnętrznych i nie

będę przed panem ukrywać, że sytuacja jest poważna. Nadzwyczaj poważna. Kto by pomyślał: w najbardziej cywilizowanym kraju świata dochodzi do aktu przemocy godnego kraju najbardziej zacofanego. Jakbyśmy się znaleźli w Algierii lat osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych. Zapewne pamięta pan zabójstwo Mohammeda Boudiafa, komisarzu?

Pytanie należało do gatunku retorycznych, prefekt policji nadal zresztą nie raczył spojrzeć na rozmówcę.

– Jeśli chce pan znać moją opinię, oto do czego prowadzi zapraszanie wszystkich do suto zastawionego stołu. Dwa pokolenia później odtwarzamy te same schematy arabskiej ulicy... Przynajmniej takie jest moje zdanie i nikomu nic do tego. Według naszych służb specjalnych kolejne bandy wybierają się do Paryża rozrabiać. Mam do pana zaufanie; w najbliższych dniach będzie pan na pierwszej linii frontu. Chcę dostawać raporty co godzina oraz proszę o wzmocnienie kontroli w pociągach RER i na rogatkach Paryża.

– Tak jest.

– Co do manifestacji, to proste: zero zezwoleń. Ani białych marszów, ani demonstracji wsparcia, ani w ogóle niczego. Nie chcę żadnych zgromadzeń w Paryżu, dopóki sprawy się nie uspokoją. Już odmówiłem zgody na koncert wsparcia dla Szawisza, nie będzie żadnych wyjątków. Znam takich, którzy zaraz by się rzucili, żeby to wykorzystać i...

Komisarz Maheut zorientował się, że Dieuleveult jest o krok od zmiany tematu. Ze zmarszczonym czołem prefekt policji wpatrywał się w swoje notatki tak pilnie, jakby usiłował się skoncentrować. W końcu zamknął akta i spojrzał na Maheuta wzrokiem tak doskonale obojętnym i płaskim, że cała jego twarz nabrała wyglądu martwego morza.

– Thomas, ma pan świadomość, jak delikatne jest nasze położenie wobec placu Beauvau. Minister spraw wewnętrznych nie cierpi mnie, nawet pan nie wie do jakiego stopnia. Nie mogę sobie pozwolić na najdrobniejszy fałszywy krok; zresztą sam również nie wybaczyłbym swoim ludziom, gdyby...

Maheut poruszał wargami, chcąc ukryć zakłopotanie. Prefekt policji zamknął oczy i zrobił dziwny grymas, przy którym jedno jego nozdrze powiększyło się w stosunku do drugiego. Maheut zrozumiał, że jest to próba przybrania ciepłego wyrazu twarzy. Zdał sobie przy tym sprawę, że nigdy nie widział, by „kardynał” się uśmiechnął, a nawet nigdy nie sądził, że tak zimnego człowieka w ogóle stać na uśmiech.

– Zasluguje pan na więcej niż porządek publiczny i ruch drogowy, komisarzu. Spędzanie nocy przed monitorami kontrolnymi jest okej w pańskim wieku, ale trzeba zacząć myśleć o przyszłości...

„Zaczyna się”, pomyślał komisarz.

– Mam wobec pana wielkie zamiary, Thomas. I wiąże z nimi równie wielkie

nadzieje... Jeśli wszystko dobrze pójdzie, pewnego dnia może pan zająć moje miejsce. Chciałbym panu powierzyć zadanie, którego nie mógłbym powierzyć żadnemu innemu spośród bliskich współpracowników. Musi mnie pan jednak zapewnić o swoim bezgranicznym wsparciu i absolutnej dyskrecji. *Ab-so-lut-nej*.

Komisarz nie wiedział, jak zareagować. Poczul, że jego głowa nabiera ciężaru i pochyła się do przodu. Brak krawata sprawiał, że szyję miał odsłoniętą; odnosił wrażenie, że całe jego ciało jest nagie.

– Na wojnie człowiek ma dwóch wrogów: obóz stojący naprzeciw i siebie samego. Zadanie, które chcę panu powierzyć, związane jest bezpośrednio z owym wrogiem wewnętrznym... wrogiem ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Rozumiem – odpowiedział Thomas, spanikowanym gestem przyciskając dłonie do kolan.

– Tego typu zadanie wykracza rzecz jasna poza pańskie zwykłe prerogatywy, więc nie od razu podzielę się z panem szczegółami. W najbliższych dniach spotkamy się ponownie, w zależności od wydarzeń i ruchów przy placu Beauvau. Żeby pana nieco zachęcić, powiedzmy, że zadanie będzie dotyczyć... jak by to opisać... wyobraźmy sobie spróchniały budynek, który stoi tylko dzięki niezwykle solidnym fundamentom. Rozumie pan?

– Sta... staram się...

– Spróchniały drewniany szalás na palach ze zbrojonego betonu. Pańskie zadanie będzie polegało na zniszczeniu owych pali. Na ujawnieniu próchna. Jestem pewien, że znakomicie pan sobie poradzi – zakończył tajemniczo, spoglądając na ramię komisarza wzrokiem, który odprawił go skuteczniej, niż mogłaby to uczynić jego śnieżnobiała dłoń.

3

Kiedy Fu'ad, Rabi'a i Dunja zostali zwolnieni, Mansourda już nie było. Oddano im telefony, wręczono wezwania, wyjaśniono, że następnego dnia, we wtorek o czternastej, mają się stawić w gabinecie sędziego Wagnera, w galerii Saint-Éloi mieszczącej się w paryskim Pałacu Sprawiedliwości. Obie siostry słuchały w stanie całkowitego odrętwienia, nie reagując w żaden sposób; ich gesty były machinalne, wzrok zaćmiony zmęczeniem i smutkiem.

Natomiast Fu'ad był skoncentrowany, spięty, wyprostowany jak struna w słusznym poczuciu niesprawiedliwości.

Gdy wreszcie wolni i bez kajdanek znaleźli się w gorących promieniach popołudniowego słońca, siostry padły sobie z płaczem w ramiona. Włączyły telefony, spodziewając się dziesiątków nieodebranych połączeń od pozostałych członków rodziny. Okazało się jednak, że wszystkie połączenia, wszystkie bez wyjątku, wykonano z numerów nieznanymi lub ukrytymi. Rabi'a i Dunja

wysłuchały pierwszych wiadomości w skrzynkach głosowych: były nagrane przez dziennikarzy, stacje radiowe i telewizyjne, przedstawiciele prasy, często przez kobiety o ujmujących, porozumiewawczych głosach, czasem z ciężkim cudzoziemskim akcentem...

Fu'ad od razu zadzwonił do Jasminy. Po trzech kolejnych próbach i pozostawieniu wiadomości zrozumiał, że Jasmina nie może rozmawiać. Pewnie jej pilnowali. Musiał znaleźć inny sposób, żeby się z nią skontaktować.

Wybrał numer mecenas Szafrana. Odebrała jakaś kobieta, która połączyła go ze słynnym adwokatem. Fu'ad wyjaśnił mu sytuację: są kompletnie niewinni, jedynym winowajcą jest jego brat Nazir, sędzia śledczy kazał im stawić się następnego dnia o czternastej. Wysłuchawszy Fu'ada uważnie, z ołówkiem w ręce, mecenas Szafran powiedział, że powinni się zobaczyć rano i przygotować do przesłuchania u sędziego. Na którym to przesłuchaniu on, Szafran, również będzie obecny i można przypuszczać, że nie skończy się ono postawieniem zarzutów, biorąc pod uwagę rodzaj nakazu wystawionego przez Wagnera.

– Czy zna pan tego sędziego? – zapytał Fu'ad.

– Tak. To jedyny uczciwy sędzia w całym pionie i, na ile to możliwe, niezawisły. Na pańskim miejscu raczej bym się nie martwił: szczęście w nieszczęściu, że właśnie on dostał tę sprawę...

Miał onieśmielająco stentorowy głos, zarazem głęboki i jasny, a także znakomitą dykcję i akcent wielkiej burżuazji starej daty: starannie wymawiał końcówki, dźwięcznie wydłużał samogłoski (proceduraaalny, niezawiiiiisły), idealnie panował nad spółgłoskami, rozdzielając je tam, gdzie reguły językowe tego wymagały (nad-zwyczaajny).

– Niemniej musimy zachować czujność – ciągnął Szafran. – Zwłaszcza powinien się pan wystrzegać dziennikarzy, panie Narrusz. Proszę nie wyrażać zgody na żadne wywiady. Do jutra niech się pan zabarykaduje w jakimś bezpiecznym miejscu, a jeśli mogę panu udzielić ostatniej rady, proszę do stolicy jechać raczej samochodem niż pociągami.

Zakończywszy rozmowę, Fu'ad poczuł się niemal uspokojony; mimo perspektywy spotkania z sędzią, mimo wrażenia, że w ciągu jednej nocy stał się kryminalistą, dostoyny bas-baryton członka paryskiej palestry dodał mu otuchy.

Radość z tej dobrej nowiny, która przecież żadną dobrą nowiną nie była, nie starczyła jednak na długo. Gdy kołowrót przypuszczeń i nadziei na chwilę się zatrzymywał, Fu'ad nie potrafił zapomnieć, że na siatkówce oczu milionów ludzi utrwalił się ów drobny, rozpaczliwie natrętny fakt: jego osiemnastoletni kuzyn usiłował zabić kandydata na prezydenta z ramienia Partii Socjalistycznej, którego Francja zdecydowaną większością głosów wybrała na stanowisko prezydenta Republiki, a przede wszystkim którego Fu'ad w obecności świadków uznał kiedyś za swojego przyszłego teścia.

Przypominając sobie tamtą scenę, wiał się ze wstydu.

– Rozmawiałem z... z adwokatem – powiedział do matki, która gładziła po głowie zapłakaną Rabi'ę.

Nie powiedział „z naszym adwokatem”, jakby tylko przestępcy potrzebowali obrońcy, a samo mówienie o *ich* adwokacie już stanowiło przyznanie się do winy.

– No i?

– Mamo, nic im nie powiedziałaś, prawda? Tym, którzy cię przesłuchiwali. Podpisałaś coś?

– Owszem, protokół.

– A co im powiedziałaś?

– Nic – skłamała Dunja. – Co niby miałabym im mówić?

– Zdajesz sobie sprawę, że każde twoje słowo mogło być przez nich zinterpretowane na odwrót?

– Oczywiście, Fu'ad, wiem. Słuchaj, jest taka głupia sprawa. Slima i Luny nie ma u babki; zdaje się, że kiedy wszyscy wieczorem wrócili, doszło do jakiejś awantury, więc oni dwoje postanowili sobie pójść.

– Co to znowu za historia? Gdzie są teraz? Mamo?

– W domu. Wszystko w porządku, Slim miał klucze.

Fu'ad pokręcił głową, a korzystając z tego, że Rabi'a rozmawia przez telefon z Luną, powiedział do matki:

– Pójdziemy teraz do ciotki Rabi'i po jej rzeczy i ją przeniesiemy do nas, dobrze?

Dunja przytaknęła i cała trójka ruszyła pieszo w kierunku dzielnicy, w której mieszkała Rabi'a. Idąc z rękoma w kieszeniach, Fu'ad obmyślał, co powie Jasminie, kiedy już się do niej dodzwoni. Pograżony w myślach nie widział spojrzeń mijanych przechodniów, którzy ich rozpoznawali. Ja'il przysłała esemesa z pytaniem, czy może do niego zadzwonić, więc sam wybrał jej numer.

– Spędziliśmy noc w areszcie, Ja'il, nie miałem jeszcze czasu włączyć telewizora, w jaki sposób...

– Mamy problem, Fu'ad – przerwała mu Ja'il i dodała zatroskanym tonem: – Lepiej, żebyśmy o tym porozmawiali osobiście...

– Jutro skoro świt przyjeżdżam do Paryża. Co się dzieje? Rano spotykam się z Szafranem, a po południu z sędzią. Co się dzieje, Ja'il?

– Słuchaj, masz teraz inne sprawy na głowie, porozmawiamy, kiedy przyjdzie pora. Jak ci się podoba Szafran? Niezły, prawda? Co on o tym wszystkim sądzi?

Lecz Fu'ad nie miał ochoty na wyjaśnianie. W krótkich słowach zakończył rozmowę z Ja'il i rozłączył się w chwili, gdy doszli do początku ulicy de l'Éternité, ciągnącej się od stóp do szczytu jednego ze wzgórz miasta. Budynek, w którym mieszkała Rabi'a, stał na odcinku, gdzie podejście nie było jeszcze zbyt męczące.

Nagle Fu'ad zobaczył pędzący w tamtym kierunku wóz transmisyjny z anteną na dachu. Ruchem ręki powstrzymał matkę.

U stóp wzgórza zgromadził się niecodzienny tłum. Gapie stali częściowo na jezdni, wskutek czego samochody, niemające z całym tym zamieszaniem nic wspólnego, nie były w stanie przejechać bez trąbienia i wyzwisk. Na pięćdziesięciometrowym wyplaszczeniu przed budynkiem, w którym mieszkała Rabi'a, stało w gotowości kilkanaście wozów transmisyjnych. Nikogo nie zabrakło: France Télévisions, TF1, LCI, i-Télé, BFM-TV, nie mówiąc o krajowych stacjach radiowych i mediach zagranicznych. Jak na Tour de France. Dziennikarze zajęli oba chodniki i część jezdni; wszyscy nadawali na żywo do studia, a ich kamerzyści powtarzali identyczny travelling od głowy korespondenta z mikrofonem w ręce do mieszczącego się na trzecim piętrze mieszkania Rabi'i, którego okiennice były szczelnie zamknięte. Stojący przy bramie żandarmi sprawdzali dokumenty i wpuszczali tylko mieszkańców, a dziennikarzy trzymali na odległość.

Na ten widok Fu'ad uznał, że lepiej będzie, jak po rzeczy Rabi'i przyjdą później. Ciotka, która nigdy dotychczas nie przeżyła czegoś takiego, że można być uwięzionym na zewnątrz, stanęła i gapiała się na ten surrealistyczny spektakl z otwartymi ustami; musiał ją pociągnąć za rękę, żeby poszła razem z nim i Dunją.

Nagle Rabi'a zapragnęła podejść do dziennikarzy i oświadczyć, że to nie była wina Karima, który w całą sprawę został wmanipulowany; opowiedzieć o tym, jak ją zatrzymano, jak przez całą noc zadawano jej pytania, choć policjanci kompletnie nie zwracali uwagi na odpowiedzi; wykrzyknąć, że ukradziono jej syna, bo nie może go wieczorem zobaczyć, nie może dyskretnie wejść do jego pokoju i wyłączyć playlisty muzyki klasycznej, przy której zasnął, pocałować go w czoło na znak, że mu wszystko wybaczyła: i palenie trawy, i niechodzenie na spotkania w Urzędzie Pracy, i drobne kradzieże, i całą resztę, o której nawet nie wiedziała; że mu wybaczyła wszystko, bo jest jego matką, a matki swoim synom wybaczą, podobnie jak wilczyce wybaczą swoim szczeniętom nawet za cenę własnego życia.

– Niech wezmą mnie zamiast niego – wyszeptwała łamiącym się głosem. – Niech go nie posyłają do więzienia, nie pozwolę, żeby mój syn szedł do więzienia... Nie pozwolę, żeby mi ukradli syna...

Już zbierała się, by biec do pierwszego wozu transmisyjnego, już zbierała się wykrzyknąć swą rozpacz wilczycy... I zrobiłaby to, gdyby nie palce Fu'ada mocno zacisnięte wokół jej drżącego nadgarstka.

– Co takiego zrobiliśmy Bogu? – zapytała siostrzeńca głosem zdławionym przez smutek. – Czym sobie na to zasłużyliśmy?

4

– Pierdoły opowiadasz – stwierdził porucznik Rugbista, postukawszy

grubym palcem wskazującym w przycisk Esc na klawiaturze komputera. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Opowiadasz pierdoły i zaczyna mnie to wkurwiać. Wracamy do początku: przyjeżdżasz do Paryża koło wpół do dziesiątej, jedziesz na spotkanie z Nazirem, nie ośmielasz się wejść, spływasz stamtąd i łazisz po ulicach, potem wracasz, Nazira już nie ma, a zamiast niego jest jakiś rudy brodac, który ci daje spluwę i każe strzelać do Szawisza, bo jak nie, to jakiś inny facet na drugim końcu kraju zabije twoją matkę. Umówmy się, że to brzmi jak bajeczka dla grzecznych dzieci, ale dobra, niech ci będzie. Co robiłeś, zanim wróciłeś do mieszkania, gdzie czekał na ciebie ten rudy brodac?

– Nie wiem.

– Przestań w końcu robić sobie z nas jaja. Co robiłeś przez cały ten czas?

Rugbista wstał, przemierzył pomieszczenie i parokrotnie walnął pięścią w drzwi. Jakiś głos po drugiej stronie zapytał, co się dzieje. Rugbista odpowiedział:

– Spoko, wszystko w porządku.

Karim zaczął się odwracać, żeby zobaczyć, co szykuje jego oprawca, ale nie zdążył, bo już leżał na ziemi. Jednym celnym ruchem Rugbista wykopał spod niego taboret i posłał go pod ścianę. Karim wstał i zacisnął pięść. Rugbista, który był od niego wyższy o dwie głowy, przysunął swą wypraną z jakichkolwiek emocji twarz do twarzy Karima i wycedził:

– No, dalej. Uderz mnie. Na nic innego nie czekam, ty pierdolony tranzystorze. No już! Pokaż, że masz jaja! Dalej, *no dalej*, pokaż, że jesteś facetem!

Karim cofnął się o krok. Z głębi świadomości wyłoniła się twarz siostry, biednej małej Luny, która bez przerwy go prowokowała i za każdym razem tylko dla zabawy. Ciekawe, co teraz robi, pomyślał. W żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić wiarygodnej scenerii dla niezmiernego smutku, jaki musiał ją ogarnąć na wieść, że jej starszy brat zabił prezydenta. Zwłaszcza że Luna uważała Szawisza za nieodparcie przystojnego. Kiedy matka wołała, że w telewizji pokazują Szawisza, wyskakiwała z łóżka i pędziła pod sam telewizor. Szawisz był jedynym zjawiskiem zewnętrznym, które potrafiło ją odciągnąć od rozmowy na Skypie.

– Nie wiedziałem – spróbował nieśmiało Karim, jakby do siebie samego. – Nie wiedziałem, że chodzi o Szawisza. Powiedział, że mam ćwiczyć strzelanie, więc myślałem... Właściwie to nie wiem, co myślałem...

Rugbista wrócił przed komputer, ale nic nie pisał. Ruchem podbródka wskazał Karimowi, żeby usiadł i mówił dalej. Karim podniósł taboret z podłogi, usiadł i zaczął opowiadać, jak godzinami celował do puszek, starannie unikając wymienienia Wielkiego Momo. Kiedy skończył, Rugbista podniósł na niego trudne do rozszyfrowania spojrzenie.

– To wszystko?

– Nie wiedziałem, że chodzi o Szawisza – powtórzył Karim, a przypomniawszy sobie Lunę, dodał: – Lubiłem Szawisza.

Rugbista ironicznie potrząsnął głową i znowu zaczął stukać w przycisk Esc w lewym górnym rogu klawiatury z regularnością młota pneumatycznego – z tym większą regularnością, że nie miało to żadnego wpływu na plik, w którym zapisał protokół przesłuchania.

5

Tymczasem u babki Raszida krążyła po salonie, przerzucając się ze swoją starszą siostrą Wardą argumentami, z których wszystkie zmierzały do tego samego: jaki to wstyd dla całej rodziny Narruszów, wstyd, z którego nigdy się nie podniosą, oraz że świat im się zawalił, a cała katastrofa nosi imiona Rabi'i i Dunji.

Po pierwszej wymianie kąśliwości Slim i Luna uciekli. Slim chciał zostać i dołączyć do sporu, ale Luna zarządziła odwrót; racjonalna gałąź rodziny nie zdołała ich powstrzymać. Owa racjonalna gałąź zasiadła w końcu na kanapie i zamilkła, nie mogąc rywalizować ze słowotokiem dwóch furii biegających między kuchnią a salonem, próbujących czymś zająć ręce (przyrządzenie kawy, herbaty, odkurzanie, sprzątanie), ale rezygnujących z podjętej przed chwilą decyzji, gdy tylko nowa fala wyrazów oburzenia wykrzywiła ich górne wargi.

Noc spędzona w areszcie obudziła element maniackalny psychozy dwubiegunowej, na którą cierpiała Raszida. Gdyby ktoś ją poobserwował tego popołudnia, nie zwracając uwagi na wypowiedane przez nią słowa, zapewne dostrzegłby nieklamana radość, z jaką uwolniła swoje demony.

Z kolei krzątająca się przy komodzie babka wyglądała, jakby nie dostrzegała komedii odgrywanej przez córki; czasami tylko, gdy natężenie ich słowotoku przekraczało w decybelach poziom dopuszczalny dla dzieci, unosiła lekko brwi.

Dogrzebawszy się do starych lizaków i odesławszy dzieci do sypialni, żeby sobie pograły na konsoli, babka zasiadła na środku kanapy i skierowała nieprzenikniony wzrok na zdjęcie swego najstarszego syna Musy, jedyne blondyna w rodzinie; fotografia, na której stał oparty o jeepa na algierskiej pustyni, od lat tkwiła zatknięta za dolną ramę monumentalnego zdjęcia Mekki, znajdującego się we wszystkich muzułmańskich domach Francji i Nawarry: słynny czarny sześcian Kaaby otoczony morzem wiernych w tradycyjnych szatach.

Babka była tak spokojna i skupiona, jakby przez całe życie przygotowywała się do tej ostatniej nocy spędzonej w areszcie. Pozostali natomiast mieli wrażenie, że uczestniczą w jakimś koszmarze w biały dzień.

– To dopiero ślub – mruknął po kabylsku wujek Ajjub, bezskutecznie starając się dźwignąć z fotela.

Na widok jego wysiłków ciocia Bachi podeszła, skarciła go i poprosiła swoją najstarszą córkę Kamelię o przyniesienie wody. Kamelia spała z otwartymi oczami. Przestała słuchać perfidnych utyskiwań Raszidy; o ile jednak same słowa odbijały się od bariery jej braku uwagi, o tyle przed skutkami ich jadu nie potrafiła się

uchronić.

W kuchni natknęła się na Ra'ufa, syna wuja Idira i ciotki Wardy, stojącego z rękoma opartymi o stalowy zlew; gdy podniósł głowę, w jego szklistych oczach zobaczyła przerażenie, któremu towarzyszył niepojęty wstyd.

Kamelia była tym bardziej zaskoczona, że pyszałkowaty Ra'uf prędzej by sobie dał obciąć palec, niż wyznał swoją bezsilność, słabość czy choćby niewiedzę na jakikolwiek temat. Zazwyczaj zachowywał się tak, jakby poza swoją dziedziną działalności, czyli otwieraniem restauracji hallal dla szerokiej publiczności, na każdy temat wiedział dostatecznie dużo, by godnie podjąć rozmowę. Gdy ktoś go przyłapywał na niewiedzy lub próbował przygwoździć precyzyjnymi informacjami, Ra'uf przymykał oczy i potakiwał: ach tak, jasne, oczywiście, że to wiedziałem. Między nim a Kamelią nie było chemii. W pewnym stopniu Ra'uf stanowił przeciwieństwo Fu'ada; obu kuzynów, którzy odnieśli sukces, cała rodzina chętnie brała na języki, zamykając ich w schemacie równie okrutnym co bezdyskusyjnym: Ra'uf dużo się przechwalał, ale mało robił, podczas gdy Fu'ad robił dużo, ale nigdy o tym nie opowiadał. Osiągnięta sława przechylała szalę na korzyść aktora, pozwalając sądzić – niesłusznie, jak powtarzał Fu'ad – że jej wyroki są nieomyłne i że zawsze nagradza tych, którzy na to zasługują.

– Co się dzieje, Ra'uf?

Młody przedsiębiorca spojrzał wysoko ku górze, jakby chciał osuszyć oczy. Patrząc na lampę bez abażuru, oświadczył cicho:

– W sobotę rozmawiałem z Nazirem przez telefon.

Chciał zostawić czas Kamelii na przetrawienie tej informacji, lecz następne zdanie już cisnęło mu się na usta i samo znalazło ujście:

– To zbyt niebezpieczne, muszę spadać.

– Dlaczego? O czym ty mówisz? Czy on ci coś powiedział...

– Nie mówmy o tym – przerwał jej Ra'uf, patrząc na szpary między starymi meblami kuchennymi. – Po co zresztą tutaj tkwić?

– Po co? – obruszyła się Kamelia. – Przecież nie zostawimy Rabi'i i Luny samych!

Ten krzyk serca był tak sprzeczny z duchem, który zapanował w mieszkaniu babki, że Ra'uf nawet nie uznał za stosowne, by wchodzić w dyskusję.

– Rób, co chcesz, twoja sprawa.

Za słowami, które kuzyn wypowiedział, Kamelia usłyszała trzy inne, usłyszała je tak wyraźnie, jakby je wymalował szminką na kafelkach nad zlewem: bliższa koszula ciała.

I faktycznie. Bachi i Ajjub nawet nie doczekali kawy, by oznajmić, że zgodnie z początkowym planem wyjeżdżają z Saint-Étienne. Ra'uf co prawda miał tygodniowy urlop, ale na wszelki wypadek o tym nie wspomniał, udając, że musi pilnie wracać do Londynu.

Spojrzenia stałych mieszkańców Saint-Étienne, którzy nie mieli dokąd wyjechać, obróciły się w stronę Kamelii. Ta zaczęła rozpaczliwie szlochać na myśl o Karimie zagubionym w sali weselnej, opowiadającym o dziewczynie, w której zakochał się jak szczeniak, bo przecież był tylko szczeniakiem zgrywającym twardziela, a w rzeczywistości nieśmiałym, łagodnym, wręcz radosnym kuzynkiem, który podczas quizu muzycznego w pokoju babki doszczętnie zmiotł konkurencję.

6

Usłyszawszy wystąpienie mecenasa Aribiego, Fu'ad natychmiast zadzwonił do Szafrana, by go zapewnić, że nigdy tamtego nie wyznaczał na swojego obrońcę. Pewnie była to sprawka Karima, który o żadnym innym adwokacie nigdy nie słyszał. Aribi często występował w telewizji, dzięki swoim miażdżącym oświadczeniom był chętnie zapraszany do programów talk-show, gdzie publiczność oklaskiwała jego bezwstydną spryt i spektakularne umiejętności w zakresie autopromocji.

– Nie chcę, żeby nas bronił ktoś taki jak on – wyjaśnił Fu'ad. – Pod żadnym pozorem. Zresztą czy ogłaszanie się adwokatem ludzi, którzy o nic nie prosili, jest zgodne z prawem? Sądziłem, że adwokatom nie wolno polować na klientów...

– Ma pan rację. Jest to sprzeczne z deontologią zawodową i może się dla niego skończyć karą dyscyplinarną. Zadzwonię do niego, proszę teraz odpocząć.

Mecenas Szafran polecił swojej aplikantce, żeby znalazła numer Chalida Aribiego. Aplikantka o imieniu Amina miała dość dziwny wyraz twarzy od chwili, gdy się dowiedziała, że kancelaria Szafran & Wspólnicy mobilizuje wszystkie swoje zasoby, aby bronić zabójców Szawisza...

Fu'ad wyszedł do kuchni, gdzie siedziała jego matka, która pokaszując, właśnie gasiła papierosa. Chciał ją pocałować w policzek, ale ona lekko się odsunęła.

– Gdzie jest Rabi'a? – zapytał, wsadziwszy głowę do lodówki.

– Poczęstuj się, zrobiłam *briki*⁴, takie jak lubisz. Rabi'a? Razem z Luną śpią na górze w moim łóżku. Biedactwa...

W drzwiach pojawił się obładowany zakupami Slim. Postawił torby na podłodze, żeby odebrać wibrującą komórkę.

– Cholera, nie zdążyłem. To KENZA. Trzeci raz do mnie dzwoni...

Fu'ad wziął od młodszego brata kartę Master Gold, którą mu pożyczył na zakupy. Razem włożyli jedzenie do szafek i lodówki.

Zamyślona Dunja stała przy uchylonym oknie. Domek, w którym mieszkała od dwóch lat, został jej jakimś niepojętym cudem przyznany przez urząd do spraw taniego mieszkalnictwa HLM departamentu Loara, chociaż nie miała ani małych dzieci, ani nieuregulowanej sytuacji zawodowej. Z pensji opiekunki w domu

starców spokojnie mogłaby opłacać czynsz bez żadnej pomocy ze strony państwa, ale Nazir miał odmienne zdanie: uważał za absolutnie normalne, aby państwo zapewniło dach nad głową wdowie po człowieku, który stracił zdrowie przy naprawie państwowych dróg i mostów.

Tynkowany na różowo domek stał na dość dobrej parceli leżącej na zboczu jednego z siedmiu wzgórz miasta; był nawet otoczony trawniczkiem z ligustrami, gdzie rok wcześniej Dunja zorganizowała grilla. Poza męczącym półgodzinnym spacerem, który go oddzielał od mieszkania Rabi'i, domek miał jedną zasadniczą wadę: wąski, mocno zniszczony budynek zasłaniał widok na wzgórze Montreynaud z królującym na jego szczycie, ozdobionym wielką misą wieżowcem Plein Ciel, w którym jak na ironię Dunja wychowała trójkę swoich synów.

Sąsiedzi – sympatyczna para emerytów melomanów – twierdzili, że władze miejskie już rok przed przybyciem Dunji obiecały rozbiórkę paskudnego budynku. Chwilowo nadal tam stał i straszyl, chociaż w bezchmurne poranki zdarzało się, że promienie słońca przechodziły przez rozbite szyby najniższych pięter, zalewając łagodnym światłem trawniki i ściany.

Fu'ad właśnie zabierał się do *briki*, gdy zadzwoniła pani Caputo, sąsiadka Rabi'i. Opowiedziała mu, że koło dziesiątej rano przyszła do niej dwójka dziennikarzy i zarzuciła ją pytaniami. Fu'ad położył rękę na karku.

– Coś im pani powiedziała?

– Nie, chłopcze, bądź spokojny, ja nie z tych, co plotkują. Ale o innych w bloku nie mogę powiedzieć tego samego...

Ledwo Fu'ad skończył rozmowę z panią Caputo, do kuchni wrócił Slim. Był siny na twarzy.

– Właśnie rozmawiałem z Kenzą – oświadczył, nie podnosząc oczu.

Fu'ad obrócił się w stronę matki, potem w stronę Slima.

– No i? O co chodzi?

– Ta stara krowa nigdy mnie nie lubiła.

– Kto, Slim? – zapytała Dunja. – O kim ty mówisz?

– O jej matce! O matce Kenzy! Chce ją wyrzucić z domu, jeśli Kenza się ze mną nie rozwiedzie. Mówi, że to wstyd, że cała nasza rodzina to jeden wielki wstyd, że ślub był po prostu katastrofą, i tak dalej, i tak dalej...

Zapadła cisza, a na policzki Slima wypełzł rumieniec. Pewnie zaczęłyby szlochać, gdyby Fu'ad nie zadał mu pytania:

– A co o tym myśli Kenza?

– Mówi, że powinniśmy wynająć mieszkanie. Ale my przecież nie mamy kasy... O Boże, co za koszmar, kiedy ja się z niego obudzę...

– Powiedz jej, że w najgorszym razie może się przenieść tutaj – stwierdziła Dunja, wyciągając jednego z ostatnich papierosów z paczki. – I tak zawsze uważałam, że ten dom jest za duży na nas dwoje.

– Ale gdzie będzie spać? – zapytał czujnie Slim.

– Z tobą, mój drogi, w twoim pokoju. Gdzie niby miałyby spać? Ja z Rab' i Luną, a Fu'ad w salonie, jeśli się na to zgodzi. Fu'ad? Co ty na to?

– Bez problemu mogę spać na kanapie.

I tak sprawa została załatwiona w tej dziwnej atmosferze zawieszenia, w której wszystko wyglądało na łatwe i pozbawione ciężaru.

Slim niczego jednak nie zauważył. Podbiegł do matki, cmoknął ją w policzek i zadzwonił do świeżo poślubionej żony, nawet nie próbując ukryć entuzjazmu.

7

W końcu Waldstein nie wytrzymał i postawił się Nazirowi. Czterokrotnie zjeżdżali z autostrady, żeby zgubić rzekomych prześladowców, po czym koszmarnie długo szukali ponownego wjazdu. Wreszcie Waldstein skręcił na *Autobahnraststätte* i odmówił dalszej jazdy.

– Czy pan nie rozumie, że muszę być ostrożny, panie Waldstein?

Już sam głos Nazira stał mu się wstrętny.

– Proszę posłuchać. Podjąłem się, że pana odwiozę, jasne? Ale nie tego, że będę jeździć wte i wewte po autostradzie.

– Niech się pan jednak zastanowi: obaj znaleźlibyśmy się w bardzo trudnej sytuacji, gdyby nas śledzono. Ludzie, którzy mnie ścigają, mają ogromną władzę. Zapewne dostali już taśmy z kamer zainstalowanych przy wyjeździe z parkingu pod bankiem, a być może również z ulic, którymi jechaliśmy do autostrady. Mogli się więc dowiedzieć, w którym kierunku pojechaliśmy, dlatego właśnie poprosiłem...

Waldstein ruszył.

Pół godziny później na poboczach autostrady pojawiły się hangary: dojeżdżali do dużego miasta. Spojrzawszy machinalnie w lusterko, Nazir wbił wzrok w kierowcę, na którego skroni pojawiły się krople potu.

– Nie lubi pan podłej roboty, co? To dlaczego pan się jej podjął?

– Jakiej podłej roboty? Po prostu pana odwożę!

– Serio? Niby dlaczego miałyby chodzić o cokolwiek innego, prawda?

Waldstein albo nie rozumiał, albo rozumiał zbyt dobrze.

Nazir podniósł głos.

– Powiem panu, jakie jest moje zdanie, *panie Waldstein*. Uważam, że już od wyjazdu z Zurychu, chociaż zmusiłem pana do kluczenia, jechały za nami trzy samochody i dwa motocykle. Zgubiliśmy je, a pan teraz czeka tylko na jedno: żeby pójść z telefonem do najbliższej toalety i poinformować tych, którzy nas śledzą, o miejscu naszego pobytu. Lecz ja oczywiście nie mogę do tego dopuścić...

Waldstein nie reagował. Po zjeździe z autostrady samochód wjechał do miasta. Nagle kierowca przywołał na twarz swój najbardziej życzliwy uśmiech.

– Mogłem panu poderżnąć gardło, gdyby o to mi chodziło. Trzymałem w ręce brzytwę, a pan siedział przede mną z odsłoniętą szyją.

– Mógł pan, to prawda.

– Nie zazdroszczę panu. Nie wiem, ile czasu uda się panu skutecznie uciekać, zapewne dość długo, biorąc pod uwagę kwotę, jaką pan ma w tej walizce. Nie wiem tylko, czy pan nie doprowadzi do własnej zguby, wszędzie wyobrażając sobie jakieś upiory...

Nazir zamyślił się, a po chwili odpowiedział zimnym, niemal obojętnym tonem:

– Upiór to ja. Zna pan zdanie Marksa: Upiór nawiedził Europę.

– Więc o co chodzi? – zapytał gniewnie Waldstein. – O upiora terroryzmu?

Morderstw politycznych?

Nazir milczał. Właśnie dojechali pod właściwy adres.

– Zanim się zatrzymamy, proszę objechać kwartał domów.

– Po co?

– Żeby mieć pewność, że nikt nas nie śledzi.

Po dwóch okrążeniach Nazir otworzył schowek pod przednią szybą i chwilę w nim pogrzebał. Następnie obrócił się w stronę Waldsteina i kazał mu oddać komórkę.

– Czy pan zwariował? O co panu chodzi?

Negocjacje nie trwały nawet minuty, po czym Nazir wysiadł, włożywszy pistolet do kieszeni marynarki.

8

Kilkanaście samochodów niemieckiej policji obstawiło całą dzielnicę Hermannsweg. Pułkownik Mansourd zajął miejsce w nieoznakowanym pojeździe z przyciemnionymi szybami stojącym najbliżej wejścia do muzeum. Jak się okazało, nie było to muzeum lalek, tylko lalkarzy. W witrynie podrygiwała kukielka Pinokia. Budynek miał trzy piętra, z których tylko ostatnie nie było pomalowane w pstrokate kolory muzeum.

Siedzący z tyłu Mansourd obserwował przez lornetkę, co się dzieje na końcu ulicy. Nagle dał znak swojemu niemieckiemu koledze, który wymamrotał kilka słów do walkie-talkie. Jakiś samochód, który dwukrotnie objechał kwartał domów, zatrzymał się o parę metrów od wejścia do muzeum. Z samochodu od strony pasażera wysiadł mężczyzna: wysoki, ciemnowłosy, ubrany na czarno, wyglądający na spiętego. Przez cały czas zerkał za siebie i dotykał policzków, jakby chciał uspokoić rozedrgane szczęki.

Stanął przed wejściem i podniósł wzrok na Pinokia. Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Mansourd odłożył lornetkę: i tak widział mężczyznę tylko od tyłu. Gdy w jego dłoni pojawił się pistolet, pułkownik zapiął

kamizelkę kuloodporną i poprosił szefa operacji o jej rozpoczęcie.

– *Es ist unser Mann* – powiedział dość przybliżonym niemieckim.

Kilkanaście samochodów, niezauważenie obstawiających dzielnicę, ruszyło i wypluło z siebie strumień uzbrojonych facetów w kominiarkach, którzy otoczyli podejrzanego. Ten od razu wypuścił broń i podniósł ręce do góry. Mansour, trzymając go na muszce, zorientował się jako pierwszy, że to nie Nazir. Był to młody mężczyzna najprawdopodobniej tureckiego pochodzenia (przynajmniej tak wynikało z jego papierów), którego zamiary nie były zapewne do końca uczciwe, ale który nie miał nic wspólnego z zamachem na kandydata Szawisza.

Mansour cisnął lornetką o ziemię i spojrzał na szare, zamglone niebo nad Hamburgiem. Wybrał numer sędziego Wagnera.

W tej samej chwili Nazir opuszczał Berno, gdzie chwilę wcześniej kupił nowego smartfona. Podczas gdy samochód wjeżdżał na autostradę w kierunku wschodnim, Nazir powiedział do Waldsteina:

– Będą mnie szukać w Hamburgu, a ja tymczasem ukryję się w szwajcarskich górach. A kiedy będą mnie szukać w szwajcarskich górach, wie pan, gdzie się ukryję? Gdzie indziej! Nie mam żadnego stałego miejsca pobytu, teraz pan rozumie? – I nie czekając na reakcję zdenerwowanego kierowcy, dorzucił: – Już panu mówiłem, panie Waldstein, upiór nawiedził Europę... A tym upiorem jestem ja!

Rozdział 7

Prostownica

1

Po południu prokurator Lamiel wezwał wszystkich swoich zastępców, aby podsumować sytuację i ustalić priorytety.

Większą część zebrania poświęcono sprawom rozpatrywanym w trybie przyśpieszonym: czy należy je wytaczać szczeniakom złapanym na podpalaniu samochodów, którzy na przesłuchaniu oświadczyli, że zrobili to jedynie po to, by wyrazić oburzenie wobec zamachu na życie prezydenta elekta? Prokuratura powinna stosować politykę karną rządu; jedno zdanie Lamiela nie pozostawiało cienia wątpliwości co do ścisłej hierarchii ról w prokuraturze, której był jednym z najważniejszych członków:

– W okresie kryzysowym prokuratura ma się stosować do odgórnych zaleceń.

Pod koniec zebrania porozmawiał na stronie ze swoim zastępcą kierującym sekcją antyterrorystyczną, który nie był zachwycony poziomem zaangażowania

szefa, ale nie miał wyboru, ani zresztą dość charakteru, żeby mu to powiedzieć w twarz.

Chwilę później Lamiel przechadzał się po korytarzach Pałacu Sprawiedliwości rozkołysanym, statecznym krokiem, z rękoma założonymi za plecy. Jego wielka, nabrzmiała od hormonów głowa machinalnie kiwała się do przodu w odpowiedzi na uprzejme powitania ze strony napotykanym po drodze sędziów i asystentów.

U dołu schodów prowadzących do galerii Saint-Éloi Lamiel głęboko wciągnął powietrze do płuc i podniósł palec do ust.

– Panie sędzio – powiedział do Wagnera dwie minuty później, pchnąwszy drzwi do jego gabinetu. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Obrócił się w stronę Alice, asystentki Wagnera, dając sędziemu znać, że chciałby z nim porozmawiać na osobności. Na widok wydatnego brzucha Alice kiwnął aprobująco głową i omal nie zapytał o przebieg ciąży. Lecz zafrasowanie, które biło z jego wylupiastych oczu, wygrało z chęcią sprostania wymogom grzeczności. Alice narzuciła na ramiona lekki żakiet i ruszyła w kierunku drzwi, odprowadzona wymuszonym uśmiechem szefa paryskiej prokuratury.

– Henri, przyszedłem, by ci przekazać, że w najwyższych kręgach zapanował niepokój po twojej decyzji tak szybkiego zwolnienia rodziny Narruszów... zwłaszcza młodszego brata Nazira, tego aktora, który romansuje z Jasminą Szawisz.

Lamiel wciąż trzymał ręce założone za plecy; prawym barkiem wskazał jedno z krzeseł stojących naprzeciw biurka sędziego i zapytał:

– Pozwolisz, Henri?

– Posłuchaj, te niepokoje w najwyższych kręgach bardzo mnie martwią, ale tobie nie muszę chyba przypominać, że jestem niezawisły, mam *status* niezawisłego sędziego.

– Oczywiście – odparł prokurator. – Gdyby Nazira udało się zatrzymać w Hamburgu, nie byłoby problemu. Obawiam się jedynie, że nie doceniasz powagi sytuacji...

Wagner zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Czego sobie życzysz, Jean-Yves? Żeby ci podał dokładny skład ekipy, która prowadzi inwigilację Fu'ada Narrusza? Włączyliśmy do operacji trzy nieoznakowane pojazdy oraz kilkunastu policjantów, którzy bez chwili przerwy śledzą każdy jego gest i krok, od esemesów po e-maile. Jeśli wychodzi z domu, jedziemy za nim; gdziekolwiek pójdzie, wiemy, co robi. Jeśli się podrapie za uchem, co najmniej trzech funkcjonariuszy SDAT sporządzi szczegółowy raport i będzie wiadomo, czy się drapał palcem środkowym, czy serdecznym...

Prokurator powstrzymał beknięcie i z powagą kiwnął głową.

– Niech będzie. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz... A jeśli chodzi

o jutrzejszy dzień? Obawiam się, że będziemy musieli zrezygnować z tenisa, ale chciałbym cię zaprosić na obiad.

Wagner wolałby odmówić: następnego dnia w południe miał przesłuchiwać członków najbliższej rodziny Nazira. Lecz wyłupiaste oczy prokuratora zdawały się nalegać. Intuicja podpowiedziała sędziemu, że w restauracji nie będą sami.

– Dobrze – zgodził się. – Jutro o dwunastej.

– A o tym Turku z Hamburga macie coś nowego?

– Niestety nic. Pułkownik Mansour nie wierzy w zbieg okoliczności, jednak wyniki przesłuchania chwilowo nic nie dały...

2

Mansour faktycznie miał rację, nie wierząc w zbieg okoliczności. Jak chępliwie powiedział Nazir Waldsteinowi, dwa telefony wystarczyły, żeby tego nieszczęsnego Turka wysłać jak cielę na rzeź.

– Dlatego właśnie kupiłem nowego smartfona – tłumaczył. – Kiedy zidentyfikują numer, z którego dzwoniło, żeby ściągnąć Turka pod muzeum, będzie już za późno. Mogłem zmienić kartę, ale nie umiałem się oprzeć nowemu modelowi BlackBerry. Niech pan tylko spojrzy – dodał z pełnym zachwytem grymasem.

Od trzech kwadransów samochód jechał krętymi drogami doliny o zboczach porośniętych modrzewiami. Na tej wysokości panowały tak surowe warunki klimatyczne, że nie rosły tu nawet świerki. Za przyciemnionymi szybami przesuwwały się pokryte wiecznym śniegiem szczyty. Nazir dawał swojemu kierowcy coraz bardziej nedorzeczne wskazówki i nadal pilnie zerkał w lusterko. Wjechali w tak gęsty las, że Waldstein musiał włączyć światła, by cokolwiek widzieć na zakrętach. Gdy za jednym z nich ściana świerków rozstała się, zobaczył, że Nazir pisze długiego esemesa.

Kiedy wreszcie opuścili to morze niepokojącej ciemnozielonej roślinności i wjechali w jasną, niemal otwartą przestrzeń, gdzie wielobarwne liście były świadectwem życia oraz obecności człowieka, Waldstein odetchnął z ulgą. Wkrótce dotarli do jakiejś stacji narciarskiej i Nazir zaproponował, żeby się zatrzymali coś zjeść.

– Przypuszczam, że pański żołądek krzyczy z głodu.

Waldstein zaparkował na prawie pustym parkingu przed restauracją. Nazir nie spuszczał go z oka. Wysiadając z ogrzewanego auta, poczuł dreszcz zimna. Kazał Waldsteinowi otworzyć bagażnik, z którego wyjął dwie metalowe walizki.

– Tak między nami, nie myśli pan, że to za wiele? – spytał kierowca.

W odpowiedzi Nazir parsknął śmiechem. Postawił kołnierz marynarki, żeby ochronić szyję przed zimnem, i zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku barierki punktu widokowego. U jego stóp stały porzrzucone domki, niczym abstrakcyjne

miniaturki w surowym świetle mglistego dnia. Godzinę wcześniej przez góry przeszła burza: drewniane elementy domków lśniły takimi samymi perełkami deszczu jak gałęzie świerków.

Wydawało się, że wyciągi narciarskie na szarozielonych zboczach stacji zatrzymały się zaledwie przed chwilą. Ich nieruchomość wzbudziła niepokój Nazira, który zawrócił w kierunku wejścia do restauracji. Waldstein natychmiast ruszył do toalety; przez dobrych kilka minut karczemnie złorzeczył, nie mogąc oddać moczu. Gdy w końcu wrócił do lokalu, nie zobaczył w drzwiach Nazira. Upewniwszy się, że samochód nadal stoi na parkingu, obszedł parter restauracji. Dębowe stoły i ławy stały szeregiem pod plataniną podwieszonych u sufitu belek, dziwacznych koszy oraz różnego rodzaju ozdóbek w kształcie śnieżynek i serduszek. Waldstein poczuł, że brak mu tchu: nigdzie nie było widać Nazira.

Opadł na krzesło przy wejściu. Wzrokiem omiótł szafki o szybkach ozdobionych delikatnymi koronkowymi firaneczkami, zza których, jak eldorado ze snu żarłocznego malucha, połyskiwały słoiki konfitur i miodu, pudełka z najróżniejszymi ciasteczkami. Podszedł do niego szef restauracji. Waldstein zapytał, czy nie widział mężczyzny, o, takiego wzrostu, z kilkunastocentym zarostem.

– A tak, widziałem – odparł właściciel restauracji. – Odjechał z jakąś panią.

Waldstein pomknął w kierunku parkingu. Obmacał wszystkie kieszenie i zorientował się, że nie ma komórki. Na wszelki wypadek pobiegł do toalety, choć świetnie wiedział, że jej tam nie znajdzie. Wróciwszy do miejsca, gdzie stał właściciel lokalu, zapytał, jakim samochodem odjechał Nazir. Tamten podrapał się po wielkim nosie i zamknął oczy. Po chwili namysłu powiedział, że czarną terenówką.

– Jakiej marki?

– A, tego to już panu nie potrafię powiedzieć – odparł tamten.

Waldstein wybiegł na parking. Za sobą usłyszał właściciela, krzyczącego do niego z ganku swojej absurdalnej restauracji rodzinnej:

– A co z antrykotem, proszę pana? Mam nadzieję, że nie usmażyliśmy go na próżno. Pański znajomy mówił, że lubi pan, jak mięso jest krwiste!

3

Na stole kuchennym u Dunji postawiono talerz dla Abu Zida, ale po półgodzinnym oczekiwaniu i dziesięciu telefonach Fu'ada do wuja Luna stwierdziła, że jest śmiertelnie głodna, i wszyscy zabrali się do jedzenia. Poza Rabi'ą, która dopiero co się obudziła, dziobnęła kilka ziarenek soczewicy, po czym odeszła od stołu, mówiąc, że chce jeszcze trochę odpocząć. Po chwili wróciła do kuchni i poprosiła Dunję o wygładzenie jej włosów prostownicą.

Na tę prośbę wszyscy się odwrócili, nawet Slim, który zareagował jako pierwszy:

– No co ty, cioteczko, przecież masz takie piękne włosy!

Rabi'a spojrzała pustym wzrokiem na okolicę nogi od stołu. Zmarszczyła podbródek i zmusiła się do uśmiechu.

– Tak, ale mam ochotę na odmianę.

Uśmiech zmienił się w grymas, więc Dunja zgodziła się po obiedzie wyprostować jej włosy. Przy kawie Dunja była trochę niespokojna, a Fu'ad zrozumiał, że ma ochotę na papierosa, ale się hamuje, bo poprzedniego wypaliła tuż przed obiadem. Slim odebrał telefon od Kenzy; chwilę później wyjaśnił Fu'adowi, że konflikt z jej matką został zażegnany, a ona sama jest bardzo wzruszona propozycją, którą jej złożył.

– Którą złożyła mama – uściślił Fu'ad.

Udając, że to tylko przejęzyczenie, Slim umościł się w najwygodniejszym fotelu, aby popatrzeć na wiadomości. Dunja i Rabi'a zajęły miejsce obok niego: Dunja z rozstawionymi nogami na kanapie, żeby wygodnie zająć się fryzurą Rabi'i, która usiadła na dywanie u jej stóp.

Kontakt prostownicy z owłosioną skórą na głowie ciotki wywołał u Fu'ada nieprzyjemne wrażenie nadciągającej katastrofy, ale to Luna odezwała się pierwsza:

– Oj, mam, chyba przesadzasz – powiedziała, wbijając zęby w czerwone jabłko. – Masz takie piękne kręcone włosy, wszystkie Francuzki ci zazdroszczą, a ty chcesz je zepsuć?

Lecz Rabi'a pozostawała niewzruszona w swym postanowieniu.

Fu'ad wyszedł i wybrał numer Jasminy. Nie odpowiadała. Zastanawiał się, jak to rozumieć, gdy zadzwonił wujek Abu Zid. Mówił wyjątkowo cicho, a jego głos brzmiał, jakby był chory. Chciał się spotkać z Fu'adem na osobności, najlepiej w jakimś miejscu publicznym. Zaintrygowany tą niecodzienną tajemniczością Fu'ad umówił się z wujem w knajpie w centrum miasta. Abu Zid pojawił się z piętnastominutowym opóźnieniem i guzem na lewym policzku.

– Co ci się stało? – zapytał Fu'ad. – Gliniarze tak cię urządzili?

– Nie – pośpieszył z odpowiedzią Abu Zid, w porywie szczerości nie zdawszy sobie sprawy, że właśnie pozbawił się idealnego wyjaśnienia.

– A więc kto? – nalegał Fu'ad.

– E tam, nic takiego. Przepraszam za spóźnienie. – Abu Zid zmienił temat, zerkając na prawo i lewo, jakby już zaczynał się niecierpliwić, że nie nadchodzi kelner. – W tym pieprzonym mieście coraz trudniej zaparkować.

– Wujku...

– Poczekaj – przerwał mu Abu Zid. – To się stało przed chwilą w autobusie. Wiesz, że były zamieszki w Montreynaud? Koło dwunastej wyjeżdżam z zajezdni i co widzę? Trzech gówniarzy, którzy łomem usiłują włamać się do samochodu! Gnojki po dwanaście, może trzynaście lat. Zatrzymuję autobus, odkręcam szybę

i pytam, co robią. A oni mi każą spadać. Znasz mnie, nie pozwalam sobie włożyć na głowę, więc wysiadam, *zarma*, żeby dać im szkołę...

– No i? – zapytał Fu'ad, choć z łatwością mógł odgadnąć dalszy ciąg.

– Na to oni po prostu się na mnie rzucili. Przysięgam, nie rozumiem, co się dzieje z tym pokoleniem. My nie byliśmy tacy. *Wa-Allah*, nie byliśmy tacy. Robiliśmy głupoty, nie przeczę, ale... Ci gówniarze wyglądali na opętanych, *wa-Allah*, to prawdziwe szajtany.

Abu Zid przejechał dłonią po łysej czaszce i zapytał, co u Rabi'i. Fu'ad zaczął mu tłumaczyć, że ciotka chwilowo przeprowadziła się do jego matki, że łatwo nie jest, ale wszyscy o nią dbają, gdy raptem Abu Zid przerwał mu w pół słowa.

– Poczekaj, przepraszam cię... – Ręka mu zadrżała, jakby usiłował sobie przypomnieć imię siostrzeńca. – Fu'ad, możemy pójść do baru?

Fu'ad wziął swoją szklanę z grenadyną i usiadł przy barze obok wuja, który oparł łokcie o ladę i zamówił piwo.

– Barman! – wykrzyknął, strzelając palcami. – Daj nam orzeszki, okej? – Po czym dodał, zwracając się do siostrzeńca równie agresywnym tonem: – Kurwa, takie ceny w barach, a o orzeszki trzeba się dopominać, niech to szlag...

Fu'ad obserwował, jak wuj raczy się orzeszkami, za każdym razem przestrzegając tego samego rytuału: brał niedużą garstkę, długo potrząsał w półotwartej dłoni i wrzucał wszystkie naraz do gardła, przechylając głowę do tyłu.

– O czym to mówiliśmy? Aha, o Rabi'i... No mówię ci... Ale ja zawsze powtarzałem, że jak człowiek jest z gówniarzami zbyt pobłażliwy, to mu wejdą na głowę. Karim stracił ojca, zdarza się, nic na to nie poradzisz, ale czasem trzeba jednemu z drugim spuścić porządne lanie, bez tego ani rusz. Wejdą ci na głowę, na życie babki, te małe szajtany wejdą ci na głowę...

Fu'ad mógł oczywiście zwrócić Abu Zidowi uwagę, że nie ma dzieci, a w teorii wszystko jest zawsze łatwiejsze niż w praktyce. Wściekły na wujowską wściekłość, zaczął już formułować w ustach stosowne słowa, ale w ostatniej chwili, odstręczony ich gorzkim posmakiem, wolał zatopić wzrok w pustej szklance i równie pustym tonem zakończyć:

– Ano...

– Cóż – podjął Abu Zid. – Chyba dobrze by było, gdyby Rab' i Dun' usunęły się na pewien czas w cień. Tylko na trochę, żeby uniknąć skandalu. Nie żeby babka lub Raszida miały im za złe, *zarma*, ale...

Przygasał; wyglądało na to, że wszelkie myśli odpłynęły z jego oczu i umysłu.

– A reszta się rozjechała – podjął machinalnie, wymieniając kolejne osoby: – Bachi i Ajjub, Ra'uf, Kamelia też.

– Kamelia?

– Tak – potwierdził Abu Zid. – Zostaliśmy tylko my.

My, czyli ci z Saint-Étienne, zrozumiał Fu'ad.

Choć od kilku lat mieszkał w Paryżu, wystarczył jeden weekend, by ponownie zanurzył się w lepkiej mazi tego „my”.

– Tylko my – powtórzył, by kompletnie nie oszaleć.

4

Godzinny marsz pod palącym słońcem w centrum miasta nie wystarczył Fu'adowi, by ukoić nerwy po rozmowie z wujem. Przechodząc obok Centrum Designu na terenie dawnej manufaktury broni i jego metalowego obelisku, zdjął marynarkę. Wkrótce dotarł do Szpitala Północnego, gdzie kiedyś pracowała jego matka, zanim została przeniesiona do szpitala Bellevue w południowej części miasta.

Zastanawiał się, czy u Zalichy i Farhata regularnie bywają goście; już chciał sam to sprawdzić, gdy uderzyła go niezwykła uroda bladego światła zalewającego wzgórze wokół kompleksu budynków szpitalnych. W Paryżu takiego światła nie ma, w Lyonie zresztą też nie: takie światło istnieje tylko na Południu, a jego przedsmakiem są zalesione zbocza Forezu o jeszcze nie śródziemnomorskiej roślinności.

Wodząc wzrokiem po zielonych rozświetlonych kobiercach na dalszym planie miasta, przez chwilę odniósł wrażenie, jakby takie same krajobrazy widywał podczas podróży z Jasminą po północnych Włoszech: zmysłowe falowanie jasnozielonego listowia na zboczach, wyniosłe topole stojące rzędem na graniach zmatowiałych w rozedrganym powietrzu, ale jeszcze niespalonych jak po nadejściu lata.

Ruszył wzdłuż torów tramwajowych. Starając się unikać myślenia o Nazirze – bezładnego i ciężkiego przeżuwania faktów, przygniatającego jak myśli o śmierci – dotarł na wzgórze Saint-Christophe, gdzie mieściły się prywatne gimnazjum i liceum, w których uczyli się on, jego bracia oraz większość kuzynek i kuzynów (z wyjątkiem Luny, która chodziła do szkoły sportowej w Tézenas-du-Montcel, i Karima, który wylądował w zawodówce imienia Eugène'a Sue).

Na szczycie porośniętego sosnami wzgórze od kilku lat stał wielki meczet Saint-Christophe. Fu'ad ruszył w górę schodami prowadzącymi do wejścia. W pewnej odległości za nim szli dwaj mężczyźni w jasnych dżinsach i skórzanych bluzach. Jeden z nich szepnął do ukrytego w mankiecie mikrofonu:

– Zupełnym przypadkiem idzie do meczetu Saint-Christophe...

Zerwał się popołudniowy wiatr, który uniósł z drzew miriady wielobarwnych pyłków kwiatowych: żółtych, brązowych, czerwonych, niebieskich, lecących ukosem i spadających na chodniki, gdzie zbierały się w zbite, choć ulotne stożki.

Zbudowany z bladoróżowego betonu meczet ozdobiono kopułami

i orientalnymi wzorami. Największe wrażenie robił jednak jego brakujący minaret. Słynny minaret, którego budowa była dyskutowana, rozpoczynana, przerywana, wstrzymywana, a z którego pozostał jedynie stos leżących w kurzu kamieni. Niezależnie od obecności czy nieobecności muezzina budowla ta byłaby najwyższym punktem Saint-Étienne, jak stwierdził Fu'ad, odwracając wzrok w stronę pozostałych sześciu wzgórz i pokrytych łupkiem dachów miasta, które lepiej lub gorzej próbowało trwać, dawać świadectwo swojego istnienia w promieniach zachodzącego słońca, w ten sam sposób oświetlającego miliardy dachów na powierzchni planety.

Pod kopułą przy wejściu do meczetu nikogo nie było. Przykucnął na piętach i wyjął kartkę papieru, żeby napisać list do Jasminy. „Oni” – o których niczego nie wiedział, ale w których postanowił wierzyć, aby sobie wyjaśnić milczenie ukochanej – na pewno pilnowali jej komórki i e-maili, lecz zapewne nikt nie pilnował skrzynki na listy, nikt już bowiem nie miał zwyczaju pisywania listów.

Mężczyźni śledzący Fu'ada widzieli go od tyłu. Ukryci za pniami sosen przy ścieżce prowadzącej do meczetu zameldowali kapitanowi, który dowodził operacją:

- Przykucnął na piętach przed meczetem.
- I co robi?
- Chyba się modli, szefie.

Wkrótce Fu'ad zszedł ze wzgórza Saint-Christophe i nadał list na pocztę, opłaciwszy go jako priorytetowy. Urzędniczka uśmiechnęła się do niego boleściwie; nie rozumiejąc jednak przyczyny takiego zachowania, nie potrafił odpowiedzieć jej tym samym.

Choć nie czuł już nóg, jeszcze przez godzinę łąził po mieście, wściekły na myśl, którą starał się wyrzucić z głowy: przez ostatnie miesiące Nazir chodził po ulicach tego samego miasta, mieszkał w tym samym domu, cieszył się tym samym światłem. Uciekając przed tą refleksją, dotarł do stadionu Geoffroy-Guichard i poszedł dalej, wzdłuż kompleksu sportowego Étivallière z jego boiskami do piłki nożnej i do rugby. Wokół niego biegła autostrada, której monotony szum zakłócał okrzyki rozgrzewających się nastolatków, przychodzących tu w pojedynkę, czasem nawet bez piłki, ale przekonanych, że spotkają tu co najmniej dziesięciu takich samych jak oni i zdołają rozegrać mecz na połowie boiska.

Sztuczną trawę boiska ożywiało popołudniowe słońce. Fu'ad pomyślał o Jasminie, której tak bardzo chciał opowiedzieć o tych jasnych połaciach, o piłkach fruujących w nisko padających promieniach słońca, o wybuchach śmiechu, o idealnych przerzutach na drugą stronę murawy, wykonywanych „jak na treningu”, zewnętrzną stroną stopy, przez natchnionych amatorów, którzy nawet nie mieli korków.

Nagle rozpoznał go najbardziej wyszczekany z chłopaków, jeden z tych niedzielnych graczy, którzy nigdy nie cofają się do obrony, a jedyną frajdę czerpią

z przechwycenia piłki na połowie przeciwnika i wbicia bramki. Fizycznie wyglądał zresztą jak typowy *strzelec bramek*: miał nieco zadarty nos o zadziornie zwężonych nozdrzach.

Wokół Fu'ada zgromadził się tłumek.

– *Wesh!* Bohater meczu! Na Koran i Mekkę, szacun!

Fu'ad miał na sobie stare campery i džinsy, które wystarczyło podciągnąć do kolan, aby zamienić je w szorty. Grał, dopóki tarcza słońca nie schowała się za autostradą, pozostawiając po sobie smugę różowego oparu. Głównie stał na obronie, ale zaliczył parę dobrych podań, a nawet, dzięki *strzelcowi bramek*, który zaczął grać na lewym skrzydle, wykonał heroiczny rajd na drugi koniec boiska, pokonując dryblingiem czterech przeciwników i wbijając bramkarzowi gola w ten róg, w którym go nie było.

5

Kiedy wykończony wracał autobusem, zobaczył, że ma kilka nieodebranych połączeń, ale tylko od Ja'il i paru przyjaciół. U stóp schodów Sommeil przypomniał sobie głos Jasminy i dziwne pytanie, które mu zadała poprzedniej jesieni, na samym początku ich znajomości.

– Wolałbyś bardzo piękną dziewczynę z przeciętnym głosem czy przeciętną z bardzo pięknym głosem?

Fu'ad zrozumiał, że tamtego akurat dnia uważała się za przeciętną, ku czemu zresztą istniały obiektywne przesłanki: przede wszystkim orli nos, ale również trochę zbyt długie kły.

Po powrocie do matki poszedł na górę do pokoju, mając nadzieję, że Luna jeszcze nie śpi. Zapukał w uchylone drzwi: Luna stała na rękach z idealnie wyprostowanym ciałem przyklejonym do ściany. Jej buzia nastolatki widziana do góry nogami wyglądała na spiętą i obolałą, równie twardą jak mięśnie brzucha; opadający podkoszulek odsłaniał idealnie wyrzeźbiony sześciopak.

– No jak, małpeczko, *tutto bene*?

Luna z trudem sapnęła potakująco i w tej ekwilibrystycznej pozycji zabrała się do robienia pompek. Po piątej opadła na podłogę z nogami prostymi jak ostrza nożyczek.

– Wiesz, że w przyszłym miesiącu miałam jechać na zawody? – powiedziała z grymasem rozczarowania.

– Dlaczego mówisz „miałam”? – zapytał Fu'ad, przysiadając na skraju łóżka.

– Nie jedziesz?

– W tej sytuacji na pewno nie! Jak bym mogła?

Fu'ad wstał i chwycił kuzynkę za ramiona.

– Posłuchaj, malutka. Czy pojedziesz na zawody, czy nie, to dla Karima niczego nie zmieni. Jeśli natomiast nie pojedziesz, to będzie tak, jakbyś... Chodzi

mi o to, że nie powinniśmy zmieniać naszych przyzwyczajzeń. Trzeba się nauczyć lekceważyć zdarzenia zewnętrzne. Zrozum, malutka, musisz być od nich silniejsza.

Lunie spodobało się to sformułowanie, choć dokładnego jego sensu nie rozumiała.

– Poza tym to najważniejsze zawody w sezonie. Jeśli mi się uda...

– A gdzie?

– W hali Bercy. Jeśli mi się uda, zostanę zakwalifikowana do młodzieżowej drużyny Francji. Masz pojęcie?! – Blask w oczach Luny rozświetlił całą jej twarz.

– Reprezentacja Francji, olimpiada, najwyższy poziom! To spełnienie wszystkich moich marzeń.

– Przyjdę ci pokibicować – oznajmił Fu’ad. – Obiecuję.

Luna podniosła oczy na starszego kuzyna. Nigdy nie był tak mało podobny do aktora grającego w *Bohaterze meczu*. Jednak zmęczenie, dwudniowy zarost i ściągnięte brwi sprawiały, że wyglądał jeszcze atrakcyjniej niż w telewizji.

Oplotła ramieniem jego ramię, nie ukrywając ogromnej dumy, jaką dla niej stanowiła przynależność do najściślejszego kręgu otaczającego jej sławnego kuzyna. Chciałaby napisać do przyjaciółek z klubu, że w następnym miesiącu na trybunach pojawi się tak niezwykły kibic. Lecz od niedzieli żadna do niej nie zadzwoniła, nawet Chelsea, a Lunie wciąż brakowało odwagi, by wejść na Facebooka i dowiedzieć się, co myślą o zamachu; bała się, że w ciągu kilku godzin jej lista ośmiuset ośmiu znajomych gwałtownie stopniała.

Na parterze Rabi’a nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Uparła się, że przed powrotem Dunji posprząta cały dom od góry do dołu. Kiedy Luna zachlapała wodą łazienkę, którą właśnie wypucowała, wymamrotała, wyraźnie w złym humorze:

– Niechlujstwo w pełnej krasie!

– To tylko woda! – burknęła Luna, powstrzymując się przed dodaniem słów „ty stara wariatko” cisnących się jej na usta.

Fu’ad chciał porozmawiać z Rabi’ą, która tymczasem zabrała się do mycia okien. W końcu wziął ją tylko za rękę i wyszeptał jakieś pokrzepiające zdanie. Jej wyprostowane włosy nie stały się wcale ładniejsze. Nawet jeśli Fu’ad rozumiał, że chciała odmienić swój wygląd, wolał się do tego nie przyznawać.

Poszedł do łazienki, żeby się odświeżyć, a tam zobaczył szczypce prostownicy leżące na pokrywie kosza na brudną bieliznę. Po raz pierwszy w życiu odczuł nienawiść do przedmiotu, podobnie jak można znienawidzić narożnik stołu, o który się uderzyło łokciem, lub kant szafy, o który się grzmotnęło gołą stopą.

Oczywiście prostownica nie przyczyniła żadnych cierpień ani Fu’adowi, ani nawet bezpośrednio Rabi’i. Było gorzej: prostownica narobiła szkód pod pozorem czynienia dobra. Dlatego właśnie Fu’ad odczuwał nie tyle złość, ile nienawiść wobec tych czarnych szczypiec wymyślonych po to, by usunąć najbardziej

znaczące stygmaty afrykańskości.

Telefon od Kamelii wyrwał go z zadumy. Odebrał i poczekał, aż kuzynka odezwie się pierwsza.

Zaczęła od złej nowiny: wyjechała, bo nazajutrz musi iść do pracy, śledczy wzięli od niej numery telefonów i adresy wszystkich członków rodziny, pozwolili im jednak na kontynuowanie normalnego życia.

– Ale wracam w piątek – dodała z ożywieniem. – Przysięgam, Fu’ad, nie chcę, by ciocie sądziły, że je porzuciłam.

– To nie mnie powinnaś o tym zawiadamiać – zirytował się Fu’ad. – Zadzwoń do nich.

– Zadzwonię. I tak miałam to zrobić. Chciałam tylko, byś wiedział, że jestem...

„...po waszej stronie”, chciała powiedzieć Kamelia. Lecz byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że wojny domowej w klanie Narruszów nie da się już uniknąć, a niektóre słowa mają moc samosprawdzających się przepowiedni: głośne powiedzenie o zerwaniu więzi między Rabi’ą i Dunją a resztą rodziny oznaczałoby faktyczne jej zerwanie.

Wobec paniki w jej głosie Fu’ad nie potrafił wytrwać w postanowieniu, że będzie twardy. Podziękował za telefon i powiedział, że jego zdaniem powrót do Saint-Étienne pod koniec tygodnia to z jej strony akt odwagi – czyli dokładnie to, czego potrzebowała, a zarazem dokładnie to, czego się brzydził w chwili, gdy musiał to powiedzieć.

6

Slim umówił się z bratem w Taverne de Maître Kanter przy placu obok dworca. Miał do niego sprawę, a Fu’ad ze zdziwieniem zobaczył, że razem z nim przy jednym z trzech metalowych stolików na jeszcze nasłonecznionym tarasie siedzi Kenza. Fu’ad ciepło się z nią przywitał. Jego młodziutka bratowa miała na sobie letnią sukienkę w kwiaty i czarny sweterek z długimi rękawami. Ze swoim wystającym podbródkiem i wyrazem twarzy małej dziewczynki nigdy nie wydawała mu się pociągająca. Tego jednak wieczoru – może z powodu upału, a może dlatego, że od prawie trzech dni nie widział się z Jasminą – z zaskoczeniem stwierdził, że musi się hamować ze spojrzeniami, które przy odrobinę paranoicznym nastawieniu ona mogłaby interpretować jako dwuznaczne.

Slim nie mógł usiedzieć na krześle, to zakładając jedną nogę na drugą, to ją zdejmując. Fu’ad zapytał go, czemu jest taki podminowany. Brat położył rękę na dłoni żony, głęboko wciągnął powietrze i oznajmił:

– Fu’ad, musimy z tobą o czymś porozmawiać.

Kenza wlepiła wzrok w popielniczkę, na którą padały ukośne promienie zachodzącego słońca.

– Zastanawiałem się nad tym od pewnego czasu i w końcu postanowiłem: rzucam studia. Nie po to, żeby nic nie robić, przeciwnie. Chcemy wynająć mieszkanie w Lyonie. Ale żeby płacić czynsz, muszę pracować, prawda? Chodzi mi o to, że... Kaucję możemy pokryć z pieniędzy od gości weselnych, ale musimy patrzeć w przyszłość.

– Slim – przerwał mu Fu'ad, przejeżdżając dłonią po owłosionym karku.

Nie chciał stawiać brata w niezręcznej sytuacji w obecności Kenzy, lecz Slim najwyraźniej poprosił ją, żeby mu towarzyszyła właśnie po to, by nie mógł go postawić w niezręcznej sytuacji.

– Przemysleliśmy to, Fu'ad. Mamy opracowany plan, budżet, wszystko.

Z kieszeni dzinsów wyciągnął kartkę papieru.

– Poczekaj, Slim, posłuchaj. Przede wszystkim to nie jest dobry moment na snucie takich planów. A jeśli... Powiem tak: wynajęcie mieszkania to dobry pomysł, tylko dlaczego miałbyś rzucać studia?

– Przecież skończenie socjologii nic nie daje! Wszyscy mówią, że to wylęgarnia bezrobotnych, która do niczego nie służy. Nie będę studiować pięć lat, żeby zostać nauczycielem czy kimś takim. Zresztą rynek pracy...

– Zastanów się, Slim, jeśli rzucisz studia, co masz zamiar zrobić ze swoim życiem w szerokim tego słowa znaczeniu? Nawet jeśli znajdziesz jakąś tymczasową robotę...

– Już znalazł, w pizzerii – wtrąciła Kenza gładkim tonem. – A ja znajdę jakąś pracę niedaleko uczelni.

– No i super – uśmiechnął się Fu'ad. – Zrób to samo, Slim. Zostań na studiach i znajdź sobie jakieś dorywcze zajęcie.

Slim poczuł, że chociaż jego postanowienie nie słabnie, rozmowa wyraźnie wymyka mu się spod kontroli. Zagryzł wargę i objął palcami podbródek, jakby chcąc zyskać pewność siebie dorosłego mężczyzny, a przynajmniej kogoś, kto dobrze wszystko przemyślał.

– Mam już dość socjologii, Fu'ad, to mnie zupełnie nie kręci. Szawisz miał rację: w życiu trzeba robić to, co człowieka kręci.

– No to w końcu doszliśmy do sedna, od tego trzeba było zacząć.

– Kurwa, mam tego dosyć! – zdenerwował się młodszy brat. – Jakbym słyszał Nazira, daję słowo. Czemu mnie nie wspierasz, zamiast upokarzać?

Fu'ad rozdziawił usta.

– Oszalałeś, Slim? Ja cię upokarzam? Ja ci tylko pokazuję, że ściemniasz: jeśli chcesz rzucić studia, bo oblałeś egzaminy po zimowym semestrze... – Slim zachnął się, słysząc, że jego starszy brat odgadł smutną prawdę – ...to nie udawaj, że chodzi ci o wzięcie odpowiedzialności za...

Fu'ad zamilkł; gdyby mówił dalej, Slim poczułby się niezręcznie wobec Kenzy, która nadal siedziała ze wzrokiem wbitym w popielniczkę. Wzięła Slima za

rękę; w tym stanowczym, niemal macierzyńskim geście Fu'ad dostrzegł rodzaj wyższości, a może bardzo silnego wpływu, jaki Kenza wywierała na męża. Po chwili zobaczył błagalne spojrzenie, jakim obrzuciła Slima, i pomyślał, że asymetria idzie tu jednak w odwrotnym kierunku.

Być może zresztą byli sobie równi. Podobnie jak jego rodzice. Jak rodzice Karima. Pierwsze podobieństwo między losem starszego pokolenia a losem Slima i Kenzy: pobrali się zbyt młodo. Lecz Dunja i Isa, podobnie jak Rabi'a i Zajdan, kochali się bardzo namiętnie i długo – dosłownie, dopóki śmierć ich nie rozłączyła.

Skrepowany tą analogią i niewiarygodną naiwnością młodej pary Fu'ad udał, że ma coś do załatwienia na mieście.

– Dobra, jeszcze do tego wrócimy – powiedział na zakończenie, po czym wziął brata w ramiona, energicznie chwycił za kark i cicho dodał: – Żadnych pośpiesznych decyzji, nie teraz, nie z tym wszystkim, co nam spadło na głowę. Zgoda?

Naburmuszony Slim odparł z intonacją dziecka:

– Zgoda...

7

W drodze powrotnej Fu'ad czuł narastającą rozpacz na myśl, że jego młodszy brat ma zamiar rzucić studia i podjąć pracę w pizzerii. Najwyraźniej pokolenia następują po sobie i każde kolejne jest podobne do poprzedniego.

Przed oczami stanęły mu twarze Abu Zida, matki, Rabi'i, Wardy, Bachi, Raszidy, a nawet mieszkającego w Algierii wujka Musy, o którym wieść niosła, że na dniach przyjeżdża do Francji. Żadne z dzieci babki nie dorobiło się na tyle, by na emeryturę czekać pogodnie jak na zasłużoną nagrodę. Żadne nie dorobiło się na tyle, by nabyć we Francji jakąś nieruchomość. Tylko babka kupiła dom w algierskiej Bidzai, dokąd jeździła latem, i nigdy nie zgodziła się wynajmować go w pozostałych miesiącach, obawiając się, że w następnym roku nie zdoła usunąć teoretycznie tymczasowych lokatorów.

Jego wujowie, ciotki, matka, wszyscy poświęcili się po to, by ich dzieci miały lepsze życie. Im bardziej Fu'ad się nad tym zastanawiał, tym bardziej uważał ich decyzje za irracjonalne. Zresztą fakty nie potwierdzały zasadności ich postępowania. Oto rodzina Narruszów równo pięćdziesiąt lat od przybycia do Francji:

Rodzice harowali jak woły na dzieci, a te rzucają studia i idą pracować w pizzerii.

Rodzice odmawiali sobie radości życia małżeńskiego, by dzieci były ubrane równie dobrze jak ich koledzy w klasie, a te strzelają do polityków.

Znużony kilometrami marszu szedł teraz powoli ulicą, przy której mieszkała jego matka, wzdłuż lśniących w słońcu strumieni wody wylewanej przez

śmieciarzy do rynsztoków. Te drobne strumyczki oczyszczały nie tylko miasto, ale i jego umysł. Nagle przy krawężniku zobaczył jakąś sylwetkę na czworakach, zanurzającą dłonie w rynsztoku, żeby się umyć.

W powietrzu rozedrganym od kurzu i upału to nędzne ciało ludzko przypominało zwierzę.

Fu'ad oddalił się od krawężnika, ale zwierzę podniosło głowę, ukazując potwornie spuchniętą twarz, jeszcze krwawiącą na wysokości kości policzkowych. Był to jeden z tych Romów, którzy od kilku miesięcy koczowali w centrum miasta; Fu'ad odniósł wrażenie, że już go gdzieś widział. Facet wstał, nie spuszczając z niego zalęknionego i obolałego wzroku.

Fu'ad zrozumiał, że tamten chce go zaczepić, nie odczuł jednak nawet cienia strachu: Rom miał budowę wróbelka i chyba wywichnięte ramię.

Wybełkotał coś w kierunku Fu'ada, który pochylił głowę, prosząc o powtórzenie. Głosem mogącym należeć zarówno do kobiety, jak i do mężczyzny facet powtórzył:

– Ty brat Slim. Ja wiem. Widziałem. Ty brat Slim.

Fu'ad podszedł bliżej i jeszcze raz poprosił o powtórzenie.

– On winien tysiąc euro dla mnie. Jeśli jutro południe on nie dać mnie tysiąc euro, ja coś zrobić. Ty powtórzyć Slim.

Fu'ad chciał poprosić o szczegóły, ale Rom już odszedł.

Nie śmiał iść za nim, zatrzymał się przy bankomacie, żeby sprawdzić, jaka dokładnie kwota została pobrana z jego rachunku trochę wcześniej tego dnia. Sądząc po wydruku, w poniedziałek siódmego maja o trzynastej czterdzieści osiem pobrano tysiąc sto euro. Teraz przypomniał sobie, że wracając z zakupów, na które dał mu swoją kartę, Slim miał taką minę, jakby coś nabroił. Tyle że taką minę miał prawie zawsze, więc Fu'ad nie zwrócił na to uwagi.

Po kwadransie namysłu – prawdę mówiąc, poświęconego na opanowanie gniewu – postanowił podrzeć wydruk z ostatnimi operacjami na karcie i nigdy nie wracać do sprawy, chyba że Slim zechce podjąć temat jako pierwszy.

8

W drzwiach łazienki rozwieszono ręczniki, które tworzyły coś w rodzaju miękkiej warstwy dźwiękoszczelnej: dzięki nim siedząca na bidecie Rabi'a nie musiała zatykać uszu, żeby nie słyszeć rwetesu dochodzącego z pozostałych części domu. Masowała sobie skronie, jakby chciała usunąć zatrute myśli trzepoczące się po jej głowie. Słyszając stukanie do drzwi, przestraszyła się kolejnej katastrofy. W milczeniu czekała, aż padnie strzał.

Fu'ad przykleił ucho do drzwi i zapukał jeszcze trzy razy, za każdym razem słabiej.

– Wszystko w porządku, ciociu?

Im łagodniejszy był jego ton, tym bardziej wdzierał się w umysł Rabi'i niczym lodowata mżawka.

– Tak, kochanie, nie przejmuj się.

Czuła, że Fu'ad nadal stoi w korytarzu.

– Nie wyjdiesz, ciociu?

– Nie byliśmy przygotowani – powiedziała Rabi'a odrobinę głośniejszym głosem. – Nikt z nas nie był na coś takiego przygotowany.

Fu'ad miał nadzieję, że ciocia nie zacznie znowu płakać. Delikatnie położył dłoń na zamkniętych drzwiach.

– Nikt nie jest przygotowany na coś takiego, ciociu.

Nagle drzwi się otworzyły i Fu'ad ujrzał piękne, wyraziste kości policzkowe Rabi'i. Na jej twarzy nie było śladu łez, wzrok miała spokojny, zdecydowany, prawie ostry.

– Pójdę na spacer – powiedziała, mijając siostrzeńca w korytarzu.

– Tylko nie idź zbyt daleko – zatroskał się Fu'ad. – Adwokat mówił, żeby unikać dziennikarzy.

– Muszę iść na cmentarz – wyjaśniła Rabi'a.

– Na Côte-Chaude? Ciociu, to na drugim końcu miasta, to naprawdę za daleko... proszę cię...

– Muszę...

Nie ośmielała się przyznać, że chodzi o grób męża, więc Fu'ad spróbował jej to ułatwić.

– Rozumiem, oczywiście. Ale...

– Nie mogę, Fu'ad, duszę się... Tylko krótki spacer. Obiecuję, nie wyjdę poza dzielnicę.

I tak tajniacy z Wydziału Antyterrorystycznego, którzy śledzili Rabi'ę, dostali telefon od ekipy, która nie spuszczała z oczu Fu'ada. Ulicą prowadzącą w kierunku najbliższego cmentarza dwa samochody ruszyły za Fu'adem, który ruszył za swoją ciotką. Na czele procesji szła Rabi'a, a jej rozpuszczone włosy, mniej żywe od czasu, gdy je wyprostowała, lekko falowały w delikatnych podmuchach wiatru.

Wokół murów cmentarnych na szczycie wzgórza rozciągał się park. Na Rabi'ę nie czekał tu żaden z jej zmarłych. Zadrżała, skrzyżowała ramiona i zagłębiła się w dramatyczny półmrok tych kilkunastu minut, gdy już zapadł zmrok, a latarni jeszcze nie zapalono.

Na chodniku po drugiej stronie skweru Fu'ad obserwował, jak ciocia zawahała się i zatrzymała przed otwartą bramą cmentarza, na środku zwirowanej alejki ze stojącymi po obu stronach drzewami, betonowymi ławkami i zgaszonymi latarniami.

Czerwonawy pył unosił się w kierunku koron platanów, a wraz z nim lekki

cień Rabi'i, który wyciągnął ją na sam szczyt wzgórza, lecz nie uwolnił od wątpliwości, wspomnień, wstydu i rozpaczy.

Weszła na teren cmentarza w chwili, gdy żarówki w latarniach zaczęły migotać. Grobowce defilowały jeden za drugim; na marmurowych płytach Rabi'a odczytywała absurdalne daty śmierci tych, którzy przeżyli nie więcej niż dziesięć lat. Swego czasu, niedługo po śmierci męża, wszystko wydawało się jej dobre, by ugasić żar rozpaczy, zwłaszcza porównywanie się z tymi, których los był jeszcze bardziej nieszczęsny. Teraz to już nie działało, czego najlepszym dowodem był ten cmentarz: teraz umierało się samotnie, równie samotnie, jak się żyło. Ani małe tablice z żalonym napisem „Rodzina jakaś tam”, ani monumentalne grobowce ozdobione kwiatami i misternie cyzelowanymi lukarnami niczego nie mogły zmienić.

Zagubiona wśród obcych nagrobków Rabi'a pragnęła utulić w ramionach tych, których nazywała *swoimi zmarłymi*. Ojca, męża, Karima, którego też jej odebrano i dołączył do listy. To było nie do zniesienia. Rabi'a myślała o dniu, gdy syn znowu znajdzie się obok niej; lecz przyszłość już nie istniała, a gdy próbowała sobie wyobrazić wybuchy radości przy ponownym spotkaniu, scena rozpływała się jak dym z papierosa.

Na końcu cmentarza pokryta nierównymi płytami dróżka prowadziła do mizaru, gdzie stały muzułmańskie nagrobki o zaokrąglonych szczytach. Rabi'a przypomniała sobie, jak dwa lata wcześniej, czyli trzy lata po śmierci Zajdana, przyszedł do niej z wizytą Nazir. Zawiózł ją na Côte-Chaude, a gdy ona w ciszy wspominała najpiękniejsze chwile swego małżeńskiego życia, on oburzył się na skromne rozmiary i nędzny wygląd mizaru. Rabi'a wytłumaczyła siostrzeńcowi, że powściągliwość jest właściwą cechą muzułmańskich nagrobków. Nazir nie dawał się jednak przekonać; zazwyczaj zrównoważony i nieokazujący żadnych uczuć, tamtego dnia wyciągnął drżący palec w kierunku marmurowych płyt i posągów na grobowcach chrześcijan, rzucając straszliwe zdanie, które Rabi'a przypomniała sobie dopiero teraz, na tym drugim cmentarzu, jakby pochodzącym z innego świata:

– Nawet po śmierci dają nam odczuć, że nas tu nie chcą...

Wzdrygnęła się i odwróciła: jakiś cień krążył po dróżce prowadzącej do mizaru.

Poczuła ciężar w nogach. Jakby znowu trzymała szklankę z grenadyną, która wyleciała jej z ręki w chwili, gdy Maulud Ibn Baraka wkroczył do jej mieszkania.

Na widok Fu'ada odczuła taką ulgę, że niemal się uśmiechnęła. Siostrzeniec objął ją i wyprowadził z dala od duchów.

– Uwielbiliśmy słonie – powiedziała nagle rozmarzonym głosem. – Zajdan i ja... chcieliśmy pojechać na wycieczkę do Afryki, żeby zobaczyć cmentarzysko słoni.

Fu'ad nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Myśleliśmy, że się razem zestarzejemy – ciągnęła Rabi'a i nie patrząc na siostrzeńca, dodała tonem, który nawet nie był pytający: – Zostaniesz, prawda. Nie zostawisz nas. Przynajmniej ty nie zrobisz nam tego...

Rozdział 8

Pokolenie Szawisza

1

Wypełnione rurkami usta prezydenta elekta otaczał zarost. Gdy zdjęto mu część bandażu, zdarzyło się coś zdumiewającego i zarazem strasznego: z powodu tego krótkiego zarostu jego twarz, odzyskawszy ludzki kształt, zaczęła przypominać twarz kogoś innego. Od najwcześniejszego dzieciństwa Jasmina nigdy nie widziała, żeby ojciec nie golił się dłużej niż przez pół dnia.

Weszła pielęgniarka. Jasmina patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, a potem zapytała, wskazując na nieruchome ciało ojca:

- Czy można do niego mówić?
- *Trzeba* do niego mówić! – odpowiedziała siostra.
- Ale czy on rozumie?

We wzroku pielęgniarki pojawił się błysk szpitalnego współczucia.

– Tego nigdy nie wiadomo – odpowiedziała, po czym zniknęła, a do sali weszła Esther Szawisz.

- Znalaziono twoją komórkę. Zapomniałaś jej z domu, kochanie.

Jasmina chwyciła telefon, żeby przejrzeć listę nieodebranych połączeń. Od Fu'ada nie było ani jednego.

- Co wy zrobiliście? – zapytała.
- Jak to co zrobiliśmy?
- Dlaczego nie ma ani jednego telefonu od Fu'ada?

Esther Szawisz wciągnęła głęboko powietrze, zamknęła oczy i podjęła próbę:

– Kochanie, ja wiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz się pogodzić z myślą, że Fu'ad może – niekoniecznie, ale jednak może – być powiązany z tym wszystkim, co się wydarzyło...

Jasmina poczuła chrupnięcie szczęki – tak bardzo musiała się starać, by nie zasypać matki obelgami.

- Powinnaś już pójść do domu, Jasmino...

Esther próbowała złagodzić głos, lecz jej oczy pozostały twarde po niedawnej rozmowie z Vogelem i Habibem. Jasmina zaczynała rozumieć, że zakulisowe manewry nabierają biegu niekorzystnego dla jej ojca. Nikt oczywiście jej tego nie mówił, mimo to nie można było wykluczyć, że Françoise Brisseau, która w prawyborach zajęła drugie miejsce, obejmie stanowisko przywódczyni Partii Socjalistycznej.

W walce między zwolennikami Szawisza a tymi, którzy uznali, że prezydent elekt nie wyjdzie ze śpiączki, na pierwszej linii stanęła Esther Szawisz. Jasminie

nie bardzo podobała się myśl, że jej matka całym sercem rzuciła się do boju. Esther była academiczką, nie polityczką: z łatwością mogła zostać pożarta przez piranie, które ją traktowały jak niedoszlą pierwszą damę, a zarazem godną zakłamanego szacunku prawie wdowę.

Jasmina przeszła korytarzem szumiącym od przyciszonych rozmów telefonicznych. Na wybrukowanym kostką dziedzińcu z zaskoczeniem ujrzała Valérie Simonetti w nieciekawej garsonce, wysiadającą z szarego samochodu. Po raz pierwszy widziała ją w takim wydaniu: bez słuchawki w uchu, bez czujnych spojrzeń rzuconych na prawo i lewo. Wyglądała na zagubioną.

W głowie „pierwszej córki” zakłębiło się tyle sprzecznych myśli, że Jasmina stanęła jak wryta.

Valérie Simonetti odezwała się jako pierwsza.

– Panno Szawisz.

– Valérie. – Jasmina powstrzymała ją ruchem dłoni. – Przyjechała pani zobaczyć mojego ojca? Leży na górze. Dowiedziałam się, że została pani zawieszona i że... nic się nie da zrobić. Ale... chciałam pani powiedzieć, że dla mnie to nie jest normalne.

– Proszę pani, ja...

Jasmina znowu ją powstrzymała i obdarowała uśmiechem wartym więcej niż wszelkie słowa wybaczenia. Tymczasem na zatłoczonym dziedzińcu szpitala Val-de-Grâce znowu wydarzyło się coś, czego Jasmina nie rozumiała i o czym natychmiast zapomniała, a co przez chwilę sprawiło, że poczuła się niewyraźnie. Chociaż stała o stopień wyżej, Valérie i tak ją przewyższała o głowę; nagle przez niebieskie oczy szefowej ochrony jej ojca przemknął wyraźny cień na widok kogoś, kto pojawił się w drzwiach z tyłu.

Jasmina odwróciła się, ale nie zobaczyła nikogo podejrzanego, nikogo, czyja obecność mogłaby uzasadnić tak nieufne spojrzenie. Za nią stał tylko Aurélien Coûteaux, najmłodszy z oficerów należących do obstawy jej ojca, który uniknął dochodzenia prowadzonego przez Generalny Inspektorat Policji Narodowej i został przydzielony do ścisłej ochrony Jasminy: znał jej przyzwyczajenia, a ona zawsze twierdziła, że świetnie się z nim rozumie.

2

Podczas kampanii wyborczej między Szawiszem a jego córką, która nie znosiła nawet najbardziej dyskretnej ochrony, rozgrywała się melodramatyczna batalia. Jasmina musiała w końcu się poddać, ale nigdy nie ukrywała niechęci do tych elitarnych gliniarzy, którzy towarzyszyli jej wszędzie: w kawiarni i operze, na joggingu wzdłuż kanału Saint-Martin i gdy wypożyczonym vélibem jechała do Fu'ada mieszkającego przy placu d'Aligre w dwunastej dzielnicy Paryża. Zwalił faceci w ciemnych garniturach zepsuli jej kilka najmiłszych chwil z ukochanym.

Natomiast Coûteaux, dzięki młodemu wiekowi, luzackiemu stylowi oraz nieco nieśmiałości, ludzkiemu spojrzeniu, mógł po prostu uchodzić za trochę namolnego kumpla.

Siedział obok niej z tyłu, a samochód podjeżdżał ulicą Saint-Jacques. Jasmina długo i bacznie obserwowała jego ostry profil, który odcinał się od fioletowego nieba.

– A pan? – zapytała nagle. – Czy pan uważa, że on się obudzi?

Coûteaux wyłączył słuchawkę douszną i obrócił się w stronę Jasminy, ale nie na tyle, żeby napotkać jej wzrok. Nagły przebłysk intuicji podpowiedział Jasminie, że to, co dotychczas brała za nieśmiałość, było techniką wpajaną im w szkole dla ochroniarzy: nigdy nie patrzeć w oczy osobie, którą w ramach obowiązków służbowych trzeba będzie własnym ciałem zasłonić, jeśli w jej kierunku padnie strzał.

Zapytany odpowiedział neutralnym głosem:

– Tak, oczywiście, proszę pani. – Zdawszy sobie sprawę, jak nędznie to zabrzmiało, zerknął w lewe lustro i dorzucił cichym głosem: – Wielu ludzi modli się za niego.

Jasmina też chciałaby się pomodlić za ojca. Tyle że nie wierzyła w Boga. Chciała również zadzwonić do Fu'ada. Czego także nie mogła zrobić: widząc skrzepowanie, z jakim matka oddawała jej komórkę, nabrała przekonania, że założono jej podsłuch i wielkie uszy policjantów w słuchawkach tylko czekają na moment, kiedy ulegnie pokusie, na liście kontaktów odszuka literę F, zadzwoni i zacznie ukochanemu opowiadać o jakichś osobistych, zupełnie niewinnych sprawach, które ich podejrzliwie mózgi spróbują wykorzystać przeciw niemu...

Samochód pojechał inną trasą niż zazwyczaj: na początku kanału Saint-Martin, gdzie mieszkała Jasmina, powstało jakieś zbiegowisko. Od czasu zamachu wołała wracać do siebie, zamiast przyjąć powtarzane dziesięć razy dziennie zaproszenie matki, by na pewien czas przeniosła się do ich drugiego domu w Yvelines. Trzeba podtrzymywać iluzję, nieodmiennie powtarzała Jasmina, że życie toczy się normalnym trybem.

Gdy w końcu dotarła na miejsce, padła na kanapę i włączyła telewizor. Na France 2 leciał dziennik, przeskoczyła kilka kanałów i wpadła na nowy odcinek *Bohatera meczu*, od którego nie mogła oderwać wzroku, wiedząc, że nie minie nawet minuta, jak pojawi się Fu'ad. Oczekiwanie przedłużało się i Jasmina zaczęła już podejrzewać, że grana przez niego postać została usunięta z powodu zamachu, gdy wreszcie zobaczyła jego jasną twarz, zmrużone w uśmiechu oczy i silny kark oraz usłyszała jego mocny, a zarazem miękki głos.

Podkręciła dźwięk i wzięła do ręki iPhone'a.

– Dlaczego właśnie *on* do mnie nie dzwoni?

Na liście kontaktów wyszukała Fu'ada. Przypomniała sobie dzień, kiedy się

spotkali po raz pierwszy, na tarasie kawiarni w okolicy Pigalle. On, w koszuli w kratę i bez marynarki, wystawiał twarz do słońca i rzucał dyskretne spojrzenia na siedzącą niedaleko Jasmine, która kłóciła się z synem prawej ręki swego ojca, Christophe'em Vogelem. Spotykała się z nim od dwóch miesięcy, a teraz on jej zarzucał, że jest przesadną domatorką. Miała na sobie wąskie dżinsy, krótkie botki i szarą bluzkę z długimi rękawami, przyjemnie uwydatniającą biust. Siedzący naprzeciw niej Christophe starał się mówić szeptem, robiąc w sumie więcej hałasu, niż gdyby mówił normalnym głosem.

Wizja tej sceny opowiedziana później przez Fu'ada nie była dla Jasminy zbyt pochlebna: jego zdaniem przez cały czas wierciła się z rękoma na biodrach, a gdy chwilami jej twarz rozjaśniała się uśmiechem, obok świeżości było w nim widać burżuazyjne wyrafinowanie.

– Burżuazyjne? – obruszyła się Jasmina.

Rozmowa toczyła się w czasie, gdy już od dwóch miesięcy byli parą.

– Powiedzmy, trochę zbyt grzeczne, wymuszone. Fałszywe.

Fu'ad nie chciał jej urazić, ale zamiast się wycofać, pozostał wierny wrodzonej prawdomówności i do końca opowiedział o swoich wrażeniach.

– Już wiem: to był fałszywy luz. Poruszałaś biodrami w sposób fałszywie swobodny. Jak wszystkie grzeczne dziewczynki z dobrych domów. Nie zachowywałaś się naturalnie. No a po jakimś czasie... Zrozumiałem.

W rzeczywistości „zrozumiał” wcale nie po jakimś czasie, ale od razu. Już w chwili, kiedy wściekły Christophe zerwał się i oddalił, a Jasmina podeszła do stolika, przy którym siedział Fu'ad, i pochylając głowę, zwyczajnie zapytała:

– Rony?

Była umówiona przy placu Pigalle z dziennikarzem o imieniu Rony, który pracował dla jakiegoś czasopisma muzycznego, a którego nigdy na oczy nie widziała. Fu'ad natychmiast zorientował się w pomyłce, a że tego dnia był w żartobliwym nastroju, odpowiedział z fałszywym zaskoczeniem, ale i autentycznym oczarowaniem, zachowując się ciepło i radośnie, jakby ją znał od zawsze.

– Tak, to ja.

– Rony z „Diapason”? Na wywiad? Jestem Jasmina Szawisz...

– Czekalem na panią. Możemy przejść na ty?

Przez co najmniej dwadzieścia minut Jasmina wierzyła w tę bajeczkę, odpowiadała na pytania na temat muzyki barokowej zadawane przez oszusta, z którym spędziła następne dwie godziny, a potem osiem kolejnych miesięcy życia...

Nagle coś wyrwało Jasmine ze wspomnień. Wydało jej się, że za jednym z platanów zasłaniających widok kanału dostrzeża płomień świecy. Z ulicy dochodził gwar; otworzyła okno i usłyszała okrzyki pełne zachwytu. Wyglądając

przez drugie okno, zobaczyła, że to nie pojedyncza świeca: po wodach kanału sphywało całe morze świec, dziesiątki i setki świec przytwierdzonych do czerwonych boi w kształcie kopuł.

Na widok tych płomyków, które migotały w miękkim powietrzu zapadającego zmroku, łzy napłynęły jej do oczu.

Wieczór był niemal bezwietrzny, żaden podmuch nie poruszał liśćmi drzew, tysiące świec pokrywały powierzchnię kanału na długości dziesiątków metrów, na każdym brzegu stały tłumy gapiów, którzy jak zorientowała się dopiero teraz Jasmina, również nieśli świece, zapalniczki, a niektórzy – zapewne inicjatorzy tej akcji – mieli na sobie T-shirty z wizerunkiem jej ojca.

3

Zdjęcia te obieżyły cały świat. Pokazywano je na CNN, na CCTV, na al-Dżazirze, w stacjach rosyjskich, angielskich, brazylijskich. Puszczano je jako nieoczekiwany kontrpunkt do obrazów miejskich zamieszek: płomyki świec przeciw koktajlom Mołotowa. Na jeden wieczór Francja stała się medialnym centrum świata: prezydent leży w śpiączce, a cały naród manifestuje, jakby chciał go powstrzymać przed odejściem na tamten świat.

W Saint-Étienne Fu'ad zobaczył na LCI młodą kobietę w białym T-shircie ze zdjęciem Szawisza i napisem: POKOLENIE SZAWISZA, z którą przeprowadzano wywiad, pytając o sens i źródło tej manifestacji. Sarnim wzrokiem patrzyła do kamery i tłumaczyła, że nie ma to nic wspólnego z Partią Socjalistyczną, nawet jeśli niektóre osoby działające w kampanii wyborczej – w tym ona – są tutaj obecne. Pomysł, aby zorganizować taki pochód, pojawił się równocześnie na Facebooku i Twitterze; na początku podjęło go kilkadziesiąt osób, ale wieść szybko się rozniosła, dojeżdżali kolejni ludzie, wszyscy paryżanie skrzyknęli się, aby okazać wsparcie prezydentowi i jego rodzinie. „Chodźcie z nami!” – krzyknęła na zakończenie. Jej spojrzenie było gorące, ale odrobinę wyrachowane.

Fu'ad odłożył pilota i wbiegł na piętro. Szeroko otwierał kolejne drzwi, zwołując wszystkich do salonu. W chwili, gdy mijał Slima, omal go nie złapał za ramię, żeby zapytać, o co chodzi z tym romskim transwestytą. Widząc jednak pełną entuzjazmu minę młodszego brata, uznał, że tamta sprawa może poczekać.

Slim i Luna, którzy zeszli na dół jako pierwsi, osłupieli na widok obrazów paryskiej manifestacji puszcanych przez LCI na zmianę z rozmowami w studiu w ramach kolejnego wydania specjalnego. Za nimi zeszły Dunja i Rabi'a, które Fu'ad oderwał od słuchania starych piosenek, i też poczuły wzruszenie. Objąwszy ciotkę, bez słowa, z uśmiechem patrzył na ekran. Miał nadzieję, że widok tych tysięcy świec choć trochę ukoi jej serce, ale nic z tego. Chwyciła pilota i przeskoczyła przez kilka zagranicznych kanałów, zanim znowu dopadł ją smutek i zaczęła łkać.

– Wszystko będzie dobrze, ciociu – uspokajał ją Fu’ad, przytulając jej głowę do piersi. – Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Rabi’a kiwnęła głową, lecz po chwili gwałtownie zaprotestowała.

– Co się ułoży? Co ty mi tu opowiadasz? Co niby ma się ułożyć? No, słucham!

Dunja dała znak Slimowi i Lunie, żeby wracali na górę. Fu’ad próbował zapanować nad Rabi’ą, ale od czasu wyprostowania włosów ciotka zmieniła się: nie miała już ochoty ulegać czyjejkolwiek presji.

– Dlaczego nie mam prawa zadzwonić do własnego syna?! – wrzasnęła nagle, a wszyscy wokół niej zamilkli. – Jakim prawem zabraniają mi dzwonić do syna?

– Szafran sądzi, że za dwa dni będziesz mogła do niego zadzwonić. Jak tylko mu się skończy tymczasowy areszt...

Rabi’a zamarła oburzona. Po jej twarzy płynęły łzy.

– Dwa dni, a potem co powiedzą? Dziesięć dni? Dwa miesiące? Mam to w nosie, chcę do niego zadzwonić teraz, zaraz! Fu’ad, kochany, znajdź mi numer tego inspektora, który nas przesłuchiwał.

– To nic nie da, ciociu, to nic nie da...

– Wiesz, co ona mi powiedziała?

– Kto, ciociu? O kim mówisz?

– O Annie! Też, u której pracuję, a właściwie pracowałam jako opiekunka do dzieci. Po powrocie z cmentarza zadzwoniłam do niej, żeby zapytać... zapytać, jak się miewa, co u dzieci, a ona na to, że już nie muszę sobie tym głowy zaprzętać, bo mnie nie potrzebują. I wiesz, co mi powiedziała ta stara jędza? Że Jean-Michel i ona wzięli do siebie babcię, która nie ma nic innego do roboty, więc, *zarma*, z największą ochotą zajmie się dziećmi. Masz pojęcie? W tle słyszałam płaczące dzieci: „Rabi’a, Rabi’a”. Nawet mi nie pozwoliła się z nimi pożegnać...

Dunja też położyła rękę na ramieniu Rabi’i, dla której siostrzana troska, niczym próżne przypomnienie blasku niegdyś rozświetlającego jej życie, okazała się jednak nie do wytrzymania. Nie wybuchła głośnym płaczem, lecz powolnym, wręcz dramatycznym ruchem osunęła się na podłogę i załkała cicho, a fale łez napływały jej do oczu z jakiegoś, zdawać się mogło, niewyczerpanego źródła.

– Płacz, moja droga, płacz...

Dunja gładziła ją po głowie, sama powstrzymując się od łez, ale zachęcając siostrę, by dała upust rozpaczycy. Potrafiła stawić czoło sytuacji. Lecz nie Fu’ad, który po raz pierwszy załamał się i zaczął płakać wobec ogromu tragedii swojej ulubionej ciotki, ale również wobec szalonej nadziei, jaką w nim obudził ów obraz płynącego po wodzie wielobarwnego dywanu usłanego światłkami i złudzeniami.

Z okna kawalerki mieszkającego w Ivry kuzyna Wielki Momo miał panoramiczny widok na stolicę, na jej majestatyczne wieżowce, na srebrzyście i złociście połyskujące dachy. Pomimo stresu, który mu nie pozwalał ani wychodzić na dwór, ani opychać się frytkami znalezionymi u Dżinna w lodówce, uważał się za szczęściarza, mogąc przez lornetkę oglądać bazylikę Sacré-Coeur i wieżę Montparnasse.

Oba budynki stały w oddali, ale stały; dla szczyła z Saint-Étienne, który nigdy nie ruszył się dalej niż na stadion Gerland (a i to jedynie po to, żeby spuścić łomot kibicom z Lyonu), utyskiwania mieszkańców paryskich przedmieść brzmiały jak nieuzasadnione fochy: no bo jak można się skarżyć, mając przed oczami tak wspaniałe widoki? Ani przez moment nie przyszło mu do głowy, że ta okryta prestiżem, tak niezwykle blisko położona stolica jest w rzeczywistości bardziej odległa od przedmieścia leżącego po „niewłaściwej” stronie obwodnicy niż spokojne i nudne brzegi jego ojczystej Loary.

A Dżinn nieustannie mu to przypominał:

– Jaki jest pożytek, *zarma*, z oglądania wieży Eiffla przez okno, skoro jak chcesz pojechać i zobaczyć ją z bliska, co chwila będą cię zatrzymywać jacyś pieprzeni gliniarze!?

Od przyjazdu kuzyna Dżinn nie przestawał się wściekać, gdy tylko widział, jak tamten stoi z rozdziawioną gębą przed wielką przeszkloną ścianą.

– *Wesh*, Momo, chodź na chwilę, muszę z tobą o czymś pogadać.

Jako dobry „paryżanin” Dżinn zawsze miał coś do roboty. A to musiał gdzieś pójść, a to oddać komuś pilną przysługę. Na kebaba mówił „grek”, a jak chciał się poszwenrać po ulicy Mouffetard, mówił, że „idzie na muffinkę”. Jego styl życia niesamowicie imponował Wielkiemu Momo. Poza dilerką haszem Dżinn prowadził biznesik na boku: od „kolegi” hurtownika kupował dzinsy po cenach fabrycznych i odsprzedawał je na Facebooku. Ledwo skończył osiemnaście lat, kupił sobie kawalerkę, skuter i najnowszy model iPhone’a. W lodówce miał zawsze coca-colę, ale nic poza tym: wracając wieczorem do domu, kupował greka lub big maca. Dzień w dzień. Kuzyn Dżinn prowadził wystawny tryb życia. Wystarczyło spojrzeć na jego koszulki Lacoste czy flakony płynu po goleniu Hugo Bossa. A na użytek własny miał nie jakieś dwie nędzne kostki najgorszego gówna, ale duże i piękne torebki z trawką Amnesia, ulubionym towarem Karima.

Ledwo Wielki Momo wszedł do kuchni, gdzie jego kuzyn krył się przed podejrzliwymi spojrzeniami paryżan i oślepiającym reflektorem pod wieżą Eiffla, Dżinn od razu wspomniął o Karimie.

– Chcesz wiedzieć, co zrobił twój kumpel? To włącz telewizor.

Wielki Momo zaczął szukać pilota. Zniecierpliwiony Dżinn nacisnął guzik ukryty u dołu płaskiego ekranu.

Wszystkie programy na wszystkich kanałach przerwano. Wszędzie

pokazywano to samo: filmowany pod różnymi kątami, pokryty tysiącami świec kanał Saint-Martin. Widok był zarazem spektakularny i kojący. Po paru minutach Wielki Momo zorientował się, że chodzi o hołd składany Szawiszowi, o marsz wsparcia. Patrzył z otwartymi ustami, chcąc podzielić się z kuzynem dziwnym uczuciem, jakie natychmiast go ogarnęło: rodzaj niezwyklej, niemal histerycznej radości na widok tej mieszanki piękna i dobra, ale na twarzy Dżinna rysował się szyderczy uśmiech, a on sam potępiająco potrząsał głową.

Zawibrowała jego komórka. Dżinn zerknął i zasepił się.

– Muszę spadać. Wracam jutro. A ty nie rób żadnych głupot, okej?

Wielki Momo zmienił kanał i wysłuchał, nie do końca rozumiejąc, eksperckiej debaty o *Francji, która wybrała Szawisza*. Masowo zagłosowały na niego kobiety i młodzież oraz – co według jednego z ekspertów było „największą niespodzianką tych wyborów” – spora część klas niższych, które odsunęły się od partii skrajnych pomimo gwałtownych ataków prawicy na elitarność kandydata Partii Socjalistycznej.

Z geograficznego punktu widzenia Szawisz wygrał w zachodnich i północnych regionach kraju, we wschodnich dzielnicach Paryża oraz oczywiście na trudnych przedmieściach francuskich miast, co do których dwóch specjalistów nie mogło dojść do porozumienia: jeden twierdził, że wpisanie na listy wyborcze sławetnego „trzeciego pokolenia” imigrantów to zjawisko masowe o decydującym znaczeniu dla wyniku głosowania, podczas gdy zdanie drugiego było wręcz przeciwne. Wielki Momo wolałby uwierzyć pierwszemu ekspertowi, który niestety wyglądał surowo i był podobny do jego dawnego nauczyciela matematyki. Drugi był pulchny, brodaty i sympatyczny; uważał, że głosowanie na przedmieściach to zjawisko interesujące, ale o marginalnym znaczeniu. Z całej debaty Wielki Momo wyciągnął wniosek, że słusznie zrobił, nie idąc do urny, bo to niczego nie zmieniło, a w każdym razie nie odebrało Szawiszowi zwycięstwa.

– Uff... – sapnął z ulgą.

W tym momencie kompletnie nie pamiętał, że to jego najlepszy przyjaciel strzelał do Szawisza. Ostatni raz rozmawiali w zaroślach na tyłach hali sportowej. Karim zapytał go, czy idzie głosować, a on idiotycznie odpowiedział: „Głosować? A po cholere?”. Wstydził się teraz tamtych słów, podczas gdy prowadzący program rozplątywał się w zachwycie nad świecami na kanale Saint-Martin, nad francuską młodzieżą, która stanowczo wybrała swojego kandydata i dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, zasługiwała na miano POKOLENIA SZAWISZA.

5

Montesquiou siedział w swoim gabinecie otoczony własnymi zdjęciami, na których z gładką i uśmiechniętą twarzą pojawiał się w towarzystwie prezydenta, Billa Gatesa, Tony’ego Blaira, aktorów grających słynnych gliniarzy, na przykład

Kiefera Sutherlanda alias Jacka Bauera, a także jakichś nieznanych europejskich ministrów spraw wewnętrznych, których nazwiska myliły się nawet specjalistom. Ta wystawa fotografii dokumentujących spotkania z celebrytami nie miała w sobie niczego nadzwyczajnego; dziwne było natomiast inne zdjęcie, wiszące na wewnętrznej stronie drzwi od sejfu, a więc niewidoczne dla gości, choć zobaczył je inżynier do spraw informatyki, który tego wieczoru przybył na wezwanie młodego szefa gabinetu.

– Co to za zdjęcie? – zapytał informatyk, zanim zdołał się powstrzymać.

Zdjęcie przedstawiało zlanego potem Szawisza stojącego na trybunie, w euforycznym nastroju, podczas sławetnego przemówienia, które wygłosił przed drugą turą prawyborów w Partii Socjalistycznej. Ku ogólnemu zdziwieniu w pierwszej turze zajął drugie miejsce, można więc było uznać, że ta niezwykle, namiętna, tak nieoczekiwana w ustach polityka *przemowa do młodzieży* była strzałem w dziesiątkę, który rozpoczął jego niewiarygodny wzrost w sondażach. Tamtego wieczoru Montesquiou siedział przed telewizorem: trzy dni przed drugą turą prawyborów, która miała wynieść niemal nieznanego eurodeputowanego na stanowisko kandydata największej partii opozycyjnej, szef gabinetu minister Vermorel, będący jej lewą ręką, zrozumiał, że dla jego obozu pojawił się Anioł Zagłady o nieoczekiwanych rysach arabskiego trybuna, fizjonomii aktora i ciepłym głose, którego – gdy stał naprzeciw zelektryzowanego tłumu – było stać na wszystko.

Montesquiou chciał, aby obraz człowieka, który mógł sprawić, że on będzie musiał opuścić ten gabinet, odejść z ministerstwa i zrezygnować ze swoich przywilejów, nigdy go nie opuszczał: zdjęcie Szawisza było jego *memento mori*. Pamiętaj, że twój miękko wyściełany fotel może zostać katapultowany. Oczywiście nie opowiedział o tym inżynierowi z DCRI, który przyniósł mu kilkanaście kartek opatrzonych komentarzami i analizami napisanymi czerwonym flamastrem na marginesach oraz stemplem TAJEMNICA WOJSKOWA.

– To wszystkie wiadomości z ostatnich czterech miesięcy, tak? – zapytał Montesquiou z lekką irytacją w głosie.

– Wszystkie – odpowiedział informatyk niemal szeptem. – Nawet te, które usunął.

– Zdolni jesteście, nie da się ukryć.

Pół godziny wystarczyło, by się zapoznać z uwagami na marginesach. Lekturę dokończył w samochodzie wiozącym go do SDAT.

Gdy przechodził przez kolejne pomieszczenia w Levallois-Perret, wielu nawet nie usłyszało jego kroków, a ci spośród niższych urzędników, którzy wbrew własnej woli go rozpoznali, witali go wymuszonym uśmiechem.

Kapitan Tellier zadowolili się skinięciem głową wyrażającym szacunek, ale i zakłopotanie. Mógł zrozumieć, że przesłuchanie Karima budzi zainteresowanie na

placu Beauvau, ale codzienne wizyty wiceszefa gabinetu pani minister to już zbyt wiele. Z fałszywym uśmiechem Montesquiou zapytał:

– Udało się wam coś z niego wyciągnąć, kapitanie?

Tellier odpowiedział, że zatrzymany kręci, więc przesłuchania niewiele wnoszą.

– Wydaje się zresztą, że on sam niewiele wie...

– Kapitanie, chciałbym przez chwilę porozmawiać z nim w cztery oczy.

Tellier nie potrafił ukryć niezadowolenia, ale odmówić nie mógł. Montesquiou był w stanie jednym telefonem załatwić mu stanowisko krawężnika na najdalszym zadupiu.

– Czy woli pan, żebym był obecny, czy...?

– Wolę, żeby mi pan dał papierosa – odparł sucho Montesquiou, nawet nie patrząc na kapitana.

Tellier od dwóch miesięcy nie palił; poprosił więc jednego z kolegów o papierosa i podał go potężnemu doradcy.

Zaraz po wejściu Montesquiou wyłączył kamerkę internetową i położył laskę na stole, którego większą część zajmował komputer.

– Zapalisz?

Karim nie odpowiedział. Ledwo miał siłę zmarszczyć brwi, by pokazać tym wszystkim gliniarzom, do jakiego stopnia ich nie znosi. Jednak od czasu, kiedy zaczął palić, nigdy mu się nie zdarzyło spędzić dwudziestu czterech godzin bez papierosa; dokładnie pamiętał, że ostatniego wypalił tuż przed spotkaniem z rudym brodaczem. Pamiętał nawet, że kiedy go gasił, mógł się jeszcze co najmniej cztery razy zaciągnąć. Sama myśl o tych czterech pochopnie straconych sztachnięciach dusiła go bardziej niż fizjologiczny głód nikotyny.

– No dobra, nie chcesz palić, nie chcesz odpowiadać, w takim razie to ja pogadam. Więc tak, czy będziesz rozmawiać z glinami, czy nie, tak czy owak pójdiesz siedzieć. Ale na to chyba sam już wpadłeś. Za jakiś czas, może jutro, może pojutrze, kapitan złoży ci propozycję: jeśli zaczniesz mówić, on poprosi sędziego o uwzględnienie okoliczności łagodzących. W stylu tego, co od wczoraj na okrągło powtarzasz, że byłeś zmanipulowany, i tak dalej, i tak dalej.

Karim był przerażony głosem tego faceta. Głosem człowieka, dla którego nic nie ma większego znaczenia. Zdecydowanie głosem Nazira.

– Otóż wiedz, że składając tę propozycję, będzie kłamać. To mało znaczący kapitan policji, który może sobie pogadać z sędzią, ale to niczego nie zmieni.

– Czyli co – warknął Karim, bardziej żeby już dłużej nie słyszeć tego strasznego głosu, niż żeby miał cokolwiek do powiedzenia. – Mam trzymać głębę na kłódkę, tak?

– Wszystko zrozumiałeś.

Karim nie zrozumiał niczego.

– Teraz ci trochę opowiem o sobie. Nadal nie masz ochoty zapalić?

Karim niezauważalnie skinął podbródkiem. Montesquiou podał mu papierosa.

– A jak mam go przypalić?

– Dam ci zapalniczkę, o ile mnie wysłuchasz do końca.

6

– Więc tak. Nazywam się Pierre-Jean de Montesquiou, jestem dyrektorem gabinetu minister spraw wewnętrznych. Wszyscy gliniarze, którzy cię przesłuchiwali, i wszyscy ich przełożeni robią w gacie na mój widok. Nienawidzą mnie. Mam dwadzieścia dziewięć lat, ukończyłem prestiżową uczelnię, dzięki czemu mogłem zostać wysokim urzędnikiem państwowym, ale w ich oczach jestem dżumą i cholera: zrozumiałym politykiem, który nigdy w życiu nie trzymał broni w ręce, za to w trzy minuty może im rozpieprzyć całą karierę. Bo widzisz, ja codziennie widuję panią minister, mogę jej coś szepnąć do ucha, a Vermorel słucha tego, co jej mówię. Wszystkiego. Ci faceci, mówię o gliniarzach na najwyższych stołkach, nie znoszą mnie, ale są tacy, którzy nie znoszą mnie jeszcze bardziej, którzy chcieliby mnie utopić w łyżce wody: to sędziowie. Nie będę cię oszukiwać, sędziów trudniej do czegokolwiek skłonić, mają swoje własne Ministerstwo Sprawiedliwości i nie lubią dostawać rozkazów. Jednak w najpoważniejszych sytuacjach, takich jak ta, nie mają wyboru. Strzelając do Szawisza, wywołałeś znacznie większy kryzys, niż możesz sobie wyobrazić.

– Ale ja...

– Posłuchaj. Wiem, że to Nazir cię do tego nakłonił. Dokładnie wiem, co się stało. I coś ci powiem w zaufaniu: dobrze znam Nazira. Od pewnego czasu śledziłem go, podsłuchiwałem jego rozmowy telefoniczne, czytałem na przykład wasze esemesy...

Sparaliżowany ciszą, która nastąpiła po tych słowach, Karim wypuścił papierosa spomiędzy palców. Już chciał się po niego schylić, gdy głos Montesquiou samą swą mocą zatrzymał go w pół drogi.

– Sprawa jest teraz bardzo prosta. Tylko jedna drobna rzecz spędza mi jeszcze sen z powiek, nic takiego, sam zobaczysz, po prostu jeden esemes. Napisany po włosku, gdzie Nazir umawia się z tobą w czwartek, dziewiątego maja, w G. Mówi ci to coś? Esemes po włosku, powinieneś pamiętać, nie dostajesz takich na kilogramy.

– Esemes po włosku? Nie, nie pamiętam...

– Posłuchaj uważnie. Mamy pewną przewagę nad facetami, którzy na ciebie wrzeszczą: wiemy, kim jest Nazir. Świetnie rozumiem, że dałeś mu się omotać, i szczerze mówiąc – powiedział, kładąc smukłą białą dłoń na piersi – byłoby mi przykro, gdybyś to ty musiał płacić za jego grzechy. Tyle że na razie wygląda na

to, że on się z tego wykręci, a ciebie wskażą jako jedyne go winnego. Ludzie, którzy cię wsadzą do pudła, mają w nosie, kto przeprowadził zamach. Potrzebują seksownego winowajcy, dobrej historyjki, którą będą mogli sprzedać mediom. Chuligan z trzeciego pokolenia imigracji, trochę zagubiony, takie tam pierdoły. A do tego nieco szalony: siedzi ze skrzyżtami i słucha muzyki klasycznej. Chce, żeby o nim mówiono, więc strzela do prezydenta. Uwierz mi, Karim, w tym kraju nie ma dwóch ludzi, którzy mogliby temu zapobiec. Taki człowiek jest tylko jeden i właśnie stoi przed tobą.

Montesquiou wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił ją przed nosem Karima, który ręką wolną od kajdanek podniósł papierosa do ust; pierwsze sztachnięcie było tak przyjemne, że zakręciło mu się w głowie.

– To co mam zrobić?

– Chodzi mi o tego esemesa po włosku. Dlaczego Nazir umawia się z tobą w G.? Był jeszcze jeden po włosku, tuż przedtem: „*Come stai, babbo?*”. I zaraz potem ten: „G.”. Spróbuj sobie przypomnieć.

– A, pamiętam. On mi je wysłał przez pomyłkę. I prosił, żebyś usunął, ale niektóre niechcący zostawiłem...

Montesquiou widział, że Karim próbuje sobie przypomnieć, ale stres nie pozwala mu się skoncentrować.

– Dobra – powiedział wreszcie. – Pomyśl jeszcze o Nazirze, pomyśl o tych esemesach; jestem pewien, że w końcu coś ci przyjdzie do głowy, sam nie wiem, jakieś miejsce za granicą, o którym bez przerwy mówił, ludzie, z którymi miał się spotkać, miasto... Kiedy sobie coś przypomnisz, nie mów nic gliniarzom, którzy i tak ci nie pomogą, zapamiętaj to i poczekaj, aż wrócę. Okej?

Po raz pierwszy Karim nie miał wrażenia, że Montesquiou na niego patrzy jak na przedstawiciela niższej formy życia. Zdobył się na odwagę i zapytał:

– Czy Szawisz zginął? Oni mówią, że tak, ale ja im nie wierzę... Gnojki, po prostu chcą mi napędzić *chalaj*...

Montesquiou spojrział na niego z rozbawieniem.

– Co to znaczy *chalaj*?

– Strach – odpowiedział Karim, wytrzymując wzrok potężnego zastępcy szefa gabinetu.

Dziwnie senny kształt jego oczu klócił się z lodowatym błękitem tęczy: inaczej niż w twarzach o wyrazie złośliwym lub ironicznym, powieki Montesquiou lekko opadały ku dołowi; wydawało się wręcz, że jeden drobny szczegół wystarczyłby, aby to okrutne spojrzenie stało się swoim dokładnym przeciwieństwem, łagodnym i melancholijnym.

Lecz ów szczegół pozostawał niewidoczny, a mówiąc dokładniej – trudny do zauważenia. Montesquiou wsparł się na lasce i wyszedł, nie poinformowawszy Karima o stanie zdrowia jego prominentnej ofiary.

Młoda dziewczyna o imieniu Fleur, która wiozła teraz Nazira, miała oczy o takim samym kształcie powiek jak zastępca szefa gabinetu minister spraw wewnętrznych. Również rysom jej twarzy perypetie życiowe odebrały wrodzoną łagodność i melancholię. Tyle że w oczach Fleur nie tlił się cynizm polityka, lecz rodzaj nieustającej paniki, a ich kolor, z natury arktycznie błękitny, od kilku miesięcy pozostawał ukryty za zielonymi soczewkami, które dostała od Nazira i na jego prośbę zmieniała co tydzień na nowe.

Początkowo Fleur nie rozumiała obsesji tego, którego nazywała mężczyzną swego życia. Nazir niby wytłumaczył, o co chodzi, ale jego tłumaczenia brzmiały dość mętnie: twierdził, że nigdy nie jest tak piękna jak we śnie, a zielone oczy lepiej niż niebieskie tworzą złudzenie snu.

Pewnego wieczoru w Zurychu wyznał, że jego dotychczasowe dziewczyny zawsze były jej namiastką: młode senne istoty o rozchylonych ustach i nadąsanych wargach próbujących uchwycić wymaginowaną słomkę, o smukłym, ciepłym, białym karku otulonym w jasnoróżowe szale i chusty podkreślające wodną zieleni oczu, które nigdy nie opuściły krainy sennych marzeń.

Kończąca wkrótce dwadzieścia jeden lat Fleur nie do końca odpowiadała owemu wzorowi doskonałości, jaki według Nazira ucieleśniała: kilka miesięcy życia na zesłaniu w zapadłej dziurze w szwajcarskich Alpach sprawiło, że jej sylwetka nabrała krzepy, kark i ramiona straciły romantyczną krągłość, dłonie stały się kwadratowe, przedramiona mocno umięśnione, a nadąsane wargi popękały od mrozu.

Jako nastolatka wielokrotnie zmieniała kolor włosów, przechodząc od kasztanowych do różowych z fioletowymi pasemkami, przez najróżniejsze odcienie brązu, jedne gorsze od drugich. Dopiero po wyjeździe do Szwajcarii zdecydowała się na powrót do naturalnego koloru, czyli popielatego blond. Nie chcąc jednak przypominać dziewczyny z dobrego domu, którą była do piętnastego roku życia, a której nienawidziła w najdrobniejszych szczegółach – od sposobu trzymania głowy po sposób siadania na krześle – skrupulatnie unikała jakiegokolwiek dbałości o włosy. Związane w niechlujny koński ogon idiotyczną wstążką w kolorze wściekłego różu opierały się o zagłówek siedzenia kierowcy, nie mówiąc o tym, że – jak rzucił Nazir w impulsywnym napadzie gniewu – po prostu *śmierdziały*.

– Kurwa mać – odparła Fleur. – Nie widzieliśmy się od dwóch miesięcy, a ty tak się do mnie odzywasz?

– A co ty sobie wyobrażałaś? Że przyjadę do naszej kryjówki i będziemy się namiętnie kochać w otoczeniu zapalonych świec i pachnących róż?

Bez przerwy odwracał się i sprawdzał, czy nikt za nimi nie jedzie. Lecz w nocy podniosła się tak gęsta mgła, że gdy terenówka brała ostry zakręt, Nazir

i tak nie byłby w stanie dostrzec światła samochodu jadącego odcinkiem szosy poniżej nich.

Fleur otarła kącik powieki i otworzyła usta, aby się nie rozpląkać i nie wymiotować.

Nazir powrócił do studiowania mapy. Niebieskawe światło wyświetlacza smartfona było tak słabe, że musiał ją trzymać tuż pod nosem. Fleur podniosła oczy do góry i zapaliła małą lampkę obok lusterka wewnętrznego. Nazir natychmiast ją zgasił. Aby pohamować narastającą irytację, zamknął oczy i przywołał na usta szeroki, nieruchomy uśmiech. Zauważył, że Fleur wystroiła się na spotkanie jak lalka: włożyła swoją najładniejszą sukienkę w kwiaty i tenisówki Converse w spranym szaroniebieskim kolorze. Nazir odpędził od siebie wizję swojej młodej przyjaciółki, która po otrzymaniu esemesa rzuca wszystko i śpieszy na spotkanie.

– Fleur, przepraszam – powiedział, kładąc dłoń na jej podrapanym kolanie. – To przez ten stres... Waldstein miał mnie dowieźć aż do ciebie, ale jestem pewien, że przekazywał im informacje, gdzie jesteśmy, może po prostu GPS-em, nie mogłem więcej ryzykować. Wiem, ile cię kosztowały te miesiące poświęcone na przygotowanie kryjówki... samotność... niemożność spotkania ze mną...

– To było piekło.

– Wiem. Wiem, przez co przeszłaś. Ale najgorsze...

– Najgorsze to nie móc się z tobą zobaczyć! Nie móc do ciebie zadzwonić!

– Śledzili mnie, Fleur. Nie miałem wyjścia. Pod koniec mieli na podsłuchu wszystkie moje komórki, nawet tę, której używałem do rozmów z... matką.

– Ja rozumiem, ale... chwilami nie dawałam już rady. Potem stwierdziłam, że życie na wsi dobrze mi robi. Nareszcie nie trzeba oglądać tych wszystkich wstrętnych twarzy...

Nazir uniósł dłoń. Dojechali na szczyt przełęczy.

– Zatrzymaj się za tamtym krzakiem. Chcę sprawdzić, czy nikt za nami nie jedzie.

– Nazir, ty zwariowałaś! Od trzech godzin jedziemy po kompletnym pustkowiu! A zresztą, kurde... jesteś pewien, że nie możemy wrócić do Sogno?

Tam właśnie Fleur spędziła ostatnie miesiące. Na opuszczonej farmie kilka kilometrów od wioski, wśród zalesionych wzgórz i ukwieconych pagórkowatych łąk. Zgromadziła tam artykuły spożywcze pierwszej potrzeby, wodę czerpała ze studni, czytała wiersze przy świecy, żyła bez elektryczności, na dziko, z dala od zdradliwych blasków miejskiej cywilizacji.

– Dzisiaj prześpimy się tutaj – oznajmił Nazir. – A jutro... zobaczymy.

Fleur wyłączyła silnik i zobaczyła, że Nazir dziwnie obmacuje tkaninę swojej czarnej marynarki.

– Co robisz?

– Wszyłem papiery pod podszewkę. Ważne papiery.

Rozległo się pohukiwanie nocnych ptaków. Samochód stał kilka metrów od drogi, kompletnie niewidoczny. Fleur odrzuciła głowę do tyłu i ściągnęła różową wstążkę.

Znowu otworzyła usta, przypominając sobie samotne wieczory spędzone na czytaniu, świece dopalające się w lichtarzach, podczas gdy noc wokół niej coraz bardziej gęstniała. Wybuchła niepohamowanym płaczem.

– Tak strasznie było mi ciebie brak – powiedziała, podnosząc na niego oczy pełne łez.

Pomógł jej przejść między oparciami na tylne siedzenie, gdzie mogła wyciągnąć się i uspokoić. Jej łydki porośnięte drobnymi blond włoskami były podrapane i ubłocone. Nagie ramiona miała pokryte gęsią skórą. Po raz pierwszy od poprzedniego wieczoru Nazir zdjął marynarkę i okrył nią drżące ze zmęczenia ciało współniczki.

– No już, pośpij trochę – powiedział niemal ciepłym głosem. – Wszystko będzie dobrze...

A gdy zasnęła, oświetlił jej spiętą twarz wyświetlaczem nowiutkiego smartfona i tym samym tonem co przed chwilą szepnął:

– Moja mała dzikuska...

8

Podczas gdy marsz przy świecach dobiegał końca, komisarz Maheut nadzorował pracę w „sali”, czyli mieszczącym się w podziemiach centrum operacyjnym paryskiej prefektury policji. Żeby tam wejść, trzeba było mieć identyfikator, który otwierał kolejne bramki. Wszyscy pracujący tam oficerowie byli umundurowani i salutowali przechodzącemu komisarzowi.

„Sala” była olbrzymim centrum dowodzenia, wyposażonym w dziesiątki ekranów połączonych z setkami zainstalowanych w stolicy kamer monitoringu. Choć Maheut od roku kierował dyrekcją do spraw porządku publicznego i ruchu drogowego paryskiej prefektury, nigdy nie widział tego bunkra tak ożywionego i pełnego ludzi jak od niedzielnego zamachu; jednak tego wieczoru pobite zostały wszelkie rekordy, wezwano bowiem szefów sztabu wszystkich służb: CRS, żandarmerii, wywiadu, sił policyjnych.

Jedna ekipa przeglądała taśmy z kamer zainstalowanych nad kanałem Saint-Martin. Komisarz zrobił kilka kroków w kierunku innych ekranów i poprosił o zbliżenie na Pola Elizejskie. Zobaczył kilkunastu facetów dających sobie dyskretnie znaki, żeby nie zwracać uwagi krążącej w okolicy policji. W ułamku sekundy Maheut nabrał przekonania, że coś knują. Zawiadomił najbliższy patrol, wysłał dwie sekcje wsparcia i na nocnych ekranach przyglądał się scenie legitymowania. Przebywający na miejscu major oddalił się, by przez walkie-talkie zawiadomić szefa o sytuacji.

- Komisarzu, znaleźliśmy przy nich kije golfowe i broń krótką.
- Naładowaną?
- Ostrą amunicją, komisarzu – odpowiedział zaniepokojony major.

Minutę później komisarz zarządził:

- Powiadomcie ambasadę amerykańską, że w ich okolicy coś się dzieje.

Ekipa przeglądająca taśmy z kamer nad kanałem Saint-Martin zauważyła jakiś ruch przy wyjściu z metra Jaurès, gdzie kończył się marsz przy świecach.

- Komisarzu, szybko, proszę spojrzeć!

Maheut podbiegł do kapitana, który starał się poprawić jakość obrazów.

Było ich kilkunastu. Parę kamer uchwyciło twarze tych, którzy zbyt późno owinęli je czarnymi szalikami. Zdjęcia natychmiast przekazano do centrum obróbki danych i porównano z informacjami w kartotekach, którymi dysponowały służby policyjne departamentu Île-de-France.

– Ile mamy sekcji CRS, które mogą ogarnąć tę manifestację? Zmobilizować wszystkie!

Prefekt paryskiej policji Dieuleveult zakazał wszelkich zgromadzeń; to jednak, zorganizowane naprędce przez „media społecznościowe”, jak mówią dziennikarze, umknęło uwadze służb wywiadowczych.

W centrum dowodzenia, którym kierował komisarz Maheut, trochę poniewczasie zorientowano się, że na obu brzegach kanału gromadzą się grupki gapiów; nieliczne jednostki policji obecne na miejscu nie były w stanie ich rozproszyć. Maheut postanowił, że podczas zaplanowanego na cztery godziny marszu nie będzie interweniować, natomiast wyśle kilka sekcji CRS w miejsce zakończenia pochodu przy placu Jean Jaurès, by zapobiec ewentualnym rozróbom.

Tych kilkunastu bez problemu zatrzymano, ale jeden skoczył do kanału, aby uciec przed policją. Maheut przyglądał się, jak funkcjonariusze CRS w rangersach schodzą po stopniach na oba brzegi kanałów, żeby złapać uciekiniera. On jednak płynął dalej. Maheut musiał podjąć szybką decyzję: kazał funkcjonariuszom wejść do wody i wyłowić gościa, zanim się utopi. Nie było na przykład wiadomo, czy nie brał jakichś narkotyków. Za żadną cenę nie wolno było dopuścić, aby ten pokojowy marsz zakończył się choć jedną ofiarą śmiertelną.

Funkcjonariusze trochę się krzywili, ale w końcu wykonali rozkaz. Parę minut później manifestanci rozeszli się, a prefekt policji telefonicznie podziękował młodemu komisarzowi za sprawne zarządzanie akcją.

Pomimo oklasków całej sali jeden obraz prześladował Maheuta przez kilka kolejnych godzin. Na jednym z ekranów, na które nikt już nie patrzył, stał młody chłopak w kominiarce, który chwilę wcześniej omal się nie utopił, obejmujący głowę rękami. Stał w kajdankach, na tyle daleko od kanału, żeby go nie kusilo znowu skoczyć do wody, otoczony przez kilku policjantów, i płakał jak dziecko, dygocząc w bezlitosnym żółtym blasku neonów.

Wtorek

Rozdział 9 Konstytucyjne czary-mary

1

Wstępniak zatytułowany *PEŁNOMOCNICTWO* wywołał eksplozję liczby odwiedzin w serwisie Avernus.fr, który podczas kampanii okazywał zdecydowanie największą wrogość wobec Szawisza. W trzech akapitach zredagowanych w formie listu do Nicolasa Sarkozy'ego była mowa nie tylko o tytułowym pełnomocnictwie, jakiego w historii Piątej Republiki – od czasu pełnomocnictwa udzielonego generałowi de Gaulle'owi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym – nigdy nie było, ale również o kampanii wyborczej, o Francji, która przeżyła *prawdziwy fenomen zbiorowej halucynacji, pozwalając się uwieść neoliberalnemu wężowi w skórze działacza Partii Socjalistycznej*, i wreszcie o bilansie dwudniowych zamieszek, tutaj nazwanych rabunkami, które – warto przypomnieć – rozpoczęły się w Grogny (można się zresztą zastanawiać, jak wyglądałaby polityka miejska prezydenta, który ze swojego miasta uczynił wybuchowy kocioł...), a które za granicą tworzyły wstydlivy wizerunek Francji jako państwa na skraju eksplozji. Na zakończenie autor wstępniaka pisał:

Francję założył barbarzyńca o imieniu Chlodwig. Koniec wykrętów i cynicznych kalkulacji. Powiedzmy to w końcu głośno: nie pozwolimy, aby banda dzikusów ją zniszczyła. Panie Prezydencie Republiki, niech Pan nie unika odpowiedzialności, jaka na Panu spoczywa. Podczas burzy musi Pan okazać waleczność i siłę kapitana statku, biorąc na swe barki pełnomocnictwo do sprawowania władzy.

Człowiek, który napisał te kilka wierszy, którego zapraszano do rozlicznych programów telewizyjnych, wszędzie zarzucając mu „niewiarygodną wręcz nieprzyzwoitość”, który bronił się sam przeciw wszystkim, który faktycznie jako pierwszy złamał konsens medialny wokół poglądu, że za wszelką cenę należy uspokoić nastroje, który jawił się wielkim przeciwnikiem pokoju, spokojnie teraz czekał (był wtorek ósmego maja, niebo zachmurzone w północnych regionach kraju, temperatury wysokie w związku z ciepłym frontem atmosferycznym, który w poprzedni czwartek nadszedł z Afryki Północnej) w słynnej restauracji na Saint-Germain-des-Prés, gdzie go zaprosił dawny kolega ze studiów, sędzia Henri Wagner, jak zwykle nie całkiem punktualny.

Sędzia Wagner przybył spóźniony o dziesięć minut, bez krawata, z głową bolącą po całej nocy spędzonej na czytaniu transkryptów podsłuchów telefonicznych Nazira Narrusza.

Wyciągnął rękę do najbardziej nieodpowiedzialnego publicysty Francji. Putéoli nie wstał z krzesła, żeby się z nim przywitać, tylko z przesadną

serdecznością rzucił:

– Jak się miewasz?

– Jeśli chodzi o ten wstępniak... – powiedział ostrożnie Wagner, siadając naprzeciwko. – Cóż, bez wątpienia potrafisz sprawić, żeby nikt o tobie nie zapomniał...

Putéoli wyszczerzył swoje zęby gryzonia.

– Miło słyszeć, że jesteś moim wiernym czytelnikiem.

Wagner postukał palcami po stole, szukając wzrokiem kelnera, by powstrzymać się przed powiedzeniem, jaki niesmak budzą w nim kiepskie maniere Putéolego.

Ledwo rozpoczęta rozmowa zamarła; jeden drugiego oceniał, ale obaj unikali się wzrokiem i żaden nie chciał przełamać lodów. W końcu Wagner, któremu bardziej zależało, by rozmowa przebiegła harmonijnie, włożył pięść do kieszeni i zapytał, jak sprawy rodzinne.

Rozmowa toczyła się przez kilka minut, po czym znowu zapadła cisza. Putéoli uniósł brew i zapytał zimnym tonem:

– Czego właściwie chcesz, Henri?

– Masz rację, do diabła z kurtuazją. Chcę wiedzieć, jak ci się udało zdobyć wideo z zatrzymania, zanim zostało upublicznione. Pytam cię o to jako... przyjaciel.

Putéoli odrzucił głowę do tyłu.

– Przecież doskonale wiesz, że nie zdradzę ci swoich źródeł. Mam nadzieję, że nie po to nalegałeś na spotkanie, bo ostatnio mam niesłychanie napięty grafik.

– Powiedz mi przynajmniej, jak twoja dziennikarka, ta Marieke Vandercoştam, zdobyła schemat organizacyjny DCRI. I jaki będzie dalszy ciąg artykułu? „Niewiarygodne porażki”, co to ma być? Skąd ona to wszystko wie? Dotarła do akt postępowania przygotowawczego?

Oczy szefa serwisu Avernus.fr były jak zwykle rozbiegane i nieufne, ale pojawił się w nich cień triumfu, który wywołał niekontrolowane drganie kąćków jego ust.

Zbyt zmęczony, by dalej się upokarzać, Wagner spochmurniał.

– Uwierz mi – rzucił ze wzrokiem wbitym w błyszczącą ramę metalowego krzesła. – Nie mam najmniejszej ochoty *zmuszać cię*, byś mi powiedział, skąd to wszystko wiecie, byłoby to niezgodne z moimi zasadami...

Putéoli uśmiechnął się triumfalnie.

– Twoje zasady... Ach, to wasze pięknoduchostwo...

Obaj mężczyźni mierzyli się teraz wzrokiem. Putéoli położył ręce na pustym stole.

– Powiedzmy sobie jasno, jak sprawy wyglądają, Henri. Cały kraj w napięciu czeka na decyzję Rady Konstytucyjnej, jakaś terrorystyczna siatka, o której pies

z kulawą nogą nie słyszał, zdołała utłuc kandydata na prezydenta, przenieśliśmy się do rzeczywistości rodem z Dzikiego Zachodu, a ty mi grozisz za jakieś duperele? O co mnie oskarżysz? O złamanie tajemnicy śledztwa w związku z tym wideo z zatrzymania? Przestańmy sobie opowiadać bajki, coś takiego jak tajemnica śledztwa od dawna nie istnieje...

Wagner miał ochotę wyciągnąć swój *Kodeks postępowania karnego* i walnąć nim Putéolego po głowie.

Na twarzy szefa serwisu *Avernus.fr* pojawił się wyraz triumfalnej powagi, jakby wstępniakiem chciał uzasadnić zwrot, który w ostatnich miesiącach nastąpił w jego życiu, sprawiając, że stało się rozedrgane i ekscytujące jak narkotyk: studia telewizyjne, podniosłe kazania, groźby śmierci i głosy wsparcia ze strony osób ważniejszych od niego, umysłów większych i bardziej głębszych, które musiały jednak skłonić czoło przed jego wojowniczym duchem i stałą obecnością w mediach.

– To jest wojna, Henri. Sam wiesz najlepiej.

– Wal się.

– To jest wojna – powtórzył Putéoli i zacytował Szekspira: – „Po miastach bunt, między narodami niezgoda, w pałacach zdrada... – Jego twarz rozjaśniła się chytrze. – Węzły między synem a ojcem rozcięte...”⁵. Nie pamiętam, czy mówi o synu, czy o córce?

Pochłonięty wewnętrzną rozterką Wagner nie zrozumiał aluzji.

– Cóż, nie pozostawiasz mi wyboru. Pamiętasz Jean-Baptiste’a? Jean-Baptiste’a Chaberta? Skurczybyk został dyrektorem generalnym skarbowki. Nie da się ukryć, był najlepszy z nas. W zeszłym roku spędziliśmy razem kilka dni wakacji, zaprosiłem go na Południe z jego nową żoną. Bardzo ładna kobieta, świetnie się ze sobą dogadywaliśmy...

Ta ledwo zawoalowana groźba kontroli skarbowej powinna wzbudzić panikę we wzroku Putéolego, ale jego zazwyczaj rozbiegane spojrzenie po raz pierwszy nawet nie drgnęło, nie straciło nic ze swojej chytrłości. Spokojnie wstał od stołu, poprawił muszkę, uśmiechnął się do dawnego kolegi i z niewzruszoną pewnością siebie człowieka, którego Pan Wszechświata wziął pod swoją opiekę, powiedział:

– Fajne masz zasady... Wielki lewicowy sędzia, który grozi mi połamaniem nóg, niczym pierwszy lepszy mafioso... Rób, jak uważasz, Henri. Nie mam ci nic do powiedzenia.

2

Zgodnie z przewidywaniami Mansourda bank w Zurychu odmówił udostępnienia taśm z monitoringu. Pułkownik miał nadzieję, że Wagner się nie mylił i droga dyplomatyczna przyniesie efekty. Jednak podczas gdy francuskie Ministerstwo Sprawiedliwości dogadywało się ze szwajcarskim, Nazir ciągle

pozostawał na wolności. Niemniej kontrole na lotniskach podwojono, a dzięki Interpolowi listy gończe rozwieszono we wszystkich helweckich komisariatach, zwłaszcza na granicach z Niemcami, Austrią i Włochami. Lokalne stacje telewizyjne obficie serwowały krajowe „materiały” o wrogu publicznym numer jeden. O ile nie zaszyje się w jakiejś grocie lub nie wejdzie w posiadanie czapki niewidki, można było zasadnie przypuszczać, że uciekinier nie ma najmniejszej szansy.

Po powrocie do siedziby SDAT i odsłuchaniu dziesiątków wiadomości od ludzi, którzy zaklinali się, że go widzieli w najbliższym barze, pułkownik postanowił sprawdzić, co przyniosły podsłuchy i elektroniczny nadzór rodziny Narruszów. Porucznik oddelegowany do tego zadania pokręcił przecząco głową: dostał do dyspozycji tłumacza z języka arabskiego, który nie znał kabylskiego.

– A Fu’ad? Rozmawiał z córką Szawisza?

– Nie. Parokrotnie próbował się do niej dodzwonić, ale ochrona Szawisza wie, co ma robić.

– I co, ani słowa o Nazirze? – zdenerwował się pułkownik, któremu najwyraźniej brakowało snu. – Nikt?

Po dwóch nocach od zamachu dyskretni aniołowie stróże, którzy pilnowali domu Dunji, mogli faktycznie zaświadczyć: między jego ścianami imię Nazira ani razu nie padło. Choć bez wątplenia zajmował wszystkie umysły, przenikając je niczym czarny, silnie toksyczny dym.

Tyle że dotychczas nie znaleziono sposobu na założenie podsłuchu w umysłach.

Dunja, która obudziła się jako pierwsza, wyglądała jak zaczadzona wyziewami tego czarnego dymu. Czekając na kawę i chcąc czymś zająć ręce, zabrała się do zmywania. Puściła wodę i przez minutę stała zadumana, wyobrażając sobie, że czerwony kurek od gorącej wody i niebieski od zimnej to jej dwaj starsi synowie – nieodwołalnie skłóceni, ale teraz na inny sposób niż kiedyś. Już nie chodziło o dwa zasadniczo odmienne charaktery, co do których mogła snuć marzenia, że choćby w dalekiej przyszłości potrafią się ze sobą pogodzić, nawet jeśli ona już tego nie dożyje; nie, było to coś, czego jej serce matki nie mogło ogarnąć, co jak sztylet przebijało jej serce, karłowaciejące na samą myśl o nie tylko oczywistym, ale i powszechnie znanym fakcie, że wydała na świat potwora.

Z góry wciąż nie dobiegały żadne dźwięki; stanęła przy otwartym oknie wychodzącym na opustoszały parking za trawnikiem i zapaliła papierosa. W prywatnym domu starców, gdzie pracowała jako opiekunka, nie miała prawa do skróconego czasu pracy, więc do środy wzięła zwolnienie. W czwartek rano musiała wrócić, umyć szesnaścioro staruszków, których miała pod opieką, opatrzyć ich odleżyny, sprawdzić kroplówki, może nawet zrobić komuś pośmiertną toaletę, jak w poprzednim tygodniu tej starszej pani cierpiącej na raka jelita grubego, której

zwłoki na dwie godziny zostawiła w zamkniętym na klucz pokoju, ponieważ musiała zająć się pozostałymi pacjentami, podczas gdy z maleńkich ust zmarłej wypływał nieprzerwany strumień zielonkawego gówna.

Z poczuciem winy zapaliła następnego papierosa. Musiała go jednak w połowie zgasić, bo w salonie rozdzwonił się budzik, który Fu'ad nastawił w komórce. Tyle że Fu'ada obudził nie tyle dźwięk komórki, ile kolejny atak kaszlu matki.

Poirytowany z niewyspania po zaledwie trzech godzinach snu oraz z powodu poczucia, że brzydko mu pachnie z ust, nalał sobie kawy i zapytał matkę:

– Co robiłaś w szpitalu w niedzielę po południu?

– Nie zaczynaj po raz kolejny – odparła Dunja, wychodząc z opuszczoną głową z kuchni.

– Odpowiedz mi, mamó. Co się dzieje? Jesteś chora? Mów, do cholery!

Dunja omal nie odpaliła, że jej choroba nie ma nic wspólnego z papierosami, ale ostatecznie wybrała prawdę, banalną i kojącą prawdę:

– Byłam u Zalichy! Przecież nie mogliśmy zostawić jej samej...

Poszła na górę obudzić Rabi'ę.

Było wpół do czwartej nad ranem, gdy Rabi'a, Dunja i Fu'ad wsiedli do twingo Dunji i wyjechali z Saint-Étienne. Rabi'a, która nie miała dostępu do własnej szafy, pożyczyła od siostry garsonkę. Na spotkanie z sędzią musiały przyjść porządnie ubrane. Ponieważ Dunja nie dysponowała zbyt urozmaiconą garderobą na takie okazje, obie miały na sobie identyczne czarne spódnice, bluzki w różnych kolorach (bladoróżowym i kremowym), ale z takiej samej tkaniny, oraz żakiety o identycznym kroju. Slim i Luna otrzymali instrukcje dotyczące telefonu i wyjść na miasto (nie używać i nie wychodzić); w rozmowie z wychowawczynią Luna została usprawiedliwiona z nieobecności w najbliższych dniach (dyrekcja okazała „rozumienie”). Lodówka była pełna, czyli żadnych powodów do niepokoju.

Fu'ad wolał sam prowadzić i ewentualnie w połowie drogi oddać kierownicę matce. Mieli przed sobą pięć, sześć godzin jazdy. Zapłacił za pierwszy bak i musiał znieść zażenowane podziękowania ze strony Rabi'i.

Trzy dni wcześniej siedział z tyłu obok Karima, który serdecznie klepnął go po kolanie. Prosił o przetłumaczenie słów piosenki Aïta Menguelleta *My, dzieci Algierii*.

Teraz Karim tkwił w areszcie, a Fu'ad wioził matkę i ciotkę przez całą Francję na spotkanie z sędzią śledczym z pionu do walki z terroryzmem.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o znaczenie słów piosenki *My, dzieci Algierii*, pomyślał.

Siedząca obok niego Rabi'a drzemała. Jej twarz o wystających kościach policzkowych jeszcze wypiękniała w promieniach słońca wschodzącego nad

polami departamentu Cantal, ale zmarszczone brwi nie pozostawiały wątpliwości co do natury snów, które się za nimi kryły. Karim w kleszczach wymiaru sprawiedliwości. Jej własne włosy wkręcone w szczypce wstydu. Szyja wuja Farhata w rękach szaleńca, który chwytem dźwudki unieruchomił głowę starca, by ogolić mu czaszkę i wymalować na niej niewiarygodnie obsceniczne rysunki...

Siedząca z tyłu Dunja też miała przymknięte powieki, ale nie spała: patrzyła na swoje dłonie leżące na kolanach i starała się opanować atakujące ją od wewnątrz pokasływania.

Rabi'a obudziła się i zapytała, czy nikomu nie będzie przeszkadzać, jak włączy radio, co Fu'ad uznał za dobry znak. Nawet jeśli jedyną stacją, którą w tej zapadłej okolicy było słychać bez trzasków, okazało się France Info mówiące o drugiej nocy zamieszek, jeszcze gwałtowniejszej niż pierwsza. Podpalono jakąś halę sportową, zaatakowano strażaków, gdzieś na przedmieściach zniszczono fasadę merostwa, mażąc na niej słynny już slogan „Sarko morderca”.

Prowadzący audycję zadzwonił do jakiegoś eksperta w dziedzinie kryminalistyki, najwyraźniej rannego ptaszka obracającego się w kręgach zbliżonych do placu Beauvau, który oznajmił, że tylko ostatniej nocy zatrzymano prawie trzy tysiące osób, z czego dwa tysiące zostało tymczasowo aresztowanych, a następnie zakończył rozmowę, wyraziwszy nadzieję, że Rada Konstytucyjna w końcu pojmie, jak jest przyjmowane jej „uporczywe milczenie”. Poprzedniego dnia Mędrcy z ulicy Montpensier wydali bowiem oficjalny komunikat, w którym potwierdzili wybór Idera Szawisza, dodając, że otrzymali wniosek premiera o rozważenie ewentualnego stwierdzenia niemożności sprawowania urzędu przez prezydenta elekta.

W żaden jednak sposób nie wypowiedzieli się na temat swoich zamiarów, wobec czego ekspert uznał, że spoczywa na nich częściowa odpowiedzialność za wybuch zamieszek na przedmieściach tych miast, w których w dwa tysiące piątym do żadnych rozruchów nie doszło.

Czując, że następna audycja może dotyczyć Karima, Rabi'a poprosiła Fu'ada o zgaszenie radia. Nie kazał się długo prosić, nawet jeśli za zapadłą nagle ciszą świstały pociski z gazem łzawiącym, szturmowały jednostki CRS, rozbrzmiewały eksplozje i płonęły tysiące aut, a wszystko z powodu ich ukochanego kuzyna, siostrzeńca i syna.

3

Obudziwszy się, Fleur przejechała ręką po zaschniętych łzach w przekonaniu, że popłynęły bezwiednie, podczas gdy spała. Przeciągnęła zdrętwiałe ciało i zorientowała się, że jest w samochodzie sama.

– Nazir?

Otworzyła drzwi i bosy ruszyła w lodowaty świt. Za krzakami, za którymi

w środku nocy zaparkowała auto, zobaczyła Nazira: stał tyłem do niej, pogrążony w zadumie. Prawą dłoń wsunął między guziki zapiętej marynarki. Lewą stukął w smartfona.

– Co robisz?

Musiał usłyszeć, jak wysiada z samochodu, bo nawet nie drgnął. Nie odwracając się w jej kierunku, odpowiedział zagadkowym zdaniem brzmiącym tak, jakby je przygotowywał przez całą noc:

– Gromadzę hufce.

Czy mówił metaforycznie o swoich siłach? Zrozumiała, że nie o to chodzi, gdy na dużym wyświetlaczu jego komórki zobaczyła stronę Facebooka z widocznymi u góry czerwonymi kwadracikami.

– Nie masz nic lepszego do roboty niż latanie po fejsie? Ścigają nas wszystkie policje Europy, a ty nadal się bawisz swoimi fejkowymi profilami... Jak ci się zresztą udało złapać zasięg na tym zadupiu?

– Dlatego właśnie warto mieć porządną komórkę. Prawdę mówiąc, zasięg jest taki sobie. Daj mi skończyć, okej?

W ciągu kilku ostatnich lat utworzył na Facebooku całkiem niemało, bo siedem fałszywych profili. Pod fikcyjnymi tożsamościami zdobył niesłychaną liczbę znajomych, chociaż w dużym stopniu było to oparte na fakcie, że na niektórych profilach występował jako dziewczyna i gromadził znajomych płci żeńskiej: chcąc wysyłać *zaproszenia* do dziewczyn, najlepiej być jedną z nich, a biorąc pod uwagę działanie mimetyzmu – młodą i ładną.

Nazir uważał powstanie Facebooka za wydarzenie równie rewolucyjne w długiej i sekretnej historii voyeuryzmu jak narodziny Chrystusa czy wynalezienie elektryczności w innych dziedzinach. Sumienny facebookowy podglądacz mógł codziennie kolonizować nowe kontynenty nimfetek. Rodzinne albumy jednej dziesiątej ludzkości nie leżały już zapomniane w głębi zakurzonych szaf, lecz można było na nie do woli klikać, zoomować je, kopiować i wklejać.

Niektóre dziewczyny blokowały dostęp do swoich profili, ale niewiele odrzucało zaproszenie od nieznajomej poparte prośbą na priva, zwłaszcza jeśli miały wątpliwą, choć często wystarczającą gwarancję w postaci jednego lub kilkorga wspólnych znajomych. Nazir, który niczego tak nie uwielbiał jak tabunów młodych dziewczyn, zgromadził diaboliczną kolekcję wirtualnych znajomych płci żeńskiej rozsianych po całym świecie. Żaden szczegół mu nie umykał. Znał wszystkie ich radości i smutki, wiedział, co lubią i co je złości. Dowiadywał się, często od samej zainteresowanej, że jakaś gimnastyczka z Utah właśnie się zaręczyła lub jakaś cheerleaderka z Pas-de-Calais zaprzyjaźniła się z kilkoma polskimi koleżankami na wspólnie spędzonych międzynarodowych zawodach sportowych, a wtedy wkraczał na kolejną *terra incognita*, która otwierała swe podwoje niemal samoistnie, dzięki kapilarności wspólnych znajomych,

doprowadzając niekiedy do długich nocnych dyskusji na czacie – jak równy z równym w tym koszmarnym uproszczonym angielskim, którym wszyscy, ale to wszyscy potrafili się posługiwać – z jakąś niewinną i radosną blondyneczką z Przemysła czy Katowic...

Ów wirtualny harem blisko pięciu tysięcy pięciuset dziewczic lub im podobnych nie służył jedynie zaspokajaniu erotycznych potrzeb Nazira. Na co najmniej dwóch fałszywych profilach był, a raczej „one” były zaprzyjaźnione tylko z mieszkańcami Grogny w wieku od trzynastu do dziewiętnastu lat, wyłącznie z chłopakami z osiedla Rameau-Givré będącymi na dobrej drodze do pełnej desocjalizacji, którym nie przyszłoby nawet do głowy, by odrzucić zaproszenie od jakiejś podrywającej ich gówniary. „One” regularnie wstawiały serie inteligentnie frywolnych fotek tej czy owej części ich ciała, pstrykanych trzymaną w wyciągniętej ręce komórką w miejscach, co do których nikt nawet przez sekundę nie mógł podejrzewać, że w rzeczywistości nie istnieją. Dzięki temu Nazir świetnie wiedział, co służby odkryją ex post i jak będą kamuflować swoją bezradność w długich technicznych raportach, którymi Ministerstwo Spraw Wewnętrznych będzie manipulować w zależności od potrzeby chwili. Czekał na właściwy moment, żeby zamiast zdjęć sutków, za które dostawał tysiące lajków i niemal tyle samo komentarzy, zacząć wrzucać nieco bardziej treściwe wiadomości, które w języku esemesowym miał od dawna opracowane.

Na wspomnienie najpiękniejszych okazów z kolekcji Nazir przymknął oczy; musiał je jednak otworzyć, gdy Fleur po raz kolejny poskarżyła się, że umiera z głodu. Schował smartfona i wskazał widoczny na wschodzie trójkąt między dwoma szczytami, które zdawały się na siebie zachodzić, a granatowe niebo między nimi zaczynało już nabierać barwy purpurowej.

– Tamta dolina to Schlaffendorf. Musimy okrążyć jezioro. Mamy szansę dotrzeć tam w ciągu godziny.

Nie pomylił się. Po godzinie szybkiej jazdy wokół jeziora przejechali przez pierwszą, niemal opustoszałą wioskę. Gryzonia należała do najmniej zaludnionych regionów Szwajcarii: w dolinie Schlaffendorf gęstość zaludnienia wynosiła niecałe zero siedem mieszkańca na kilometr kwadratowy. W żadnym domu nie paliło się światło. Nieliczne samochody spały na ukrytych parkingach. Śnieg na poboczach nie chciał stopnieć. Zainstalowane na niektórych dachach wiatrowskazy w kształcie kogucików lub króliczków czekały nieruchomo, aż podmuch wiatru wyrwie je z objęć nudy i rdzy. Tylko jakiś szary pies zaczął nagle za nimi szczekać, jakby chcąc przypomnieć przybyszom, że nie znaleźli się w krainie swoich marzeń.

Nawierzchnia była bardzo kiepska. Przyśpieszając, by zgubić psa, Fleur zorientowała się, że po całonocnej jeździe czuje się tak, jakby koła, felgi i amortyzatory samochodu były obolałymi przedłużeniami jej własnego ciała. Miała wrażenie, że jej twarz jest pokrytą kurzem karoserią, niemal namacalnie

odczuwała potrzebę jej wytarcia.

Zamiast zjeżdżać w głąb doliny, Nazir kazał Fleur skręcić w coś, co wyglądało na drogę donikąd. Zapewnił ją jednak, że tędy właśnie muszą jechać. Po kilku kilometrach przez gęsty las szosa zmieniła się w bity, ledwo przejezdny trakt ciągnący się skrajem łąki, której nie było na żadnej mapie, a która wznosiła się ostro do góry w kierunku wschodzącego słońca.

Samochód telepał się na nierównościach drogi; w pewnym momencie Nazir zobaczył konia galopującego granią wzgórze, w kierunku którego jechali. Koń był kruczo czarny, a dosiadająca go dziewczyna miała długie, gęste blond włosy, które w oczach osłupiałego Nazira zdawały się zlewać jak proporzec z cieniutką warstwą pierwszego obłoku rozplomionego blaskiem jutrzeńki. Amazonka spięła konia, który stanął dęba, po czym znikła po drugiej stronie wzgórze. Tymczasem zaczął wstawać dzień, rozświetlając całą połąć nieba blaskiem tak silnym, że Nazir musiał najpierw przymrużyć, wreszcie całkiem zamknąć oczy.

Sądząc, że padł ofiarą halucynacji, otworzył usta, by zapytać Fleur, czy widziała to samo co on. Lecz Fleur ziewała jak hipopotam, ruchy jej warg były zgodne z rytmicznymi podskokami samochodu.

– Zatrzymaj się! – krzyknął Nazir. – Niczego nie zauważyłaś?

Fleur zahamowała, a on wysiadł z auta.

Przystanąła na skraju łąki usianej białymi i niebieskimi kwiatkami, której wczesne promienie słońca nadawały wygląd pogrążonego we śnie latającego dywanu.

Nazir szybkim krokiem ruszył w poprzek łąki, jakby kogoś szukał. Pobiegnął na skraj zagajnika, skąd po chwili wrócił zasapany, chwiejąc się ze zmęczenia.

– Wydało mi się, że widzę...

– Co?

Fleur zbliżyła dłoń do podbródka Nazira, który wyglądał jak pod wpływem ciężkiego szoku. Zrobił unik, patrząc na nią przerażonym wzrokiem, jakby miał przed sobą głowę Meduzy.

Musiał przez kilka sekund postać nieruchomo z zamkniętymi oczami, aby odzyskać choć cień równowagi.

– Chodźmy – powiedział, wsiadając do samochodu. – Kierunek Schlaffendorf.

4

Esther Szawisz nalegała, aby Jasmina zjadła razem z nią śniadanie, ponieważ jednak córka odmawiała powrotu „do domu”, obie udały się do restauracji hotelowej w piątej dzielnicy Paryża, parę kroków od szpitala Val-de-Grâce. Wokół ich stolika rozstawiono parawany, aranżując coś w rodzaju prywatnego saloniku. Jasmina zamknęła oczy, żeby przestać myśleć o szeptach i ukradkowych

spojrzeniach, które ją otoczyły od chwili wejścia do hotelu w towarzystwie ochroniarzy. Pod parawanem ozdobionym nieznośnymi kwiatami lilii widziała mokasyny majora Coûteaux, który miał spędzić cały poranek na obserwowaniu pozostałych klientów restauracji.

– Jasmino – zaczęła matka, rozkładając na kolanach białą serwetkę. – Musimy porozmawiać o paru sprawach, ale najpierw powiedz, jak się czujesz.

Zaskoczona, niemal zaszokowana tonem matki Jasmina westchnęła jak nastolatka.

– Nie wiem, mamó. Nie potrafię powiedzieć, czy dobrze, czy źle. *Story of my life*.

– Posłuchaj, pomyślałam, że może chcesz wiedzieć, na jakim etapie jest śledztwo...

– No to się pomyliłaś – przerwała jej Jasmina.

– Córeczko...

– Mam już dosyć, nie obchodzi mnie żadne śledztwo! Chcę tylko, żeby tata się obudził i zerwał z polityką, żebyśmy już nigdy nie mieli do czynienia z tymi wszystkimi...

Jej głos zamarł.

– Jasmino, wiem, że jest ci ciężko, ale to nie moment na okazywanie słabości. Przeciwnie, kraj musi widzieć, że jesteśmy silne. Że zachowujemy nadzieję.

„Kraj”... Jasmina miała kraj kompletnie w nosie.

Czuła się zraniona i dotknięta fałszem dźwięczącym w głosie matki. A przecież nie potrafiła jej za ten fałsz znienawidzić: wiedziała, że pod butnymi minami, pod zdecydowanymi gestami i dumnie wyprostowaną sylwetką kryje się kompletnie rozbita kobieta.

Korzystając z tego, że matka czegoś szuka w telefonie, Jasmina przyjrzała się jej zmarszczonemu czołu i kruczoczarnym włosom, które nadal farbowała – dbała o siebie, czego zresztą można było oczekiwać od kobiety o silnym charakterze, której mąż leży w śpiączce.

– Mamó, a co będzie, jeśli tata się nie obudzi, zanim Rada Konstytucyjna podejmie decyzję o unieważnieniu wyborów?

– To proste – odpowiedziała Esther Szawisz, odchrząknawszy i przybrawszy mentorski ton. – Zgodnie z konstytucją siedemnastego maja, czyli w następnym czwartek, władzę tymczasowo obejmie Cornut, przewodniczący Senatu. Wybory muszą zostać powtórzone w ciągu dwudziestu do trzydziestu pięciu dni, a więc...

– Czyli Sarko zostanie ponownie wybrany? Całe to zamieszanie tylko po to?

– Nie ma takiej pewności. Dlaczego tak mówisz?

– Na lewicy poza tatą nie ma nikogo, kto może z nim wygrać. A po tych wszystkich zamieszkach ludzie będą głosować za bezpieczeństwem, za

stabilizacją...

Esther Szawisz zawahała się.

– Posłuchaj. Jean-Sébastien miał zostać premierem. W sytuacji, o której mówimy, dostałby... silne wsparcie i bezdyskusyjne umocowanie, by realizować projekt Idera, nad którym obaj...

– Vogel? Serio? Widzisz go w fotelu prezydenta?

– Moja droga, nic nie jest takie proste, jakim się wydaje. Nigdy zresztą do tego nie dojdzie! To absurdalne, nigdy do tego nie dojdzie, przecież to... oczywiście...

Przy stole zapadła cisza. Jasmina ogryzała sobie paznokieć kciuka. Esther bacznie przyglądała się zatroskanej twarzy jedynaczki.

– A Brisseau? – zapytała nagle Jasmina. – Przegrała w prawyborach, ale wszyscy ją lubią. Dopiero co ją słyszałam. Brzmi, jakby chciała skorzystać ze śpiączki taty.

– Tak właśnie wygląda polityka, moja droga.

– Mamo – szepnęła Jasmina, zmieniając temat. – Muszę ci coś wyznać. Może uznasz, że to głupie, ale... nie mam z kim porozmawiać, a to mi nie daje spokoju. Czuję się, jakbym zdradziła...

– O co chodzi, Jasmino?

– Nie głosowałam na niego. Nie głosowałam na tatę.

Esther nie zareagowała. Oparła sztucę o krawędź talerza i spojrzała przed siebie. Jasmina odrzuciła głowę do tyłu.

– Nie głosowałam też na Sarkozy'ego, tylko... oddałam głos nieważny. W głębi duszy chyba nie chciałam, żeby został wybrany. Czułam, że... że to na zawsze zmieni nasze życie. Nawet jeśli jestem pewna, że byłby bardzo dobrym prezydentem...

– Jasmino! – upomniała ją matka. – Twój ojciec nie umarł, tylko leży w śpiączce! Nie życzę sobie, byś o nim tak mówiła. A jeśli chodzi o ten głos nieważny, po prostu nikomu o tym nie opowiadaj, dobrze?

Jasmina straciła apetyt. Udając zmęczenie, niewyraźnie odpowiedziała na kilka pytań matki dotyczących koncertów, które postanowiła odwołać. Zanim Esther pozwoliła córce odejść, wzięła ją za rękę i powiedziała coś, co zabrzmiało w uszach Jasminy jak jedyna sprawa będąca od początku przedmiotem zainteresowania matki:

– Jeszcze jedno. Obiecuj, że się nie zdenerwujesz, ale... Fu'ad... jak by to powiedzieć...

Jasmina poczerwieniała ze złości. Wyrwała dłoń z rąk matki.

– Do widzenia, mamo.

Wstała i ruszyła do wyjścia.

– Posłuchaj, muszę cię uprzedzić, zrobisz z tym, co zechcesz, ale... Dzisiaj

Fu'ad będzie przesłuchiwany przez sędziego, który prowadzi śledztwo w sprawie zamachu na życie twojego ojca.

Jasmina nie odwróciła się, ale wyraźnie zwolniła kroku.

Major Coûteaux ruszył za nią i poprosił, by chwilę poczekała, aż samochód zostanie podstawiony pod drzwi hotelu.

– Naprawdę, Aurélien? – zapytała ze smutkiem Jasmina. – Naprawdę nie możemy przejść dziesięciu metrów na piechotę?

Coûteaux spojrział na nią dziwnym, niemal poufałym wzrokiem, który na tyle zmieszał Jasminę, że spuściła oczy i bez słowa zgodziła się poczekać w klimatyzowanym holu hotelowym. Dokładnie w tej chwili dostała esemesa od swojego byłego chłopaka, Christophe'a Vogela, który napisał, że nie może przestać o niej myśleć, nadal jest jej wierny, nie ośmiela się zadzwonić i tylko czeka na jakiś „znak”.

5

Na drugim końcu poczekalni pojawił się elegancki sześćdziesięciolatek, wyglądający dokładnie jak człowiek, którego Fu'ad widział i podziwiał w telewizji. Garnitur szyty na miarę, szczupła, energiczna sylwetka, wysokie gładkie czoło i ledwo widoczne zmarszczki – cały wygląd mecenasa Szafrana wskazywał, że umysł ma nadal młody i bystry. Jeden tylko szczegół nieco Fu'ada zaniepokoił: wirtuoz paryskiej palestry nie przestawał nerwowo żuć gumy. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał równie tajemniczo jak w telewizji, a srebrne nitki w jego obciętych na języka ciemnych włosach tylko to podkreślały, zamiast łagodzić.

– Bardzo mi przykro, panie Narrusz, zatrzymano mnie w trybunaaale... Szanowni państwo, zapraszam do swojego gabinetu.

W uszach Fu'ada suche przeprosiny Szafrana zabrzmiały jak zarzuty. To nieprzyjemne wrażenie przypisał niskiemu głosowi adwokata, od którego zdawały się dygotać błękitne ściany gabinetu.

Aplikantka przyniosła dodatkowe krzesło, starannie unikając wzroku Fu'ada.

– A więc tak. Rozmawiałem dziś rano z sędzią Wagnerem. Zostaniecie przesłuchani w charakterze świadków z asystą⁶, każde osobno. To nie powinno potrwać zbyt długo.

– Świadców z asystą? – zapytała Rabi'a. – Czy to oznacza, że pan mecenas będzie nam towarzyszyć?

– Tak, będę wam towarzyszyć. Natomiast samo to pojęcie odnosi się do osoby, która w danej sprawie nie ma statusu oskarżonego, ale nie jest też zwykłym świadkiem.

Szafran nadal żuł gumę, gwałtownie poruszając żuchwą.

Fu'ad nieczęsto czuł się skrępowany w towarzystwie ludzi starszych, lecz przenikliwe spojrzenie mecenasa, jego surowa postawa, a zwłaszcza reputacja nie

pozwalają mu zapomnieć, że ma tylko dwadzieścia sześć lat.

Irytacja Fu'ada zmieniła się w niekłamaną podziw, gdy Szafran okręcił się na wyściełanym krześle i oświadczył, że odniósł już pierwszy, może i skromny, ale jednak sukces: dzięki swoim dobrym stosunkom z jednym ze śledczych w Levallois-Perret załatwił, że Rabi'a będzie mogła zadzwonić do syna jeszcze przed końcem okresu zatrzymania, tuż przed przekazaniem sprawy do prokuratury.

– Czyli kiedy? – zapytała Rabi'a, prawie zrywając się z krzesła.

– Prokurator przedłużył zatrzymanie o czterdzieści osiem godzin, więc zapewne w czwartek wieczorem.

– Nie da rady wcześniej? – Rabi'a zamknęła oczy, żeby się nie rozpłakać. – Przecież to mój syn, oni nie mają prawa...

– Proszę pani – podjął adwokat łagodnym tonem. – Na pani synu ciążyą najpoważniejsze zarzuty, jakie przewiduje kodeks karny. Spójrzmy prawdzie w oczy: nawet jeśli zdołamy wykazać, że był tylko wykonawcą w ramach szerokiego spisku, to jednak on pociągnął za spust, strzelając do kandydaata na najwyższe stanowisko w państwie.

– Czyli jego jedyna szansa – wtrącił Fu'ad – to zrzucić całą winę na... mojego brata?

– Obawiam się, że tak.

– Chciałbym jeszcze zapytać, co możemy zrobić, żeby go nie bronił mecenas Aribi. Słyszałem wczoraj, jak przemawiał nie tylko w imieniu Karima, ale również całej rodziny. Nie znam się na subtelnościach strategii obrony, wydaje mi się jednak, że takie przemowy w telewizji to bardzo zły pomysł...

– Do tego zmierzałem. Nie dość, że bardzo zły, to wręcz karalny. Jeśli wyrażał się w waszym imieniu, choć nikt z was go o to nie prosił, to znaczy, że bezprawnie przywłaszcza sobie klientów. Rozmawiałem z nim wczoraj przez telefon, sugerując, żeby w ramach koleżeńskich relacji przekazał mi obronę Karima, ale cóż, nie będę ukrywać, że rozmowa szybko stała się nieprzyjemna. Zagroziłem, że przekażę całą sprawę do przewodniczącego rady adwokackiej w Paryżu.

– Kto zresztą ma za to płacić? – krzyknął Fu'ad. – Przecież nie Karim, tylko my! A więc chyba mamy prawo...

– Jak najbardziej. Szczerze mówiąc, moim zdaniem nie będzie potrzeby zwracania się do przewodniczącego rady. Mecenas Aribi nie widział się jeszcze z Karimem; w przypadku aktów terroryzmu policjanci mogą odroczyć wizytę adwokata do siedemdziesięciu dwóch godzin. To skandaliczne, lecz tak już jest. Zrobimy tak: kiedy będzie pani rozmawiać z Karimem przez telefon, proszę mu powiedzieć, żeby wystąpił o zmianę adwokata i wyznaczył mnie jako swojego obrońcę. A na razie musimy się przygotować do dzisiejszych przesłuchań.

– Mówił pan wczoraj – wtrącił Fu'ad – że zna sędziego śledczego, który się

zajmuje... naszą sprawą.

– Wagnera? Tak, tak – odpowiedział Szafran nieco wymijającym tonem. – O ile dobrze zrozumiałem, kontrwywiad już od pewnego czasu prowadził śledztwo w sprawie pańskiego brata i ruchu SRAF. Pewnie ze względu na zażyłe stosunki Wagnera z nowym szefem paryskiej prokuratury Lamielem to właśnie jemu zlecono śledztwo w sprawie zamachu na życie Szawisza, nawet nie czekając na koniec okresu zatrzymania pańskiego kuzyna. Co na pewno irytuje wiele osób. Cóż... To facet dziwny i nieprzewidywalny, ale na pewno nie jest takim szaleńcem jak Rochu. Oni wszyscy mają obsesję na punkcie walki z terroryzmem. Zbyt dużo władzy i zbyt blisko władzy... Lecz Wagner nie należy do tych najbardziej obłąkanych, to człowiek kulturalny, jego żona jest wielką pianistką. Nie przestaje oczywiście być sędzią, jednak z faktu, że wyznaczono właśnie jego, a nie któregoś ze speców od islamistycznego terroryzmu, wynika przynajmniej jedno: ci na górze od początku wiedzą, że sprawa nie ma nic wspólnego ani z Al-Ka'idą Islamskiego Maghrebu, ani z żadnym innym ruchem islamistycznym... Zresztą na konferencji prasowej Lamiel nie wspomniał o żadnym tropie religijnym.

Fu'ad pokiwał głową. Szafran poluzował windsorski węzeł krawata, wziął do ręki notatnik i powiesił marynarkę na oparciu krzesła.

– Przejdźmy teraz do spraw poważnych. Poproszę was o powtórzenie wszystkiego, co mówiliście podczas przesłuchań. Zwłaszcza o Nazirze. Wyczerpująco. Może kawy? Wody mineralnej?

6

Godzinę po przekazaniu Wagnerowi informacji, że u Wielkiego Momo policja z Saint-Étienne nikogo nie znalazła, Poussin zadzwonił po raz drugi. Sędzia wychodził właśnie z Pałacu Sprawiedliwości na obiad. Oficerowie ochrony poprosili, żeby wsiadł do samochodu. Nie potrafiąc powstrzymać gestu zniecierpliwienia, przyłożył komórkę do piersi i zrugął jednego z ochroniarzy:

– Jesteśmy w samym środku bulwaru du Palais, niemal naprzeciwko prefektury policji, gdzie panuje największe w stolicy zagęszczenie patroli żandarmerii i uzbrojonych funkcjonariuszy policji: czy naprawdę sądzicie, że coś mi grozi, jeśli przez dwie minuty odetchnę świeżym powietrzem?

Od chwili, gdy żona wymusiła na nim, by się pojawił na jej wieczornym koncercie, sędzia był w fatalnym humorze. Nie żywiąc do niego cienia urazy za ten napad złości, ochroniarze ponownie zaprosili go do auta, by zawieźć go do restauracji na lewym brzegu Sekwany, gdzie był umówiony z prokuratorem Lamielem.

– Mam nadzieję, że masz dla mnie dobre wiadomości, Poussin – westchnął Wagner, wsiadając do swojego więzienia na kółkach i powracając do rozmowy telefonicznej.

– Nie c-c-całkiem – odpowiedział Poussin. – Ale interesujące. Os-os-obiście dokonałem p-p-przeszukania u Wielkiego Momo. W komputerze znaleźliśmy ostatnie maile, zwłaszcza w skrzynce ze spamem, w tym powiadomienia f-f-facebookowe. W wiadomościach f-f-facebookowych chłopak pisze, że musi się ukryć u kuzyna w Ivry-sur-Seine.

– No to świetnie. Znajdźcie adres tego kuzyna i przekażcie policji w Ivry, żeby go zatrzymali.

– Nie, panie sędzio, nie o to chodzi.

Wagner podniósł oczy ku górze. Wiedziony szóstym zmysłem jękał Poussin zorientował się, wziął głębszy oddech i dodał:

– W wiadomościach f-f-facebookowych znaleźliśmy długi wątek, w którym może chodzić o p-p-przygotowywanie z-z-zamieszek.

Od początku rozmowy sędzia siedział z otwartymi ustami i zmarszczonymi brwiami: jeśli jeszcze raz usłyszy słowo Facebook, jak amen w pacierzu straci cierpliwość. Miał rozwiązać sprawę zamachu na życie prezydenta Republiki, a Poussin zawracał mu głowę Facebookiem!

– Niech się pan tym zajmie razem z Mansourdem.

Następnie wyłączył komórkę i wysiadł z samochodu. Thierry Aqua Velva minął go, żeby sprawdzić, czy lokal jest bezpieczny.

– Mam nadzieję, że to żarty, Thierry!

– Panie sędzio?

Kamienny spokój i uprzejmość tych ludzi wydawały się niezniszczalne. Wagner pozwolił ochroniarzowi wejść do restauracji i sprawdzić, czy w ciężkich zasłonach, żyrandolach lub – czemu nie? – pod grubą wykładziną podłogową z miedzianymi listewkami, zarówno na parterze, jak i na piętrze, nie kryje się jakiś morderca ze sztyletem w zębach. Lamiel też właśnie nadszedł; stał przy barze i czytał łososiowe strony „Le Figaro”, równomiernie postukując kijem, na którym umocowano prestiżową gazetę.

– Wyglądasz strasznie, mój drogi.

– Kłopoty ze snem – odparł Wagner, unikając spojrzenia wyłupiastych oczu prokuratora.

Lamiel nalegał, żeby iść na górę, gdzie jego zdaniem będzie spokojniej. Wagner zgodził się: wbrew podejrzewaniom, które częściowo przyczyniały się do jego irytacji, prokurator nie przybył w towarzystwie nikogo wysoko postawionego, kto mógłby próbować wywrzeć presję na niepozornego sędziego. W sali na piętrze stało kilkanaście okrągłych stołów; ich stół nakryto tylko na dwie osoby. Nie było więc żadnej „pułapki”, chociaż Lamiel – ze swoimi nieco obleśnymi ruchami i cukierkiem ziołowym głośno przesuwającym między jednym trzonowcem a drugim – coś chyba jednak ukrywał.

– Słyszałeś o Radzie Konstytucyjnej? Dowiedziałem się z wiarygodnego

źródła, że wkrótce spotykają się z naczelnym lekarzem szpitala Val-de-Grâce.

– Nie wiedziałem – odpowiedział Wagner, unosząc brwi jak człowiek, którego żadne pogłoski, nawet pochodzące z wytlumionych korytarzy ministerialnych, nie są w stanie zaintrygować.

– W obecnej sytuacji nikt ich nie prosi o decyzję, ale o czary-mary! A jeśli spojrzeć na skład Rady, to jest on raczej... czarujący, prawda? Debré i Giscard gotowi są utopić Sarkozy'ego w łyżce wody, natomiast pozostałych ośmiu – pośrednio lub bezpośrednio – mianował nie kto inny jak Sarkozy! Dużo bym zapłacił, żeby przysiąc jak mucha w sali, w której nasi drodzy Mędracy będą deliberować...

Wagner podniósł w końcu głowę i spojrzał w wylupiaste oczy Lamiela. Omal nie wspomniał, że jego przeobrażenie w muchę jest już na dobrej drodze. W końcu przeszedł jednak do transkryptów podsłuchów, które otrzymał od DCRI.

– Czytając transkrypty z komórki Nazira Narrusza, wraz z moją asystentką odkryłem, że w pewnym momencie Nazir wspomina o trzeciej komórce. DCRI nie mogła tego przepuścić, zastanawiam się więc, dlaczego nie wpadła na pomysł, żeby transkrypty z tej trzeciej komórki też dołączyć do akt...

– Może po prostu nie założyli na niej podsłuchu.

– Założyli. Mansour rozmawiał ze swoim odpowiednikiem w DCRI, Boulimierem, który osobiście kierował sprawą. Potwierdził, że były trzy komórki i że wszystkie trzy były na podsłuchu.

Lamiel nie drażył tematu.

– Zobaczmy dziś wieczorem. Poprosiłem, żeby mi je pilnie dosłali.

Lamiel kiwnął głową, nie ośmielając się spojrzeć Wagnerowi w oczy.

– Cóż, Henri, zbyt dobrze się znamy, żebym cokolwiek przed tobą ukrywał, powiem więc prosto z mostu: od czasu, gdy prowadzisz to śledztwo, narobiłem sobie mnóstwo wrogów, poczynając od prefektury policji, która nigdy mi nie daruje, że przekazałem sprawę Mansourdowi, a zrobiłem to, bo wiem, że lubisz z nim pracować. Ale co tam, wrogowie to stały element życia, bez znaczenia. Powiem więcej: twoje decyzje są twoimi decyzjami, więc jeśli wolisz założyć u Narruszów podsłuchy, zamiast ich aresztować, ja tę decyzję szanuję. Problem polega na tym, że ludzie plotkują, niektórzy nawet uważają, że nie jesteś dość twardy, przede wszystkim nasi przyjaciele z prasy, choć nie tylko oni...

– Jean-Yves, miałeś walić prosto z mostu, więc wal!

– Widziałem protokół przesłuchania matki Nazira, Dunji Narrusz. Czarno na białym przyznaje, że przelała synowi pieniądze do banku w Zurychu. Jeśli to nie wystarczy, żeby jej postawić zarzut udziału w zorganizowanej grupie w celu popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym, to równie dobrze można ten zarzut usunąć z kodeksu karnego...

Wagner nie reagował. Bawił się srebrnym nożem, to zbliżając ostrze do

pustego kieliszka, to je oddalając. W pewnym momencie jego zdenerwowanie sięgnęło zenitu i nóż stuknął o szkło; w stołówce brzdęknięcie nie zostałoby nawet zauważone, ale w półmroku tej restauracji o ścianach pokrytych czerwoną tkaniną zabrzmiało jak głośnie beknięcie na zebraniu Rotary Club.

– Henri, jeśli nikomu z rodziny nie postawisz zarzutów, ludzie pomyślą, że śledztwo nie posuwa się do przodu. I będą mieć rację! Na razie nie mamy niczego na temat siatki rodziny Narruszów. Mamy jedynie Abd al-Karima, przygłupa trenującego kulturystykę, i Ibn Barakę, który twierdzi, że tylko oddawał przysługę i nawet nie wiedział, o co chodzi. Przy odrobinie szczęścia dochodzeniówka niedługo dostarczy nam dane tego rudego brodacza, który pomagał Abd al-Karimowi w dniu zamachu, i to wszystko. Żadna z uśpionych komórek inwigilowanych przez DCRI nie ma z zamachem najmniejszego związku. Siatka rodziny Narruszów nie jest ani islamistyczna, ani separatystyczna, ani anarchistyczna, ani autonomistyczna, ani nic z tych rzeczy! Powiem ci, co chwilowo o niej wiemy, nawet jeśli to niewiele: wiemy, że jest to rodzina. Chyba nie wierzysz, że nic ich nie łączy z projektami Nazira Narrusza! Mieszkał u matki, dawał pracę i pieniądze swoim kuzynom i wujom, był bohaterem całej społeczności. Oni wiedzieli, Henri. Wiedzieli.

– Natomiast ja nie wiem – odparł Wagner. – Jeszcze nie wiem, a dopóki nie wiem, nie będę nikogo oskarżać. Nie będę stawiać zarzutów wszystkim członkom rodziny i kazać, by mi udowodnili, że się mylę. Pamiętasz, co to jest ciężar dowodu? Uczyłem się o tym na uniwersytecie, trochę dawno, fakt, ale z grubsza chodziło o to, że nie oskarżony ma udowodnić swoją niewinność, lecz oskarżyciel jego winę...

Zamilkł; do ich stolika zbliżały się dwa cienie. W garniturach po trzy tysiące euro. Identyfikacja starszego nie zajęła Wagnerowi wiele czasu: ni mniej, ni więcej, był to pierwszy przewodniczący Sądu Kasacyjnego, najwyższy urzędnik wymiaru sprawiedliwości we Francji. Lamiel podniósł się, niemal stając na baczność. Zaskoczenie i gniew wbiły Wagnera w krzesło.

– Panie sędzio – rzekł Lamiel, odchrząknawszy, by przedstawić Wagnerowi drugiego z przybyłych. – Marc Fleutiaux z gabinetu ministra sprawiedliwości.

Fleutiaux poprawił okulary na wyniośle długim nosie.

– Panie sędzio – odezwał się głosem nawykłym do narzucania innym ciszy. – Pragnę panu powiedzieć, że zarówno minister, jak i cały gabinet uważnie przygląda się śledztwu, które pan prowadzi. Wszystko idzie bezbłędnie, prawda? Chwilowo bezbłędnie.

Pierwszy przewodniczący pokiwał głową. Ze swą jasną cerą i siwymi, rozdzielonymi idealnie prostym przedziałkiem włosami stanowił ucieleśnienie burżuazyjnej godności, której nikt i nic nie mogło zakłócić. Wagner nie zareagował nawet kiwnięciem głowy, więc Fleutiaux rzucił pochmurne spojrzenie na Lamiela

i dodał, unosząc wyżej podbródek:

– W sieci pojawiło się wideo z zatrzymań. Straszne wideo, naprawdę straszne. A najgorsze, że przez to wideo musimy działać wyjątkowo szybko i skutecznie, że się tak wyrażę. Prawda, panie przewodniczący?

Pierwszy przewodniczący kiwnął potakująco. Fleutiaux zmarszczył brwi i wrócił do swojego stolika przy przeszklonej ścianie na drugim końcu sali.

Lamiel nie ośmielał się odezwać ani słowem. Kiedy kelner w liberii przyniósł im zamówione dania, Wagner cisnął serwetkę na stół.

– Co przewidziano na następnym etapie? Wniosek o wyłączenie i odebranie mi sprawy? Albo nie, pozwólmy mecenasowi Aribiemu złożyć ten wniosek! Skoro walczymy nie fair, to idźmy do końca!

– Nie bądź naiwny, Henri. Tu nie chodzi o wyrostków wrzucających petardy na dziedziniec żandarmerii. Chodzi o spisek mający na celu zabicie prezydenta Republiki. To zamach na podstawy państwa. Chyba cię nie dziwią pojawiające się presje...

– Oczywiście, że nie. Dziwi mnie natomiast pośpiech, staranność i serwilizm, z jakimi służysz swoim mocodawcom. Wiesz co? Cała ta historia odebrała mi apetyt.

Szybkim ruchem wstał i odszedł od stołu.

7

Biuro dyrektorki do spraw zasobów ludzkich Zakładów Transportu Miejskiego Aglomeracji Saint-Étienne mieściło się na parterze śmiałego kompleksu ze szkła, stali i gazonów, który zajmowała centrala. Abu Zid został wezwany tak nagle, że nawet nie zdążył założyć krawata ani czystej koszuli. Otrzepał swój mundur kierowcy (ciemnozielone spodnie i marynarka, koszula wedle uznania kierowcy; odporny na dylematy estetyczne Abu Zid wybrał kolor jaskrawożółty), po czym spędził pół godziny w poczekalni bez żadnych czasopism, z oknami wychodzącymi na parking dla dyrekcji, drapiąc się pod pachami w nadziei, że uda mu się usunąć z marynarki nieusuwalne plamy potu powstałe po dwóch tygodniach znoju w autobusach na cieszącej się złą sławą linii numer dziewięć.

Dyrektorka do spraw zasobów ludzkich miała ciemne włosy z blond pasemkami i nie była ani dość ładna, by się czuć naprawdę pewna siebie, ani dość brzydka, by sprowadzać swe życie do brania odwetu na otoczeniu. Kiedy Abu Zid wszedł, wskazała mu miejsce naprzeciw siebie. Właśnie z niejakim trudem otwierała plastikowy pojemnik Tupperware.

– Nie przeszkadza panu? – zapytała, sięgając po plastikowy widelczyk.

Abu Zid zachował kamienny wyraz twarzy i uprzejmie pokręcił głową. Dyrektorka była o jakieś piętnaście lat od niego młodsza, miała ciemne włoski na

przedramionach i pogardliwy ton głosu, typowy dla ludzi z dyplomami.

Wyraźnie jednak była skrepowana: niewykluczone, że czekała z sałatką na przybycie Abu Zida, aby w krytycznej chwili dodać sobie kontenansu. Abu Zid był świadom, że może się spodziewać złej nowiny, ale gdy zobaczył, jak dyrektorka gmera w dokumentach, nie mając odwagi podnieść na niego wzroku, zrozumiał, że nie chodzi o złą nowinę, ale o najgorszą z możliwych. Restrukturyzacja, o której w firmie krążyły pogłoski, teoretycznie nie dotyczyła kierowców, a status pracowników Zakładów Transportu Miejskiego budził powszechną zawiść wśród prekariatu Saint-Étienne. Na wstępie dyrektorka wdała się w historyczny wywód na temat trudności, jakie firma przeżywa od początków kryzysu.

Abu Zid obrócił wzrok na gigantyczny plakat zajmujący jedną ze ścian gabinetu, przedstawiający przysłowiowo rajski zachód słońca: wielka kula zawieszona nad powierzchnią oceanu, tak rozpalona i jasna, że wysysała wszelkie ślady życia z sylwetek palm rosnących wzdłuż plaży.

– ...sam więc pan rozumie, że chwilowo nie możemy panu zaproponować innego stanowiska. Tak więc moja rada...

– Dlaczego ja? – przerwał jej Abu Zid nienaturalnie spokojnym głosem.

– Panie Narrusz, właśnie panu tłumaczyłam. Ustaliliśmy listę kryteriów...

– „Panie Narrusz”, jak miło – przerwał jej znowu, niemal z uśmiechem.

Dyrektorka odsunęła pojemnik i przybrała zgorszony wyraz twarzy.

– Co pan insynuuje?

– Jasne, *zarma*, zupełnie jakby pani nie wiedziała, co insynuuje...

Abu Zid wstał.

– Nie bez znaczenia był fakt – dodała dyrektorka tylko po to, by zachować twarz – że dwukrotnie otrzymał pan upomnienie.

Abu Zid pokazał jej wała.

– A o trzecim incydencie dowiedzieliśmy się nie dalej jak wczoraj.

Na widok jej próby przekonania samej siebie, że rozsądniej będzie zwolnić właśnie jego zamiast kogoś innego, na łysinie Abu Zida nabrzmiała jego słynna żyła. Odwrócił się w jej stronę i oparł dygoczące dłonie na biurku.

– Posłuchaj, kretyńko. Postanowiliście mnie wywalić tylko dlatego, że się nazywam Abu Zid Narrusz, a wy od dwóch dni na okrągło oglądacie telewizję. Jeśli będziesz dalej pieprzyć bzdury...

Już miał powiedzieć „dam ci w pysk”, lecz wibrująca w tylnej kieszeni spodni komórka sprowadziła go z powrotem na ziemię. Zobaczył, że to babka próbuje się do niego dodzwonić. Oświadczył, że idzie skończyć swój dzień pracy. Dyrektorka chciała powiedzieć, że nie ma takiej potrzeby, ale jednym gestem Abu Zid dał jej znać, żeby nie nalegała.

Zbyt wściekły, żeby od razu odebrać telefon, poszedł jak co dzień do szatni kierowców. Zmienił koszulę, zawiązał krawat z logo firmy i dał się poczęstować

papierosem w oczekiwaniu na swoją zmianę. Kolega, którego miał zmienić, przyjechał lekko spóźniony i wyglądał na zaskoczonego, że jego zmiennik czeka przy bramie. Abu Zid uściśnął mu dłoń, zajął miejsce za kierownicą, a na koniec opuścił ruchomą półkę z biletami i rulonami monet.

Prawdopodobnie ostatni raz słyszał to harmonijne szcęknięcie – znak, że objął swoją szoferkę w posiadanie. Za kierownicą autobusu przeżył zarówno dobre, jak i złe dni. Niekiedy gęsty ruch zmuszał go do długiego czekania w niespodziewanym korku. Czasem jakiś idiota za kółkiem wyprzedzał go na styk, wysiadał z samochodu i prowokacyjnie pukał w boczną szybę. Pewnego dnia on też wysiadł, by pokazać, że nie da sobie w kaszę dmuchać.

Najtrudniej bywało wieczorami w okresach zamieszek; kiedy w całym kraju gorączka ogarniała przedmieścia, dzielnica Montreynaud, po której jeździł, znajdowała się zwykle na pierwszej linii frontu. Z czasem uwierzył, że w chuliganach aglomeracji Saint-Étienne budzi respekt. Wiedzieli, że w autobusie linii numer dziewięć nie wolno palić papierosów, kiedy za kierownicą siedzi Abu Zid.

Umieszczone na tablicy rozdzielczej radio wewnętrzne zaskrzeczało, każąc mu natychmiast wracać do centrali. Abu Zid włączył drugie radio i wyszukał RMC. Właśnie leciała popołudniowa audycja, w której niezmordowana Brigitte Lahaie udzielała porad erotycznych. Stała pasażerka linii numer dziewięć przywitała się z kierowcą i zajęła swoje ulubione miejsce za jego plecami. Abu Zid ruszył w chwili, gdy zobaczył dwóch facetów w zielonych koszulkach polo biegnących w jego kierunku.

Do pierwszego przystanku dojechał bez przeszkód. Jego telefon dzwonił bez przerwy. Babka naprawdę chciała z nim porozmawiać, rozłączała się tuż przed ostatnim dzwonkiem, po czym natychmiast ponownie wybierała jego numer.

– Dlaczego ten *ariul* nie odbiera? – zapytała, siadając na ławce na placyku, gdzie przyjeżdżały i skąd odjeżdżały autobusy Eurolines.

Jakaś młoda blondynka spojrzała na nią współczująco, jak na każdą zasapaną staruszkę. Jej drobna buzia była ledwo widoczna spod olbrzymiego plecaka z przytroczoną do niego karimatą. Babka rzuciła na nią ponure spojrzenie kobiety, która nigdy nie czuła się ofiarą – ani wojny, ani mężczyzn, ani Francuzów, ani zwłaszcza starości.

Znała rozkład jazdy Abu Zida, o który na początku każdego tygodnia wierciła mu dziurę w brzuchu, chcąc wiedzieć, kiedy w razie potrzeby może do niego zadzwonić. A potrzeb zawsze miała dużo. Prowadziła życie wypełnione intrygami i sekretami, wymagające całkowicie dyspozycyjnego szofera tylko na jej usługi. Miejscowi bonzowie darzyli ją szacunkiem; wróceniem z kart po domach zarabiała dużo pieniędzy. Abu Zid robił jej zakupy, stawiając się na każde żądanie matki, jakby był jej winien coś cenniejszego niż wydanie go na świat.

Czekała na autobus Eurolines z Madrytu. Zgodnie z umieszczonym na przystanku rozkładem jazdy autobus jechał przez Saragossę, Barcelonę, Saint-Jean-de-Luz, Périgueux i Clermont-Ferrand. Wreszcie pojawił się na drugim końcu placu przy wiatach przystankowych i miejscach tymczasowego postoju. Babka znowu zadzwoniła do Abu Zida: wiedziała, że tego dnia pracuje na nocnej zmianie. Miał lekki sen i niepisany zakaz wyłączania komórki przez całą dobę, nawet gdy szedł spać. Zastanawiała się, co będzie, jeśli syn nie odbierze. Jak przewiezie w bezpieczne miejsce i z dala od ludzkich spojrzeń tego, po którego przybyła?

Musa zobaczył matkę, jeszcze zanim wysiadł z autobusu. Wyciągnął papierosa z wewnętrznej kieszeni marynarki i chwycił swój bagaż podręczny; nie mając walizki, nie musiał korzystać z luku bagażowego jak inni pasażerowie.

Abu Zid w końcu wyłączył komórkę. Za czwartym przystankiem autobus przejeżdżał kilkaset metrów autostradą, po czym skręcał z powrotem do miasta w kierunku dzielnicy Montreynaud. W lusterku wewnętrznym Abu Zid zobaczył, że w środku siedzi już tylko stary Marokańczyk, który w poprzednim tygodniu zwierzył mu się, że jest świeżo po operacji zaćmy, a teraz spokojnie drzemął. W chwili, gdy miał odbić na prawy pas, Abu Zid poczuł szaleńczy impuls, który kazał mu jechać dalej autostradą.

Nie wiedział, czy ma dość benzyny, żeby dotrzeć do Lyonu, nie wiedział, czy nie złapie go drogówka, zanim zdoła objechać miasteczko Saint-Chamond. Wiedział jednak, że ominiecie zjazdu na Montreynaud, wyłamania się z tak ściśle określonego i pilnowanego rozkładu, dzika jazda wśród stałych bywalców autostrady A45, którzy musieli się zastanawiać, co autobus linii numer dziewięć robi na otwartym morzu, wszystko to dawało mu takie poczucie wolności, jakiego nie zaznał od czasu, gdy zaczął tracić włosy.

8

Wynajęty samochód miał czekać na Dżinna między placem Bastylli a Dworcem Lyońskim, a dokładniej na skrzyżowaniu alej Daumesnil i Ledru-Rollin. Kuzyn Wielkiego Momo pojawił się dużo przed czasem, postanowił więc przeczekać w pralni samoobsługowej, przez której brudne szyby widać było skrzyżowanie. Wzdłuż alei Daumesnil ciągnęły się arkady z różowych cegieł: była to Coulée verte René-Dumont, słynna promenada między Bastylią a Vincennes, zawieszona na wysokości dziewięciu metrów, obsadzona czereśniami, lipami, klonami oraz klombami kwiatów. Zerkając od czasu do czasu na komórkę, Dżinn gapił się na palisadę z bukszpanu i bambusa, która chroniła biegnące ścieżką dziewczyny; w miejscach, gdzie ścieżka była na kilku metrach nieosłonięta, mógł śledzić czyjeś blond włosy lub piersi, które łaskawie zechciały zafalować. Niestety, z dołu niewiele było widać, co najwyżej biusty spłaszczone smętnymi sportowymi

stanikami z Decathlonu.

Wreszcie samochód nadjechał i zaparkował wzdłuż ścieżki rowerowej. Džinn wyskoczył z pralni i ruszył w kierunku siedzenia pasażera, ale kierowca pokazał mu, że ma zająć jego miejsce.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Džinn.

Kierowca nie odpowiedział, tylko ze schowaną twarzą obszedł samochód wokół. Od chwili zamachu nosił ciemne okulary i rozważał przefarbowanie rudych włosów, tyle że bał się wejść do supermarketu, nie mówiąc o zakładzie fryzjerskim. Zgolił brodę, lecz pozbawiony zarostu podbródek nie tylko prawie nie zmienił jego twarzy, ale sprawiał, że czuł się odsłonięty, równie narażony na atak jak pozbawiony kolców jeżozwierz.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Džinn.

Tamten dalej milczał.

– Dokąd jedziemy, Romain? – zapytał ponownie Džinn.

Romain potrząsnął głową i zerknął w lusterko wsteczne. Zdjął ciemne okulary: miał wybałuszone oczy i wyglądał jak opętany.

– Tam gdzie jesteśmy umówieni – oznajmił, dając Džinnowi znak, żeby ruszył. – Torby trzeba schować tam, na górze, na promenadzie. Masz po nie pojechać i je tam odstawić.

– Gdzie pojechać? To ich nie ma w samochodzie? – zapytał Džinn, który już niczego nie rozumiał.

Romain kazał się zawieźć w pobliże Dworca Lyońskiego.

– Ulica d'Austerlitz siedemnaście. Będę tam na ciebie czekać z torbami – wyjaśnił. – A jeżeli po drodze cię zatrzymają, mamy przechlapane.

– Ostatnia sprawa – zaryzykował Džinn. – Mój kuzyn, Wielki Momo.

– Co z nim?

– Chciałbym, żeby... żebyście go zostawili w spokoju. Jak widzisz, zrobiłem wszystko, co kazaliście, a proszę tylko, żeby jego nie mieszać w... rozumiesz, co nie?

– Twoja sprawa, stary. Albo robisz, co do ciebie należy, albo wracasz do swojego codziennego życia. Sam decyduj. Nie moja broszka.

Z trudem przełknął ślinę i spojrzał na swoje odbicie w lusterku; rozgorączkowany, cherlawy i siny, z twarzą pozbawioną zarostu, wyglądał dokładnie na to, czym był – zapóźnionym w rozwoju nastolatkiem, który sam ze sobą nie dawał sobie rady.

Po odwiezieniu Romaina Džinn wrócił do Ivry, gdzie zobaczył Wielkiego Momo rozwalonego przed telewizorem.

– *Wesh*, Momo, chodź na chwilę. – Zaciągnął go do kuchni. – *Zarma*, musisz mi pomóc.

Wielki Momo spuścił wzrok na pofałdowane linoleum; poprzedniego

wieczoru natknął się tu na karalucha, który nie dał mu spać przez całą noc.

– Nic takiego, dziś wieczorem trzeba po prostu popilnować psa jednego kumpla, z którym mam sprawę do załatwienia. Spoko?

– Jasne, spoko – odparł Wielki Momo.

Prawdę mówiąc, było bardziej niż spoko: cieszył się jak dziecko. Nie dość, że będzie mieć towarzystwo, podczas gdy Dżinn wyruszy załatwiać swoje sprawy, do tego tym towarzystwem będzie pies. Kiedy jednak godzinę później pies pojawił się w drzwiach, mina mu zrzedła. Nie był to owczarek niemiecki z czułymi oczami Sultana, lecz muskularny krótkowłosey pitbull w najbardziej imponującym kagańcu, jaki Wielki Momo w życiu widział, który nie pozwalał mu ani szczekać, ani zjadać małych dziewczynek na ulicy. Miał też na sobie szelki, które lepiej czy gorzej krępowały jego gwałtowne ruchy; właściciel potwora odradził zdejmowanie zarówno kagańca, jak i szelek.

Wielki Momo zapytał, jak pies się wabi, ale właściciel nie zareagował. Widząc zaskoczenie kuzyna, Dżinn powiedział, że pitbull nazywa się Sarko. Bo lubi prężyć mięśnie, jest mały, ale zażarty, a przede wszystkim diablo inteligentny.

Wielki Momo spojrzał w małe brązowe oczy psa: były tak pozbawione wyrazu, że wyglądały jak oczy pluszaka.

– Na twoim miejscu nie patrzyłbym mu w oczy.

Właściciel był Malijczykiem, równie potężnie zbudowanym jak jego pies.

– To pies bojowy – wyjaśnił z drapieżnym uśmiechem. – Krzyżówka pitbulla z rottweilerem. Kiedyś wystawiłem go do walki z dwoma buldogami. Jak babcię kocham, zagryzł je w pięć sekund. Jeśli mnie z nim złapią, od razu idę siedzieć.

Wielki Momo przesunął ręką pod pyskiem potwora. W sąsiednim pokoju Dżinn włączył komputer i wszedł na Facebooka. W lustrze nad zapadniętą kanapą Wielki Momo ujrzał, jak jego kuzyn i właściciel psa przyglądają się profilowi jakiejś skąpo ubranej dziewczyny. Chcąc samemu sobie udowodnić, że umie czytać lustrzane odbicie, Wielki Momo odcyfrował jej imię i nazwisko. Choć dziewczyna była klasycznie piękna, obaj kumple nie wyglądali ani na podnieconych, ani rozweselonych; ze zmarszczonymi brwiami co rusz na nią spoglądali i wymieniali się uwagami, szepcząc jak w mediatece.

Kiedy wyszli, Wielkiemu Momo zrobiło się żal psa i zdjął mu kaganiec. Po kilku gwałtownych machnięciach ozorem i krótkiej serii poszczekiwań Sarko uspokoił się i podszedł do miski z wodą, którą jego chwilowy właściciel postawił mu na podłodze.

Wielki Momo wyjrzał przez okno i zobaczył kilkanaście samochodów podjeżdżających pod budynki z czerwonej cegły. Dżinn wydawał kierowcom instrukcje, wzmacniając swój autorytet lekkimi kuksańcami. Po tym niepokojącym briefingu mężczyźni wsiedli dwójkami do samochodów. Niektóre z aut miały przyciemniane szyby, ale żadna nie była opuszczona, by nikt z zewnątrz nie mógł

słyszeć rozbrzmiewającej w środku muzyki rap. Samochód Dżinna ruszył jako pierwszy. Pozostałe jak cienie pojechały za nim.

Rozdział 10

Błądzące cienie

1

Nie mogąc się dodzwonić do ojca, Aurélie uległa namowom koleżanek i kolegów z klasy, którzy codziennie w czasie przerwy obiadowej szli na nabrzeża Sekwany, gdzie podnieceni niedalekim końcem roku szkolnego opalali się i udawali, że powtarzają materiał. Wśród nich był Nico, jeden z czterech chłopaków, którzy zostali na noc w domu jej rodziców po wielkiej sobotniej imprezie.

Marzący o dostaniu się na nauki polityczne Nico zaczął nosić marynarki od garnituru i błękitne koszule w paski oraz mówić jak Sarkozy. Zawsze wymieniał imię osoby, do której przemawiał podczas debaty; lubił wspominać o swojej „rodzinie politycznej”. Lecz w jego pokoju wisiał portret Chiraca, co ujawniono na Facebooku wraz z powstaniem prześmiewczej grupy o nazwie „Jeśli podobnie jak Nicolas Bachelier masz w pokoju plakat Chiraca”. Skłoniło to młodego człowieka do dokonania chiracowskiego coming outu, aby odróżnić się od Tristana, najbardziej gorliwego sarkozisty w liceum. Niektórzy uważali, że Nico zgodził się na facebookowy przeciek właśnie po to, by zaznaczyć swoją odmiennność wobec charyzmatycznego zabijaki z klasy T°S1.

Początkowo Aurélie też tak uważała, ale teraz miała to w nosie.

Kiedy zobaczyła Nica zbliżającego się, by zamienić z nią dwa słowa, szybkim krokiem odeszła na skraj nabrzeża i wzniosła oczy do nieba.

– Tristan cię przysłał? O co chodzi?

– Widzę, że masz zły dzień. Chciałem, żebyś wiedziała, że ani ja, ani Thibaud nie puściliśmy pary z ust na temat tego, co wiesz. A jeśli może ci to sprawić frajdę, to faktycznie Tristan prosił, żebym ci to przy okazji powiedział.

Wzrok Aurélie złagodniał, westchnęła z ulgą. Korzystając z jej lepszego nastroju, Nico nerwowo poruszył ramionami i zmarszczył brwi.

– Jeszcze jedno. Chciałem zapytać: co to za list, który pisałaś na lekcji filozofii?

– Weź i spadaj! – obruszyła się Aurélie. – Od kiedy mam się przed tobą tłumaczyć? Palant.

Nico przyjął cios z godnością. Albo przeczytał w *Pamiętnikach* swego idola Chiraca, albo sobie wymyślił, że polityka właśnie na tym polega: na umiejętności przyjmowania ciosów.

Aurélie wsunęła rękę do kieszeni swetra, ale listu tam nie było. Racja, przecież zostawiła go w dużej torbie, w której nosiła książki i zeszyty oraz strój pływacki w dni, kiedy w południe chodziła na trening. Wróciła do grupki kolegów,

którzy właśnie skręcili jointa, i sprawdziła, że złożony na troje list nadal tkwi w portfelu. Gdy po drugiej stronie kółka kolegów dostrzegła Nica podejrzanie łpiącego w jej kierunku, uznała, że powinna trzymać list przy sobie.

Kieszonka dzinsów była za mała; w końcu Aurélie zdecydowała się na kieszonkę swetra, z której list tylko odrobinę wystawał.

Wzięła skręta i pociągnęła dobrych sześć razy z rzędu. Szum samochodów zniknął, podobnie jak jej zły nastrój. Zaczęła się śmiać z dowcipów największego żartownisia z klasy, zanim jeszcze je opowiedział; jako pierwsza wstała, żeby pokazywać wala odmłodzonym turystom machającym do nich z mostu, spod którego wypływały stateczki wycieczkowe. Kiedy zdjęła sweter, chcąc się poopalać w samym podkoszulku na ramiączkach, jedna z dziewczyn, które za nią nie przepadały, zaczęła udawać szok i prosić, żeby napięła bicepsy. U Aurélie zazwyczaj dostrzegano dwie cechy: oczy o tęczęwkach w dwóch różnych kolorach oraz szerokie barki i umięśnione ramiona. Trochę naćpana, ale jak zwykle dumna ze swojej muskulatury, Aurélie z wyzywającym uśmiechem spełniła prośbę koleżanki.

Po chwili zaczęła przysłuchiwać się Nicowi, który roztaczał tysiąc pasjonujących teorii na temat aktualnej sytuacji politycznej.

– ...trzeba być idiotą, żeby nie widzieć, co się dzieje! Tak czy owak Sarko zostanie na stanowisku prezydenta. W przyszły czwartek Rada Konstytucyjna oficjalnie to potwierdzi. Od samego początku Sarko manipuluje Cornutem, przewodniczącym Senatu. Cornut to baran, który posłusznie wykonuje to, co Sarko mu szepnie do ucha, i zrobi wszystko, żeby przyspieszyć decyzję Rady na wypadek, gdyby Szawisz się obudził...

– Ale skąd to wszystko wiesz? – zapytał ktoś kpiącym tonem.

Zbyt podniecony, by usłyszeć ironię w głosie pytającego, Nico gestem rasowego polityka zrzucił marynarkę.

– Przecież to oczywiste! Sam pomyśl: prawdziwym problemem są zamieszki. Gdyby nie to, Rada Konstytucyjna poczekałaby do oficjalnego zakończenia kadencji Sarko. Żeby dać szansę Szawiszowi. Ale w obecnej sytuacji to zbyt niebezpieczne. Moim zdaniem pod koniec tygodnia ogłoszą definitywną niemożność sprawowania urzędu przez Szawisza. Ten kraj nie może żyć bez głowy. Od kiedy ją ścięto królom, a królów zastąpiono prezydentami, zawsze mieliśmy głowę, mocną głowę na czele państwa. Mocna głowa to zupełnie co innego niż śpiąca głowa!

Aurélie parsknęła śmiechem. Ze swym pozbawionym zarostu, buńczucznie wysuniętym podbródkiem, z cienkim głosikiem szaleńczo przeskakującym od epoki do epoki i od pojęcia do pojęcia, biedny Nico był tak żałośny, że aż wzruszający.

– No dobra, zostawiam was teraz z Chirakiem Juniorem i spadam.

Kilka osób zaprotestowało: przecież tego dnia po południu nie było już lekcji. Aurélie wyjaśniła, że na siódmą idzie na koncert matki, a przedtem musi wziąć prysznic, żeby z siebie zmyć bzdury naopowiadane przez Nica.

2

– Nazywa się pan Fu’ad Narrusz, urodził się w Saint-Étienne w departamencie Loara dwudziestego pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, a więc ma pan dwadzieścia sześć lat.

Fu’ad kiwnął głową. Sędzia nie uniósł oczu znad akt. Pióro zawisło nad leżącą przed nim kartką. Jego siwa czupryna zdawała się czekać na coś więcej, na jakieś dodatkowe informacje, może po prostu na ustne potwierdzenie.

– Tak, panie sędzio – spróbował Fu’ad.

To wystarczyło: sędzia wrócił do pisania i zapytał:

– Dlaczego nazywa się pan Narrusz? Przecież to nazwisko panińskie pańskiej matki?

– Mój ojciec również miał na nazwisko Narrusz. Był odległym kuzynem mojej matki, członkiem klanu Narruszów, w cudzysłowie klanu. To częsty przypadek w Kabylii... Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Czyli osobiście nie zna pan Kabylii? Urodził się pan we Francji. Kiedyś pan tam był?

– Nie.

– A pański brat Nazir?

Fu’ad zerknął na stojącego obok adwokata w todze, który skinął głową na znak, żeby odpowiedział bez stawiania sobie zbędnych pytań.

– Nie sądzę, panie sędzio. Chciałbym z góry zaznaczyć, że od ponad trzech lat, czyli od śmierci naszego ojca, nie utrzymuję kontaktów ze starszym bratem.

– Dobrze się składa, nieprawdaż... A dlaczego?

– To spór natury... Nie wiem, jak to określić.

Fu’ad przypomniał sobie, na czym stało w rozmowie z Szafranem: nie ma tysiąca możliwych strategii, musi zdecydowanie odciąć się od Nazira, pamiętając, że brat nie zawahał się przed wciągnięciem rodziny w swój upadek.

Obrócił się w stronę asystentki, która siedziała przy biurku stojącym prostopadle do biurka sędziego.

– Chyba nie znoszę go równie mocno jak on mnie. Można powiedzieć, że chodzi o spór natury psychologicznej. Pod każdym względem jesteśmy różni, panie sędzio.

– Każdym? Kiedy ze sobą... zerwaliście?

– Trzy lata temu – powtórzył Fu’ad, ledwo otwierając usta. – Przed pogrzebem ojca. Mieliśmy inną wizję jego... pochówku.

Nie mrugnawszy okiem, sędzia czekał na ciąg dalszy.

– On chciał zorganizować bardzo religijny pogrzeb, ale ojcu na tym nie zależało, kiedyś nawet powiedział, że wcale sobie tego nie życzy... Pokłóciliśmy się... i tyle.

– Czy Nazir przywiązuje dużą wagę do islamu?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że nie przywiązuje wagi do niczego i do nikogo. Myślę, że jest po prostu złym człowiekiem. Nihilistą, to chyba właściwe słowo.

Wagner odłożył pióro i uniósł głowę, pokazując czarne krzaczaste brwi. Poważne rysy jego twarzy, wyglądające jak wyrzeźbione, sprawiły na Fu'adzie wrażenie utajonej siły i gniewu. Z pełną swobodą sędzia przeszedł do innego tematu.

– Widziałem pana w serialu *Bohater meczu*. Moja córka pana uwielbia. Mówi, że jest pan podobny do Alaina Bashunga za młodu.

Fu'ada i adwokata zatkało.

– Panie Narrusz, chciałbym, żeby pan jedno zrozumiał: podczas gdy pan oczarowywał widzów małego ekranu, kontrwywiad śledził poczynania pańskiego starszego brata. Tak więc znam już odpowiedź na pytanie, które teraz panu zadam. To tak dla jasności, żeby nie przyszło panu do głowy odgrywać komedię lub na nowo pisać historię. A pytanie jest następujące: co pan *dokładnie* wiedział o zamiarach swojego brata?

Fu'ad odpowiedział bez chwili wahania, bo to pytanie miał z Szafranem przećwiczone:

– Wiedziałem tylko o dwóch sprawach: że finansowo pomaga części rodziny, nie domagając się niczego w zamian, zwłaszcza matce, której ku mojej rozpaczy od czasu do czasu przelewał pieniądze. I po drugie, że aktywnie walczy o budowę owego sławetnego minaretu przy wielkim meczecie Saint-Étienne. Wiedziałem, że walczy, ale nie wiedziałem i nadal nie wiem w jaki sposób. W pewnej chwili dotarło do mnie, że wszedł w jakieś konszachty z naszym kuzynem Abd al-Karimem, ale zrozumiałem to zbyt późno, panie sędzio.

W gardle mu zaschło. Chciał poprosić o szklankę wody, lecz wolał mówić dalej:

– W dniu ślubu mojego młodszego brata Sulajmana, czyli w sobotę, wydało mi się podejrzanym, że Karim dostał od Nazira jakąś kopertę. Wziąłem Karima na stronę, żeby go zapytać, co jest w tej kopercie, ale odmówił odpowiedzi.

– Więc ja panu powiem, panie Narrusz – mruknął Wagner, kończąc pisać. – W kopercie był bilet kolejowy do Paryża, żeby Karim pojechał zamordować Idera Szawisza. Kto w pańskiej rodzinie wiedział o tej kopercie?

Spanikowany Fu'ad spojrzał na adwokata, który zabrał głos:

– Mój klient tego nie wie, panie sędzio.

– Niech więc sam mi to powie!

– Nie wiem, panie sędzio.

Wagner zorientował się, że Fu'ad kłamie. Cała złość, jaka się w nim nagromadziła od początku dnia, skoncentrowała się między kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni, które zacisnął na nasadzie nosa, jakby chciał wytrzeć kąciki zmęczonych oczu.

– Panie Narrusz, jest pan przesłuchiwany w charakterze świadka z asystą, co oznacza, że w każdej chwili mogę podjąć decyzję o postawieniu panu zarzutów. Czy pan rozumie, co to oznacza?

Fu'ad uniósł brwi: tak, rozumie.

– Jeszcze do tego wrócimy. Chciałbym teraz porozmawiać o pańskich stosunkach z Jasminą Szawisz. Od jak dawna pan ją zna? W jaki sposób się poznaliście?

Fu'ad nie zdążył odpowiedzieć: rozległo się wycie syreny, od którego w gabinecie sędziego zadrżała podłoga.

Wagner obrócił się w stronę Alice, która wzruszyła ramionami i położyła rękę na brzuchu. Do gabinetu wpadł wojskowy komendant Pałacu Sprawiedliwości w towarzystwie dwóch żandarmów.

– Panie sędzio, alarm bombowy, ewakuujemy Pałac!

– Alarm bombowy, tutaj? To niemożliwe!

– A jednak.

Głos komendanta nie brzmiał jak głos człowieka biorącego udział w ćwiczeniach. Wagner przepuścił w drzwiach Fu'ada i Szafrana, po czym wyszedł wraz z Alice. Starannie zamknął drzwi gabinetu na klucz; u wejścia do galerii Saint-Éloi natknął się na Rochu. Syrena wyła ogłuszająco i żaden z dwóch sędziów słowem nie odezwał się do drugiego. Lecz w spojrzeniu Potwora widać było całą litanię zarzutów, jakby alarm był konsekwencją „humanitarnych” metod Wagnera.

Idąc szerokim korytarzem Pałacu, Fu'ad poczuł ukłucie dziwnego, dotychczas mu nieznanego lęku przed eksplozją. Dachy zawała się, ze ścian polecały wielkie cegły, które zmiażdżą ich skurczone, spopieliałe ciała. Lecz największy strach budziła w nim sama eksplozja, wyobrażenie niewyobrażalnego huku, głośniejszego od pioruna, gwałtowniejszego od śmierci.

– To fałszywy alarm, kochanie – powiedziała Dunja, widząc, że jej syn z trudem oddycha.

Gdy znaleźli się w strefie bezpieczeństwa, otoczony ochroniarzami sędzia potwierdził przypuszczenie Dunji:

– To zapewne fałszywy alarm, ale sprawdzanie potrwa wiele godzin. Musimy się umówić ponownie. W najbliższych dniach. Może jutro?

Szafran zaprotestował:

– Panie sędzio, moi klienci mieszkają pięćset kilometrów od Paryża. Są ścigani, wręcz molestowani przez prasę, każda podróż kosztuje ich zarówno wiele pieniędzy, jak i energii.

Alice, asystentka Wagnera, zostawiła jego notes w gabinecie. Sędzia zobaczył, że trzyma rękę na brzuchu, a na jej twarzy malują się cierpienie i troska.

– Pojutrze – zgodził się. – Pojutrze o tej samej porze.

Podszedł do Alice, by zapytać, czy wszystko w porządku. Wyprostowała się i przywołała na twarz swój zwykły uśmiech, który coraz bardziej upodabniał się do uśmiechu aktorki grającej w reklamie red bulla.

– W porządku. Jestem tylko trochę zmęczona. Powiem panu, jeśli nie będę już w stanie pracować. – A chcąc pokazać, że naprawdę ma zamiar pracować do ostatniego dnia ciąży, dodała: – Faktycznie jest podobny do Alaina Bashunga.

– Może się jednak okazać, że jego kariera przybierze nieco inny obrót – zauważył sędzia, włączając komórkę, aby odsłuchać ostatnie wiadomości w skrzynce głosowej. – A właśnie, o wilku mowa, dzwoniła moja córka.

Oddzwonił do Aurélie, która odebrała po trzecim dzwonku.

– Cześć, potworku! Co masz mi do powiedzenia?

Aurélie zawahała się. Chciała wszystko mu wyznać: popołudnie spędzone z Karimem, list, który chciała mu przekazać przez ojca. Nie miała innego sposobu dotarcia do Karima, jak opowiedzieć ojcu prawdę o ostatniej niedzieli. Choć wydawał się lepiej nastawiony niż poprzedniego wieczoru („potworku”), wciąż bała się jego reakcji.

– Sama nie wiem, jak ci to powiedzieć...

– Jak mi co powiedzieć? – zapytał sędzia dociekliwym tonem. – Zamieniam się w słuch.

– Tatusiu, to nie jest rozmowa na telefon. Kiedy będziesz w domu?

– Co się dzieje, Aurélie? Możesz mi, do cholery, wytłumaczyć? Aurélie?

Aurélie!

Lecz córka już się rozłączyła.

3

Po trzech godzinach wyspecjalizowane ekipy potwierdziły, że był to fałszywy alarm. Jednak koło szesnastej służby odebrały dwa kolejne telefony z informacją, że podłożono bomby na stacji metra Havre-Caumartin oraz w Bibliotece Narodowej François Mitteranda. Masowe ewakuacje masowo filmowano, lecz znowu nie znaleziono żadnego ładunku; prokurator Lamiel, który już miał na głowie setki telefonów od urojonych „świadków” twierdzących, że widzieli Nazira w najróżniejszych miejscach świata, wszczął postępowanie przygotowawcze, powierzając je sekcji antyterrorystycznej podlegającej brygadzie kryminalnej policji. Nie przyjął dziennikarza z agencji AFP i zadzwonił do Wagnera, aby zapytać o przebieg przesłuchań „najbliższej rodziny”. Sędzia wyjaśnił, że musiał je przełożyć na później, zdecydowanie odrzucając hipotezę prokuratora, jakoby miały to być jakieś wybiegi najbliższej rodziny, by uniknąć

formalnych przesłuchań.

Chcąc zapobiec rozprzestrzenieniu się psychozy wśród paryżan, François Fillon zorganizował konferencję prasową, na której zachęcał ludzi, by żyli jak dawniej. Od chwili zamachu nie zarejestrowano bowiem żadnego poważnego zagrożenia, a telefony z wtorkowego popołudnia uznano za pomysły jakichś żartownisiów, których policja energicznie poszukuje, aby ich postawić przed sądem i przykładowo ukarać.

Po odjeździe Szafrana, który znowu znalazł kilka krzepiących słów („na szczęście trafił się nam bardzo dobry sędzia”), „najbliższa rodzina” udała się do restauracji. Fu’ad wybrał dyskretne miejsce: jego nieufność wobec dziennikarzy zaczęła graniczyć z fobią.

Szczerbaty kelner, który ich obsługiwał, zrobił na nim osobliwe wrażenie: mówił jak były narkoman, który nażarł się zbyt dużo środków uspokajających, a na widok jego przesadnie skrupulatnych gestów i uprzejmości na granicy agresji Fu’ad nabrał dziwnego przekonania, że ma do czynienia z recydywistą. Przyniósłszy kawę, kelner przesunął papiery Fu’ada na drugą stronę stołu, żeby parującą filiżankę postawić tuż przed klientem, ale towarzyszące temu uniżonemu gestowi „bardzo proszę” miało wyraźnie opryskliwą intonację.

Fu’ad zaproponował Dunji i Rabi’i, by spędziły noc w jego kawalerce przy placu d’Aligre. On sam prześpi się u kumpla, zresztą i tak przed powrotem do Saint-Étienne ma parę spraw do załatwienia w Paryżu.

Lecz Rabi’a nie potrafiłaby znieść dalszego pobytu w tym samym mieście, w którym przebywał syn, nie mogąc go zobaczyć. Poza tym nie chciała zostawiać Luny samej.

– Poprowadzę – podjęła się Dunja. – Jeśli wyruszymy od razu, przed północą dojedziemy.

Fu’ad nie chciał, żeby matka przez sześć godzin prowadziła samochód po tak trudnym dniu. Lecz Dunja nie dawała się odwieść od tego pomysłu. A jej dorosły syn, odprowadziwszy je do samochodu i zamknąwszy drzwi, nie był w stanie opanować ogromnego uczucia ulgi. Po raz pierwszy od soboty był sam, nie musiał udawać, że jest silny, nie musiał podejmować żadnych decyzji, z wyjątkiem tej, jaką drogą wracać do domu.

Zapomniawszy o swojej chęci zachowania *incognito*, przeszedł przez plac du Châtelet i ruszył ulicą de Rivoli aż do miejsca, gdzie przechodziła w ulicę Saint-Antoine. W okolicy, którą znał na pamięć, zaskoczyła go liczba radiowozów zaparkowanych wzdłuż jezdni i żołnierzy patrolujących chodniki. Gdyby pojechał metrem, byłby jeszcze bardziej zaskoczony: odświeżone zamachem na Szawisza wspomnienie hekatombi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego skłoniło władze do skierowania patroli wojskowych do wszystkich składów metra. Zamiast spokojnie siedzieć w wagonach, żołnierze krążyli po przejściach, zaglądali pod

siedzenia, wszystkim pasażerom o nieco ciemniejszej karnacji kazali otwierać torby.

Jakiś rozgorączkowany staruszek zapytał Fu'ada o godzinę, nie pozwalając mu odejść przez pięć kolejnych, ciągnących się w nieskończoność minut, podczas których Fu'ad dowiedział się, że:

– Skoro jest tu tylu żołnierzy, to znaczy, że ogłoszono najwyższy poziom zagrożenia w ramach planu Vigipirate. No bo jak inaczej? W czasie, gdy nie ma prezydenta, kraj jest w niebezpieczeństwie. I to się tak szybko nie skończy, proszę mi wierzyć. Szawisz się nie obudzi...

Gadatliwy przechodzień zamilkł: nagle przyszło mu do głowy, że Fu'ad może przypadkiem pochodzić z Maghrebu. Po chwili mówił dalej:

– Tak sobie z panem gawędzę, ale to na niego głosowałem, więc wolałbym, żeby się obudził. Nie róbmy sobie jednak złudzeń. Pęknięcie tętniaka w czaszce, daję słowo. Mój szwagier miał to samo, mieszkał pod Menton, zna pan Menton? Ładna okolica, prawda? No więc powiem panu, że przez dwa miesiące leżał nieprzytomny, a potem raz-dwa wykitował i tyle go widzieli. A teraz co, Sarkozy odchodzi kiedy, za dziesięć dni? Bodajże w przyszły piątek. I co dalej? Zastąpi go przewodniczący Senatu, ale kto to taki, przewodniczący Senatu? Ta ciamajda Cornut! Laureat głównej nagrody w kategorii ofiary dowcipów politycznych w ciągu trzech ostatnich lat! Trzech lat, rok w rok! Myśli pan, że oni zaczekają, aż na czele państwa stanie ktoś z głową, zanim nas zaatakują? Mam na myśli AKIM i resztę tego towarzystwa.

Pozbywszy się w końcu natręta, Fu'ad zdjął marynarkę i ruszył dalej, ścigany spojrzeniami mijanych kobiet, którym co najmniej trzykrotnie towarzyszył szeroki uśmiech. Za placem Saint-Paul zatrzymał się z silnym poczuciem *déjà vu*. Skierował wzrok na widoczną w oddali kolumnę na placu Bastylli, szukając czegoś znajomego – jakiejś mansardy, wykuszu, balkonu z kutego żelaza, czegoś, co złamałoby monotonię szeregu wąskich kamienic przyklejonych jedna do drugiej za kościołem Saint-Paul.

Lecz krajobraz nie chciał do niego przemówić.

Nagle na skrzyżowaniu z ulicą de Turenne stanęła mu na drodze drobna brunetka o niebieskich oczach. Była ostrzyżona na chłopaka, miała na sobie czarny podkoszulek z głębokim, choć nieostentacyjnym dekoltem.

– Chyba nie powiesz, że mnie nie poznajesz?

Fu'ad przetarł oczy; pamiętał, że dwa lata wcześniej przespał się z nią, że tamtego wieczoru była burza, że dziewczyna miała piegi między piersiami, ale za nic nie był w stanie przypomnieć sobie jej imienia.

– Cholera, Fu'ad, to było wieki temu – oświadczyła, zapalając papierosa. – Nigdy do mnie, draniu, nie zadzwoniłeś!

Palnął się w czoło.

– Niewiarygodne...

Chyba nie przypomni sobie jej imienia, ale przynajmniej wyglądało na to, że dziewczyna nic nie wie o jego udziale w narodowej psychodramie.

– Widziałam, że dobrze ci się wiedzie. *Bohater meczu*. Super. Jeszcze kręcicie czy już skończyliście ostatni sezon?

Fu'ad przypomniał sobie, że ona pracuje w kinematografii: w produkcji, finansach, marketingu, czymś takim.

– Cóż – bąknął nieco zażenowany. – Za dwa, trzy tygodnie wznawiamy zdjęcia.

– Jedziesz w tym roku do Cannes?

Fu'ad zaplótł ręce na karku i pokiwał głową, jakby się zabierał do serii brzusków na stojąco.

– Cannes? Jeszcze nie wiem. Po tych wszystkich wydarzeniach nie mam ochoty wylegiwać się na słońcu.

– Nie chodzi o żadne wylegiwanie się na słońcu – zaprotestowała. – To twoja praca. Nie wygłupiaj się. Zresztą wszyscy na ciebie czekają.

Fu'ad pomyślał, że ona jednak wie. Lecz spojrzawszy jej w oczy, znowu stracił pewność.

W rzeczywistości nie wiedziała. Wiedziała tylko, że przesadziła: nikt szczególnie na Fu'ada nie czekał. Jego powodzenie w *Bohaterze meczu* i jedna z dwóch głównych ról w wielkiej komedii nadchodzącego lata, którą udało mu się dostać, zaczynały budzić otwartą pogardę u sporej części krytyków. Lecz był w kontakcie, *Ja'il* była w kontakcie ze znanym reżyserem, który dwa lata wcześniej otrzymał Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego i w świecie francuskiej kinematografii cieszył się znakomitą reputacją.

Rozmowa zamierała, więc Fu'ad zwierzył się dziewczynie z pewnej tajemnicy zawodowej, jakby tytułem rekompensaty, że nie pamięta jej imienia:

– Nie mów nikomu, ale być może zagram w filmie biograficznym o emirze Abd al-Kadirze, zdjęcia zaczynają się jesienią dwa tysiące dwunastego. To bardzo ambitny projekt, pięciopółgodzinny film w trzech częściach. Będzie opowiadać o życiu Abd al-Kadira, o jego młodości, internowaniu...

– O kurwa, to fantastycznie! – krzyknęła, szeroko otwierając oczy.

– Niby tak, ale zastanawiam się, czy...

– Czy co?

Fu'ad westchnął. Zdecydowanie nie był w formie; zwierzenia wydały mu się nagle nie tylko mniejszym złem, ale wręcz jedyną właściwą drogą.

– Zastanawiam się po prostu, czy mam prawo grać Abd al-Kadira! Co ja właściwie robię? Rozbawiam gawiedź w jakimś gównianym serialu i przymierzam się do roli dobrego Araba w największej komedii nadchodzącego lata... Czasem naprawdę zastanawiam się...

– No to przestań – powiedziała dziewczyna. – Przestań się zastanawiać... Słuchaj, może nie stójmy jak para debili na środku ulicy? Pójdziemy na drinka?

Fu'ad zerknął na jej skórę pokrytą maleńkimi piegami, na jędrne białe piersi. Ocknął się na dźwięk syren kolumny nieoznakowanych radiowozów. Pomyślał o Karimie, o Farhacie, o Jasminie i o kaszlącej matce.

Odrzucił zaproszenie pod pretekstem aperitif, na który już był bardzo spóźniony.

4

Na przyjście Fu'ada Ja'il włożyła szeroką spódnicę i pantofle na obcasach. Zapytał, czy gdzieś wychodzi, na co ona wzięła go za rękę, mówiąc, że oboje wychodzą. Stukot jej obcasów na schodach obudził go i uświadomił, czemu tak bardzo kocha Paryż, zwłaszcza o tej porze roku. Na zalanej słońcem ulicy rude kręcone włosy Ja'il wyglądały jeszcze bardziej niesfornie niż zwykle.

Wpadli do sklepu, kupili sześciopak piwa i zakręcaną butelkę muscata, do której nie potrzebowali korkociągu, a następnie rozsiedli się na jednym z modnych trawników w parku Buttes-Chaumont. Fu'ad opowiedział o wydarzeniach tego popołudnia, włącznie z alarmem bombowym. Ja'il potrafiła słuchać w niezwykle intensywny sposób. Jej rozchylone usta zdawały się pochłaniać każde słowo, przeplatając je okrzykami „Ach tak?“, „No coś ty!“.

– To tyle... – zakończył Fu'ad.

Wyciągnął się na plecach i skierował wzrok na płynące po lazurowym niebie strzępiaste obłoki.

Ja'il otworzyła piwo; trochę piany rozlało się po jej kolorowej bluzce. Energicznie ją wytarła i zdała sobie sprawę, że nie jest jeszcze gotowa na podjęcie właściwego tematu.

– Chciałam cię zapytać, jeśli chodzi o Jasminę... Dużo się nad tym zastanawiałam... Nie sądzisz, że to trochę niebezpieczne, żeby...

– O czym ty mówisz? – zapytał Fu'ad.

– No wiesz, sytuacja jest trochę ryzykowna, bo ludzie z otoczenia Szawisza... mogą zechcieć wystąpić z powództwa cywilnego. Nie wiem, czy nie powinienes zacząć ich uważać za... przeciwników w sądzie. Przypuszczam, że Szafran lepiej ci to wyjaśnił niż ja.

– Szafran w ogóle ze mną o tej sprawie nie rozmawiał. I wolałbym, żebyś ty też się powstrzymała.

Fu'ad poczuł, że zabrzmiało to zbyt ostro. Poklepał Ja'il po ramieniu i szybko zmienił temat.

– Kiedy mam wracać na plan? Nie wiem, jak sobie poradzę. Nie mogę teraz wyjeżdżać z Saint-Étienne. Moja ciotka i matka...

Ja'il milczała. Słyszac wibrującą komórkę, Fu'ad uniósł się na łokciu.

Dzwonił Slim. Postanowił nie odbierać.

– Wszystko w porządku, Ja'il?

Nigdy u niego nie słyszała takiego tonu. Otworzyła drugą puszkę piwa i głęboko wciągnęła powietrze.

– Próbowałam ci to powiedzieć przez telefon, ale... to nie są sprawy na telefon. Chyba mam dla ciebie złe wieści, Fu'ad...

5

W tej samej chwili Jasmina poczuła, że woda w wannie, w której od pół godziny się wylegiwała, wystygła. Była jednak zbyt zmęczona, by odkręcić kurek i dolać gorącej, pozostała więc w ciepłym bezruchu, zafascynowana własnym lenistwem.

Słyszając dwa stuknięcia do drzwi, gwałtownie podskoczyła.

– Panno Szawisz! Wszystko w porządku?

Był to głos majora Coûteaux. Z przekory nie odpowiedziała. Gdy jednak Coûteaux zastukał i zadał pytanie po raz drugi, uznała, że nie ma wyjścia, i z hałasem podniosła się z mydlin.

Na widok cienia majora krążącego wzdłuż wąskiego paska światła pod drzwiami Jasmina poczuła irytację na granicy nienawiści. Odkręciła wszystkie krany i puściła wodę na pełny regulator. Gdy Coûteaux spróbował otworzyć drzwi, wrzasnęła:

– Dajcie mi spokój, do jasnej cholery! Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Żeby się uspokoić, zamknęła oczy i powoli nabrała powietrza. Poprzedniego dnia nie poszła ani na próbę, ani na lekcję śpiewu. Przypomniała sobie teraz jeden z końcowych fragmentów *Les Indes galantes* Rameau, rondo z *Dzikich*, które zaśpiewała cichym głosem tuż przy powierzchni wody, jakby chciała dmuchnąć w żagle zaczarowanego statku.

Lasy spokojne, lasy milkliwe,

Nigdy próżna chętką nie przyczynia nam trosk.

Gdy serca wrażliwe, gdy są wrażliwe,

O fortune! Przenigdy za cenę twych łask...

Śniła o tych milkliwych lasach, marzyła, by żadna próżna chętką nie przyczyniała jej trosk. Bowiem myśl, że Fu'ad jest właśnie na przesłuchaniu u sędziego, nie dawała jej ani chwili spokoju.

Osiem miesięcy, które razem spędzili, weekendy w Londynie i Wenecji, wieczory pod kołdrą przy oglądaniu DVD, kolacje u przyjaciół, podczas których

porozumiewawczo na siebie zerkali, po czym po cichu wychodzili – może to wszystko było zwykłym oszustwem, a Fu’ad, zawodowy *aktor*, zakpił z niej, by osiągnąć jej ojca. Piosenki, które oboje lubili, a z którymi Jasińską łączyło tyle wspomnień; melodie, na których cały okres jej życia z Fu’adem położył piętno swej bogatej treści, jakby z myślą o żywej, niemal natychmiastowej potomności; cała muzyka uczucia, która ich oboje uszlachetniała w zaklętym kręgu miłości – wszystko to nagle przyszło z powodu drobnego, a jednak uporczywego podejrzenia, które narastało i nie dawało się odepchnąć jednym skinieniem dłoni.

Rytmiczne dźwięki perkusji, wejścia wiolonczeli, pasaż w tonacji Dur tych wszystkich melodii, które na początku przywoływały tylko same siebie, lecz po kilku miesiącach zawierały już całą radość jej uczucia, nagle stały się jedynie oszukańczymi sztuczkami, a w jej sercu rosło gorzkie przekonanie o własnej śmieszności.

– Nie – szepnęła. – Nie wierzę, że mnie okłamywał, nie wierzę, że zrobił ze mnie aż taką idiotkę...

Rozsierdzona wstała, otworzyła drzwi i wyszła całkiem naga z łazienki. Przemaszerowała przed osłupiałym majorem Coûteaux i zdecydowanym krokiem ruszyła do niskiego stolika, na którym, jak pamiętała, zostawiła telefon. Lecz telefonu nie było ani tam, ani na kanapie.

– Gdzie jest mój telefon? – zapytała ochroniarza, który usilnie unikał jej wzroku. – Gdzie? Nie mam prawa zadzwonić do Fu’ada, tak? No to się jeszcze okaże, czy nie mam prawa do niego zadzwonić! Chcę, muszę z nim porozmawiać! Bzdury opowiadacie! On mnie kocha!

Goła jak święty turecki zaczęła szukać telefonu po całym mieszkaniu, które wkrótce zaczęło wyglądać jak pole bitwy.

6

Pole bitwy przypominał również umysł Fu’ada po usłyszeniu nowin od Ja’il.

– Nie mają prawa! Możemy coś zrobić?

– Trzeba pogadać z Szafranem.

– Zrobione ukradkiem zdjęcie na okładce „Closer”! To niemożliwe, ja i Jasmina? Nie można im zakazać? Co to w ogóle za zdjęcie?

– Przecież ci mówię, że nie widziałam. Mój stary kumpel, który tam pracuje, powiedział mi, że postanowili opublikować informację.

– Jaką informację? – obruszył się Fu’ad.

– Wszyscy wiedzą. Zdaję sobie sprawę, że to obrzydliwe, ale... w naszym małym światku wszyscy wiedzą, że jesteś kuzynem Karima. I dopóki wymiar sprawiedliwości cię nie oczyścił...

Na dźwięk tego słowa Fu’ad natychmiast jej przerwał. Jakby chcąc, żeby mocniej wybrzmiało.

– Oczyszczył? I co jeszcze?! Nie jestem o nic oskarżony, ani ja, ani moja matka, ani... Tylko Karim...

Karim, a więc również on. Subtelności procedur sądowych nie miały najmniejszego znaczenia dla mediów z upodobaniem hołdujących zasadzie zbiorowej odpowiedzialności.

– A co z *Emirem express*?

Była to owa komedia nadchodzącego lata, w której miał zagrać rolę młodego Araba odkrywającego złożę ropy naftowej w swojej wiosce w departamencie Loir-et-Cher.

– Odwołają premierę filmu? – zapytał z gorzkim śmiechem.

Ja'il nie zdawała sobie sprawy, w którym momencie zdążyła się upić. Czując, że wygląda żałośnie, zagryzła wargi i otworzyła butelkę muscata. Prosto z gwinta pociągnęła solidny łyk.

– No skąd, film wejdzie na ekrany, przynajmniej będę o to walczyć, Fu'ad, zrobię wszystko, co w mojej mocy... Ja wiem, że to paskudne, ale jak znam dystrybutorów, mogą nawet być zachwyceni: z ich punktu widzenia twoje nieszczęście to manna z nieba dla promocji... Wiem, że to ohydne, ale... Posłuchaj, chwilowo nie zwracajmy sobie tym głowy. Spróbuj tylko... na razie nie wychodzić z cienia...

– Na razie? Dopóki publicznie nie odetnę się od własnego kuzyna? Dopóki nie zmienię nazwiska i aktu urodzenia?

Ja'il chciała odpowiedzieć, ale Fu'ad wstał i ruszył przed siebie.

– Gdzie idziesz, Fu'ad?

– Na siku – odpowiedział sucho.

Ja'il spojrzała na butelkę, z której jedną trzecią sama wypila. Później na swoje pantofle, które troskliwie ustawiła obok pustych puszek po piwie. „On mnie potrzebuje”, pomyślała.

Nagle usłyszała dzwonek telefonu, ale nie własnego. W trawie obok lnianej marynarki leżała komórka Fu'ada. Ja'il wzięła ją do ręki: JASMINA. Obejrzała się za siebie, sprawdzając, czy Fu'ad nie patrzy w jej kierunku; po drugim dzwonku odrzuciła połączenie. Kilka sekund później rozległ się sygnał, że Jasmina nagrała się na pocztę głosowej. Ja'il wybrała trzy ósemki i odsłuchiwała wiadomość:

„Najdroższy, nie pozwalają mi do ciebie dzwonić, ale nie mam już siły, tak bardzo za tobą tęsknię, mówią mi o tobie okropne rzeczy, wiem, że to bzdury, ale muszę to usłyszeć z twoich ust, proszę cię, odbierz, chcę porozmawiać, tylko dwie minuty... Nie wiem, co sobie myślisz, jeśli sądzisz, że mam do ciebie pretensję... Błagam cię, oddzwon”.

Nagrany na taśmie głos automatycznej sekretarki zaproponował: „Aby zapamiętać wiadomość, wybierz dwa, aby skasować, wybierz trzy”. Ja'il rozejrzała się jeszcze raz. Fu'ad stał na szczycie zbocza plecami oparty o pień drzewa,

pograżony w myślach. Żaden z krążących wokół niej gogusiów nie dorastał mu do pięt.

Zagryzła dolną wargę i wybrała trzy.

7

W skrzydle Montpensier budynku Palais-Royal dziesięcioro członków Rady Konstytucyjnej przyjmowało profesora Saint-Samata, naczelnego lekarza szpitala Val-de-Grâce, aby uzyskać szczegółowe dane o stanie zdrowia prezydenta elekta.

Rozmowa potrwała dwie godziny. Czcigodni członkowie Rady Konstytucyjnej w końcu zwolnili naczelnego lekarza i neurochirurgów, którzy przeprowadzili delikatną operację na prezydenckim mózgu. Podczas gdy do studiów telewizyjnych pilnie zwoływano najsztywniejszych profesorów prawa konstytucyjnego, a w komisariatach policji na terenie całego kraju szykowano się do trzeciej nocy zamieszek, były prezydent Valéry Giscard d'Estaing podszedł do wychodzącego na dziedziniec okna z beżowymi zasłonami.

Prezydent Chirac musiał się zrzec miejsca w Radzie latem dwa tysiące jedenastego roku; od tamtej pory regularnie podnosiły się głosy sprzeciwu wobec zasady dającej byłym głowom państwa prawo zasiadania w gronie Mędrców. Valéry Giscard d'Estaing nie miał zamiaru ustępować należnego mu miejsca, ale sposób, w jaki tego dnia odsunął się od Rady, zadziwił jego kolegów: szurając nogami, a przede wszystkim poruszając wargami, jakby do kogoś przemawiał. Wszyscy zaczęli się zastanawiać, do kogo kieruje swe słowa człowiek, a właściwie ledwo widoczna pod światło ostatnich promieni słońca sylwetka, wyglądająca jak surrealistyczne wcielenie monarchii republikańskiej, tej samej monarchii republikańskiej, której likwidację zapowiedział prezydent elekt, o którego losie były prezydent miał tego dnia zdecydować.

Zasiadający w Radzie znany prawnik szeptem podzielił się swoją konsternacją z jednym z kolegów, który w odpowiedzi zanucił melodię Couperina, kiwając do taktu dłonią, chociaż gest ten bardziej by pasował do pełnego dźwięku wiolonczeli niż do drżących, nienadających się do zaśpiewania tremolo klawesynu.

– Rozpoznaje pan? – zapytał krotocwilnie, gdy już zabrakło mu tchu.

A wobec osłupiałego wzroku młodszego kolegi sam udzielił odpowiedzi:

– Najwspanialszy utwór klawesynowy Couperina, jego słynny dwudziesty piąty cykl suitowy... Jedyna wskazówka dotycząca tempa to niezwykle piękne słowo... – Dramatycznie nabrał powietrza w płuca i rzucił: – ...,tęsknie”. Cykl zaś nazywa się *Błądzące cienie*.

W tym pałacu z siedemnastego wieku, nawykłym do spokojnego roztrząsania priorytetowych zagadnień konstytucyjnych i innych zawłości prawa przez grupę Mędrców, członkowie Rady postanowili jednak, aby swoich tak oczekiwanych deliberacji nie oznaczać tempem tęsknoty. Można by rzec, iż ulegli

syrenim śpiewom nawołującym do niezwłocznego podjęcia decyzji oraz presji alarmów bombowych. Lecz z dala od klasycznego dziedzińca Palais-Royal, jak na falach radia RTL zauważyła wzburzona minister spraw wewnętrznych, kraj wił się w konwulsjach, a cienie już nie błędziły. Z własnej woli przyjmując delikatną pozycję wobec szefa rządu, Vermorel dodała, iż wiele wskazuje, że owe cienie zbierają się, organizują i zbroją w celu, który zdaniem lokatorki pałacu Beauvau można określić dwoma słowami; wypowiadając je, Vermorel zgryźliwie rozdzieliła sylaby:

– De-sta-bi-li-za-cja pań-stwa.

Jean-Louisa Debrégo, przewodniczącego Rady, czy Valéry’ego Giscarda d’Estaing trudno było podejrzać o konszachty z Sarkozym.

Socjaliści ze swej strony mnożyli zakulisowe machinacje, podsuwając mediom jakieś drobne sugestie mające maksymalnie odsunąć termin stwierdzenia niemożności sprawowania urzędu przez Szawisza: decyzja ta oznaczałaby bowiem unieważnienie wyniku wyborów, które przecież wyraźnie wygrali.

Tyle że taką postawę przyjęła większość socjalistów, ale dalece nie wszyscy: jak wywęszyli dziennikarze śledczy zajmujący się zagadnieniami politycznymi, zwolennicy Françoise Brisseau tu i ówdzie rozsiewali pogłoski, że stwierdzenia niemożności sprawowania urzędu i tak nie da się uniknąć, gdyż nawet jeśli Szawisz obudzi się w najbliższych dniach, jego stan uniemożliwi mu wywiązywanie się ze swoich obowiązków. Neurochirurdzy, do których stacje radiowe i telewizyjne wydzwaniały między jednym a drugim zabiegiem, aby poznać ich zdanie na ten temat, odpowiadali w sposób bardziej wyważony: kula nie uszkodziła mózgu, przypominali, operacja polegała na usunięciu tętniaka, tak więc w przypadku przebudzenia się pacjenta wszystko będzie zależało od jego fizycznej i umysłowej kondycji. To samo powiedział profesor Saint-Samat oraz specjaliści, którzy operowali Szawisza.

Po dwóch nocach zamieszek i wobec rosnącego napięcia, do którego przyczyniały się bardzo wysokie jak na tę porę roku temperatury, Mędrzy nie mogli jednak ograniczyć się do stwierdzenia „To będzie zależało”; nie mieli innego wyjścia, jak ogłosić *definitywną niemożność sprawowania urzędu przez prezydenta elekta Idera Szawisza*, który w wyborach uzyskał pięćdziesiąt dwa przecinek dziewięć procent ważnych głosów.

Jean-Louis Debré osobiście zredagował komunikat, który po odczytaniu i podpisaniu przez pozostałych członków Rady został rozesłany do prasy. Wieczorne dzienniki telewizyjne dobiegały końca, a czerwona tarcza słoneczna od dawna znikła z perspektywy Arche de la Défense, gdy wniesiono mównicę, z której decyzja aniołów stróżów konstytucji miała zostać uroczyście ogłoszona Francuzom.

– Jak ty to robisz, że jesteś taka silna?

Były to pierwsze słowa Rabi’i od chwili, gdy ruszyły w drogę. Odjeżdżając spod restauracji, Dunja pomyliła kierunki, nie trafiła na obwodnicę i teraz jechała złym nabrzeżem. Samochód włókł się w korku przy Porte de Charenton. Wśród klaksonów i świateł miasta człowiek mógłby pomyśleć, że został uwięziony na torze gokartowym, gdzie toczy się jakaś gra drogowa o bliżej nieznanym regułach.

– Może i jestem silna – zażartowała Dunja, opierając czoło o kierownicę – ale zdaje się, że mam pewne problemy ze zmysłem orientacji!

Rabi’a nie miała jednak serca do żartów. Całkiem poważnie ciągnęła wywód:

– Sama zobacz, potrafisz dowcipkować, wszystko jesteś w stanie znieść! Dun’, to zbyt straszne, chyba nie zdołam tego udźwignąć. *Wa-Allah*, Raszida ma rację, nie umiałam wychować Karima. A przecież oboje z Zajdanem zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Daliśmy im tyle miłości! Co się stało?

Dunja obróciła w stronę młodszej siostry twarz, która promieniała dobrocią.

– Nie mów, że nie jesteś silna, Rab’. Kiedy Zajdan odszedł, *ater ramasz rebbi*, natychmiast wróciłaś do życia. Zrobiłaś, co mogłaś, dla Karima i Luny. W życiu nie mamy jednak kontroli nad wszystkim.

– W jakim życiu? *W jakim życiu?*

– To ja nie wiedziałam – ciągnęła Dunja. – Nie wiedziałam, jak żyć po śmierci Isy. Bez ciebie chyba bym sobie palnęła w łeb! A ty śmiałaś się, kochałaś... Spójrz na mnie, Rab’, spójrz na moje włosy. I spójrz na siebie!

To prawda, tak było kiedyś: w oczach Rabi’i malowała się niezwykła żywotność i młodość. Ale już nie teraz. Zaciśnęła zęby. Słowa otuchy Dunji nawet nie docierały do jej świadomości.

– Co on mówił? Że gdzie przebywa Karim? – zapytała, wpatrując się w niewidzialnego wroga za przednią szybą. – W którym więzieniu?

– Co takiego?

– Fleury. – Rabi’a sama sobie odpowiedziała na pytanie. – Fleury-Mérogis. Zawieź mnie do Fleury, Dun’.

– O czym ty mówisz, Rab’?

– Jeśli mnie tam nie zawieziesz, pojedę taksówką, *wa-Allah*, na życie babki, pojedę taksówką!

– Rab’, nawet gdybym chciała cię zawieźć do Fleury, nie mam pojęcia, gdzie to jest! Zresztą wcale nie chcę tam jechać! To bez sensu!

Dunja zerknęła na siostrę z profilu. Podbródek Rabi’i drżał, jej poplątane myśli zdawały się lądować na dolnej wardze, przez chwilę trzepotać, a po chwili umierać od niewypowiedzenia.

Nagle wysiadła z auta; prawym pasem właśnie nadjeżdżał samochód

sportowy, którego kierowca z furją zatrąbił i gwałtownie zahamował. Dunja zaciągnęła ręczny hamulec i pobiegła za siostrą.

– Rabi’a, zatrzymaj się! – wrzasnęła.

Obejrzawszy się za siebie, zobaczyła, że nie ma już korka i ich twingo blokuje przejazd długiej kolumnie trąbiących samochodów.

– Rabi’a, co ty wyprawiasz?

– Idę do Fleury – oznajmiła siostra z oczami pełnymi cichych łez, które spływały po jej policzkach, po czym zniknęły.

– Rabi’a, przestań – powiedziała Dunja, łapiąc siostrę za rękaw.

Klaksony wyły coraz głośniej. Kierowca auta stojącego tuż za nimi wrzeszczał w ich kierunku. Był gruby, czerwony na gębie, ubrany w niebieską roboczą bluzę.

– Po co się wybierasz do Fleury? Czemu ma to służyć, Rab’? *Czemu ma to służyć?*

– Będę na niego czekać! – krzyknęła Rabi’a. – To mój syn! Czy ty nie rozumiesz, że to mój syn? Kość z mojej kości! Nosiałam go w brzuchu, Dun’! Nosiałam go w brzuchu, przez całe życie chroniałam, a teraz... – Oparła się o barierkę wzdłuż dwupasmówki. – Teraz wszyscy go nienawidzą! Mój mały Karim, krew z mojej krwi! Moja krew!

Droga dudniła, przejeżdżające ciężarówki wzbijały tumany kurzu, z którymi mieszały się spaliny i ostre, bezsensowne, nigdy do końca niemilknące dźwięki klaksonów.

– Wszyscy go nienawidzą – powtórzyła Rabi’a. – Wszyscy!

– Ale nie my! – zaprotestowała Dunja. – Chodź, wracajmy do domu. Pomyśl o biednej Lunie. Nie możesz się poddawać, pomyśl o niej, pomyśl o mnie, proszę cię...

Determinacja Rabi’i już słabła, gdy facet z czerwoną gębą podszedł i zaczął im wymyślać. Był od nich o głowę wyższy, ważył prawdopodobnie tyle ile one dwie razem wzięte, ale Rabi’a wytrzymała jego spojrzenie i też obrzuciła go wyzwiskami. Wkrótce padło słowo *ciapate*. Stojąca na poboczu Dunja zaczęła kasłać i pluć krwią.

Jakby znikąd pojawiło się trzech mężczyzn w dżinsach i obcisłych kurtkach.

– Jakiś problem? – spytał jeden z nich kierowcę.

– A wy to kto?

– Policja drogowa – skłamał drugi, obracając faceta tyłem, żeby go przeszukać. Spojrzał na kaszlącą Dunję i zapytał: – Wszystko w porządku, proszę pani?

– Tak, w porządku – odpowiedziała, podnosząc twarz ku górze. – Chodź, Rabi’a, jedziemy do domu.

Rabi’a ustąpiła, nieco zaintrygowana tą policją drogową, która pojawiła się

w zbyt dogodnym momencie, aby coś się za tym nie kryło.

I faktycznie. Gdy Dunja i Rabi'a odnalazły w końcu wjazd na autostradę w kierunku Lyonu, trzech mężczyzn, w rzeczywistości funkcjonariusze SDAT, poinformowali pułkownika Mansourda, że musieli się zdekonspirować. Mansourd okazał zrozumienie. Był zresztą zajęty sprawą tajemniczej amazonki, która zgłosiła się po komórkę Karima, okazując legitymację policyjną.

W korytarzach SDAT natknął się na kapitana Telliera, nadzorującego przesłuchania Mauluda Ibn Baraki.

– Pogawędzę sobie z nim przez parę minut – postanowił Mansourd. – Wyłącz kamerkę. Jaki on jest?

– Niełatwy – odparł Tellier. – Siedzi w gównie po szyję od tak dawna, że czasem nawet go to bawi.

Mansourd wolałby zobaczyć faceta zaszczutego zamiast obwieszzonego błyskotkami, pewnego siebie kaida w luksusowych butach, siedzącego w celi sąsiadującej z celą Karima: Ibn Baraka gładził sobie nadgarstek wytwornym gestem człowieka przywykłego do tego, że od czasu do czasu nie zdobi go rolex, tylko kajdanki.

Tyle że tym razem owa przykrość nie zanosila się na chwilową, co treściwie wyjaśnił mu Mansourd. Ibn Baraka oblizał wargi i wznosił oczy do góry. Gdy pułkownik poinformował go, że zapewne usłyszysz zarzut udziału w zorganizowanej grupie w celu popełnienia przestępstwa o charakterze terrorystycznym, Ojciec Chrzestny z Saint-Étienne gwizdnął i oświadczył takim tonem, jakby jego myśli były zajęte zupełnie czym innym:

– Stawiaj mi zarzuty, jakie chcesz, kochasiu. Co niby miałbym ci powiedzieć?

– Na przykład w jaki sposób pomogłeś Nazirowi Narruszowi w przygotowaniu zamachu na życie prezydenta.

– Nikt w takie bzdury nie uwierzy. Prowadzę interesy, a w interesach człowiek ma czasami do czynienia z jakimś nawiedzonym wariatem, bywa... Ryzyko zawodowe. Pojęcia nie miałem, że planuje zgładzenie Szawisza!

– Do kurwy nędzy, przecież kazał ci uwięzić i uspić swoją własną ciotkę, a ty zrobiłeś dokładnie to, co ci kazał, jakbyś był jego podwładnym: Nazir mówi słowo i wszyscy kładą uszy po sobie...

Głos Ibn Baraki zmienił się.

– O w mordę, ale mi się trafił superglina! Chce mnie wyprowadzić z równowagi pytaniem, kto kierował zamachem, co? Pewnie Nazir, no nie? A to ci historia... No i co ja mogę zrobić wobec tak znakomitego psychologa? No chyba, kurwa, nic... – Zaśmiał się sarkastycznie.

Pułkownik zerwał się na nogi i chwycił Ibn Barakę za szyję, unosząc go z krzesła. Bransoletka kajdanek ciągnęła go w dół, więc mina nieco mu zrzedła.

– Gdzie on się ukrywa? Dokąd jedzie? Odpowiadaj albo cię uduszę!

Ibn Baraka rzęził. Mansourd mocniej zacisnął ręce wokół jego szyi. Kiedy w końcu go puścił, kaid zakaszłał i podniósł przekrwione oczy na pułkownika, który powtórzył pytanie. Za całą odpowiedź Ibn Baraka uniósł oba środkowe palce, z których mu ściągnięto sygnety i pierścienie.

Rozdział 11

Wujaszek z wiochy

1

Jej ojciec był muzułmaninem, matka żydówką, ani jedno nie było w żaden sposób praktykujące, a jednak w poszukiwaniu schronienia po tak ciężkim dniu, w którym tysiąc razy zmieniała zdanie na każdy temat, Jasmina Szawisz udała się do niedużego, pachnącego zbutwiałym drewnem kościółka na prawym brzegu Sekwany.

Fu'ad nie oddzwonił, inni bez przerwy ścigali ją wiadomościami zostawianymi w skrzynce głosowej. Habib chciał, żeby pojawiła się u boku matki w reportażu przygotowywanym przez „Paris Match”: „Wiem, obiecywałem, ale to naprawdę ważne, chodzi o wszystko, co uosabia i nadal uosabia twój ojciec”. Matka nalegała, żeby Jasmina porozmawiała jednak z Habibem, chociaż za pierwszym razem trzasnęła mu słuchawką. Christophe Vogel, prawdopodobnie nasłany przez własnego ojca, chciał z nią zjeść obiad, pójść na kawę, cokolwiek. Organizatorzy festiwalu w Aix zaczynali ją nagabywać, czy nadal ma zamiar wziąć udział w lipcowej premierze *Les Indes galantes*. Dziennikarze zdobyli jej numer telefonu. Coś wisiało w powietrzu, a jedyne dwie istoty ludzkie, z którymi miała ochotę porozmawiać, zasklepiły się w milczeniu – jedna w telefonicznym, druga w mózgowym.

Zasiadła w ławce w ostatnim rzędzie, uznawszy, że jako niewierząca tylko do niej ma prawo. Trzech oficerów z GSPR czekało na dworze przy drzwiach, kolejnych trzech, w tym Coûteaux, przechadzało się nawami kościółka, podnosząc niekiedy wzrok na witraże: nie po to, by podziwiać ich kształty i kolory, lecz aby uprzedzić pojawienie się ewentualnego kamikadze.

Jasmina siedziała z opuszczonymi ramionami, z głową smętnie przekrzywioną jak dynia w popsutym piekarniku. Na skrzypiącym klęczniku w pierwszym rzędzie widziała nieruchome sylwetki dwóch starszych pań. Ich identycznie siwe włosy były identycznie uczesane w koczek, obie były identycznie drobne jak myszki, a gdy przeżegnawszy się, podreptały nawą główną w kierunku wyjścia, Jasmina zobaczyła, że na ich twarzach maluje się identycznie delikatny i pogodny uśmiech, identycznie ewangeliczny spokój. Skinęła im głową i ponownie pogrążyła się w swoim piekle.

Dopiero teraz, po wyjściu starszych pań, dostrzegła ołtarz i monumentalny krzyż, na którym kolana Chrystusa były przesadnie oddalone od drewnianego słupa. Myśl o czczeniu cierpiącego i umierającego boga zawsze ją odstręczała, ale po raz pierwszy spojrzała na to innym okiem: nie myślała w tej chwili pojęciami, może w ogóle nie myślała, lecz bez wątpienia coś odczuwała, więcej niż

przyciąganie, raczej zasysanie.

Wstała i powoli ruszyła w odurzającym zapachu starego kamienia i wosku. Doszła do końca nawy i podniosła oczy na twarz Chrystusa, którego kamienna postać zdawała się ożywać.

Ze wszystkich stron ogarnęły ją myśli o powszechnej miłości, lecz Jasmina sprowadziła je do Fu'ada. Fu'ada, który pilnował, żeby przy głosce „a” jej język był płaski, a usta prawidłowo zaokrąglone; Fu'ada, który po wspólnie spędzonej nocy schodził dla niej po rogaliki; Fu'ada, który nie zwracał najmniejszej uwagi na krążące wokół niego dziewczyny; Fu'ada, który nie znał uczucia próżności i chyba był całkowicie wyzbyty ego.

Jasmina uczuła ciepło w dole brzucha; w jej umyśle obraz ojca lśnił jak w monstancji.

Przed oczami ujrzała kolejno kilka wizji: wyłożony słońcem kamień, kościoły otoczone kasztanowcami i platanami, pomniki uosabiające republikański majestat niczym zapach, który dla jednej jedynej istoty na świecie zawiera w sobie całą niewyrażalną potęgę własnej przeszłości.

Pomyślała, że miała bardzo uprzywilejowane dzieciństwo. Jako mała dziewczynka spędzała z ojcem całe popołudnia na jeżdżeniu autobusami, a ojciec uczył ją Paryża, pokazując najważniejsze punkty miasta i opowiadając o wielkich postaciach za pośrednictwem nazw ulic, imion muszkietierów i królów Francji.

Jakieś pół godziny spędziła na wspomnianiu, które spełniło funkcję modlitwy. Lecz to pół godziny zdawało się całym życiem.

Uniosła głowę i otworzyła oczy. W ławkach siedziało kilkanaście osób. Coûteaux dał jej znak, że pora wracać. Posłusznie ruszyła za nim. Gdy wyszła z gościnnego półmroku kościoła na ciężkie powietrze, upał i klaksony, obróciła się w stronę ochroniarza i zapytała:

– Aurélien, czy wziąłbyś na siebie moją kulę?

Coûteaux uniósł brwi.

– Nie rozumiem, panno Szawisz.

– Gdyby ktoś do mnie strzelał, czy stanąłbyś między kulą a mną?

– Na tym polega moja praca. Panno Szawisz, dzwoni pani matka i chyba powinna pani odebrać. Różne rzeczy się dzieją...

– Zadzwońię do niej z samochodu, Aurélien. Dziękuję.

Coûteaux śledził wzrokiem, jak Jasmina wsiada do opancerzonego pojazdu. Zajął miejsce obok niej i podał kierowcy trasę; mieli jechać nad kanał Saint-Martin. Lecz Jasmina uniosła podbródek.

– Nie moglibyśmy raczej pojechać na ulicę Solférino? Chciałabym się spotkać z mamą.

– Oczywiście – odpowiedział kierowca, rzuciwszy w lusterku okiem na majora Coûteaux, żeby otrzymać potwierdzenie.

– *Dziękuję* – powiedziała Jasmina takim tonem, jakby po raz pierwszy wymawiała to słowo z przekonaniem.

Samochód ruszył. Kątem oka major Coûteaux zerknął na swoją podopieczną. Na jej skroniach perliły się krople potu, rozrzucone w nieładzie włosy skrywały połowę twarzy. Na ustach błąkał się przerażająco łagodny uśmiech.

2

Siedziba Partii Socjalistycznej znowu przypominała coś, co Szawisz – postanowiwszy tutaj ulokować sztab swojej kampanii, aby potwierdzić małżeństwo z rozsądku z partią, która go wybrała – nazywał „ulem”. Plakaty z różami, ze zdjęciem kandydata, w tym ten najsłynniejszy, na którym Szawisz pozował na tle dzwonnicy i farm wiatrowych, ze sloganem wymyślonym przez Habiba podczas kąpieli w wannie: „Przyszłość jest teraz”. I wszędzie ludzie uwieszeni na telefonach, przerzucający się fotokopiami, liczbami i wynikami sondaży, jakby ich życie od tego zależało.

Jasminę zaprowadzono do gabinetu Vogela, gdzie on sam siedział w otoczeniu najbliższych współpracowników. Kampanią kierował wojowniczy duet: Vogel zajmował się polityką, Habib komunikacją. W zapadającym zmroku wokół płaskiego telewizora zgromadziło się czterech rzeczników prasowych oraz wymyśleni przez Vogela szefowie poszczególnych działów „merytorycznych”. Esther półgłosem rozmawiała z jednym ze *speechwriterów* swojego męża. Na widok stojącej nieco na uboczu córki przerwała rozmowę, podeszła i położyła jej dłonie na ramionach jak w dzieciństwie, kiedy Jasmina miała na sobie zbyt ciężki tornister.

– To już koniec. Rada Konstytucyjna ogłosiła niemożność sprawowania urzędu.

– Rozumiem.

– Usłyszałaś, co powiedziałam? Jasmino, wszystko w porządku?

– Tak, mamo. Wiem, że jesteś rozczarowana, ale moim zdaniem w życiu są ważniejsze sprawy.

Esther z trudem rozpoznawała głos córki zza jej zastygłego uśmiechu. Habib wrzasnął coś do telefonu, a następnie zażądał, by wszyscy opuścili pomieszczenie. Jasmina chciała odwrócić się na pięcie i wyjść, ale matka powiedziała:

– Nie, nie my, kochanie.

Habib wsadził kikut okaleczonej ręki do kieszeni spodni, drugą ręką odprowadził asystentkę i podszedł do córki już byłego prezydenta.

– Przykro mi, Jasmino. Trochę tu nerwowo. Dobra nowina jest taka, że chwilowo dam ci spokój ze zdjęciami do „Paris Match”.

W jego głosie dźwięczała gorycz. Esther potrząsnęła karcąco głową, lecz Habib pozostawał niepokieszony.

– Kurwa mać – oznajmił ze swą zwykłą bezpośredniością. – Co za banda psów... Przez całą kampanię szukali pretekstu, niczego nie znaleźli. Prowadziliśmy przez cały czas, przez cały kryzys byliśmy na czele, ani jednej obsuwy, ani, kurwa, jednej obsuwy! A te gnoje i tak wygrają... Przegrali, ale wygrają! No dobra – wziął się w garść. – Najważniejszy jest teraz stan zdrowia Idera. Miejmy nadzieję...

Jasmina ulitowała się nad nim.

– Miejmy nadzieję.

– Sama wiesz, że to, co zrobił twój ojciec, jest wyjątkowe we współczesnej historii tego kraju. Ja... oczywiście, to jeszcze nie koniec, ale nawet jeśli...

– Rozumiem, Serge. Będzie dobrze.

Habib czuł się potwornie zażenowany, że nie ma nic więcej do powiedzenia. Jasmina przechyliła głowę i zadała pytanie, udając, że odpowiedź naprawdę ją interesuje:

– A jeśli się obudzi w przyszłym tygodniu? Co wtedy?

– No właśnie, wtedy dopiero mamy problem! Nie możemy wnieść odwołania od decyzji Rady Konstytucyjnej. Za miesiąc odbędą się nowe wybory według przyspieszonej i już rozpoczętej procedury, sama rozumiesz, że nie jesteśmy w stanie nic na to poradzić.

– Chyba że zamach stanu – zażartowała Esther i znowu się nachmurzyła. – Mamy prawników, którzy zastanawiają się nad wnioskiem o wyłączenie części członków Rady, nad skierowaniem sprawy do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i tak dalej. Ostatecznie większość członków została powołana albo przez Sarkozy'ego i jego klikę, albo na jego życzenie. Do podjęcia decyzji potrzebne jest kworum siedmiu członków, a jeśli ci, którzy ewidentnie nie są bezstronni, wyłączą się, wówczas... No więc tak... Ten system zinstytucjonalizowanej wdzięczności politycznej jest absurdalny, po prostu *absurdalny*, i ludzie w końcu muszą to zrozumieć. Powinniśmy stworzyć trybunał konstytucyjny na wzór Niemiec. Nie możemy żądać...

Esther załkała, jakby techniczny wydzźwięk jej własnej przemowy ujawnił, zamiast ukryć, skalę jej rozczarowania.

Jean-Sébastien Vogel, który siedząc przed telewizorem, rozmawiał przez telefon, obrócił głowę w kierunku Jasminy.

– Tak, jest tutaj. Mam powiedzieć, żeby na ciebie zaczekała?

Jasmina chciała przecząco pokręcić głową, ale było już za późno, Vogel zdążył się rozłączyć.

W ciągu następnych dziesięciu minut przez gabinet przewinęła się cała procesja partyjnych baronów. Wszyscy w końcu dostrzegali Esther i Jasminę, które przycupnęły na welurowej kanapie w głębi: każdy czuł się zobligowany, by zmienić trasę, podejść do nich i przekazać słowa, które straszliwie przypominały kondolencje. I oczywiście wszyscy mówili z grubsza to samo:

– To jeszcze nie koniec, będziemy walczyć.

Tyle że ich grobowe głosy mówiły coś dokładnie odwrotnego.

– Aha, chciałam ci jeszcze coś powiedzieć – rzuciła nagle Esther, nawet nie patrząc na córkę. Pomimo gwaru starała się mówić cicho. – Dochodzenie wydziału wewnętrznego w sprawie Valérie Simonetti nadal trwa. Na pewno zostanie oczyszczona, ale zarzucają jej poważne uchybienia w systemie ochrony. Zgodziłabyś się odpowiedzieć na kilka pytań śledczych? To ludzie z Generalnego Inspektoratu Policji Narodowej, nie mają nic wspólnego z... Co ty na to?

– Oczywiście, mam.

– Przecież ją lubisz, prawda? I masz do niej zaufanie...

– W porządku, mam.

– Wiesz, co tu robiliśmy w niedzielę? – zapytała nagle Esther. – Tańczyliśmy. Twój ojciec zamknął drzwi i zmusił wszystkich do czekania na zewnątrz. Przez kwadrans byliśmy tylko we dwoje. Śpiewał mi stare piosenki Jeana Sablona i tańczyliśmy.

Jasmina wzięła matkę za rękę.

– On z tego wyjdzie, mam. Ja to wiem, ja to czuję. Mam nadzieję, że nie przestałaś w to wierzyć?

– Skądże znowu, kochanie. Jak mogłabym...

– Mówię poważnie, mam. Mam nadzieję, że naprawdę w to wierzysz.

Naprawdę.

Zaniepokojona słowami córki Esther zmarszczyła brwi. Pocałowała ją w czoło i wyprostowała się.

– Oczywiście, że wierzę, moja droga. Naprawdę wierzę. Ale co możemy zrobić, jak nie odwołać się do mądrości starożytnych filozofów. Są rzeczy, które od nas zależą, i takie, na które nie mamy wpływu...

Jasmina chciała jej opowiedzieć o swoich przeżyciach w kościele, lecz tłum czarnych i granatowych garniturów rozstąpił się, robiąc przejście dla tych, którzy wychodzili lub wchodzili; na końcu przejścia ujrzała telewizor i usta stojącego na mównicy Jean-Louisa Debrégo, a w tle po lewej fotografię Szawisza. Twarz jej ojca, który – Jasmina dopiero teraz zaczynała to rozumieć – nigdy nie będzie prezydentem Republiki. To, czego się bała i czego pragnęła, potem znowu się bała i znowu pragnęła, aby po zamachu zupełnie przestać tego pragnąć. Teraz, gdy rzeczywistość rozwiązała problem jej braku zdecydowania, zrozumiała nie tylko, że nie ma pojęcia, czego właściwie pragnęła, ale przede wszystkim, że ma to kompletnie, ale to kompletnie w nosie.

Rozwiązując linę, która połączyła prezydenta elekta z narodem, Mędracy przywrócili córce ojca; w oczach Jasminy nic więcej nie miało znaczenia.

Renault vel satis Montesquiou zatrzymało się przed bramą prywatnej rezydencji pani minister, okazałego pałacyku w ósmej dzielnicy Paryża, niedaleko Pól Elizejskich i dwa kroki od wieży Eiffla. Dwóch żandarmów pilnujących wjazdu stanęło na baczność i wpuściło samochód do niedużego parku z huśtawką oraz metalowymi stołami i krzesłami. Na środku trawnika królował olbrzymi kasztanowiec, chroniący w swym cieniu grupkę młodych, okrytych kwiatami platanów. Vel satis przejechało kilka metrów po krętej żwirowanej ścieżce dochodzącej do samego domu, imponującego trzypiętrowego budynku obrośniętego gęstym bluszczem, który nadawał fasadzie wygląd spokojnego, dostojnego brodacza.

W domu żadnego brodacza nie było: nawróciwszy się na ezoteryczną ceramikę, mąż pani minister, były starszy doradca przy Trybunale Obrachunkowym, ogolił się na gładko. Spędzał teraz czas w przybudówce zamienionej na pracownię, gdzie wytwarzał dziwaczne porcelanowe krzyże. Montesquiou nabrał podejrzeń, że państwo Vermorelowie żyją w separacji od łoża; w rzeczywistości żyli w separacji od budynku, a spotykali się tylko na rodzinnych obiadach, które pani minister z uporem organizowała w każdą pierwszą niedzielę miesiąca po mszy.

Na początku roku Montesquiou został zaproszony na taki obiad, co było oznaką absolutnego zaufania ze strony szefowej. Był świadkiem, jak sześciu jej zięciów, młodych ludzi z bardzo dobrych rodzin, ustawiło się rzędem, by złożyć hołd carycy. Byli bankierami, adwokatami do spraw biznesowych, aukcjonerami. Jeden wykladał nauki polityczne na Sorbonie: mimo swych szacownie konserwatywnych poglądów ośmielił się poruszyć przy stole temat reformy polityki publicznej. Jego małżonka Marie-Caroline spiorunowała go wzrokiem, a Vermorel po prostu kazała kucharce przynieść swoje słynne kruche ciasto z truskawkami. Sprawa na tym się zakończyła, ale Marie-Caroline została poproszona, aby w przyszłości pohamowała wybryki męża „intelektualisty”.

Najmłodsza latorośl była zdecydowanie młodsza od pozostałych. Miała dziewięć lat i cierpiała na zespół Downa. Anne-Élisabeth była ulubienicą pani minister, która bez przerwy zachwycała się jej wewnętrznym pięknem. Jak mawiała, mierząc rozmówcę wzrokiem, takie dzieci to dowód na istnienie piękna wewnętrznego. W takim momencie rozmówcy nie powinna nawet drgnąć powieka na znak choćby śladu niedowierzania. Dlatego właśnie Montesquiou nie znośił być zapraszany do domu pani minister: potrafił kontrolować wyraz twarzy wobec każdego z wyjątkiem swojej szefowej. Vermorel doskonale wiedziała, co się kryje za jego wilczym uśmiechem: gdy słyszał, że pozbawiona wdzięku dziewięciolatka jest wzorem czegoś niezwykłego, bez trudu odgadywała, co jej podwładny naprawdę myśli na ten temat.

Mała Anne-Élisabeth pojawiła się przy drzwiach samochodu. Z trudem

starala się utrzymać równowagę na hulajnodze z jaskrawożółtą kierownicą.

Montesquiou unikał jej spojrzenia. Vermorel, nadal w garsonce, którą miała na sobie w pracy, zmierzyła wzrokiem swoją „lewą rękę” i zaprosiła na taras, gdzie dogasały ostatnie promienie zachodzącego słońca.

– Zapomniałam zapytać, jak się miewa pańska siostra. Florence, prawda? Co u niej?

– Pani minister? – zapytał zaskoczony Montesquiou.

Zdjęła pantofel i oparła stopę na metalowym krześle. Montesquiou starał się nie patrzeć na obleczone jasnymi rajstopami palce pani minister, poruszające się, jakby grały na wirtualnej klawiaturze.

– O ile pamiętam, ostatnio uciekła z domu i pańska matka wynajęła prywatnego detektywa...

– Faktycznie – powiedział sztywno Montesquiou. – W końcu jednak daliśmy spokój. Florence od dawna jest pełnoletnia. Ma dwadzieścia jeden lat. – A ponieważ rozmowa miała dość swobodny, niemal ciepły przebieg, dodał: – Ojciec odciął ją od pieniędzy, o czym została uprzedzona. I wykreślił z testamentu.

Vermorel przez chwilę taksowała go wzrokiem, nie okazując żadnej reakcji. Jej małe nieufne oczy wyglądały jak dwa osadzone pod wyniosłymi powiekami migdały. Wsunąwszy stopę w pantofel, oświadczyła:

– Ma pan szlachetną duszę, Pierre-Jean. Jak wszyscy ludzie o szlachetnej duszy zrodzeni w tych barbarzyńskich czasach nie wierzy pan w nic. Proszę jednak pamiętać, że gdy wszystko zatonie pod naporem życiowych klęsk, pozostanie tylko jedna rzecz warta najwyższej lojalności, tylko jedna wysepka sensu i wartości: rodzina.

Leżąca na stole czerwona komórka pani minister zawibrowała. Po dwóch sekundach rozległ się dzwonek przypominający dźwięk staroświeckiego budzika. Był to telefon szyfrowany, używany tylko do rozmów z prezydentem.

– Proszę zaprowadzić moją kochaną Anne-Élisabeth pod kasztanowiec, dobrze? Gdzieś tam zgubiła lalkę.

Montesquiou wstał i oddalił się, by pani minister mogła spokojnie porozmawiać z Sarkozym. Dziewczynka chwyciła go za rękę i podreptała na trawnik w pogoni za dużym białym gołębiem, zakręcając tam, gdzie on zmieniał kierunek lotu, i szepcząc jakieś mało zrozumiałe słowa pod jego adresem. Gołąb poderwał się nagle do góry i znikł za gęstą koroną kasztanowca. Zauważywszy rozczarowanie małej, Montesquiou doznał wrażenia, że ona też chciałaby rozpostrzeć czarodziejskie skrzydła, wyzbyć się ciężaru źle ukształtowanego ciała i jak motyl zniknąć na tle żółtoszarego nieba.

Od niedzieli przestrzeń powietrzna była jednak zamknięta, a siedząca na tarasie Vermorel dawała mu znaki, żeby wrócił.

Montesquiou podniósł lalkę i podał ją dziewczynce, która widząc, jak

gwałtownie ścisnął jej plastikowy nadgarstek, wybuchła płaczem.

Gdy wreszcie został zwolniony z funkcji niańki, było mu tak gorąco, że miał ochotę poluzować węzeł niebieskiego krawata. Potrafił niemal dostrzec, jak kwaśne cząsteczki potu wżerają się w materiał jego marynarki pod pachami. Razem z Vermorel stanął przy drzwiach, czekając, aż z samochodu, który właśnie podjechał, wysiądzie ostatni gość spodziewany tego wieczoru.

Był nim prefekt Boulimier, szef DCRI, który osobiście nadzorował śledztwo dotyczące Nazira Narrusza, co nie należało do jego zwyczajów. Oszołomiony upałem Montesquiou nie potrafił określić, czy na twarzy Boulimiera maluje się uśmiech satysfakcji, czy grymas niezadowolenia. W każdym razie wyglądał zupełnie inaczej niż dwa dni wcześniej, kiedy podczas reprimendy, która go spotkała ze strony Vermorel, stał jak zbity pies przed szefami policji.

Złożywszy „wyrazy uszanowania”, przekazał pani minister tekturową sztywną teczkę. Jego uśmiech, który okazał się uśmiechem satysfakcji, dotarł aż do Montesquiou; po chwili Boulimier oznajmił dziwnie fałszywym tonem, jakby usiłował przechytrzyć ukryte mikrofony:

– Od początku mówiłem, że ta rodzina Narruszów jest podejrzana.

Pani minister, zanim podała dokument Montesquiou, potwierdziła:

– Cóż, zapewne bardzo to zmartwi naszego drogiego sędziego Wagnera...

4

W tej samej chwili nasz drogi sędzia Wagner przebywał w swoim gabinecie w galerii Saint-Éloi i zastanawiał się, czy nie zwolnić do domu Alice, która ziewała, czytając dziesiątki stron transkryptów podsłuchów telefonicznych Nazira. Mimo silnej pokusy, by to żmudne zadanie odłożyć na następny dzień, Wagner czuł, że jeśli będą kontynuować aż do późnych godzin wieczornych, na pewno wpadną na coś ważnego. Klimatyzację wyłączono po południu; Alice ze wszystkich sił walczyła choćby o jakiś wentylator, ale pracownicy działu zaopatrzenia śpieszyli się do domu, więc gabinet coraz bardziej przypominał piec hutniczy.

Alice zaczynała mieć mroczki przed oczami. Wstając, by rozprostować nogi, zorientowała się, że pochłonięty lekturą sędziego nawet jej nie widzi. Jedną ręką drapał się po siwej głowie, w drugiej ścisnął wielokolorowy długopis. Miał zaciśnięte usta i zmarszczone brwi. Nagle uniósł głowę i miękko, prawie drżącym głosem poprosił:

– Alice, może pani sprawdzić w sekretariacie, czy kurier nie dostarczył transkryptów z trzeciej komórki?

W ciągu ostatniej godziny czwarty raz prosił, żeby poszła do sekretariatu sprawdzić, czy nie było kuriera.

Zadzwoił telefon stacjonarny. Wagner podniósł słuchawkę, podczas gdy

Alice oddaliła się na zbędną wycieczkę do sekretariatu.

– Mówi Mansourd. Mamy coś nowego, panie sędzio, jadę do Pałacu. Niewykluczone, że w ciągu najbliższej godziny namierzemy Nazira.

Wagner najeżył się.

– To po co pan tu jedzie?

– Wyjaśnię panu, za pięć minut jestem.

Alice wróciła z pustymi rękami. Sędzia powiedział jej o telefonie od Mansourda i zaproponował, żeby wróciła do domu. Propozycja była czysto formalna, gdyż Alice świetnie wiedziała, że sędzia będzie jej potrzebować.

Nagle zadzwonił jego prywatny telefon. To Paola upewniała się, czy mąż przyjdzie na jej koncert, „jak obiecał”. Wagnera omal nie poniosły nerwy. Nie mógł jej powiedzieć, dlaczego jednak nie przyjdzie. Gdyby wiedziała, na pewno nie miałyby pretensji. Lecz dla niej była to „tylko praca”. Odczytywanie nad ranem protokołów nocnych przesłuchań, osobisty udział w przeszukaniach mieszkań osób podejrzanych lub składanie wniosków o międzynarodową pomoc prawną w celu schwytania jakiegoś terrorysty ukrywającego się na drugim końcu świata – w umyśle Paoli wszystko to kryło się pod słowem „praca”. I choć tego wieczoru rozpaczliwie próbował jej wyjaśnić, że jest w takim samym stanie jak ona, gdy szykuje się do wyjścia na scenę, żona tylko ciężko westchnęła i odłożyła słuchawkę, nawet nie przekazując mu całusów.

Wagner nie zdążył uznać się nad sobą i stanem swojego małżeństwa, gdy w drzwiach stanął Mansourd.

– Więc tak, panie sędzio – zaczął podniecony Mansourd. – Może pan podziękować swojemu koledze Poussinowi. To on nas naprowadził na trop profili facebookowych, wychodząc od profilu niejakiego Mohammeda Balajdiego, zwanego Wielkim Momo. Służby wywiadowcze paryskiej prefektury przejrzały wiadomości od kilku dni pozostawiane na pewnych profilach, co je doprowadziło do tajnych grup, na których rywalizujące ze sobą bandy z przedmieść umawiają się na ustawki w centrum miasta. Zdziwił nas profil pewnej dziewczyny z bardzo dużą liczbą facebookowych znajomych, do których od kilku godzin należy również ów Wielki Momo. Dziewczyna wydaje polecenia jakoby służące zaprowadzeniu pokoju między bandami. Analityków zastanowił jej język o podejrzenie prawidłowej ortografii. Po zbadaniu sprawy odkryli, że wszystkie wiadomości są wysyłane ze smartfona zlokalizowanego w Szwajcarii. Z wioski Schlaffendorf.

– To on.

– Bardzo możliwe. Mamy dwóch funkcjonariuszy DGSE na placówce w Bernie. Jesteśmy z nimi w kontakcie. Biorąc pod uwagę trudności z szybkim nawiązaniem współpracy ze Szwajcarami, może najprościej byłoby przeprowadzić tajną operację, panie sędzio?

Wagner przejechał dłonią po czole.

– Możemy go poddać inwigilacji. Ale w tym celu musicie dokładniej go namierzyć.

– To kwestia minut, panie sędzio. Kiedy tylko precyzyjnie określimy miejsce jego pobytu, możemy zmontować grupę mieszaną: DGSE, RAID oraz ja z moimi ludźmi.

– Nie ma mowy – zaproponował Wagner. – Proszę nie zapominać o procedurach, Mansourd.

– Możemy albo od razu go zamknąć, albo pozwolić, żeby znowu prysnął. Pamiętajmy, że dotychczas był bardzo ostrożny. Skoro więc teraz otwarcie posługuje się smartfonem, prawdopodobnie znalazł się w potrzasku. To nie potrwa długo. Jeśli stracimy sygnał, możemy go szukać przez następne tygodnie, miesiące, nawet lata. Wszystko zależy od pana, panie sędzio.

– Zgadzam się na inwigilację. Ale żadnych operacji w terenie. Nie ma mowy o wysyłaniu ekipy kowbojów, żeby go złapać. Do czego by to było podobne, gdybyśmy zaczęli nielegalnie latać nad terytorium Szwajcarii? Może mi pan powiedzieć? Czemu nie atak nuklearny!

Mansourd zagryzł wargi. Wagner mówił dalej:

– A jeśli chodzi o te bandy, które spiskują na Facebooku? Przypuszczam, że prefektura podjęła właściwe działania...

– DOPC została postawiona w stan najwyższej gotowości. Cały Paryż jest odcięty.

– Dobra robota. A kochanemu Poussinowi kupię nową marynarkę z łatanami na łokciach w nagrodę za przenikliwość.

Tymczasem Alice odebrała faks, który ją zaintrygował. Dała Wagnerowi znak, żeby podszedł, ale sędzia najpierw odprowadził Mansourda. Zamknął drzwi, położył dłonie na karku i raptem zdał sobie sprawę, że modli się, by wszystko poszło po ich myśli. Nawet panujący w gabinecie bałagan wydał mu się mniej smętny. Na ścianie wisiał tylko jeden plakat, przedstawiający ulicę w jego rodzinnym Longwy, przy której stała fabryka z dymiącymi kominami i czarnymi ceglаныmi murami. Na widok tej fabryki z czasów, gdy jeszcze działała, nagle uznał, że śledztwo toczy się idealnie, w żadnym momencie nie musiał podejmować niesprawiedliwych decyzji ani godzić się na żadne przysługi. Naciski ze strony prokuratury niczego dotychczas nie zmieniły w funkcjonowaniu całej maszyny. Droga przed nim była jeszcze długa, ale nie była nieskończona.

– Panie sędzio?

Alice zawołała po raz trzeci. Wyglądała na zaniepokojoną.

Nie bez powodu. Podała mu otrzymany przed chwilą faks. DCRI odmawiała przekazania transkryptów podsłuchów z trzeciej komórki Nazira. Zostały utajnione.

Wagner otworzył usta ze zdziwienia.

– Tajemnica wojskowa – szepnęła Alice, żeby przerwać ciszę.

– Ale... nie rozumiem... dlaczego...

Sędzia zamilkł. Opadł na krzesło i parokrotnie przeczytał faks. W jego rozgorączkowanym umyśle hipotezy mnożyły się jedna za drugą. Tajemnica wojskowa, czyli kompletnie nie wiadomo, o co chodzi. Jedno było pewne: ani Wagner, ani żaden inny przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości nie dowie się niczego więcej, w każdym razie nie wcześniej niż za wiele lat. Nagle poczuł się tak, jakby wszystkie światła zgasły, maszyny się zacięły, wszyscy ci, o których sądził, że z nimi współpracuje, okazali się hologramami, on zaś, brutalnie skonfrontowany z granicami swojej władzy sędziego śledczego, znalazł się sam, rozpaczliwie sam w matowym półmroku zimnej kuźni.

– Alice – powiedział, otrząsnąwszy się. – Proszę natychmiast mnie połączyć z DCRI. Chcą wojny? Będą mieć wojnę.

5

Rabi'a przespała drugą połowę drogi między Paryżem a Saint-Étienne, nie budząc się nawet wówczas, gdy Dunja stanęła na stacji benzynowej. Była już czarna noc, kiedy siostry dotarły na swojską autostradę A45, która okrążała ich rodzinne miasto. O dziwo, Rabi'a była w lepszym humorze niż na początku wieczoru, jak gdyby atak nerwowy w samym środku korków wpłynął na nią kojąco. Rysy nadal miała zastygłe, ale twarz mniej zamkniętą; włączyła stację radiową Nostalgie i zanuciła do wtóru Demisowi Roussosowi:

– *Quand je t'aime, j'ai l'impression d'être un roi, un chevalier d'autrefois, le seul homme sur la te-e-e-erre...*

– *Wa-Allah*, powinnaś zostać piosenkarką – pochwaliła ją cichutko Dunja, jakby w obawie przed kolejnym wybuchem gniewu siostry.

Dojechawszy na parking przed domem, zobaczyła stojącą w progu Lunę, która od razu zapytała, czemu Fu'ad nie przyjechał z nimi.

– Bardzo go lubisz, swojego drogiego Fu'ada, prawda? Przykro mi, kochanie, musiał zostać trochę dłużej.

Na twarzy Luny odmalowało się rozczarowanie. Nieco zaskoczona Dunja dodała:

– Wraca jutro, najpóźniej pojutrze, nie denerwuj się. Daliście sobie radę ze Slimem?

Rabi'a trzykrotnie cmoknęła córkę w oba policzki. Ostatni całus trwał na tyle długo, że dopiero oderwawszy usta od twarzy córki, zorientowała się, że dzwoni jej komórka. Odeszła na bok, żeby odebrać. W tym czasie zeszli na dół Slim i Kenza. Młodzież przygotowała prawdziwy posiłek, a Dunja prawie się rozpłakała na widok suto zastawionego stołu w ciepłym świetle ogniska domowego.

– Spójrz, Rab'!

Tymczasem oczy Rabi'i nabrały nieoczekiwanego blasku. W obecnych

okolicznościach Dunja nie potrafiła sobie wyobrazić żadnej dobrej nowiny.

– Zgadnij, kto właśnie przyjechał do Saint-Étienne?

– Poważnie? Naprawdę przyjechał? Mus’? Jakim cudem dostał wizę?

Luna przytuliła się do matki.

– Wujek Musa? Przyjechał z Algierii?

– Wiesz, kochanie – odpowiedziała Rabi’a – kiedy patrzę na twój stosunek do Fu’ada, to zupełnie jakbym widziała twoją ciotkę, siebie i Musę. Kiedy byliśmy małe, uwielbiałyśmy go, świata poza nim nie widziałyśmy. Nawet sobie nie wyobrażasz.

– Miał blond włosy i był bardzo przystojny, prawda? Jak go widziałam dwa, trzy lata temu, nadal był przystojny, ale...

– Trochę stary, prawda? – zaśmiała się Dunja, szczypiąc dziewczynę w policzek. – Ach, wy młodzi, nie macie litości. Według was każdy po czterdziestce nadaje się tylko na złom. Mój Boże...

Rozmowa o wujku Musie toczyła się w najlepsze, podczas gdy Slim podawał do stołu.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, kochanie. Ubóstwiałyśmy wujka Musę, na głowę babki, ubóstwiałyśmy go. Miał blond włosy, zielone oczy, był wysoki, dobrze zbudowany... Kiedy wchodził do pokoju, wszyscy milkli. Mam rację czy nie, Dun’?

– Masz rację, święta prawda – potwierdziła Dunja i uniosła brwi, jakby chciała do końca przekonać Lunę, która siedząc na brzegu zlewu, chrupała jabłko.

– I zawsze świetnie ubrany – ciągnęła Rabi’a, z dumą wspominając dawne lata. – Kochały się w nim wszystkie dziewczyny z Saint-Étienne. Mówiły, że wygląda jak amerykański aktor. Prawda, Dun’, że wyglądał jak amerykański aktor? Trzeba przyznać, że wobec starszych był dość surowy. Bachi i Warda nie miały z nim łatwo. Sama pamiętam, jak mówiły, że dostają od niego po buzi przy najmniejszym podejrzeniu, że paliły papierosa lub spotykały się z chłopakami. Był dosyć staroświecki, ale w tamtych czasach wszyscy chłopcy byli tacy.

– Nie wszyscy – poprawiła ją Dunja. – Choć wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale w tamtych czasach Abu Zid wcale taki nie był. Zawsze spotykał się tylko z Francuzkami. Nie wiem zresztą, jakim cudem stał się taki zacofany.

Na twarzy Rabi’i pojawił się melancholijny uśmiech. Nie miała ochoty rozmawiać o Abu Zidzie, ale o tym, który w młodości tak bardzo go przyćmił i zadał mu tyle cierpień. O najstarszym bracie. O rodzinnym bohaterze.

– Bachi i Warda mogą sobie mówić, co chcą, ale mnie Musa zawsze uwielbiał. Byłam jego ulubienicą, no powiedz im, Dunja.

– Nikt nie miał prawa tknąć Rabi’i. „Kto zrobi krzywdę mojej małej Rabinuszce, będzie mieć ze mną do czynienia!”. Tak właśnie mówił.

– Szkoda, że tak młodo wyjechał do Algierii.

– Dlaczego właściwie wyjechał? – zapytała Luna.

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Podobno zakochał się w jakiejś wieśniaczce i tyle go widzieli.

Rabi'a chętnie by dodała coś, co bardzo ją bawiło i napełniało nieco niezdrową dumą, lecz nie mogła tego powiedzieć przy córce: wujek Musa, aktywny bałamutnik sprzed ponurej epoki amorów z plastikiem, w całym regionie od Saint-Étienne do Lyonu, w całej dolinie rzeki Gier pozostawił niezliczone mrowie małych Musiątek, synów Kabylek, Arabek, Francuzek i jego ulubionych Włoszek. Rabi'a miała przed oczami, jak w latach siedemdziesiątych Musa stoi na balkonie u babki, paląc cravena; widziała jego potężny tors w opiętej koszuli z fantazyjnym kołnierzykiem – chyba różowej, ale równie dobrze mogła być żółta – spod której widać było gęste, kręcone blond owłosienie; jako egzaltowana nastolatka i ukochana siostrzyczka niczego nie lubiła bardziej, niż wtulić w nie swój policzek.

6

– Nie, naprawdę? O kurczę...

Zawiedziony głos Dunji przywołał Rabi'ę do rzeczywistości. Rozmawiała przez telefon.

– Co się dzieje, Dun'?

– Rozmawiałam z Abu Zidem. Powiedział, że Musa jest u babki i właśnie poszedł spać. Zobaczymy się z nim dopiero jutro.

Nie chcąc, by cały dobry nastrój wywołany perspektywą spotkania z Musą wyparował, Dunja zaproponowała Rabi'i i młodzieży wypad do kina. Rabi'a nie miała jednak ochoty, a Luna wołała pójść na lody.

Slim i Kenza byli zmęczeni. Zapomniawszy na chwilę o piekle, przez jakie cała rodzina przechodziła, Rabi'a, Luna i Dunja poszły więc same do kawiarni na sorbety. Usiadły na tarasie, nadal rozmawiając o Musie: matka i ciotka *objaśniały* go Lunie, która słysząc wszystkie te opowieści, miała wrażenie, że widzi Fu'ada, tyle że w wersji blond, bardziej podejrzliwego i raczej gburowatego. Luna miała dość mętne wspomnienia o Musie; był jednym wujkiem spośród wielu, widziała go zaledwie dwa razy w życiu, gdy przy smutnych okazjach rodzinnych przyjeżdżał z Algierii: po śmierci dziadka, którego ciało zabrał do ojczystej wioski, oraz na pogrzebie jej ojca, kiedy to Luna miała co innego do roboty niż przyglądać się człowiekowi opisywanemu teraz przez ciotkę i matkę.

W końcu nawet Rabi'a, która zawsze pazurami broniła ukochanego brata, musiała jednak przyznać, że faworyzowanie starszego syna przez babkę doprowadziło w rodzinie do „traumatycznych przeżyć” na skutek tego, że Musa regularnie upokarzał Abu Zida, a zwłaszcza dziadka.

– Jesteś już duża, kochanie, więc możesz się o wszystkim dowiedzieć. Choć uwielbiałam i nadal uwielbiam Musę, trzeba przyznać, że bywał niesprawiedliwy

wobec dziadka, *ater ramasz rebbi*. Mam wrażenie, że czasami odbierał mu autorytet, rugając dziewczęta, gdy wyprawiały głupstwa, ale przede wszystkim chodziło o babkę, która była gotowa nieba mu przychylić, a do dziadka, powiedzmy sobie prawdę, odnosiła się źle. W owych czasach tak wyglądały małżeństwa, moja droga: ludzie się pobierali, ale bez miłości, nikomu nawet nie przychodziło do głowy, żeby kochać własnego męża. Natomiast wobec dzieci, o tak, to była miłość. Co do Musy, nie da się ukryć, że babka zawsze go wyróżniała. Jemu pierwszemu stawiała talerz i, popatrz, jakie to dziwne, jakie szczegóły nagle powracają, mam wrażenie, że to Musa zawsze siedział u szczytu stołu, a dziadek z boku. Biedaczek. *Wa-Allah*, siedział cicho jak trusia, pracował, żuł tytoń... Jak *miskin* Farhat, grzeczny, wyciszony... A obok Musa...

Rabi'a zamilkła, potrząsając głową. Chociaż cierpiała na myśl o niewdzięcznym synu i nieśmiałym ojcu, jednak Musa był tak piękny, tak jasnowłosy, tak pewny siebie! Był dumą całej rodziny. To on bez kłopotu wchodził do dyskoteki, podczas gdy jego koledzy o ciemnych kręconych włosach wściekali się i tłukli z rasistowskimi bramkarzami. To on pozwalał im zapomnieć o biedzie, o ciężarze zakazów i niesprawiedliwości, o wrogości Francuzów.

– Taaak...

Skoro nikt nie miał już niczego do powiedzenia o Musie, Rabi'a zaproponowała, żeby zadzwonić do Fu'ada. Okazało się że wyszedł na spacer, by „trochę się odprężyć”. Dunja przekazała mu całusy i zerknęła na pogrążoną w zadumie siostrę.

– Szkoda, że Musa poszedł spać... No jak, jeszcze jedną porcję? – zapytała Rabi'a kokieteryjnym tonem, jakby te sorbety o ciepłych barwach były mocnymi likierami, zdolnymi oderwać ją od koszmaru rzeczywistości.

7

Tymczasem wujek Musa wcale nie spał. Stojąc obok skurczonej, niepokonanej sylwetki babki, pochylał się nad szpitalnym łóżkiem wuja Farhata. Potężne dłonie zacisnął na prętach łóżka. Miał piękne blond wąsy, a jego czoło było pokryte zmarszczkami, tym bardziej widocznymi na tle spóźnionej, choć już nieodwracalnie postępującej łysiny. Zielone oczy również wyglądały na ciemniejsze z powodu licznych bruzd na powiekach.

Od dziesięciu minut Musa „grillował” ubranego w idiotyczny czepek wuja Farhata, który sam nie wiedział, jak opowiedzieć o napastniku. Wypinał tors i unosił barki, by pokazać, że był potężnie zbudowany; po chwili przypomniał sobie, że był ogolony na łyso, a skórę miał białą jak tabletki aspiryny.

Babka pojęła, że nigdy przed tą próbą opisu – poprzez gestykulację i skazane na porażkę próby wypięcia torsu – nie odczuwała takiej nienawiści do nieznanego sprawcy ataku na biednego Farhata.

Pielęgniarka otworzyła ciężkie drzwi i podeszła sprawdzić stan pacjenta.

– No, jak się dzisiaj czujemy, panie Narrusz? – zapytała tubalnym tonem, jakby przemawiała do dziecka. – Mamy gości, jak widzę?

Podczas gdy pielęgniarka pewnym gestem sprawdzała igłę od kroplówki tkwiącą w bladym przedramieniu staruszka, Musa z rękoma za plecami obrócił się do okna. Babka zapytała, kiedy będą usuwać obrzydlistwa wymalowane na czaszce Farhata.

– Zabieg zaplanowano na piątek rano.

Musa parsknął nerwowym śmiechem. Pielęgniarka usłyszała go i omal nie zareagowała, lecz ten wysoki, obrocony plecami mężczyzna wyglądał trochę groźnie. Wyszła, a Musa powrócił do przepytywania wuja po kabylsku.

– Już go kiedyś widziałeś? *Chal?* Zastanów się! Widziałeś go?

– Nie, synu, nigdy.

Zrozumiawszy, że niczego więcej z niego nie wycisnie, Musa postanowił wyjść, ale najpierw przesunął wzrokiem po cherlawym torsie staruszka: kołnierzyk jasnoniebieskiej szpitalnej piżamy był za szeroki na chudą pomarszczoną szyję, lecz największe wrażenie zrobiły na nim starcze obojczyki wuja. Rozciągnięta na nich skóra była biała jak u trupa, a kości tak kruche i delikatne, jakby nie miały już siły wystawać i musiały przegrać z pergaminową tkanką okrywającą tors.

Musa ucałował go w czoło, mamrocząc jakieś arabskie zaklęcia i przysięgając, że gdyby jego ojciec żył wystarczająco długo, postąpiłby tak samo jak on. Farhat odpłynął w sen, a Musa zauważył, że z profilu wuj jest podobny do ptaka. Uważał, że ludzie należą do dwóch typów: ci, którzy z wiekiem zaczynają przypominać gryzonie (na przykład babka), oraz ci, którzy zaczynają przypominać ptaki. Musa lubił sądzić, że ci drudzy podchodzą do perspektywy śmierci bardziej beztrudnie od tych pierwszych.

Jedno nie budziło wątpliwości: nigdy nie był tak mało pogodzony ze sobą, jak opuszczając ten pogrążony w półmroku szpitalny pokój, z którego dobiegał słaby oddech wuja Farhata. Przysięgł po kabylsku, że znajdzie napastnika i pogruchoce mu kości. Chwilowo jednak dał do zrozumienia babce, że ani minuty dłużej nie może przebywać w miejscu publicznym.

– Tak, wiem, spokojnie – zgodziła się babka, popychając go do wyjścia.

8

Siedząc z tyłu w służbowym samochodzie, Montesquiou poluzował krawat i spojrzał na czarną okładkę teczek z poufnymi aktami, którą mu przekazała Vermorel. Krótka podróż do Levallois-Perret nie była tego dnia ostatnią, ale najważniejszą. Po przejściu przez ostre kontrole dotarł do znakomicie zabezpieczonej centrali DCRI; tam zaprowadzono go do pomieszczeń zajmowanych przez SDAT, gdzie na podwyższeniu w sali konferencyjnej czekał

Mansour w otoczeniu szefów trzech ekip śledczych wyznaczonych do pościgu za Nazirem. Był tam również kapitan Tellier, który patrzył na Mansourda wzrokiem człowieka gotowego zginąć za swojego szefa.

Montesquiou dyskretnie wszedł do sali i poprosił pułkownika, by kontynuował briefing.

Miejsce pobytu Nazira ustalono dzięki jego komórce: przebywał w małej szwajcarskiej wiosce w Gryzonii. Potężne satelity służb specjalnych nie pozostawiały cienia wątpliwości. Operacja komandosów, chociaż tajna, a może właśnie z powodu swej tajności, miała być nadzorowana bezpośrednio z międzyresortowego centrum antykryzysowego przy placu Beauvau przez minister spraw wewnętrznych, która wydała na nią zgodę z pominięciem prerogatyw sędziego śledczego, oraz przez ministra obrony, któremu podlegała część ludzi przydzielonych do tej operacji. Hełm szefa oddziału sił specjalnych miał być wyposażony w kamerę. Trudność operacji polegała na konieczności schwytania podejrzanego bez przyciągania uwagi miejscowych władz. A więc żadnej inwigilacji przez dłuższy czas, tylko kilkunastu ludzi w niewykrywalnym dla radarów wojskowym śmigłowcu, z jednym jedynym rozkazem: porwać i przewieźć do Francji wroga publicznego numer jeden.

Pod koniec zebrania Montesquiou poprosił o rozmowę z pułkownikiem w cztery oczy. Wszyscy pozostali wyszli.

Dyrektor gabinetu Vermorel podał Mansourdowi sztywną tekturową teczkę, bacznie śledząc jego reakcję. Mansour nie cierpiał tego młodego wyniosłego absolwenta ENA i nie robił nic, żeby to ukryć.

– Dostaliśmy to od algierskich służb specjalnych.

„To” było teczką sporządzoną przez rzeczony służby, z której wynikało, że Musa Narrusz należy do GIA, Zbrojnej Grupy Islamskiej, odpowiedzialnej między innymi za serię zamachów na terytorium Francji w połowie lat dziewięćdziesiątych.

– To nie wszystko – dodał Montesquiou. – Isa Narrusz, ojciec Nazira, a także Zajdan Abu Na’imi, ojciec Abd al-Karima, obaj nieżyjący, w tamtym okresie regularnie bywali w Algierii.

Mówiąc o „tamtym okresie”, Montesquiou miał na myśli „brudną” wojnę, w wyniku której w latach dziewięćdziesiątych Algieria spłynęła krwią.

– Na końcu znajdzie pan informacje na ich temat, choć mniej bogate niż na temat Musy. Wydaje mi się, że powinno to zainteresować pańskiego przyjaciela, sędziego Wagnera...

Mansour nie odrywał oczu od dokumentów, skanując je z prędkością błyskawicy.

– Oczywiście przypuszczam, że wszystko to może poczekać – oznajmił Montesquiou. – Pozwolę sobie zresztą zauważyć, że od dwóch dni nie przekazał

pan żadnych informacji o postępach w śledztwie... Co pan w ogóle o tym wszystkim myśli, pułkowniku? To znaczy, jakie jest pańskie głębokie przekonanie?

– Moje głębokie przekonanie?

– Ludzie, dla których pan pracuje, chcieliby wiedzieć, co pan sądzi...

– Ja nie pracuję dla żadnych ludzi, proszę pana. Policja republikańska pracuje w służbie francuskiego narodu. Nie mówili panu na uczelni? SDAT należy do policji republikańskiej, nie jest żadną policją polityczną.

– Za chwilę przekroczy pan cienką czerwoną linię, pułkowniku.

– W takim razie wróć do pańskiego pytania – odparł Mansour, zamykając teczkę. – Moje głębokie przekonanie? Otóż jest ono bardzo proste: nie wiem jeszcze, czy Nazir Narrusz był zleceniodawcą zamachu na życie Szawisza, czy może on sam został... jak by to powiedzieć... *wykorzystany* przez grubsze ryby. Tego jednak nie dowiemy się wcześniej niż za kilka tygodni, może nawet miesięcy.

– Im wcześniej, tym lepiej – zakończył Montesquiou nieco wytrącony z równowagi. – Powodzenia podczas dzisiejszej operacji. *Pułkowniku*.

Sarkastyczny akcent, jaki położył na słowie „pułkowniku”, nie spodobał się samemu zainteresowanemu. Montesquiou uderzył laską o podłogę i wyszedł, nie odwracając się.

Mansour wezwał kapitana Telliera i podał mu teczkę, którą ten ostatni szybko przejrzał.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Mansour.

– Sądzę, że to typowa robota algierskich służb specjalnych. Wcale mnie to zresztą nie dziwi. Nie posunę się do stwierdzenia, że terroryzm jest dziedziczny, ale nie ma dymu bez ognia.

Zakłopotany Mansour bawił się wiszącym na szyi medalionem.

– Mam wrażenie, że coś pana męczy, szefie – powiedział Tellier.

– Faktycznie. Przesłuchiwałem i matkę Karima, i matkę Nazira. Nie wiem, coś tu nie gra. Albo nie miały pojęcia o działalności własnych mężów, albo...

– Albo?

Medalion Mansourda w końcu zerwał się i spadł na podłogę. Podnosząc go, Tellier ujrzał czarno-białą fotografię kobiety, pięknej pięćdziesięciolatki o tragicznych rysach twarzy.

– Kto to?

– Moja matka – odparł Mansour. – Dziwne, wygląda jak sobowtór matki Nazira. Gdybyś ją zobaczył... Zresztą nie, nie miałbyś żadnych skojarzeń, chyba mi odbiło.

Kapitan nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć lub dodać.

– Szefie, czy nie jest pan z góry pozytywnie nastawiony do matki tego szaleńca tylko dlatego, że jest podobna do...?

– Dziękuję, kapitanie – przerwał mu Mansour.

Tellier zagryzł usta. Jego zajęcza warga rozszerzyła się jak skrzela tuńczyka.

– Panie pułkowniku, jeszcze jedna sprawa. Chodzi o szefa gabinetu Vermorel.

Mansour z zaciekawieniem obrócił głowę.

– Przyszedł pierwszego dnia do Levallois, to oczywiście normalne, ale następnego dnia przyszedł znowu, i za każdym razem chciał rozmawiać z Abd al-Karimem w cztery oczy. Ponieważ kręciliśmy się w kółko, a szczeniak powiedział nam wszystko, co miał do powiedzenia, więc...

– Pozwoliliście mu? – przerwał Mansour.

– A co mogliśmy zrobić?

Mansour głęboko wciągnął powietrze przez nos.

– Wszystko to zaczyna mi działać na nerwy – warknął i wypuścił powietrze z płuc. – A ten rudy brodacz?

– Tu akurat nie ma problemu – pośpieszył wyjaśniać Tellier. – Mamy to pod kontrolą. Jego odciski palców zgadzają się z odciskami niejakiego Romaina Gaillaca, który przeszedł na islam. Służby wywiadowcze dobrze go znają, bo uczęszczał do salafickiego meczetu...

– Dobra, pilotuj to dalej. I w żadnym razie nie pozwól, żeby ten sęp Montesquiou wpychał łapy w nasze śledztwo. Rozumiemy się?

Tellier rozłożył ręce w geście bezsilności, z najwyższym trudem zmieniając go w gest aprobaty, po czym wyszedł z gabinetu.

Mansour ponownie otworzył teczkę algierskich służb specjalnych. Na każdej ze stron widniał czerwony stempel „Tajemnica wojskowa”. Na jednej z fotografii można było zobaczyć wuja Musę opartego plecami o maskę jeepa przed zakrętem skalistego uedu. Jego rzadka jasna broda też wyglądała nieco pustynnie. Miał na sobie drelichowy strój w kolorze khaki, podbródek wyzywająco uniesiony w kierunku obiektywu. Spod lewej pachy wystawała okryta drewnem kolba wsuniętego w kaburę pistoletu.

Rozdział 12

Czekając na burzę

1

Korzystając z nieobecności Luny, Dunji i Rabi'i, Kenza chciała spędzić parę intymnych chwil ze swoim młodym małżonkiem; po półgodzinie pracowitej i zdeterminowanej „intymności” Slim zapalił jednak światło i usiadł na skraju łóżka, na którym ciepła skotłowana pościel niczym dymiące ruiny świadczyła o bitwie, w której po raz kolejny musiał się uznać za pokonanego.

Zasapany rzucił niespokojne spojrzenie na profil Kenzy. Jej ładnie wypukłe czoło lśniło. Wystarczyło lekkie uniesienie brwi, żartobliwe przymrużenie oka, sprytny grymas ust, którego sekret знаła tylko ona, by znowu sądził, że pragnie żony i przy jej frywolnie dyszącej zgodzie ruszał do walki. Gdy jednak rozsuwał kolana Kenzy i widział przed sobą wewnętrzny zarys jej ud, drżący tajemnicą i pachnący ciepłym poczuciem winy, wszystkie jego postanowienia spełzały na niczym. Znikał wszelki zapał i entuzjazm, pozostawała jedynie chęć, by umrzeć. A jednak nie umierał, lecz powracał do jej twarzy, którą potrafił kochać bez dawania dowodów miłości i pokrywać czułymi, niewinnymi, niezgrabnymi pocałunkami.

Tyle że tego wieczoru Kenza straciła cierpliwość. Lewe ramię przełożyła nad nagim torsem Slima i zapaliła nocną lampkę.

– Musimy porozmawiać, Slim.

Zamarł po swojej stronie łóżka. Przeczuwając, jakie będzie następne zdanie żony, zgasił lampkę, by usłyszeć kilka słów, które zabrzmiały jak początek końca świata.

– Widziałam cię na tyłach Centrum Designu.

Ciemność nie była w tym momencie najlepszym pomysłem. Czując, że go osacza, zadrzał. Ślina wypełniła mu usta, ale drogi pokarmowe zamknęły się: jeśli wytworzy jeszcze kroplę śliny, będzie musiał splunąć, może nawet zwymiotować.

– Widziałam cię z tym transwestytą.

– Co... co takiego widziałas?

– Widziałam, jak próbował cię dotknąć, jak go odpychałeś, ale...

Wybuchła płaczem. Slim chciał ją przytulić smukłymi białymi ramionami, ale Kenza zerwała się z łóżka.

– To nie tak, mylisz się, ja temu facetowi... jestem winien pieniądze!

W martwej ciszy, która zapadła po tych słowach, Slim usłyszał wibrację; słyszał ją również wcześniej, kiedy starał się skoncentrować na piersiach Kenzy. Rozsunął pościel i w głębi łóżka zobaczył komórkę Luny.

– Cholera...

Przeklął, mając nadzieję, że w ten sposób odwróci uwagę Kenzy, która go zapyta, co się dzieje.

Lecz Kenza siedziała przed komputerem, zasłaniając uszy rękoma. Slim wyjął komórkę z pościeli i odrzucił połączenie. Wstał, podszedł do żony i palcami obu dłoni zaczął ją podszczypywać po karku.

– Kocham cię, Kenza – szepnął. – Zaufaj mi, damy radę.

Za całą odpowiedź Kenza skuliła się na krześle, udając, że zasnęła w tej trudnej do wytrzymania pozycji, mówiącej więcej niż jakiegokolwiek słowa.

2

Kroki zaprowadziły Fu'ada przed salę koncertową. „Dzieła Mozarta w interpretacji Paoli Ferris”. Właśnie trwał antrakt, na chodniku stały tłumy ludzi, które wkrótce go otoczyły. Dostał kolejnego esemesa od Ja'il z pytaniem, jak sobie daje radę. Pytanie coraz bardziej go irytowało, aż w końcu udał, że ma za dużo spraw na głowie, by następnego dnia umówić się z nią na obiad.

Po wysłaniu wiadomości nagle źle się poczuł: ci otaczający go biali burzują, te fałszywe wybuchy śmiechu dochodzące ze wszystkich stron, ci ludzie stojący w grupkach pseudoznawców muzyki i spoglądający na siebie spod oka. Podobnie jak lęk często sprawia, że szukamy bliskości tego, czego się obawiamy, tak niesmak Fu'ada unieruchomił go wśród ludzi, od których, jak sam sobie powtarzał, chciał jak najdalej uciekać.

Najbardziej jednak rozeźlił go widok, jaki zobaczył w przyciemnionej szybie limuzyny, która przyjechała po jakąś starą raszplę: odbicie jego własnej sylwetki, która niczym się nie odróżniała od tego stada wykrochmalonych kołnierzyków. Spodnie i marynarka, jasna koszula, ciemne mokasyny – w swoim codziennym paryskim ubraniu nie był ani nadmiernie, ani zbyt mało elegancki. Czuł się w nim równie dobrze w obskurnym barze w okolicy Belleville, jak i przed salą koncertową w otoczeniu fauny, która budziła w nim obrzydzenie, a której wciąż chciał się przypodobać, o czym świadczyły rozdawane na prawo i lewo uprzejme, dyskretne uśmiechy. A oni krzyżowali z nim wzrok, bo chcieli być pewni, że mają do czynienia ze zintegrowanym mieszkańcem, z przedstawicielem nowej rasy Arabów: tych, którzy bywają dziennikarzami i adwokatami, którzy źle przyjmują niewinne, zadawane przy kieliszku szampana pytanie, skąd pochodzą, ale przynajmniej nie podpalają samochodów, nie zarzynają baranów i nie marzą, by państwo islamskie powstało na miejsce starej dobrej Francji – czasem najstarszej córy Kościoła, czasem zacieklej przeciwniczki kleru, ale ani teraz, ani w najbliższej przyszłości niegotowej na segregację płciową w basenach i jadłospisy hallal w fast foodach Republiki.

Gdy zdał sobie sprawę, że wszystkie te prowadzące donikąd myśli należą raczej do Nazira niż do niego, przeraził się, ścisnął nasadę nosa między kciukiem

a palcem wskazującym i gwałtownie potrząsnął głową.

W drodze na plac d'Aligre trzykrotnie nabrał przekonania, że jest śledzony.

Zamiast przy Bastylli wysiadł na stacji Bréguet-Sabin, gdzie nie było możliwości przesiadki na inną linię; z końca opustoszałego peronu mógł obserwować, czy dwaj mężczyźni w ciemnych kurtkach, których zauważył na ulicy, wysiądą już po sygnale. Tymczasem kto inny odczekał do ostatniej chwili, zanim wyskoczył z wagonu, ale była to młoda dziewczyna. Uznał swoje podejrzenia za fałszywy alarm; przechodząc przez tę ruchliwą część dzielnicy, zorientował się jednak, że jedzie za nim samochód poruszający się tak wolno, że wyprzedzają go nawet rowery.

Aby dojść do alei Ledru-Rollin i zgubić po drodze ogon, musiał skręcić w zamkniętą dla ruchu kołowego ulicę de Lappe, której położone jeden obok drugiego bary i potykające się na krzywych chodnikach dziewczyny w pantoflach na wysokich obcasach zawsze wpływały na niego deprymująco. Po dotarciu na plac d'Aligre nabrał ochoty na drinka na tarasie ulubionej kawiarni. Poszedł na górę, żeby się przebrać.

Kiedy zszedł na dół, zamiast koszuli, mokasynów i marynarki dobrego Araba miał na sobie świadomie niechłujny strój: stare spodnie dresowe, równie stare reeboki, T-shirt z nadrukiem, a przede wszystkim bluzę z kapturem w kolorze khaki. Siedząc na tarasie z głową ukrytą w kapturze, zamówił piwo. Kelner najwyraźniej nie zauważył tej nieoczekiwanej zmiany stroju: sądząc po obojętnym sposobie, w jaki go obsługiwał, po prostu go nie rozpoznał.

Plac d'Aligre prezentował sobą zdumiewająco typowy obraz paryskich klas społecznych rozdzielonych tutaj według barów, do których uczęszczali ich przedstawiciele: na jednym rogu bar dla bogatej burżujskiej pseudocyganerii, na drugim – dla biednej burżujskiej pseudocyganerii, w którym Fu'ad miał swój stolik stałego bywalca (a więc uzurpatora), i wreszcie na trzecim dla robociarzy o mniej lub bardziej ciemnej karnacji, którzy pracowali na słynnym targu. Ten ostatni otwierał podwoje o piątej rano; klienci wypijali szybką kawę i wracali do instalowania straganów. Fu'ad wyrzucał sobie, że od klienteli bywającej w barze dla straganiarzy z targu przy placu d'Aligre woli „spotkania” w swoim ukochanym barze dla artystów: wiotkie dziewczyny ze skuwką od długopisu w zębach, zakreślające scenariusze, w których udało im się złapać rolę, podtatusiali panowie w sandałach udający, że nadal są na topie, lokalni działacze społeczni – wszyscy mniej lub bardziej związani z kulturą, wszyscy bez wyjątku głoszący na Szawisza i popijający jasne piwo po trzy euro za kufel, korzystając z przyjemnej wieczornej aury.

Fu'ad z odrazą obserwował ten poukładany świat, w którym bez wątplenia miał swoje miejsce, przystań ładu społecznego, której pełne emocji rozmowy i wybuchy wściekłości przeciw aktualnej władzy nie tylko jej nie niszczyły, ale

wręcz ją umacniały. Tak gwałtownego wstrętu nie wywoływały w nim ani hipokryzja, ani wygodne życie jego kompanów od kieliszka; to ład jako taki, którego potrafił niemal fizycznie dotknąć, budził w nim ową głęboką wzdargę – uśmiechy między nieznanymi, życzliwe podmuchy wiatru każące stawiać kołnierze marynarek, sączenie dwóch mojito z perspektywą powrotu do jasnego mieszkania, zabezpieczonego dwoma zmieniającymi co trzy miesiące kodami wejściowymi.

Przeobrażał się z wolna w Nazira, gdy nagle zobaczył stojącą obok stolika młodą jasnowłosą dziewczynę. Tę samą, która na stacji Bréguet-Sabin w ostatniej chwili wyskoczyła z wagonu metra.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała niepewnym głosem nastolatki – ale rozpoznałam pana i...

Fu'ad nie zdołał powstrzymać gestu zniecierpliwienia. Czy odezwałaby się do niego, gdyby go nie rozpoznała? Czy zwróciłaby się do jakiegoś Araba w kapturze, gdyby nie był gwiazdą znanego serialu? Jak zareaguje, kiedy się dowie, że jego kariera prawdopodobnie legła w gruzach?

– Nie, to nie tak... Rozpoznałam pana podczas antraktu na koncercie mojej matki. I zaczęłam za panem iść, przepraszam... Pan jest kuzynem Karima, prawda?

Fu'ad zmrużył oczy, w których zapaliło się nowe światło.

– Nazywam się Aurélie, poznałam Karima w zeszłym roku na Południu. Część wakacji spędziliśmy razem i...

Fu'ad wstał i przeszedł z nią parę kroków chodnikiem.

– W ostatnią niedzielę Karim był u mnie, zanim... Zastanawiałam się, czy mógłby pan przekazać mu ode mnie list.

– Cóż, jasne, o ile mi się uda, ale...

Aurélie przez dobrych kilkanaście sekund grzebała w torebce. Potem wsadziła rękę do kieszeni czarnego swetra, do której parę godzin wcześniej wsunęła list. Tam również go nie było.

– Kurwa mać!

Nagle do niej dotarło: to Tristan namówił Nica, żeby ukradł list, kiedy byli na nabrzeżach Sekwany. Miała rację, że nie ufała Nicowi. Nie, nie miała racji! Trzeba było mu nie ufać dwa razy bardziej!

– Nie szkodzi – uspokoił ją Fu'ad. – Możemy się umówić na jutro. Zresztą z tymi wszystkimi adwokatami wcale nie będzie łatwo...

– Nie! Nie! Nic pan nie rozumie! To mój ojciec... Jeśli ten list...

Fu'ad poprosił, żeby się uspokoiła. Aurélie wymamrotała jakieś niezrozumiałe słowa wyjaśnienia i przeprosin, zmarszczyła zaniepokojoną buzię i ruszyła sprintem na oczach zaskoczonych klientów siedzących na tarasie.

– Już od dawna powinniśmy być we Włoszech.

Samochód stał ukryty na skraju lasu porastającego wzgórze, u którego stóp leżały dwie osady wioski Schlaffendorf. Fleur zdążyła już ogryźć sobie do mięsa paznokcie u obu palców wskazujących. Jej płaczliwy ton irytował Nazira, co objawiało się ciągłym otwieraniem ust i oblizywaniem warg.

Fleur znowu ruszyła do ataku.

– Okłamałeś mnie, prawda? Nikt na nas we Włoszech nie czeka! Będziemy siedzieć i siedzieć w tym cholernym samochodzie, dopóki nas nie złapią!

Nazir już rano odpowiedział na jej uzasadnione pytania. Brak cierpliwości ze strony młodej współpracownicy nie stanowił żadnego zaskoczenia, ale i tak go drażnił.

– Czegoś wciąż nie rozumiesz, Fleur, dlatego jeszcze raz spokojnie ci wyjaśnię: kiedy jesteś poszukiwana przez wszystkie policje Europy, nie możesz ot tak, jakby nigdy nic, przekroczyć granicy szwajcarsko-włoskiej. Całą operację trzeba starannie przygotować. I właśnie to robię.

– Wcale nie – obruszyła się Fleur. – Ty tylko gapisz się beczynn timer na wyświetlacz komórki leżącej pod przednią szybą i masz nadzieję, że ktoś zadzwoni! Jest noc i jest mi zimno! To tak ma teraz wyglądać nasze życie? Będziemy całymi dniami kiblować w samochodzie, a nocą wyłazić jak wampiry? Czy my w ogóle wysiadzimy z tego auta? Kurwa, jaja sobie ze mnie robisz! Niczego nie przygotowałeś, ja bym to lepiej zrobiła... Poza tym dlaczego nie ma Waldsteina? Miał nam pomagać, no nie? Niczego nie rozumiem! Odpowiedz mi! Co ja w tym wszystkim, do cholery, robię?

Jednym spojrzeniem Nazir zmusił ją do milczenia. Z upływem czasu jego wielkie czarne oczy zmieniały kształt: złość je powiększała, wymuszona cierpliwość sprawiała, że nabierały sfinksowej tajemniczości; jedyne, co się nie zmieniało, to niepokojąco niewidoczne białka w kącikach tęczówek.

– Kiedy cię znalazłem – warknął – byłaś małą rozkapryszoną dziewczynką na gigancie, dającą lekcje sztuk walki i andaluzyjskiej poezji w jakimś parszywym squacie. Jedno słowo tatusia by wówczas wystarczyło, żebyś wróciła na łono rodzinki, Florence...

– Nie nazywaj mnie tak! – syknęła Fleur, szeroko otwierając przekrwione od zmęczenia oczy. – Zmieniłam imię, nazwisko. Dużo znasz ludzi, których stać na tyle... odwagi?

Nazir przyglądał się bladej twarzy Fleur, jej dziewczęcej kruchości, która nagle wzbudziła w nim silne, choć sprzeczne uczucia. Sprzeczne, ale oparte na tej samej podstawie: na litości.

– Rzeczywiście, Fleur, byłaś bardzo odważna. Dlatego właśnie nie rozumiem, czemu nagle tak szalejesz. Jesteś mi potrzebna. Jesteś potrzebna nam obojgu. We Włoszech nie będę mógł wychodzić na dwór, więc to ty będziesz moimi oczami, moimi rękoma, moim... ciałem.

Słyszając w głosie kochanka załączek entuzjazmu, Fleur rzuciła mu się w ramiona. Objęła go za szyję i spróbowała pocałować. Nazir stawiał opór. Dziewczyna gdzieś zgubiła zielone soczewki i nadal brzydko pachniała.

– Jesteśmy jak Bonnie i Clyde, prawda? – zapytała zrezygnowanym tonem, wracając na miejsce kierowcy.

– Jeśli sprawia ci to frajdę.

– Sądziłam, że jestem twoją Pasionarią?

Nazir szyderczo uniósł brwi. Dotknięta do żywego Fleur zmieniła temat.

– To dziwne, nigdy nie myślisz o swojej rodzinie? Poświęciłeś ich i świetnie o tym wiesz. Nie powiesz, że to ci nie spędza snu z powiek.

Nazir nie odpowiadał.

– Jedyne, co potrafisz, to mówić „kurwa mać”. Te twoje kombinacje w Internecie, próby rozniecania ognia...

– Ogień jest w głowach – przerwał jej Nazir. – Ja niczego nie robię, nie wzniecam żadnego ognia. Ogień istnieje już od dwóch pokoleń.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Ludzie płoną w ciszy. Kamery telewizyjne nie potrafią filmować umysłów.

Ja po prostu wyciągam ogień z głów na światło dzienne. We Francji widać tylko to, co się dzieje w Paryżu. Jestem reżyserem prawdy, a jeśli twoim zdaniem oznacza to sianie zamętu, wolno ci tak myśleć...

– Ale dlaczego wciągnąłeś w to swoją rodzinę?

– Nic nie wiesz o mojej rodzinie, więc się zamknij.

– Proszę cię, Nazir – ustąpiła nagle. – Nie kłóćmy się. Nie teraz.

Wziął głęboki wdech i utkwiał wzrok w samochodowej zapalnicze.

– Coś ci opowiem, bo kompletnie odlatujesz. Wyobraź sobie, ile energii musiałem włożyć w przekonywanie ludzi, udawanie, snucie intryg, w jednym dniu musiałem być dziesięcioma różnymi osobami, aż w końcu sam nie wiedziałem, kim naprawdę jestem i co czuję. Fałszywe telefony, prawdziwe sekrety. I tak miesiącami, podczas gdy cały kraj pasjonował się tym uzurpatorem, tym durniem Szawiszem... A wieczorami w ciągu całego tamtego roku co dwa, trzy dni dzwoniłem do matki. Opowiadałem jej, jak spędziłem dzień, wszystko wymyślając w trakcie rozmowy, a ona pytała: „U ciebie w porządku? Opowiedz, co porabiasz...”. Wymyślałem jakieś projekty, jakieś schlebiające jej dumie znajomości. Chciałem po prostu usłyszeć jej głos. Przy każdym kłamstwie, które akceptowała, czułem jednak, że się od niej oddalam. A przecież nadal dzwoniłem. Chciałem tylko usłyszeć jej głos, nic więcej. I chciałem, żeby się o mnie niepokoiła, bo dopóki ona niepokoiła się o mnie, ja nie musiałem niepokoić się o nią.

Na chwilę zamilkł; jego głos zmiażdżył, a pancierz zdawał się pękać.

– To jedyna osoba na świecie, którą kocham. Nigdy nie kochałem nikogo

poza matką.

Fleur przyglądała mu się ze zgrozą, a zarazem z miłością do niego i z szacunkiem dla jego synowskich uczuć.

– Tak bardzo chciałem, by była ze mnie dumna. Powiedziałem jej więc, że poza prywatną agencją ochrony w Saint-Étienne założyłem firmę public relations, że działam w kampanii wyborczej. Radość z posiadania wyimaginowanych egzystencji okazała się nie do odparcia. Za dnia okłamywałem społeczeństwo, nocami okłamywałem matkę. To gorzej niż okłamywać samego siebie. Byliśmy na podsłuchu, o czym ona oczywiście nie wiedziała. Każde jej słowo aprobaty, każda uwaga świadcząca, że uwierzyła w opowiadane przeze mnie bzdury i że nie wątpi w ich prawdziwość, były niczym włókienka oddzielające się od pępowiny, która nas łączyła. Po zakończeniu rozmowy zmieniałem kartę, stawałem przy oknie, sprawdzałem wiadomości, maile, nieodebrane połączenia... I płakałem.

– Płakałeś...

– Płakałem. Wiedziałem, że w dniu, gdy po rozmowie z nią nie rozplaczę się, będę gotów.

Nagle Nazir usłyszał potężny dźwięk instrumentu dętego, a po nim jakieś ogłoszenie przez megafon.

– Trąby! – wykrzyknął. – Przyjechali!

– Kto przyjechał? Czekaliśmy na kogoś?

– Wsiądź z samochodu i powiedz, co widzisz.

Fleur wysiadła i wyszła z lasu. W oddali, na jedynej drodze wiodącej przez nieoświetloną wioskę, ujrzała karawanę kilkunastu pojazdów.

Był to wędrowny cyrk. Z megafonu dochodziły jakieś zdania wypluwane w języku, którego Fleur nie знаła, ani po niemiecku, ani po francusku, ani po włosku, ani nawet po retoromańsku.

– Co to za cyrk? – zapytała, wsiadając do przesiąkniętego zapachem skóry samochodu.

– Nasz paszport do Włoch – odparł Nazir, klikając w smartfona.

4

Wielki Momo po raz trzeci usłyszał dzwonek komórki. Nie odbierał, bo właśnie przygotowywał sobie makaron, a gdy woda zaczęła wrzeć, zobaczył na szafce karalucha, którego dla przykładu postanowił utłuc.

Kiedy dla odmiany nieprzerwanie zaczął dzwonić telefon stacjonarny, Wielki Momo zaniepokoił się i porzucił zarówno garnek z wodą, jak i polowanie na karalucha. W słuchawce usłyszał głos Dżinna.

– Pod domem czeka na ciebie samochód, biała taksówka. Zabieraj torbę bokserką, która leży na łóżku, zabieraj psa i złaż na dół. Wsiadaj z psem do taksówki i jedź, gdzie cię zawiezie, rozumiesz?

- Ale ja jeszcze nie jadłem...
- Wyłaż natychmiast! Zaraz przyjadą gliny i wyważą drzwi!
- Gliny? Ale... dlaczego gliny?

Wielki Momo nie czekał, aż Dżinn znowu zacznie się wydzierać. Pobiegł do jego pokoju, złapał torbę i zrozumiał, że jest wypełniona bronią. Zlany potem wyniósł ją do przedpokoju i nagle przypomniał sobie stojący na gazie garnek. Wyłączył gaz, zamknął kuchnię i założył kaganiec psu, który zaczął nerwowo skakać, czując stres u swojego nowego pana.

Przed wyjściem ogarnęło go przeczucie, które kazało mu pogrzebać we własnej torbie i wyciągnąć pistolet Karima. Zamiast do torby bokserskiej włożył go do bluzy dresowej, jak w Saint-Étienne. Uginając się pod ciężarem torby, zasapany i zbyt ciepło ubrany jak na panujący upał, zbiegł na dół. Na podwórku czekała biała taksówka. Zapadł już zmrok, ale upał nie zelżał. Niebo było zachmurzone, powietrze ani drgnęło, ptaki latały nisko nad ziemią. Wielki Momo, który nigdy dotychczas nie jechał taksówką, chciał usiąść obok kierowcy.

- Przepraszam, nie przeszkadza panu, że ja z psem?
- Siadaj z tyłu, *ariul!* I pilnuj, żeby ten kundel nie włąził na siedzenie!

Wielki Momo posłusznie usiadł z tyłu. Podbródek mu drżał, a ręce zdawały się ważyć tonę. Gdy samochód ruszył, wsadził je do kieszeni bluzy i spojrzał na psa, w którego małych oczkach zaśniły czerwone, widoczne w półmroku iskierki.

Kwadrans później ludzie z Brygady Pościgowo-Interwencyjnej taranem wyważyli drzwi do mieszkania Dżinna. Dowodzący zespołem major wyjął z ucha słuchawkę i wybrał ostatni numer zapisany w komórce.

– Nic z tego, szefie. Ale garnek jest jeszcze ciepły. Moim zdaniem dopiero co wyszli.

5

Pułkownik Valérie Simonetti poprosiła sędziego Wagnera o spotkanie w cztery oczy gdzieś na mieście. Wagner zaproponował jedną z restauracji na bulwarze du Palais, ale była szefowa obstawy Szawisza wolała anonimowy pub na drugim brzegu Sekwany. Sędzia uprzedził swoich ochroniarzy, że idzie na spacer. Stawili się pod drzwiami galerii Saint-Éloi, nalegając, by te sto metrów przejechać samochodem.

Czerwone światła przy placu Saint-Michel jakby sprzysięgły się przeciw niemu.

– Na piechotę doszlibyśmy już tam i z powrotem – poskarżył się Thierry’emu.

Aqua Velva nawet nie mrugnął.

Simonetti wybrała pub, przez którego okna katedra Notre Dame była

widoczna z ukosa; do takiej perspektywy sędzieja nie był przyzwyczajony. Podobnie jak do furgonów CRS, które nie wpuszczały bukinistów na prawie całej długości nabrzeża Sekwany.

Wagner przystanął w drzwiach pubu. Za plecami miał katedrę, która zdawała się unosić w przesiąkniętym elektrycznością powietrzu. Île de la Cité dygotała jak statek, który za chwilę zatonie, zabierając ze sobą w otchłań rzeki budynki Conciergerie, prefektury policji i Pałacu Sprawiedliwości, zabierając ze sobą galerię Saint-Éloi, gabinet Wagnera, jego akta, tajemnice wojskowe i wszystkie kłopoty.

– Panie sędzio, przykro mi spotykać się z panem w takich okolicznościach.

Valérie Simonetti zrobiła na Wagnerze duże wrażenie swą atletyczną budową i żywotnością. Na jej nagim przedramieniu pulsowała potężna żyła. Valérie zamówiła perrier z cytryną i od razu przystąpiła do rzeczy:

– Takie metody to zazwyczaj nie moja bajka, ale muszę coś panu powiedzieć. Po zamachu zostałam zawieszona i wszczęto wobec mnie dochodzenie, które prowadzi Generalny Inspektorat Policji Narodowej. Chcą na mnie zwalić całą winę, a ja... – Wyprostowała się, wojowniczo zaciskając szczęki na myśl o swojej dotychczasowej służbie i poświęceniu, na jakie się godziła. – ...nie będę się uchylać od odpowiedzialności. Biorę to na siebie. Lecz mam wątpliwości, panie sędzio. Wątpliwości dotyczące majora Coûteaux, majora Auréliena Coûteaux. Już w trakcie trwania kampanii Służba Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przysłała go do GSPR i przydzieliła do ochrony deputowanego Szawisza. Takie rzeczy się zdarzają, rzadko, ale się zdarzają. Nie chciałabym jednak, by pan sądził, że kierują mną jakieś prywatne animozje. Kiedy deputowany Szawisz poprosił, żebym stanęła na czele jego ochrony osobistej, major Coûteaux znalazł się pod moimi rozkazami. Te sprawy trudno wyjaśnić, ale od początku miałam z nim zły kontakt.

– Zły kontakt?

– Panie sędzio, w ostatnią niedzielę major Coûteaux poprosił o przeniesienie do pierwszego kręgu ochrony osobistej. Odmówiłam, ponieważ czułam, że jest w stresie. Wszyscy członkowie pierwszego kręgu zostali zawieszani, nie tylko ja. Lecz majora Coûteaux po zwykłym przesłuchaniu oczyszczono z wszelkich zarzutów i obecnie kieruje ochroną osobistą córki Szawisza.

– Do czego pani zmierza?

– To tylko podejrzenia, gdyby jednak nie były tak silne, nigdy nie ośmieliłabym się zawracać panu głowy. Uważam, że powinien pan przyjrzeć się działaniom GSPR. Przydzielenie majora do ochrony Szawisza, jego zachowanie, oczyszczenie z zarzutów, dla mnie wszystko to wygląda bardzo podejrzanie, panie sędzio.

Wagner sporządzał w myślach notatki. Po zakończeniu spotkania wszedł do

rozgrzanego samochodu, wyjął z wewnętrznej kieszeni notes i zapisał całą rozmowę. Zadzwoił do Alice z prośbą, by przygotowała szkic wezwania byłego szefa GSPR.

– Musimy to utrzymać w bieżących notowaniach, Alice.

Utrzymanie w bieżących notowaniach oznaczało, że prokuratura i Lamiel nie zostaną poinformowani. Ten trop chwilowo lepiej traktować jako poufny.

Po przyjeździe na podziemny parking pod Pałacem sędzia wyskoczył z samochodu i wbiegł po schodach, zelektryzowany przebiegiem śledztwa, które jeszcze godzinę wcześniej wyglądało dość rozpaczliwie. Oficerowie ochrony z trudem dotrzymywali mu kroku na schodach prowadzących na trzecie piętro, co Wagner im wytknął lekko szyderczym tonem.

Pod drzwiami galerii Saint-Éloi przestało mu jednak być do śmiechu: naprzeciw niego stał prokurator Lamiel z miną człowieka, który właśnie przyszedł ci zaanonsować, że twoja córka zginęła w wypadku samochodowym.

– O co chodzi, Jean-Yves?

– Henri...

– Wiesz, że go zgarniamy dziś wieczorem?

– Henri...

Prokurator Lamiel osunął się na ławeczkę naprzeciw opancerzonych drzwi prowadzących do galerii. Uchylone okno wychodziło na drugie skrzydło Pałacu. Lamiel nabrał powietrza i oświadczył:

– Właśnie wychodzę od Jeantota.

– Przewodniczącego Trybunału? Ale o co chodzi?

– Dziś po południu dostał anonim.

– Zamieniam się w słuch.

– Anonim, który złożono w jego sekretariacie z dołączonym do niego drugim listem.

Wyglądało, jakby Lamiel sprawdzał przyjaciela, mierząc szczerść jego zaskoczenia. Obliznął usta.

– To donos na ciebie, Henri, wraz z żądaniem, aby sprawa zamachu na Szawisza została ci odebrana lub byś sam się z niej wycofał. Do cholery, nie rób takiej miny! Nie udawaj, że nie wiesz dlaczego!

– Na miłość boską, o co chodzi, Jean-Yves?

– O twoją córkę. Napisała list do tego szczeniaka, Abd al-Karima. Ten właśnie list został dołączony do anonimu. Którego autor napisał, że ona i troje jej przyjaciół, między innymi syn Putéolego, spędzili z nim popołudnie u ciebie w domu, Henri, tuż przed tym, jak chłopak dokonał zamachu w Grogny. Autor anonimu uważa, że z powodu twoich powiązań rodzinnych z dziewczyną podejrzanego nie może być mowy, abyś obiektywnie prowadził śledztwo i tak dalej, i tak dalej...

Złapał oddech i gwałtownie zdjął okulary.

– Do jasnej cholery, co to znaczy, Henri? Nie mogłeś mnie uprzedzić? Zdajesz sobie sprawę, że nic dla ciebie nie mogę zrobić? Radzę ci, żebyś sam się wycofał, a co do reszty... Siłą rzeczy śledztwo przejmie Rochu i nic na to nie poradzimy. Potem odchodzi na emeryturę, więc będzie chciał zamienić całą sprawę w swój łabędzi śpiew. I nie będzie to przyjemny widok...

Wagner poluzował krawat i szepnął:

– Putéoli... – I zaraz dodał, kręcąc głową: – „W pałacach zdrada...”.

Nie poświęcając już Lamielowi ani jednego spojrzenia, zszedł tymi samymi schodami, którymi poprzedniego dnia zbiegła Aurélie zachowująca się tak, jakby chciała mu coś wyznać. Z krawatem w ręce minął bez słowa oficerów ochrony, którzy dopytywali, dokąd idzie.

Odpowiedź poznali, idąc za nim: Wagner zszedł głównymi schodami, przemierzył dziedziniec i bez żadnego celu ruszył przed siebie bulwarem du Palais, ku nabrzeżu i z powrotem, chwiejnym krokiem człowieka zagubionego na mostku tonącego statku.

6

Kamienica, w której mieszkał Fu'ad, półkolem otaczała plac d'Aligre. Przez zawaaloną towarami szybę azjatyckiego supermarketu, wraz z Franprixem zajmującego cały parter, Fu'ad skrzyżował wzrok z białym mężczyzną o krótkich włosach, który po omacku sięgał po puszkę sosu sojowego. Ze spuszczoną głową wbiegł na górę. Miał wrażenie, że zwariował. Czy to możliwe, że śledzono go aż tutaj? Czy właśnie dlatego tak szybko go zwolnili z aresztu – bo chcieli go śledzić, chodzić za nim krok w krok w nadziei, że...? No właśnie, w nadziei, że co? Że uda się udowodnić związek między nim a obłędem jego brata?

Młoda kobieta, której nigdy w kamienicy nie widział, stała na jego piętrze, przed drzwiami naprzeciw jego mieszkania, machając pękiem kluczy. Miała na sobie motocyklowy kask i skórzaną kurtkę. Zauważywszy Fu'ada, odwróciła się, obciągnęła kurtkę i odchrząknęła.

– Przepraszam.

Kiedy podeszła do niego, zrozumiał, że coś się dzieje. Kobieta była jego wzrostu, emanowała z niej osobliwa, niemal groźna energia, jej obcasy stukały o posadzkę. Mimo szerokiej twarzy i kwadratowej zuchwy wydawała się nieoczekiwanie piękna. Światło zgasło. Gdy Fu'ad ponownie nacisnął włącznik, kobieta stała już twarzą w twarz z nim.

– Proszę się nie obawiać – szepnęła dziarsko. – Nazywam się Marieke, jestem dziennikarką i przyszłam pana ostrzec. Mogę wejść?

Fu'ad z trudem przełknął. Choć mówiła szeptem, jej słowa zabrzmiały zbyt głośno, a gdy otworzył usta, by jej odpowiedzieć, jego zdanie wyciekło cienkim,

ledwo słyszalnym strumyczkiem:

– Nie rozmawiam z dziennikarzami, proszę dać mi święty spokój.

– Ależ nie, pan nie rozumie – nalegała. – Nie chcę żadnego wywiadu, chcę tylko pana ostrzec, żeby pan uważał. Są sprawy, które pana przerastają, które nas wszystkich przerastają. Przygotowywałam materiał o śledztwie kontrwywiadu przeciw pańskiemu bratu. Przykro mi, że się spotykamy w takich okolicznościach...

– Do widzenia.

Fu'ad chciał otworzyć drzwi, lecz Marieke położyła dużą dłoń na klamce, nie przestając świdrować go spojrzeniem. Wyrażenie „patrzeć niebezpieczeństwu w oczy” nigdy nie wydało mu się bardziej na miejscu niż wobec tej śmiałej dziennikarki.

– Pańska rodzina będzie próbowała zrzucić na pana odpowiedzialność. Nikomu nie może pan ufać. Zauważył pan przynajmniej, że jest śledzony?

– Mam to w dupie – warknął Fu'ad, nie chcąc tracić twarzy. – Nie mam sobie nic do zarzucenia.

Nawet nie spostrzegł, kiedy zgodził się na rozmowę. Odmowa byłaby zresztą co najmniej dziwna: Marieke zachowywała się ujmująco, miała przyjemnie zachrypnięty głos i coś urzekającego w rysach twarzy, co zmuszało do tego, by na nią patrzeć i jej słuchać.

– *Sądzi* pan, że nie ma pan sobie nic do zarzucenia, ale proszę mi wierzyć: coś znajdą, żeby pana pograć. I nie mówię tylko o panu, ale również... Możemy przejść na ty?

– Nie! – ocknął się Fu'ad.

Przez twarz Marieke przemknął uśmiech, odsłaniając duże, nierówne i może właśnie dlatego urocze zęby.

– Odezwę się jeszcze – zakończyła tonem niewiarygodnie figlarnym, z wyraźnie belgijskim akcentem. – Kiedy zrozumiesz, co się dzieje, będziesz bardziej skory do współpracy, przynajmniej taką mam nadzieję...

– Bo pani oczywiście nie pracuje na niczyją korzyść – rzucił Fu'ad.

– Oczywiście, że nie! – krzyknęła Marieke, która dopiero co zaproponowała konkurencji dalszy ciąg artykułu, choć chwilowo bez odzewu. – Pracuję na korzyść prawdy, Fu'ad, na korzyść *prawdy*.

Z tymi słowami znikła na schodach, pozostawiając Fu'ada z niezrozumiałym poczuciem, że został zarazem porwany, oczarowany, odrzucony i z czegoś odarty. Sprawdzał zawartość kieszeni i pchnął drzwi kawalerki. W kieszeni bluzy znalazł wizytówkę Marieke Vandervroom, reporterki, z jej adresem e-mailowym i numerem telefonu. Po drugiej stronie napisała po prostu, mocno dociskając długopis do kartonika:

¡Call me!

Kiedy podniósł oczy znad zaproszenia na wizytówce, kawalerka zaczęła mu się jawić jak coś nierealnego. W pokoju, słabo oświetlonym gołą żarówką wiszącą w korytarzu, unosił się odór zimnego popiołu i zaniedbania. Chciał trochę posprzątać, ale najpierw postanowił się napić. W szafce została już tylko kukurydziana whisky w kamionkowym, napełnionym w trzech czwartych bukłaku.

Gdy zobaczył, że bałagan zbyt wiernie odbija się w podwójnych, przeszklonych od góry do dołu drzwiach balkonowych, zgasił światło i nalał sobie pierwszą szklaneczkę platte valley. Trunek był słomkowożółty z zielonkawymi refleksami, które pojawiały się przy zakręceniu szklanką. Fu'ad wypił jej zawartość jednym haustem i natychmiast nalał sobie drugą.

Wypiwszy czwartą, zorientował się, że twarze członków rodziny przestały mu defilować przed oczami. Piątą szklaneczkę nalał sobie nieco hojniej; długo smakował aromat trunku, wyczuwając w nim szczyptę wanilii i słodycz kukurydzy, zazdroszcząc spokoju jego wytwórcom z Missouri, którzy zapewne nigdy nie mieli do czynienia z antyterrorystycznym wymiarem sprawiedliwości.

7

Komisarz Thomas Maheut w białej koszuli z krótkimi rękawami, z fłokowaną szarżą i insygniami prefektury policji, wychodził z centrum dowodzenia w otoczeniu ludzi, którym przekazywał instrukcje. Dzięki naturalnemu autorytetowi nigdy nie musiał podnosić głosu. Swobodnym tonem właśnie rozmawiał przez telefon z Valérie Simonetti, opowiadając jej o potyczkach na placu Republiki, wokół cmentarza Père-Lachaise, a nawet przy ulicy de la Fontaine-du-Roi.

– Czegoś takiego nigdy nie było – tłumaczył. – *Zorganizowali się!* Utworzyli paramilitarną organizację. Wschodnie dzielnice miasta są w pełni zmobilizowane. W północnych policja odbiera fałszywe alarmy, które sięją dywersję. Przed chwilą wysłałem posiłki pod ratusz jedenastej dzielnicy. Chuligani podpalają samochody między Voltaire a Charonne, to jakiś obłęd, spalili nawet krzesła na tarasie Le Vidocq!

– Mój Boże, Le Vidocq...

Maheut zmarszczył brwi.

– Najgroźniej zrobiło się przy Bastylli. Dostaliśmy informację, że te dzikusy mają zamiar rozwinąć na gmachu Opery gigantyczny transparent z napisem „Sarko morderca!”. Wyobrażasz sobie? „Sarko morderca!”.

– Zatrzymaliście ich?

– Jeszcze nie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, przysięgam. Takich sił policyjnych w stolicy. GIPN, GIGN, BRI... Dieuleveult jak zwykle poszedł na całość, zastanawiam się jednak, czy nie trzeba wezwać komandosów z RAID...

Dobra, muszę iść. Czekać, ale ty jesteś gdzieś na dworze? Co tam robisz?

Rozdźwięczały się dzwony na katedrze Notre Dame. Maheut miał wrażenie, że słyszy je również w komórce Valérie. Skierował nos ku górze: wiatr zaczynał rozwiewać ciężkie chmury, które od początku tego przekłętą dnia wisiały nad miastem.

– Gdzie jesteś? – zapytał nagle.

– W twojej dzielnicy – odpowiedziała zamyślonym głosem. – Musiałam coś załatwić... sprawy sumienia...

– Dobra, jeszcze pogadamy.

Komisarz rozłączył się. Głos w słuchawce dousznej poinformował go, że prefekt policji chce się natychmiast z nim widzieć. Maheut ruszył więc schodami na górę do tej części gmachu, którą zajmował prefekt, gdzie wszystkie drzwi były wygłuszone, a podłogi pokryte grubą wykładziną. Po okazaniu dokumentu tożsamości i przejściu przez służbę z przyciemnioną szybą ruszył w towarzystwie strażników przez płataninę cichych korytarzy aż do wysokich dwuskrzydłowych drzwi prowadzących do gabinetu prefekta. Gdy zapaliła się zielona dioda, Maheut wszedł i skinieniem głowy przywitał pozostałych dyrektorów paryskiej prefektury policji.

W przypominającym pomieszczenia watykańskie gabinecie prefekta wszyscy mówili przyciszonym głosem. Gigantyczny ekran, na którym zazwyczaj nadawano informacje z bieżącego posiedzenia Rady Paryża, był tego wieczoru podzielony na cztery: na trzech prowadzono wideokonferencje, w tym jedną ze sławetną „salą”, na czwartym zaś, co ciekawe, pokazywano prognozę pogody w czasie rzeczywistym. Dieuleveult, który od czasu do czasu podchodził do okna i spoglądał na niebo nad wieżami katedry Notre Dame, nie mówił zresztą o niczym innym. Skinął na Maheuta i zapytał:

– A pańskim zdaniem, komisarzu? Będzie czy nie będzie padać?

Na wieczór zapowiadano burzę; dwie godziny później niebo stało się ciężkie i ołowiane, zaczęło wiać, ale wciąż nie spadła ani kropla deszczu. Wszyscy liczyli na to, że burza uspokoi buntownicze nastroje band chuliganów szykujących się do splądrowania stolicy.

Maheut zdał raport z ostatnich operacji swoich ludzi. Rozkazy prefekta były jednoznaczne: żaden policjant ani żandarm z departamentu Île-de-France nie miał spędzić tej nocy u siebie w domu. Najwyraźniej podwładni wzięli sobie jego słowa do serca. Maheut myślał o tych wszystkich, którzy od niedzieli wieczór tkwili na stanowiskach. Z ust dyrektora gabinetu prefekta dowiedział się, że podjęto decyzję, aby do śmigłowców patrolujących ruchy tłumów na wielkich arteriach miasta dołączył sterowiec o długości siedemdziesięciu pięciu metrów, czyli wielkości Airbusa A380. Wyposażony w kamery satelitarne sterowiec w ciągu pół godziny przelatywał nad miastem, przekazując obraz do podziemnego centrum dowodzenia,

którym kierował Maheut. Dyrektor gabinetu kończył właśnie briefing, gdy potężna błyskawica rozdarła niebo nad Île de la Cité; po chwili rozległ się dźwięk, na który wszyscy od wielu godzin czekali: grzmot pioruna. Jakby Bóg z szeroko otwartymi oczami zbiegał po schodach nieba.

Cichy głos oświadczył, że nadszedł czas. Stojąc z założonymi za plecy rękami przy olbrzymim oknie swego zamczyska, Dieuleveult przytaknął. Spojrzał na Maheuta znaczącym wzrokiem, który wiele mówił o spoczywającej na nim odpowiedzialności, po czym kazał mu przystąpić do działań, wypowiadając zaledwie dwa słowa, które zdawały się dobywać prosto z jego wnętrzości:

– Zmiażdżyć ich!

8

W tym samym czasie, gdy sterowiec zbliżał się do francuskiej stolicy, Nazir w mieszaninie włoskiego, francuskiego i niemieckiego negocjował z dyrektorem wędrownego cyrku, na który czekał od rana. Dyrektor był łyсы, miał wystającą żuchwę i profil à la Mussolini. Słuchając słów Nazira, bez śladu zażenowania taksował Fleur wzrokiem.

Po dziesięciu minutach obrócił się na pięcie. Nazir skinął na Fleur, żeby trzymała się blisko niego, i ruszył za rozmówcą. Z olbrzymiej ciężarówki na końcu karawany dobywał się tak obrzydliwy smród, że Fleur stanęła jak wryta.

– Co tak cuchnie?

– Zaczekaj tu na mnie – odparł Nazir.

Fleur patrzyła, jak Nazir wsiada do ciężarówki od strony pasażera. Po kilku minutach wysiadł i bez słowa zaprowadził ją do samochodu, prosząc, by się rozejrzała, czy nikt ich nie śledzi. Następnie, upchnąwszy kilka plików banknotów do plastikowej torby, usiadł obok niej na przednim siedzeniu.

– Jedziemy? – zapytała zaniepokojona Fleur, która niczego nie rozumiała. – Wszystko w porządku? Możemy już spadać?

Nazir obrócił się ku niej i ujął jej załęknioną twarz w swe smukłe dłonie gestem tak męskim i ciepłym, że dziewczynie odebrało dech w piersiach.

– Musisz być teraz odważna, Fleur – powiedział miękko. – Będziemy przejeżdżać przez granicę, to będzie bardzo trudne, musisz znaleźć w sobie więcej odwagi niż kiedykolwiek...

Nabrał powietrza; mięśnie jego twarzy drgały, jakby po wielu latach snu pod skórą przebudził się jakiś gad.

– Ufasz mi, prawda?

Fleur zmrużyła oczy, żeby nie wybuchnąć płaczem. Jej ozdobiony ślicznym dołeczkiem podbródek skinął z góry na dół: tak, ufała mu.

W tej samej chwili Dżinn wjechał w ulicę d'Austerlitz: wąska jezdnia, jeszcze węższe chodniki, kilkanaście stojących obok siebie hoteli, z których część

nie miała ani jednej gwiazdki, a co najmniej dwa wynajmowały pokoje na godziny. Gdyby zaparkował na środku ulicy, ktoś mógłby zwrócić na niego uwagę: z powodu pojemników na śmieci zawalających chodniki nawet skuter nie mógłby go wyminąć. Dżinn objechał więc kwartał domów, aż w końcu na równoległej ulicy znalazł miejsce, które nie było zarezerwowane dla niepełnosprawnych. Zgasił światła i wyłączył silnik.

Wszedł na czwarte piętro pod numerem siedemnastym na ulicy d'Austerlitz, gdzie znalazł się w dwunastometrowej kawalerce, po której potrząsając głową, krążył Romain; poza nim zobaczył tam młodą kobietę z zasłoniętą twarzą, pochylającą się nad ekranem notebooka. W małym pomieszczeniu z aneksem kuchennym stało jednoosobowe łóżko; toalety nie było, prawdopodobnie znajdowała się na klatce schodowej. Wiszące pod sufitem kanciaste szafki nadawały całości wygląd kabiny okrętowej, a może to Dżinnowi kręciło się w głowie – jak tu się zorientować, czy to on się chwieje, czy świat wokół niego?

– Tam się dzieją rzeczy niesamowite, po prostu niesamowite, nigdy czegoś takiego nie było, oni dostaną szau, zobaczysz, dostaną szau...

Straszliwie pobudzony Romain niezgrabnie wymachiwał ramionami. Nigdy nie był tak błądy i nie mówił z takim uniesieniem.

– Torby są w szafkach na górze? – zapytał Dżinn, chcąc pokazać, że jest skupiony na osiągnięciu celu.

Romain nie usłyszał: z zewnątrz, chyba z hotelu po drugiej stronie ulicy, dobiegły dziwne damskie krzyki.

– Jesteśmy w samym oku cyklonu – ciągnął z emfazą. – Ludzie wszędzie powstają. Masz pojęcie, co się dzieje?

Teraz Dżinn wyraźnie słyszał damskie krzyki przerywane westchnieniami i jękami rozkoszy. Romain też je w końcu usłyszał i zaczerwienił się, gdy do niego dotarło, o co chodzi.

Kobieta z zasłoniętą twarzą bez słowa wpatrywała się w ekran notebooka, bezskutecznie próbując poprawić kąt nachylenia.

– Co to za dziewczyna? – zapytał Dżinn półgłosem.

– Jest z nami – odpowiedział Romain, chwytając Dżinna za łokieć.

– Ale co ona robi?

– Pracuje w bibliotece, ale jest z nami – powtórzył Romain. – Na pierwszy rzut oka nie widać, ale ona też jest skrytobójczynią.

– Skrytobójczynią?

Dżinn odczuwał skrępowanie nie tylko na widok efektu, jaki zmysłowe jęki z hotelu naprzeciwko wywoływały na twarzy Romaina, lecz również bezwstydu, z jakim ten ostatni próbował naśladować Nazira w jego chwilach najwyższej żarliwości, które każdego potrafiły pozbawić wszelkich skrupułów – tyle że Romain ze swoim schizofrenicznym gadulstwem nie był w stanie przekonać

nikogo, nawet siebie samego.

– Ludzie sztylety – prychnął Romain, podczas gdy oddech kobiety przyspieszył, a Dżinn znalazł pod łóżkiem torby z bronią, którą miał rozdzielić między swoich kumpli skrytobójców, ludzi sztylety, żydowskich innowierców pragnących wygnać Rzymian z Judei.

– No i?

– „No i?” – powtórzył za nim Romain, parszając suchym śmiechem i wydmuchując nozdrzami powietrze. – Nazir ich ponownie powołał do życia! Takie właśnie „no i”! To ty, ja, my. Nie mamy sztyletów, ale mamy pistolety. Jesteśmy wszędzie, oni są wszędzie, trzymają się w cieniu, pokonane serca, którym on przywrócił dech, złamane życia, które on ponownie uzbroił! Jesteśmy! Paryżu *intra-muros*, nadchodzimy! Rozejrzyj się wokół siebie: coś się skończyło, coś się zaczyna!

– Aha – mruknął Dżinn, przyglądając się grawerowanej kolbie jednego z pistoletów, które wyjął z torby.

Jednak Romain nie ośmielał się dodać ani słowa: okrzyki rozkoszy narastały straszliwym crescendo jęków i westchnień, aż do ostatniego dzikiego skowytu, eksplozji orgazmu, która go upokorzyła i sparaliżowała, gdyż nie potrafił jej zignorować.

– Dobra – rzucił w wilgotnej, niezdrowej atmosferze, która zapadła po tym rozdierającym krzyku. – Nie mamy już czasu. Kazał mi przekazać, że ma do was zaufanie. Kazał mi *tobie* przekazać, że ma do was zaufanie, Dżinn. Nie rozczarujcie go, dobra?

Rozdział 13

Intra-muros

1

Paryż nie był już niczym innym jak tylko wyjącmi syrenami, płonącymi samochodami i pojemnikami na śmieci, szturmami prowadzonymi przez oddziały CRS, nieuzasadnionym lub uzasadnionym legitymowaniem przechodniów nieprzestrzegających godziny policyjnej, o której informacja ze strony prefektury policji przebiła się do mediów zbyt słabo lub zbyt późno. Podczas gdy koszary w Paryżu i sąsiednich departamentach pustoszały równie prędko jak ulice miasta, ośmio-, dziesięcioosobowe grupki cieni w kominiarkach spotykały się w wyznaczonych miejscach i podpalały wszystko, co napotkały na swej drodze. Grupki nigdy nie były liczniejsze, choć czasem bywały mniej liczne, jak się na własnej skórze przekonał Tristan Putéoli, gdy wracał skuterem od Nica mieszkającego przy ulicy Oberkampf, gdzie do upadłego grali na Nintendo Wii.

Kiedy jechał bulwarem Beaumarchais w kierunku Bastylli, wyminęła go kolumna furgonów CRS na sygnale. Zjechał na ścieżkę rowerową, gdzie zderzył się z nadjeżdżającym vélibem i stracił kontrolę nad skuterem. Od upadku doznał tylko paru zadrapań, ale skuter zakończył podróż na parkomacie i był w dość opłakanym stanie.

Rowerzysta machnął ręką na véliba i rzucił się do ucieczki. Tristan krzyknął za nim, lecz nagle na końcu bulwaru, u stóp Kolumny Lipcowej, zobaczył kłęby gazu łzawiącego. Gdy zastanawiał się, co począć z rozbitym skuterem, z poprzecznej ulicy wybiegło pięć zakapturzonych postaci z czarnymi szalikami przy ustach. Oddziały CRS znajdowały się daleko przed nim, na placu Bastylli, i Tristan nie widział nikogo, kto w razie napadu mógłby mu pośpieszyć z pomocą.

Zdjął kask i postanowił przejść na drugą stronę bulwaru w kierunku ulicy des Francs-Bourgeois i placu des Vosges. Z rękami w kieszeniach wyglądał na licealistę wracającego do domu po lekko zakrapianej imprezie. Lecz miał gołą głowę i blond włosy. Nagle zdał sobie sprawę, że w tej jasno oświetlonej, eleganckiej dzielnicy jego włosy są idealnie widoczne; tamtych pięciu chuliganów z daleka ruszyło w jego kierunku.

Przyśpieszył kroku, ale w obawie przed katastrofą nie ośmielił się puścić biegiem. Dyskretnie wybrał numer policji, lecz nikt nie odbierał. Wszystkie centraliki były zajęte. Do Tristana dotarło, że koszmar dopiero się zaczyna.

Zadzwoiła Aurélie. Nie miał z nią kontaktu od numeru z listem, który jej wyciął, a ona wybrała właśnie ten moment, żeby do niego dzwonić z awanturą. Zadyszany od forsownego marszu odebrał już po pierwszym dzwonku, aż nadto szczęśliwy, że będzie miał czym dodać sobie animuszu, gdy tamci go dopadną. Nie

musi się do nich odzywać, nie musi ich „prowokować” spojrzeniem; może po prostu skorzystać z pretekstu i pogрузić się w bardzo ważnej rozmowie.

Lecz Aurélie milczała.

– Aurélie, to nie jest dobry moment, żeby mnie opieprzać. Kurwa, gonią mnie jakieś łobuzy, a ja nie mogę się dodzwonić na policję. Aurélie, słyszysz mnie?

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, co narobiłeś, debilu?

– Aurélie, przysięgam, to nie jest dobry mo...

– Mój ojciec musiał się wycofać z prowadzenia sprawy. Wiesz, co to znaczy? Jego kariera jest skończona. Wszystko szlag trafił. Wszystko. Dociera do ciebie?

Tamci ruszyli biegiem, chowając się pod arkadami na przeciwległym chodniku. Łomotali po zwiniętych żaluzjach sklepów, rozbijali lusterka stojących im na drodze samochodów.

Tristan postanowił zagrać *va banque*.

– O czym ty mówisz? Wycofać się? Co ja takiego zrobiłem?

– Co zrobiłeś? Co zrobiłeś?! – wrzasnęła Aurélie. – Ukradłeś list, który napisałam do Karima, i wysłałeś anonim z donosem, że spędziliśmy w jego towarzystwie popołudnie, zanim dokonał zamachu. Oto, co zrobiłeś, debilu.

– To nie ja, Aurélie, to mój ojciec! Przysięgam, że to mój ojciec!

– Są granice debilizmu. Tu już nie chodzi o jakieś historie z gołymi dupami ani o pokazywanie na imprezie głównianego nagrania wideo, na którym jakaś laska ci obciąża...

Jeden z chuliganów coś krzyknął w jego kierunku. Tristan nie ośmielał się powiedzieć ani słowa więcej. Stał przed zamkniętą bramą parku na placu des Vosges.

– Poczekaj – powiedział, udając, że się koncentruje na jej słowach. – Poczekaj.

– Te, blondasku! – krzyknął tamten. – Chodź tu, szczeniaku! Dawaj komórkę! Co ty tam masz, iPhone’a? Pożyczysz mi?

Jeden z jego kumpli zbierał po uszach od pozostałych: choć udało mu się w końcu podpalić butelkę z benzyną, nie wiedział, w którym kierunku celować. Z bulwaru Beaumarchais dobiegło wycie syren.

Tristan podniósł głowę i przesunął wzrokiem po szybach, niewiarygodnie wysokich, lecz rozpaczliwie ciemnych, wyglądających jak oczy Cyklopa oprawione w eleganckie ściany z różowej cegły.

Jeden z chuliganów zniecka podciął mu nogi. Tristan upadł, a jego iPhone poturlał się do rynsztoka. Chciał wstać i zasłonić się kaskiem, lecz tamci uciekli. Nie z powodu radiowozów i wozu straży pożarnej, które nadjechały dopiero po minucie, ale dlatego, że wykonali to, po co przyszli: rzucony przez jednego z nich

koktajl Mołotowa trafił w okno budynku na dawnym Placu Królewskim. Bez wątpienia płomienie nie mogły ogarnąć wszystkich budynków wokół placu, ale to właśnie ujrzał oczyma wyobraźni Tristan, który zaczął mierzyć sobie puls, żeby choć trochę rozwiać strach – stojący w płomieniach plac des Vosges.

Wyciągnął komórkę z rynsztoka i uniósł głowę. Podeszło do niego paru policjantów, żeby zapytać, co się stało; nad dzielnicą Marais latały dwa śmigłowce i unosił się gigantyczny cień czegoś, co przypominało statek kosmitów. Potężnymi reflektorami omiały cynkowe dachy, łupkowe kopuły i wąskie, wykute w kamieniu uliczki Marais. Z ich głośników dobiegał straszliwy hałas, jakieś instrukcje, których siedząca przed telewizorami ludność Paryża i tak nie słyszała.

2

Dunja, Rabi'a i Luna skończyły jeść lody, po czym ignorując rady Fu'ada i mecenasa Szafrana, poszły na spacer do centrum. W drodze powrotnej przystanąły u stóp schodów prowadzących na ich ulicę, sparaliżowane gwałtownym, szalonym, niepohamowanym napadem śmiechu. W sąsiedniej knajpie odbywała się impreza karaoke dla pracowników jakiegoś banku. Jeden z nich, mały krępy człowieczek o dużej głowie, zakończył wieczór niezwykłym występem: koledzy zmusili go do zaśpiewania przeboju Patricii Kaas *Il me dit que je suis belle*. A on zaśpiewał to najbardziej nieoczekiwanym głosem, jaki mógł się wydobyć z tego ciała: ciepłym, lirycznym, a przede wszystkim niezwykle wysokim.

– Mówcie, co chcecie, ale pięknie śpiewał, prawda?

Dunja nie była w stanie wydusić ani słowa; stała jak wmurowana i tak się śmiała, że żyły na jej szyi omal nie pękły. Rabi'a zaczęła podśpiewywać, naśladowując głos i tremola doradcy handlowego:

– *Il me dit que je suis be-e-elle...*

– Przestań! Przestań, bo się posikam! Przysięgam, że jak nie przestaniesz, to się posikam...

Luna patrzyła na matkę i ciotkę z nieco zdeorientowanym uśmiechem na ustach.

Rabi'a podniosła wzrok i parasolkę, spoglądając na dziesiątki stopni, które będą musiały pokonać, jak już im minie napad wesołości.

Nagle jej uśmiech zamarł, zmieniając się w grymas przerażenia. Dunja, przestraszona nagłym milczeniem siostry, chwyciła ją za rękaw.

– Rab'?' – zapytała głosem, w którym jeszcze pobrzmiwał śmiech. – Co się dzieje?

Spojrzała w kierunku, w którym patrzyła jej siostra, i uniosła dłoń do rozchylnych ust. U szczytu schodów banda łobuzów w kominiarkach usiłowała zepchnąć w dół płonący kontener.

– Co oni robią? Luna, chodź tu natychmiast!

– Zrzuć go!

I faktycznie. Kontener zachwiał się i runął w dół po pierwszym ciągu schodów, zatrzymując się na krzaku i stojącej obok staroświeckiej latarni. Pod ciężarem kontenera latarnia wygięła się, ale nie złamała. Nastąpiło coś gorszego: krzak zajął się ogniem, który rozprzestrzenił się na słomiane zadaszenie tarasu jednego z eleganckich budynków mieszkalnych.

Dunja nie zdążyła wybrać numeru straży pożarnej, gdy z końca ulicy dobiegło wycie syren.

Dwa radiowozy śmignęły obok Dunji, Rabi'i i Luny, które nie ośmiały się ruszyć z miejsca. Z dwóch kolejnych pojazdów, tym razem nieoznakowanych, wysiadła grupa funkcjonariuszy po cywilnemu, którzy trzem kobietom kazali natychmiast wracać do domu i pobiegli schodami w górę.

Po chwili pojawił się jadący pod prąd samochód straży miejskiej. Kierowca odkręcił szybę i powiedział do Rabi'i:

– Niech panie idą do domu, tu jest bardzo niebezpiecznie.

– Ale my mieszkamy tam na górze, proszę pana. Tuż za szczytem wzgórza, przy ulicy prowadzącej na cmentarz.

Strażnik zamienił kilka słów ze swoją koleżanką i powiedział:

– Wsiadajcie, odwieziemy was.

– Co się dzieje, proszę pana? – zapytała Rabi'a, zatraskując drzwi. – Już nawet w centrum są rozruchy?

– Jak pani widzi – odpowiedziała strażniczka rozgoryczonym tonem.

Gdy wysiadły pod domem, zobaczyły policyjny śmigłowiec krążący po deszczowym niebie nad wzgórzem Montreynaud.

– Zobacz – wymamrotała Rabi'a. – Leci nad centrum! *Wa-Allah*, zupełnie jakby wybuchła wojna...

Z końca ulicy dobiegły krzyki. Dunja zmusiła siostrę i siostrzenicę, żeby bez chwili zwłoki weszły do domu, a następnie postąpiła zgodnie z radą strażnika, który je podwiózł: zamknęła wszystkie zamki w drzwiach wejściowych i okiennice na parterze.

3

Wielki Momo spotkał się z Dżinnem u stóp schodów, gdzie spali kloszardzi. Dżinn złapał torbę i szelki pitbulla, po czym ruszył schodami w górę, na prawo i lewo rozdając pijakom kopniaki. Schody zaczynały się przy ulicy i prowadziły do alei parkowej zawieszanej kilka metrów nad nią. Aby uniknąć elektronicznej kontroli policyjnej, Dżinn porozumiewał się ze swoimi bojownikami, używając prehistorycznych pagerów motorola tattoo, które kupił na eBayu. Gdy już obaj ukryli się w kępie bambusów, sprawdził zawartość torby i zaczął ładować pistolety,

jednocześnie wykonując serię ćwiczeń oddechowych.

Wielki Momo zapytał, co tu właściwie robią. Kuzyn chciał mu szeptem odpowiedzieć, żeby zamknął jadaczkę, ale jego chrapliwy głos nie znał czegoś takiego jak szept.

– Pilnujesz psa i nie ruszasz się stąd o krok. Jak dam sygnał, ze wszystkich stron placu zjawiają się chłopaki. Siedzisz tu z psem i uważasz na spluwy. To tyle. Powiedz tylko jedno słowo, a rozkwaszę ci gębę.

Wielki Momo chciał uciec, ostrzec policję, wrócić do swojego owczarka niemieckiego i rozgrywek *Call of Duty* w piwnicy u Karima. Zamiast tego wziął do ręki dziewiątkę, taką samą jak te, na których ćwiczyli strzelanie – dawała mu żłudną pewność, że w razie czego będzie bezpieczny.

4

Karim potrafiłby rozpoznać każdą z nut, ale nie Fu'ad. Najpierw organki i fortepian, potem głos, który śpiewa o trzaskających drzwiach z siatką przeciw owadom. Gdy chwiejnie podnosił się z fotela, w radiu właśnie leciał przebój Bruce'a Springsteena *Thunder Road*; zdał sobie sprawę, że od lat go nie słyszał, a przecież przez całe życie była to jego ulubiona piosenka.

The screen door slams,

Mary's dress sways...

Zamiast jednak utożsamić Mary z piosenki Springsteena z Jasminą (dlaczego zresztą miałby to robić, przecież Jasmina pochodziła z dobrej dzielnicy), zaczął rozmyślać o Nazirze. Zbyt wiele wlał w siebie alkoholu, żeby móc stwierdzić, czy myśli o nim, bo dzięki niemu poznał tę piosenkę, czy z jakiegoś innego, mniej oczywistego powodu. Jako nastolatki wymieniali się płytami CD bez słowa komentarza lub z lakonicznym: „posłuchaj tego”. A teraz, dziesięć czy piętnaście lat później, zachowywał się jak jakaś głupia panienka, której się wydaje, że melancholijny przebój sezonu tylko do niej jest adresowany: płakał, słuchając, jak wielki Bruce śpiewa o wyboistej drodze, jaką on i jego brat również musieli pokonać, by uciec z dziury, w której się urodzili...

Piosenka trwała zaledwie parę minut, ale w tym czasie powróciła do niego cała młodość. Nie w postaci konkretnych chwil, lecz jako strzępy pejzażu. Zawsze w zimowych barwach.

Saint-Étienne, New Jersey: długa droga obrzeżona kominami fabrycznymi, sterty liści na boisku liceum, kładki nad nieużywanymi torami kolejowymi, zapuszczone łąki, a przy każdej z nich Nazir tłumaczący ostatnie słowa wykrzykiwane przez Bruce'a Springsteena:

It's a town full of losers

And I'm pulling out of here to win!

Saksofon wznosił się nad przepelniającym utwór gniewem, fortepian grał wirtuozersko, ale przed dramatycznym końcowym decrescendo piosenka gwałtownie urwała się.

Kiedy przesłodzony głos prezentera idioty zapowiedział następny utwór, Fu'ad rzucił się w kierunku radia i zaczął gorączkowo wrywać kable, w końcu zwalając odbiornik na podłogę.

Chciał zadzwonić do Saint-Étienne, aby się upewnić, że wszyscy są bezpieczni, a jego miasto loserów nadal istnieje. Jednak nie był jeszcze na tyle pijany, by sądzić, że jest trzeźwy. Duszkciem wypił butelkę wody mineralnej i włączył telewizor. Na kanałach informacyjnych mówiono tylko o Paryżu, obficie serwując obrazy sterowca, który niczym jakiś bajkowy stwór szybował nad stolicą. Zgasił telewizor i wyszedł na balkon. Z ostatniego piętra mógł podziwiać zygzaki błyskawic na ułamek sekundy przesywające niebo, które po chwili zapadało się w mroczne kłębowisko chmur i elektryczności. Grzmoty rozbrzmiewały coraz gęściej, lecz ani jedna kropla wody nie spadała na plac, choć Fu'ad co chwila wpatrywał się w światło latarni.

Nagle usłyszał wibrowanie komórki, którą zostawił na stoliku w pokoju. Zanim zobaczył nazwisko nadawcy, już wiedział, że to ona. Pisała:

Dostałam twój list, nigdy w życiu nie byłam tak wzruszona, chcę się z tobą spotkać dziś wieczorem.

Nie bez udziału whisky Fu'ad postanowił przestać sobie stawiać miliony pytań i wykazać się odrobiną spontaniczności, za którą wszyscy tak go kochali. Wyszukał na liście kontaktów literę J i ze ściśniętym gardłem, choć ze spokojem w sercu, nacisnął zielony przycisk.

– Jasmina?

W jej oczach zalśniły łzy.

5

Pod gmachem Opery na placu Bastylli stało kilkanaście pojazdów sił porządkowych, w tym wyposażony w armatkę wodną wóz bojowy do tłumienia zamieszek ulicznych oraz opancerzony jak czołg pojazd Brygady Pościgowo-Interwencyjnej z aparaturą komputerową na pokładzie. Stojący przed owym triceratopsem o skórze z błyszczącego czarnego metalu kapral CRS rozglądał się czujnie wokół i postukiwał palcami w charakterystyczną czerwoną blachę swojej formacji wiszącą mu na piersiach; najwyraźniej nie mógł się doczekać, aż prefektura policji skieruje go gdzieś na scenę działań wojennych.

Podczas gdy zamontowana w pojeździe BRI radiostacja wypluwała

wiadomości o gwałtownych starciach na placu Republiki lub Polach Elizejskich, kapralowi przydzielono zadanie ochrony miejsca, które według służb wywiadowczych mogło się stać celem ataku, tyle że od dwóch godzin poza jakąś małą grupką gapiów pies z kulawą nogą tu się nie pojawił.

Kapral wyjął walkie-talkie i poprosił o połączenie z komisarzem Maheutem, który kazał mu pozostać na posterunku.

– Ale tu się nic nie dzieje!

– Kapralu – przerwał mu komisarz. – Żadnych przegrupowań bez mojego wyraźnego sygnału. Bez odbioru.

Nie mogąc znieść bezczynności, kapral wziął dwóch ludzi i ruszył wokół gmachu Opery, by sprawdzić wjazd do podziemnego parkingu. Wydało mu się, że gdzieś wyżej dostrzega ruch, więc podniósł wzrok. Nad nimi w kierunku Sekwany przelatywał śmigłowiec. Sto metrów za ostatnim furgonem zaczynała się obrzeżona drzewami promenada. Na noc była zamykana, ale kapral wiedziony przeczuciem uznał, że widzi poruszające się drzewa.

– To tylko wiatr, szefie.

Cieniutki głos szeregowca Fréda, którego ostatnio przydzielono do jego jednostki, działał kapralowi na nerwy. Frédo z trudem oddychał w ciężkim stroju bojowym. Jego drobna twarz była ledwo widoczna w hełmie, nadając mu wygląd podrzędnego aktorzyzny grającego w dokumencie pod tytułem *Jeden dzień z życia funkcjonariusza CRS*, do którego dopiero teraz dotarło, jak bardzo nie potrafi sobie poradzić z przemocą nieodłącznie związaną z tym zawodem.

– Szefie?

Frédo niechętnie kroczył za swoim przełożonym. Weszli po schodach prowadzących do bramy promenady, podczas gdy drugi szeregowiec biorący udział w ekspedycji pilnował skrzyżowania ulicy de Lyon i alei Daumesnil. Wszyscy trzej mieli na sobie stroje bojowe: rangersy, kamizelki kuloodporne, spodnie i kurtki z niepalnego materiału, żeby nie odnieść oparzeń od koktajli Mołotowa, oraz hełmy ochronne z wyściółką z pianki na wysokości karku, by w razie uderzenia uniknąć urazu kręgów szyjnych. Byli wyposażeni w tonfy, tasery i flash-balle, którymi zaczęli wymachiwać na wszystkie strony, kiedy odkryli, że wysoka metalowa brama zamykająca wejście do parku została wyważona. Nad przeciętymi kłódkami podwójne lufy flash-balli natrafiły na długi korytarz między dwoma szpalerami tak gęstej roślinności, że światło latarni docierało tu z sąsiedniej ulicy zaledwie w postaci wąskich żółtych promieni, które niczego wokół siebie nie oświetlały.

6

W samochodzie jadącym sto osiemdziesiąt na godzinę autostradą A4 Mansourd zorientował się, że drżą mu ręce. Poczuł, że jego mózg potrzebuje odpoczynku; machinalnie przejrzał listę nieodebranych połączeń na szyfrowanym

telefonie i zobaczył, że wpisując nazwisko sędziego Rochu, niechcący dodał na końcu literę J, co zapewne dawało się wyjaśnić przezwiskiem, jakim go obdarzył na własny użytek. „Rochujek” dopiero co przejął po Wagnerze sprawę Szawisza, którą miał prowadzić razem z sędzią Poussinem. Choć Mansour nie żywił do Potwora z Saint-Éloi nadmiernie ciepłych uczuć, musiał jednak przyznać, że jest on bardziej elastyczny i skłonny do zgody na tajne operacje niż sędzia Wagner.

W podziemiach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych siedział Montesquiou, nie przestając nerwowo głaskać gałki swojej laski. W futurystycznej sali międzyresortowego centrum antykryzysowego, gdzie dwa dni wcześniej iście po napoleońsku upokorzyła największe osobistości policji, które dopuściły do tego, by strzelano do kandydata na prezydenta, Vermorel przeglądała nadesłane raporty.

Na gigantycznym ekranie z wyciszonym głosem leciało kilka kanałów informacyjnych. W półmroku przemykali pracownicy; od czasu do czasu któryś przynosił kolejny karteluszek lub dokument z najnowszymi informacjami o liczbie spalonych aut. Gdy liczba ta przekroczyła tysiąc pięćset w samym Paryżu *intra-muros*, minister zdenerwowała się. Montesquiou poczuł, że powinien coś powiedzieć. Spojrzał na róg ekranu, gdzie właśnie pojawił się hełm kaprała prowadzącego misję rozpoznawczą.

– Najważniejsze, że dotychczas obyło się bez ofiar śmiertelnych. Dwie noce tak ostrych zamieszek bez ofiar to dobra informacja dla prezydenta.

Z kolejnego karteluszek minister dowiedziała się, że prezydent pragnie być na bieżąco informowany o przebiegu operacji.

– Coś nowego ze szczeniakiem? – zapytała półgłosem, nie przerywając lektury.

Montesquiou machinalnie sprawdził, czy list nadal tkwi w wewnętrznej kieszeni marynarki. Był to oryginał listu Aurélie do Karima: dwie naiwne i pachnące kartki papieru, które mu wręczył Putéoli, bez wątpienia licząc na rewanż.

– Wydaje mi się, że mam sposób, aby go skłonić do mówienia – odpowiedział młody szef gabinetu.

7

– Zwątpiłam, Fu’ad, powiedziano mi, że jesteś w zмовie z bratem, że cię przesłuchują. Zwątpiłam w ciebie.

– To normalne, kochanie. Każdy by zwątpił. Każdy.

Fu’ad z trudem trzymał telefon przy uchu i artykułował pełne zdania. Bezwiednie przestępował z nogi na nogę.

– Ale nie ty. Ty byś nigdy we mnie nie zwątpił. Doznałam objawienia, Fu’ad. Nie wiem, jak to wyjaśnić, byłam w kościele i zrozumiałam... wszystko zrozumiałam... Miłość! To jedyne, co się liczy. Miłość! Tak bardzo za tobą

tęskniłam, najdroższy. Tak bardzo tęskniłam...

– Co robisz, Jasmino? Gdzie jesteś? Mogę przyjechać?

– To niemożliwe – odparła Jasmina, pociągając nosem. – Ulice są zablokowane, wszędzie policja, taksówki przestały jeździć.

Zamknęła oczy, by powstrzymać kolejną falę łez, i oznajmiła:

– Przyjadę po ciebie. Przygotuj się.

Przez dziesięć minut musiała walczyć z majorem Coûteaux. Mowy nie ma, żeby wieczorem wychodziła z domu. Nawet jeśli major się zgodzi, jednostka CRS blokująca dojazd do jej ulicy nie przepuści żadnego samochodu.

Jasmina zadzwoniła do Vogela, Habiba, w końcu do matki, która ostatecznie ustąpiła. Dlaczego? Jasmina nie miała pojęcia i trochę ją to niepokoiło: łatwość, z jaką matka przystała na jej prośbę, jej dziwnie zrezygnowany ton... Czyżby się *poddawała*?

Wezwano dwa dodatkowe samochody. Przygotowania zajęły pół godziny, po czym kolumna pojazdów ruszyła wzdłuż kanału Saint-Martin w kierunku placu d'Aligre.

8

Aurélie siedziała na łóżku, zatykając sobie uszy, żeby nie słyszeć gwałtownej kłótni między rodzicami w pokoju muzycznym na drugim końcu mieszkania. Gdy w końcu krzyki ustały, spróbowała sobie przypomnieć, co napisała w liście, który jej ukradziono, chcąc go napisać jeszcze raz. Im bardziej jednak usiłowała odtworzyć własne słowa, tym bardziej miała kłopot z napisaniem czegokolwiek.

Zmięła kilka kartek papieru, zanim zdecydowała się na napisanie listu całkiem od nowa. Ten nowy list zaczynał się od Bandol, od poprzedniego lata, od morza, oleandrów i pinii, od gęstej, już żółknącej winorośli obrastającej taras, na którym przesiadywali codziennie po południu. W nagłym przypływie natchnienia Aurélie przypomniła sobie, że często widywała Karima siedzącego w milczeniu, jakby chciał zatrzymać czas, bezwiednie nucącego pod nosem jakieś ledwo słyszalne melodie i – co jeszcze dziwniejsze – dziobiącego słomką cętki światła, które słońce rzucało na obrus, zanim zatoneło w bujnej winorośli. Tymczasem ona, owinięta turkusowym pareo, wdawała się w pogawędki o wszystkim, a zwłaszcza o niczym, z nagimi torsami, które lgnęły do niej jak muchy do miodu.

Ponownie zmięła papier, wzięła kolejną kartkę i też ją zmięła, nie napisawszy nawet jednego słowa.

Na drugim końcu mieszkania rodzice znowu zaczęli się kłócić. Poirytowana Aurélie wysunęła w ich kierunku język. Matka siadła do fortepianu i zaczęła grać fortissimo, żeby zagłuszyć wyjaśnienia i lamenty ojca.

– Kurwa – syknęła Aurélie, wychodząc na balkon. – Kurwa żeż jasna mać...

Spróbowała zadzwonić do Nica. Kiedy się zorientowała, że ktoś jej ukradł list, parokrotnie zostawiała mu wiadomości, ale ani razu nie oddzwonił. Tym razem głos z taśmy zawiadomił ją, że numer, pod który dzwoni, jest nieaktualny.

9

Fu'ad przebrał się: z powrotem włożył swoje codzienne ubranie i najładniejszą białą koszulę. Na rogu placu targowego zobaczył dwa czarne pojazdy. Kilku facetów ze słuchawkami w uchu wysiadło i zaczęło sprawdzać wszystkie wjazdy na plac i wejścia do zamkniętych sklepów. Następnie weszli do jego kamienicy i zapukali do drzwi. Fu'ad był do tej procedury przyzwyczajony, wpuścił ich więc i pozwolił sprawdzić mieszkanie. Piętnaście minut po tej wstępnej wizycie samochód wiozący Jasmine zatrzymał się u wejścia do kamienicy. Panna VIP, jak ją nazywali ochroniarze, weszła pod eskortą na ostatnie piętro. Trzy radiowozy blokowały wjazd na plac, dwa samochody należące do obstawy Jasmine stały z włączonymi silnikami, na wypadek gdyby pojawiła się potrzeba natychmiastowej ewakuacji. Nie były to zwykłe środki ochrony członka rodziny zagrożonej osobistości, ale po zamachu na Szawisza tyle głów poleciało w GSPR, że żadne środki ostrożności nie wydawały się zbyt dobre.

Major Coûteaux zastukał do uchylonych drzwi mieszkania Fu'ada. Jasmina patrzyła na ukochanego oczami pełnymi łez, podczas gdy jej osobisty ochroniarz jeszcze raz sprawdzał mieszkanie. Przyglądając się Jasmine, jakby jej nie widział od lat, Fu'ad nie zwrócił uwagi na niechętnie spojrzenie, jakim go obrzucił major. Choć przez trzy wlokące się w nieskończoność minuty szorował zęby, Coûteaux wyczuł z jego ust odór alkoholu.

Pozostawiwszy uchylone drzwi, Coûteaux wyszedł na klatkę. Jasmina rzuciła się w ramiona Fu'ada, zmuszając go, by ją unosił kilka centymetrów nad podłogę.

– Chcę, żebyś ze mną pojechał. Chcę razem z tobą wejść do pokoju ojca.

W ciągu trzech dni coś się zmieniło w twarzy ukochanej. Fu'ad oczywiście nie powiedział ani słowa, ale odniósł wrażenie, jakby Jasmina oszalała.

– Jasmino, przecież wiesz, że mnie nie wpuszczą.

Rozmyślając o Nazirze i o *thunder road*, w którą nigdy by nie ruszył, gdyby starszy brat nie poddał mu tej myśli, nie ośmielał się patrzeć Jasmine w oczy.

Niewytłumaczalna złość sprawiła, że dziewczyna wyprostowała całe ciało, a jej pierś uniosła się przyspieszonym oddechem.

– To się dopiero okaże – oznajmiła Jasmina, chwytając ukochanego za nadgarstek.

10

W prefekturze policji komisarz Maheut został pilnie wezwany przed ekrany

przekazujące obraz z kamer rozmieszczonych w okolicy Bastylli. Na głównych ulicach prowadzących do placu nastąpiło kilka równoczesnych szturmów, które wyglądały na działania dywersyjne. Dwa koktajle Mołotowa wylądowały u stóp Kolumny Lipcowej.

– Natychmiast wysłać posiłki! – wrzasnął komisarz do kapitana siedzącego na stanowisku dowodzenia.

– Ostatnie dostępne jednostki zostały skierowane do ochrony Île de la Cité. Ci przy Bastylli chyba mają czym się bronić, nie sądzi pan, komisarzu?

Podczas gdy pojazdy zaparkowane wzdłuż esplanady Opery przegrupowywały się w taki sposób, by stawić czoło kamieniom i płonącym szmatom rzuconym przez napastników, komisarz podjął próbę dodzwonienia się do kaprała, który najwyraźniej wyłączył słuchawkę douszną.

– Znajdźcie mi kamery wzdłuż alei Daumesnil!

Przy samej promenadzie kamer nie było. Poza jedną, ukazującą z góry cały pas zieleni w miejscu, gdzie przechodził w kładkę nad aleją Ledru-Rollin. Kapitan pochylił kamerę i zrobił zoom na kaprała, który w towarzystwie szeregowca szedł kładką; obaj trzymali przed sobą flash-balle.

Widok był tak poruszający, że młodemu komisarzowi zaschło w ustach. Otworzył je w nadziei, że wraz z powietrzem wciągnie choć odrobinę wilgoci.

11

Jasmina i Fu'ad pojechali do szpitala Val-de-Grâce. Samochód zatrzymał się przed bramą, a ochroniarze w garniturach poprosili majora Coûteaux o chwilę rozmowy. Przez tylną szybę Jasmina widziała ich głowy i oczy wyraźnie mówiące „nie”; widziała też ich ułożone na płasko dłonie, wzmacniające przekaz: nie tylko nie, ale pod żadnym pozorem nie.

Wysiadła. Coûteaux przerwał rozmowę z kolegami i kazał jej wrócić do auta.

– Albo go wpuścicie, albo zrobię gigantyczną awanturę!

– Panno Sza...

– Zamknij się! Natychmiast się zamknij!

Wrzeszczała jak obdzierana ze skóry. Coûteaux spróbował odzyskać kontrolę nad sytuacją.

– W porządku, wpuścimy go, w porządku...

– Natychmiast!

– Musimy go najpierw obszukać.

– To i mnie obszukajcie!

Skamieniały na tylnym siedzeniu Fu'ad rozumiał zaledwie co drugie słowo z całej tej awantury. Kazano mu wysiąść i poprowadzono w kierunku bramy, gdzie dwóch funkcjonariuszy obmacało go i kazało zdjąć buty. Usiłując je zdjąć bez pochylania się, Fu'ad stracił równowagę i padł jak długi; żaden z goryli nawet nie

próbował mu pomóc.

Chwilę później zaprowadzono go przez dziedziniec do budynku, gdzie mieścił się oddział intensywnej opieki medycznej. Kolejni goryle w garniturach pilnowali wejść; przy głównych drzwiach stała nawet grupa uzbrojonych, gotowych do walki żołnierzy. Na parterze, u dołu schodów, Fu'ad zobaczył Esther Szawisz próbującą uspokoić córkę. Za każdym razem, gdy ją spotykał, robiła na nim to samo wrażenie: była nie tylko celebrytką (do celebrytów zdążył już przywyknąć), ale i żoną człowieka, którego podziwiał bardziej niż kogokolwiek na świecie. Część jego aury spływała również na nią i Fu'adowi zaschło w ustach, gdy usiłował uprzejmie się z nią przywitać.

Esther Szawisz uśmiechnęła się do niego protekcyjnie. Jej uśmiech nie był lodowaty, ale na pewno nie współczujący.

Stojący w pewnej odległości ochroniarze śledzili każde słowo z rozmowy między matką a córką, nie tracąc z oczu Fu'ada, który miał ochotę wtrącić się i wyjaśnić, że nie chce żadnego zamieszania, ale wiedział, że Jasmina poczułaby się ośmieszona i jeszcze bardziej samotna; w tym momencie jego własny dyskomfort wydał mu się nieistotny wobec pasji, jaka ogarnęła jego ukochaną.

Ekipa zajmująca się całodobowym śledzeniem Fu'ada stała przed wejściem do szpitala i gawędziła z nowym szefem ochrony rodziny Szawiszów. Esther zgodziła się w końcu, żeby Fu'ad wszedł na piętro, na którym leżał jej mąż, ale pod warunkiem, że nie wejdzie do samego pokoju. Jasmina zaczęła tupać nogami po bruku dziedzińca.

– To mój ojciec! – krzyknęła.

– Uspokój się, Jasmino, spróbuj się opanować. Do diabła, to jest szpital, nie przynoś nam... wstydu...

Fu'ad nigdy w życiu nie czuł się tak zażenowany: traktowano go jak problem do rozwiązania, wymagający kompromisu między zasadami bezpieczeństwa a kaprysami małej księżniczki. W końcu Jasmina zgodziła się na propozycję majora Coûteaux, zaakceptowaną przez Esther: Fu'ad pozostanie w poczekalni, podczas gdy ona pójdzie na chwilę do ojca.

Łagodność i życzliwość, z jaką Coûteaux zwrócił się do Fu'ada, przełamały złość Jasminy.

Esther Szawisz towarzyszyła im aż do poczekalni: wygodnego, prostokątnego, silnie strzeżonego pomieszczenia. Jasmina z prowokacyjną namiętnością pocałowała Fu'ada w usta i zostawiła go siedzącego na fotelu bez oparcia przy niskim stoliku, gdzie wkrótce padł ofiarą pogardy i obojętności ze strony tej, która kilka godzin wcześniej była jeszcze pierwszą damą.

Chociaż Frédo powtarzał na głos polecenia, które dostawał do słuchawki od

komisarza, kapral w dalszym ciągu parł do przodu w przekonaniu, że w zaroślach dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się nagle do szeregowca i kazał mu wyłączyć słuchawkę. Wyglądało na to, że chce mu dać lekcję odwagi. Na siłę zaszczepić zamiłowanie do akcji.

Osłona na twarz nie pozwalała Frédowi wyłączyć słuchawki. Zadowolony, że będzie mógł zaczerpnąć powietrza, zdjął hełm.

W tej samej chwili zza zarośli wyskoczył jakiś cień, który runął w ich kierunku przez kładkę. Pitbull. Emanowała z niego taka siła, że kaprala odrzuciło do tyłu na barierkę. Strzelił z flash-balla, ale nie trafił. Stracił równowagę, przeleciał przez barierkę i uchwycił się ręką lepkiej rynny – jedyny sposób, by uniknąć upadku z dziewięciu metrów. Usłyszał czyjś wrzask, ale niczego nie widział. Nie wiedział więc, że pitbull rzucił się do gardła szeregowcowi, który nie zdążył wyciągnąć noża wsuniętego do kieszeni spodni.

Komisarz Maheut wezwał posiłki i zerwał z szyi krawat. Nie mógł oddychać, jakby to na jego gardle zacisnęły się szczęki potwora. Nagle zobaczył drżącą sylwetkę na końcu kładki.

Wielki Momo uniósł pistolet. Komisarz Maheut nie mógł tego wiedzieć, ale chłopak celował w psa, żeby ocalić życie szeregowca.

– Zostaw, Sarko! Puszczaj!

Choćby nie wiadomo ile krzyczał, pies nie zwalniał uścisku. Widok był straszny; Wielki Momo strzelił dwa razy prosto w potężną klatkę piersiową psa.

Lecz kapral, który tymczasem zdołał wciągnąć się z powrotem na kładkę, pomyślał, że Wielki Momo strzela do jego młodszego kolegi. Z wściekłości, która zbierała się w nim od ostatnich trzech dni, od ostatnich trzydziestu lat, chwycił chłopaka za kołnierz, a że nie słyszał rzecz jasna krzyków komisarza z centrum dowodzenia, przerzucił go przez balustradę. Wielki Momo przypominał teraz rozpląszczoną sylwetkę leżącą nieruchomo na asfalcie jak pajac.

W chwili, gdy kapral zaczął udzielać pierwszej pomocy swojemu młodszemu koledze, próbując zatamować upływ krwi, rozległ się grzmot. Wreszcie zaczęło padać, po niecałej minucie deszcz zamienił się w gradobicie. Ściana bryłek lodu zwała się na nieruchome ciała Wielkiego Momo i ostatniego psa, którego w życiu kochał, nawet jeśli był to tresowany do zabijania pitbull. Taka była ostatnia myśl, jaka przeszła przez głowę Mohammeda Balajdiego, lat osiemnaście i pół, urodzonego w Saint-Étienne w departamencie Loara; w przeciwieństwie do ludzi zwierzę nie ponosiło winy za to, że je wytresowano do walki; patrząc w brązowe oczy tego pitbulla skrzyżowanego z rottweilerem, Wielki Momo sam się przekonał, że psy są stworzeniami z gruntu dobrymi, zagubionymi w świecie pełnym niewytłumaczalnego okrucieństwa.

Równo o trzeciej czterdzieści siedem, w najczarniejszej godzinie tej burzliwej nocy, podczas gdy Jasmina Szawisz patrzyła na swego słynnego ojca, trzymając w ręce jego nieruchomą dłoń, nikomu nieznanemu Frédéric Mulo, szeregowiec piątej sekcji Republikańskiej Kompanii Bezpieczeństwa numer trzy, wezwanej jako wsparcie w okolice Bastylli, zmarł od poniesionych ran na ostrym dyżurze szpitala Saint-Antoine, dokąd został przetransportowany wraz z kapralem znajdującym się w stanie ciężkiego szoku.

W tej samej chwili Jasmina usłyszała jakiś nowy dźwięk dochodzący z elektroencefalografu umieszczonego po lewej stronie łóżka. Nie puszczać ręki ojca, otworzyła oczy i niespokojnie spojrzała na uchylone drzwi pokoju i pusty korytarz. Minutę później do pokoju weszły dwie pielęgniarki, które poprosiły, żeby się odsunęła. Jasmina wstała i zachwiała się: od zbyt długiego siedzenia w bezruchu miała zdrętwiałe nogi. Pielęgniarki pomogły jej usiąść na krześle, skąd mogła obserwować, jak cały personel medyczny oddziału defiluje przez pokój. Obudzono naczelnego lekarza szpitala, profesora Saint-Samata. Blaszk pod obcasami jego butów głośno zastukały na posadzce korytarza; pewnie złapał pierwszą lepszą parę, która mu wpadła w ręce. Poprosił rodzinę o wyjście do poczekalni.

Jasmina zatrzymała pielęgniarkę biegnącą w kierunku pokoju ojca.

– Co się dzieje?

Nikt nie odpowiedział. Rzuciła się w ramiona Fu'ada.

– Jasmino, kochanie, wszystko w porządku?

Esther, która nie paliła od czasu, gdy trzydzieści lat wcześniej zaczęła wyższe studia, poprosiła majora Coûteaux o papierosa; okazało się, że jeden z jego ludzi ma paczkę. Otwarte okno wychodziło na kaplicę; Esther odwróciła się i ujrzała córkę na kolanach, z pochyloną głową i dłońmi złączonymi nad krzesłem. Fu'ad wyglądał na zagubionego: patrzył na ten raptowny przyływ pobożności, niczego zeń nie rozumiejąc.

Esther nie ośmielała się wtrącać, lecz poczuła nagły niepokój, gdy pogrążona w modlitwie córka po raz pierwszy przeżegnała się znakiem krzyża. Wszyscy w poczekalni zamilkli, by nie przeszkadzać Jasminie. Ochroniarze wyprostowali się i lekko pochylili głowy na znak szacunku.

Jasmina nie słyszała uroczystego milczenia, które zapadło w poczekalni, słyszała tylko śpiew pierwszych ptaków, niczym muzykę wstającego świtu, muzykę bogactwa i różnorodności Bożego dzieła. Po chwili na ciszę, która ogarnęła jej duszę pod wpływem tego śpiewu, nałożyła się nieskończona dobroć Boga: z niegdyś wrogiego wnętrza szpitalnej sali dobiegł ją metaliczny stukot blaszek pod obcasami butów profesora Saint-Samata, który usłyszała jako pierwsza, ale umyślnie nie zaczęła liczyć jego kroków, intuicyjnie czując, że byłoby to grzechem. A kiedy profesor pojawił się w poczekalni, wszyscy

z wyjątkiem Jasminy rzucili się w jego kierunku. Ona jedna siedziała nieruchomo i podniosła głowę dopiero wówczas, gdy spadły na nią pocałunki i łyzy radości matki.

14

W całym Paryżu rozdzwoniły się telefony. Między innymi komórka Serge'a Habiba, pierwszego doradcy Szawisza do spraw komunikacji. Lecz on jej nie usłyszał. Koło północy uznał, że należy mu się solidna porcja snu. Po raz pierwszy od rozpoczęcia kampanii zamknął okiennice, w szafce znalazł zatyczki do uszu, nastawił budzik na szóstą piętnaście. Do dzwonka komórki dołączył wkrótce dzwonek telefonu stacjonarnego, ale Habib dał się wyrwać ze snu dopiero kwadrans później, gdy ktoś zaczął łomotać do drzwi.

Rzucił okiem na wyświetlacz komórki, zobaczył dziesiątki nieodebranych połączeń i chwiejnym krokiem ruszył do przedpokoju, po drodze waląc kolanem o okrągły, stojący na samym środku stolik.

– Kto tam, do jasnej cholery?

– Dozorca!

Habib w samej piżamie uchylił drzwi i zobaczył, że faktycznie stoi za nimi dozorca, również w samej piżamie i w mocno wojowniczym nastroju.

– Te wszystkie wasze idiotyzmy to nie moja sprawa! Następnym razem, choćby miał dzwonić szef kampanii, premier albo nawet angielska królowa, mój telefon będzie wyłączony!

Habib zrozumiał. Błyskawicznie się ubrał i zadzwonił do Vogela, który już na niego czekał w Val-de-Grâce. Dziesięć minut później pierwszy doradca do spraw komunikacji, który nawet nie zdążył się umyć, przekroczył próg szpitala i pobiegł schodami na górę. W poczekalni przebywało trzy razy więcej ludzi niż przez ostatnie dwa dni. Wszyscy najbliżsi doradcy przyjęli go identycznie krzywymi uśmiechami. Wszystkie twarze były zmęczone, miny ostrożne, skóra na twarzach napięta od nagłej pobudki i pośpiesznej toalety.

Habib kikutem utorował sobie drogę, a jeden z ochroniarzy poprowadził go pod drzwi sali, w której leżał Szawisz. Zobaczył tam Esther, Vogela, Jasminę oraz – niespodzianka – Fu'ada Narrusza.

Przywitał się z pierwszą trójką i od razu zaczął mówić o konferencji prasowej. Pod marynarką Vogel miał na sobie górę od piżamy. Odciągnął Habiba na bok i cicho powiedział:

– Stało się coś dziwnego, ale niech to zostanie między nami.

– A co tu robi chłopak Jas...?

– Nieważne, niczego nie słyszał. Chodzi o to, że Ider po przebudzeniu coś powiedział. Zaczął mówić.

– Kurwa, to fantastycznie! Już zaczął mówić! I co powiedział?

– Cholera wie... – odparł Vogel. – Zaczął mówić, ale po chińsku. Nawet nie otworzył oczu, a już zaczął mówić. Po chińsku, do kurwy nędzy!

Habib chciał to jakoś skomentować, gdy z sali wybiegła pielęgniarka. Nie domknęła za sobą drzwi. Przez gęstwinę miotających się wokół łóżka lekarzy dwaj najbliżsi współpracownicy Szawisza zobaczyli jego poruszającą się dłoń i kolejno odwodzone palce.

– Po chińsku? Ale dlaczego po chińsku?

Habib nie mógł wyjść z osłupienia.

– To zmienia całą sytuację – szepnął Vogelowi do ucha, rozglądając się, czy nikt nie słyszy.

– Co, chiński?

– Nie, niemożność sprawowania urzędu... Rada Konstytucyjna podjęła decyzję zaledwie wczoraj wieczorem, kurwa, kilka godzin temu, więc nie powiesz mi chyba, że...

– Że co? Że następnego dnia nie mają prawa zmienić zdania? Właśnie że ci powiem! Ich pieprzona decyzja jest wykuta w granicie! Słuchaj, pogadamy o tym później, na razie musimy się skupić na komunikacji. Zbieraj swoich ludzi, nie ma sensu jechać do sztabu, poprosimy tutaj o wypożyczenie jakiejś sali i popracujemy do rana, okej?

15

Jasmina co chwila całowała matkę. Fu'ad poczuł, że nie ma sensu siedzieć w poczekalni wśród najbliższych Szawisza.

Powoli podszedł do otwartego okna. Aurélien Coûteaux stał oparty plecami o opancerzony samochód i rozmawiał przez telefon; przestępował z nogi na nogę, wyglądał na spiętego, zdenerwowanego, *ludzkiego*.

Jasmina podeszła do Fu'ada, objęła go i powiedziała, obrzucając jego zmęczoną twarz bolesnym, zakochanym spojrzeniem, na granicy hysterii:

– To dzięki tobie, Fu'ad. Dzięki nam. To dlatego, że się odnaleźliśmy, rozumiesz? Dlatego, że się kochamy!

W odpowiedzi pogładził jej czarne włosy.

Jasmina pomachała do swojego ochroniarza, dając mu znak, żeby wszedł na górę. Coûteaux uniósł dłoń, jakby mówił: sekundę, już idę.

– Nie mogę już z tobą gadać, mam coś do załatwienia – powiedział do słuchawki.

– Kurwa mać! – krzyknął głos po drugiej stronie. – Nie rozłączaj się! Słyszysz? Lepiej się nie rozłączaj!

– Z tego, co wiem, nie ty wydajesz mi rozkazy. Więc zmień ton, przestań dzwonić na ten numer i odpiardol się.

Rozłączył się i z szerokim uśmiechem na twarzy wszedł schodami na górę.

– Coûteaux! – zawył Nazir. – Coûteaux!

Kilkakrotnie walnął pięścią w ściankę budki telefonicznej i oparł czoło o szybę pokrytą kroplami rosy.

Po bezsennej nocy Fleur miała zapuchnięte oczy. Ich ciężarówka objechała jezioro i znowu się zatrzymała, by Nazir mógł wykonać kolejny telefon. Fleur skorzystała z okazji, żeby odetchnąć świeżym powietrzem: w ciężarówce jechali ukryci wśród czarnych świń, a chlew na kółkach nie staje się od tego mniej cuchnący.

Nazir dołączył do niej i dał znak kierowcy, żeby chwilę zaczekał.

Budka telefoniczna stała przed szalasek z nieruchomym kurkiem na dachu. Na długości dwustu metrów brzeg jeziora przywrócono do stanu pierwotnego. Może nie do końca: pozostały ślady po drodze z drewnianych bali. Po drugiej stronie jeziora, o pół godziny drogi samochodem, widać było rozstawiony namiot cyrkowy, w którym nazajutrz miał się odbyć spektakl.

Fleur obserwowała mgły snujące się nad ciemną powierzchnią wody, niezauważalnie nabierające tonów niebieskich i czerwonych, podczas gdy niebo, które wreszcie zaczęło się odcinać od gór, miało barwę fioletową na zachodzie, a czerwono-pomarańczową po tej stronie, gdzie nad widnokregiem zaczynało wstawać słońce.

Nazir patrzył w niebo, pod którym kontury rysowały się coraz wyraźniej, a rzeźba terenu budziła się ze snu. Mgły wisiały już tylko nad jeziorem. Nagle zobaczył nad brzegiem dwa reflektory; nie jedną latarnię kilka sekund wcześniej schowaną za mgłą, ale dwa oddzielne reflektory, które szybko sunęły wzdłuż brzegu jeziora.

Pomyślał, że to *oni*, ale samochody minęły cyrkowy wóz, który jego i Fleur miał wywieźć za granicę – o ile przeżyją ten straszny smród, od którego Fleur bez przerwy płakała. Obróciła się w stronę Nazira i zapytała:

– Teraz już będziemy zawsze razem, prawda? Nigdy się nie rozstaniemy. Nie po tym wszystkim...

Nagle Nazir dostrzegł sunący po niebie cień metalowego, nisko lecącego kruka, w którego realność nie był w stanie uwierzyć: po chwili kruk nabrał kształtu wojskowego śmigłowca zmierzającego na drugi koniec jeziora.

Chociaż kamera zamontowana na helmie szefa oddziału była wyposażona w stabilizator, obraz nie przestawał drgać. Minister spraw wewnętrznych zaciskała szczęki, dziwnie sapała, wierciła się na krześle. Lufa automatycznego karabinu szefa oddziału celowała w horyzont: Vermorel poczuła się, jakby siedziała za

konsolą i uczestniczyła w jakiejś grze wideo.

Komandosi kolejno przeszukali wszystkie wozy, cały cyrk przewrócili do góry nogami i pobudzili wszystkich cyrkowców, zadając tylko jedno pytanie: gdzie przebywa mężczyzna, którego im pokazują na zdjęciu.

Nikt z przepytanych nie mówił po francusku. Ale wszyscy mogą rozpoznać czyjąś twarz na zdjęciu! Mansour wściekał się w przekonaniu, że specjalnie odmawiają pomocy.

Agent DGSE, który pozostał na pokładzie śmigłowca, poinformował Mansourda, że nadal odbierają sygnał ze smartfona Nazira.

W Paryżu minister zdjęła nogę z nogi i przysiadła na drugim pośladku. Montesquiou był na skraju apopleksji.

Mansour udał się za szefem oddziału i trzema jego ludźmi w kierunku wozu stojącego najbardziej na uboczu. Bez żadnych wstępów komandosi wyważyli drzwi. Kamera na hełmie szefa oddziału i lufa jego karabinu omiotły wnętrze: aneks kuchenny, kanapa i kolejne drzwi prowadzące do małej sypialni. Vermorel i Montesquiou spodziewali się zobaczyć Nazira z podniesionymi rękami i nagim torsem, być może przyłapanego w trakcie intymnych ćwiczeń gimnastycznych z młodzieńcą akrobatką.

Tymczasem w osłupieniu zobaczyli uśmiechniętego szympansa w biało-czerwono-niebieskim kostiumie, radośnie podskakującego na górnym łóżku.

Szef oddziału opuścił karabin i przeszukał małą. W kieszonce szytej na miarę bluzy znalazł komórkę Nazira.

Rozjuszona Vermorel nakazała odwołanie operacji i natychmiastowy powrót do Francji, zanim oddział zostanie wykryty. Mansour zaprotestował, mówiąc, że Nazir może przebywać w promieniu kilku kilometrów, że należałoby...

– Zamknij się! – wrzasnęła minister. – Wracacie!

Montesquiou zeszywniał na widok szympansa, który ewidentnie śmiał się im w twarz. Vermorel poczekała, aż obraz zniknie z ekranu, zanim wybuchła wściekłością i zaczęła się rozglądać za kozłem ofiarnym.

Pilny telefon posłużył Montesquiou za pretekst, by zniknąć jej z oczu; wyszedł do holu, a zrozumiałwszy, kto dzwoni, rozejrzał się i sprawdził, czy nikt nie podsłuchuje.

– Co to za końskie odgłosy? Gdzie pani jest?

W słuchawce rozległ się damski głos:

– W domu.

– Cały SDAT pani poszukuje z powodu tej nieszczęsnej komórki – odparł poważnie Montesquiou. – Ci kretyni nazwali panią „amazonka”. Halo, jest tam pani jeszcze?

– Odnalazłam ślad Waldsteina.

Montesquiou zamilkł. Po chwili oświadczył:

– Za późno. Nazir wymknął się komandosom. Nie mamy już czasu na Waldsteina. Chyba się pani ze mną zgodzi, prawda?

– Szykuje się do ucieczki. Do Ameryki Południowej. Potwierdza pan, że mam porzucić ten trop?

– Tak, potwierdzam – westchnął Montesquiou coraz bardziej poirytowany nawykami językowymi tych zawodowców od tajemnic, którym z rosnącą niechęcią musiał wydawać rozkazy.

18

Kiedyś w programie telewizyjnym Rabi'a usłyszała jakiegoś neurologa, który tłumaczył, że nasz sen dzieli się na półtoragodzinne cykle; od tamtego dnia zapamiętywała godzinę, o której zasypiała, sprawdzając rano, czy jej sen trwał wielokrotność półtorej godziny. Zawsze się udawało: spała siedem i pół godziny lub sześć godzin, ale nigdy osiem ani sześć i pół. Często wyśmiewano jej naiwność, lecz Rabi'a nadal święcie w tę regułę wierzyła. Aż do tego środowego poranka, kiedy to obudziła się sama z siebie równo po czterech godzinach snu. Spojrzała na tarczę zegarka, usiłując sobie przypomnieć, ile czasu spędziła na zasypianiu owe „cztery godziny” wcześniej; cała sytuacja wydawała się jej niemożliwa, mogła przysiąc, że zasnęła, gdy tylko podciągnęła kódrę pod szyję.

Zaskoczona i trochę oszołomiona wstała, nastawiła ucha na nierówny oddech Dunji, z westchnieniem pokręciła głową i na palcach wyszła z pokoju. Kompletnie nie rozumiała, co się z nią dzieje, ale sen już na dobre ją opuścił.

Zeszła na parter i w kuchni wypila dużą szklankę wody. W szparach okiennic zaczynały się pojawiać pierwsze smugi światła.

Wspomnienie Mauluda Ibn Baraki chwyciło ją jak dreszcz. Od niedzieli już parokrotnie przeżyła ten koszmar na jawie:

Siedzi sama w salonie mieszkania przy ulicy de l'Éternité, ogląda telewizję i nagle czuje czyjąś wrogą obecność; spogląda na szyby między rozsuniętymi zasłonami, ale okazuje się, że ktoś próbuje wyważyć drzwi – za każdym razem budzi się dokładnie w chwili, gdy intruzowi udaje się wedrzeć do środka. Jakby Strach, osiągnąwszy maksymalną intensywność, mechanicznie wyrzucał ją ze świata, który sam dla siebie zbudował.

Może tak jest w świecie snów, pomyślała Rabi'a, ale nie poza nim. Obróciła nagle głowę w przekonaniu, że do jej uszu dobiegł jakiś hałas od strony drzwi wejściowych. Włączyła radio i usłyszała wiadomość dnia: Szawisz się obudził. Nie uwierzyła, dopóki nie powiedziano, że o siódmej trzydzieści ma się odbyć konferencja prasowa naczelnego lekarza szpitala Val-de-Grâce, która „oczywiście” będzie transmitowana na żywo. Rabi'a otworzyła oczy szerzej niż w którymkolwiek momencie w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Chciała krzyknąć,

obudzić wszystkich mieszkańców, otworzyć okiennice, wpuścić do kuchni światło dnia. Nagle przestała się bać; już nigdy nie będzie się bać!

Jej radość została przerwana serią absurdalnie mocnych uderzeń w okiennicę drzwi wejściowych.

Zgasiła lampę w kuchni, czując, jak uginają się pod nią nogi. Jakby przerażenie ogarnęło jej ciało, zanim jeszcze rytm serca uległ przyspieszeniu. Ostrożnie przeszła do salonu, mając nadzieję, że zdoła sięgnąć po telefon i zadzwonić na policję, gdy usłyszała ostry głos mężczyzny próbującego wyważyć drzwi:

– Otwierać! Policja!

Zapaliła światło w salonie, potem w przedpokoju i zaczęła przekręcać klucz w zamku.

– Policja! Otwierać!

– Kto... tam?

– Policja! Szybciej, bo wyłamiemy drzwi!

Dlaczego oni krzyczą tak głośno? Dlaczego przyszli tak wcześnie? Otworzyła drzwi, ale już nie zdążyła otworzyć okiennicy, którą dosłownie wyrwano jej z rąk, aby wpuścić do korytarza kilkunastu uzbrojonych mężczyzn po cywilnemu, w policyjnych opaskach i kamizelkach kuloodpornych.

– Rabi’a Abu Na’imi-Narrusz? Na podstawie decyzji sędziego Rochu jest pani zatrzymana.

– Ale ja... – próbowała protestować Rabi’a.

– Bez dyskusji.

Postawili ją twarzą do ściany i brutalnie zakuli w kajdanki.

– Przecież ja nic nie zrobiłam! – rozplakała się. – Kiedy w końcu dacie nam święty spokój? *My nic nie zrobiliśmy!*

– Tere-fere. Nikt nigdy nic nie zrobił. Jasne. Siostra jest na górze?

Tego kapitana SDAT nie widziała podczas przesłuchań w nocy po zamachu. Był mały i gruby, miał kwadratową twarz, kocie oczy i krzaczaste, rosnące ukosem do góry brwi – wyglądał jak prawdziwe uosobienie złośliwości.

Dusząc się od łez, zdołała jeszcze powiedzieć:

– Mam adwokata. To mecenas Szafran...

Lecz kapitan nie zareagował. Poprawił sobie opaskę na ramieniu, zacisnął kajdanki na nadgarstkach Rabi’i i osobiście wyprowadził ją na zewnątrz.

– To boli! Proszę chociaż pozwolić mi się ubrać!

Miała na sobie różowy szlafrok i kapcie. Widząc, że kapitan nadal nie reaguje, zaczęła krzyczeć:

– Ja nic nie zrobiłam! Nic nie zrobiłam!

– Tere-fere – powtórzył kapitan. – Mamy nowe informacje, które bezpośrednio obciążają ciebie i twoją siostrę. Zresztą gdybyście nic nie zrobiły, to

dłaczego sędzia Rochu miałby wystawiać nakaz zatrzymania?

19

Sędzia Wagner w samej piżamie ruszył korytarzem do toalety. Zobaczył, że w pokoju córki pali się światło. Dwa razy cicho zastukał; Aurélie poruszyła się na łóżku. Wszedł. Dziewczyna siedziała z potarganymi włosami i ściągniętymi w bólu brwiami. Na jej różowej kołdrze wały się dziesiątki zabazgranych i zmiętych kartek papieru. Gorączkowo je zgarnęła i wcisnęła brodę między zaciśnięte pięści.

– Czemu jeszcze nie śpisz?

– Tatusiu...

Z pochyloną głową sędzia przyglądał się córce. To ta lekkomyślna buzia, te usta nastolatki, te śliczne oczy o tęczęwkach w dwóch różnych kolorach położyły kres jego karierze.

Uśmiechnął się do niej ze smutkiem, myśląc, że dzieci to potwory, bo o nic nie można mieć do nich pretensji: przecież o niczym nie decydują, kiedy nam czynią krzywdę.

– Idź spać – powiedział, gasząc światło.

Poszedł do toalety, po czym ubrał się i udał do salonu, gdzie drzemał Thierry.

– Mamy jeszcze trochę czasu – szepnął, budząc go. – Chciałbym się kawałek przejechać, jeśli nie masz nic przeciw temu.

Dziesięć minut później samochód jechał obwodnicą. Podczas gdy zbliżali się do Levallois-Perret, sędzia dotknął ramienia swojego szofera, a zarazem ochroniarza.

– Panie sędzio?

– Poczekaj, Thierry, zwolnij. Ale się nie zatrzymuj.

Ponad wieże strażnicze siedziby DCRI wystawały dźwigi; sędzia mimowolnie zwrócił uwagę, że ostro rysują się na tle surowego, wyblakłego nieba. Przestało padać; plamy błękitu coraz bardziej rozpychały się wśród ciemnych chmur. Wagner przypomniał sobie figury świętych w Watykanie i chmury, które wprawiły je w ruch. Podobnie wyglądały dźwigi i wieże strażnicze tego starannie chronionego miejsca, przypominające człekopodobną postać ni to człowieka, ni to maszyny, podobnie ożywioną przez ruchome niebo.

Rozległ się dzwonek jego prywatnej komórki: dzwonił Poussin. Sędzia odebrał i usłyszał niepewny głos tego, wobec którego przez dłuższy czas odgrywał rolę mentora. Poussin powiadomił go, że Rochu znowu zatrzymał nierozłączne siostry Narrusz; policja przyszła do nich wcześniej, niż pozwalały na to przepisy, ale kwalifikacja prawna czynu (akt terrorystyczny) z pewnością pozwalała zignorować takie ograniczenia.

Sędzia potrząsnął głową w poczuciu gniewu i bezsilności. Podczas gdy jego

młody kolega wahał się, czy już może zakończy rozmowę, Wagner odchrząknął i dorzucił tonem, który po raz pierwszy nie miał charakteru stricte profesjonalnego:

– Będziesz musiał walczyć, Guillaume. Rochu spróbuje zjeść cię na surowo, podobnie jak pozostałych. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Ro-rozumiem, p-p-panie sędzio.

– Wyjazd do Saint-Étienne był kiepskim pomysłem – dodał Wagner. – To w Paryżu trzeba prowadzić śledztwo. W spisek są zamieszani... Ta sprawa znacznie wykracza poza ramy rodziny Narruszów. Wszystko można znaleźć w transkryptach nagrań z tej trzeciej komórki. Skoro je utajnili, to znak, że muszą się tam znajdować absolutnie kluczowe informacje.

– T-to również dowód, że p-p-panikują – zauważył Poussin.

– Jasne. Tyle że mogą sobie pozwolić na spokojne panikowanie. Dostaniesz moje notatki z zeznania, które można dołączyć do akt jako zeznanie X. Chodzi o ochroniarkę Szawisza, niejaką Valérie Simonetti. Trzeba...

Zamilkł, przypomniawszy sobie, że wycofał się z prowadzenia sprawy, która już do niego nie należy.

– Powodzenia, Guillaume.

– Dziękuję, p-p-panie sędzio – wymamrotał Poussin. – Może mi p-p-pan zaufać.

Wagner uniósł brwi i rozłączył się. Spojrzał na oficera ochrony.

– Przepraszam, Thierry. Możemy wracać.

Podczas gdy Aqua Velva wiozł go do Pałacu Sprawiedliwości, Wagner wybrał numer Valérie Simonetti. Wyjaśnił dawnej szefowej ochrony Szawisza, że wycofał się ze sprawy i teraz będzie miała do czynienia z jego młodym kolegą, sędzią Poussinem.

Jego gabinet w galerii Saint-Éloi wyglądał jak po hucznej imprezie: akta porozrzucane wokół ekspresu do kawy, biurko zasypane nagryzmołonymi, poplamionymi kawą notatkami. Usiadł przy biurku swojej asystentki i nie zapalając innej lampy niż ta, która na nim stała, spojrzął na pomieszczenie z perspektywy, której dotychczas nie znał: z perspektywy Alice.

Nagle ktoś mocno zapukał do drzwi i pojawiła się nalana, dziwacznie przekrzywiona twarz Rochu, na której malował się uśmiech chorobliwej radości.

– Ranny z pana ptaszek jak na bezrobotnego...

Ponieważ Wagner nie odpowiadał, zdając się ignorować jego obecność, Potwór dodał:

– Szybcioro poproszę o wszystkie notatki. Lepiej od razu zabrać się do roboty...

– Myli się pan, Rochu – powiedział Wagner, patrząc nieruchomo przed siebie, z dłońmi spoczywającymi wzdłuż podłokietników krzesła Alice. – Ta nieszczęsna rodzina nie ma nic wspólnego ze spiskiem. Śledztwo trzeba prowadzić

tu, w Paryżu...

Rochu stał z otwartymi ustami i dyszał, choć nie wyglądało, jakby mu brakowało tchu; dyszał z powodu zbyt energicznej wentylacji płuc. Miał na sobie koszulę bez marynarki i opuszczone szelki. Jego nieowłosione, nieproporcjonalnie grube przedramiona wyglądały na pozbawione mięśni.

Miękkim ruchem niedźwiedziego łapska wskazał na biurko, jakby tym gestem chciał objąć cały gabinet, cały wymiar sądownictwa.

– To nie jest miejsce dla humanistów, Wagner. Chcesz pan mieć dobrą opinię, chcesz pan, żeby pisali w artykułach o dobrym sędzim Wagnerze, o uprzejmym sędzim Wagnerze, o uczciwym Henrim Wagnerze, o niezawisłym Henrim, o milusim Henryczku...

Wagner pokazał mu wała.

Potwór pociągnął nosem, zasysając do gardła pokaźną porcję smarków. Zamiast je odcharknąć, jak można się było spodziewać, oświadczył:

– Kto się chce wspiać do anioła, spada do bydlęcia⁷.

Następnie wyszedł, delikatnie zamykając drzwi, których progu nie ośmielił się przekroczyć.

20

Kapitan Tellier właśnie skończył śniadanie. Przez całą noc usiłował odtworzyć układankę, jaką była niedziela Karima, ponownie odczytując protokoły zeznań wszystkich członków rodziny oraz Mauluda Ibn Baraki, bez przerwy wracając do zagwozдки w postaci zeznania szefa stateczków wycieczkowych przy Pont Neuf, który opisywał „amazonkę” jako „wysoką kobietę z burzą blond włosów”, „niezbyt sympatyczną”, z „wiarygodnie wyglądającą” odznaką policyjną oraz czymś „nieustępliwym i szalonym” we wzroku.

Żadne służby, które mogłyby zgłosić się po komórkę Karima, nie potrafiły wskazać nikogo, kto by odpowiadał temu rysopisowi, uznano więc, że kobieta najprawdopodobniej jest współniczką Nazira. Czyli kolejna osoba uczestnicząca w spisku, o jedna za dużo – pomyślał Tellier, czując, jak zmęczenie ogarnia nie tylko jego powieki, ale również mięśnie pleców.

Nagle usłyszał znajome trzynożne kroki.

W progu pojawił się Montesquiou. Tellier z trudem wstał z krzesła.

– Dzień dobry, kapitanie. Chciałbym porozmawiać z Abd al-Karimem Narruszem.

Tellier przełknął ostatni kęs rogalika i skrępowany oświadczył:

– Przepraszam, ale chwilowo to niemożliwe. Chłopak śpi, a pan nie jest... mógłbym mieć problemy, prawda?

– Bez wątplenia, o ile mnie pan nie wpuści.

Tellier westchnął.

– Musi pan to uzgodnić z pułkownikiem Mansourdem, nie wezmę na siebie odpowiedzialności...

Montesquiou podniósł głos.

– Pracuje pan dla mnie, kapitanie, więc o żadnej odpowiedzialności nie ma mowy. Ja decyduję, pan wykonuje. Czy to jasne?

Tellier wysunął język i przesunął nim po rozszczepionej wardze, po czym zaprowadził dyrektora gabinetu pani minister do celi Karima.

21

Karim spał jak dziecko; dopiero stuknięcie laski o pryczę gwałtownie go obudziło.

– No już, wstajemy, musimy pogadać.

Montesquiou oparł się o drzwi celi i wyciągnął z kieszeni drugą kartkę listu od Aurélie.

– Mam dla ciebie dwie dobre nowiny, Abd al-Karim.

Karim tarł oczy jak mały chłopiec.

– Po pierwsze, Szawisz obudził się ze śpiączki.

Lecz druga nowina sprawiła, że Karim zupełnie zapomniał o znaczeniu tej pierwszej.

– Twoja dziewczyna przekazała mi dla ciebie list.

Karim był już kompletnie przytomny. Podszedł, żeby chwycić list, ale Montesquiou w ostatniej chwili cofnął rękę.

– Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? Jeśli chcesz dostać list, musisz mi dać coś w zamian.

– Ale...

– Szczerze mówiąc, byłoby głupio, gdybym musiał stąd wyjść z listem w kieszeni. Byłoby naprawdę szkoda. Zrób mały wysiłek...

Karimowi coś przyszło do głowy, zanim zasnął cztery godziny wcześniej; nie miał nic do stracenia, a wszystko do zyskania.

– Ten esemes, który Nazir mi wysłał przez pomyłkę... Jak się zorientował, że go dostałem, wyglądał na zdenerwowanego i kazał mi go od razu usunąć... To wyglądało na coś bardzo ważnego i...

Montesquiou przecesał ręką blond włosy. To wszystko już wiedział; powolność Karima doprowadzała go do szału; jego laska drżała jak goła noga wystawiona na kąśliwy mróz.

– Mówił, że wybiera się do jakiegoś miasta, nie wiem, czy to ma związek...

– Jakiego miasta? Tego na G, tak?

Jeśli twarz Karima zmieni teraz wyraz, jeśli zapomniał, że chodzi o nazwę miasta, która się kryje za tym cholernym inicjałem, Montesquiou czuł, że szlag go trafi.

– Sam nie wiem, Genewa czy jakoś tak, we Włoszech.

Montesquiou wyprostował się w poczuciu wygranej.

– No jasne, G jak Genua...

– Co?

– Mówiłeś o tym naszym przyjaciółom? – zapytał Montesquiou, wskazując głową na drzwi celi.

– Nie, przecież sam pan kazał...

Montesquiou stuknął laską o podłogę i upuścił trzymaną kartkę.

– No i dobrze. Dalej nic im nie mów, to może będę mieć dla ciebie kolejne małe prezenty... – Przypomniawszy sobie o swojej pierwotnej obietnicy. – W oczekiwaniu na duży, ale sam rozumiesz, że nie od razu...

Bez dalszego gadania wyszedł z pierwszą kartką listu w kieszeni.

I tak w dusznej, pozbawionej okien celi, w której spędził trzy ostatnie noce, podczas gdy na dworze wstawał dzień, a Szawisz z trudem otwierał oczy na krążący po pokoju personel oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala Val-de-Grâce, Karim czytał liczący zaledwie dziewięć słów fragment listu od Aurélie:

Nie mogę przestać o Tobie myśleć, Twoja Aurélie /podpis/

Dziewięć słów, które w następnych godzinach przeczytał chyba ze sto razy, aż znał na pamięć każde zaokrąglenie a, każdy brzusek o, każdy łuk e, każdą kreseczkę t, nawet żartobliwy zawijas podpisu swojej pięknej Aurélie.

Na widok przecinka na końcu pierwszej linijki napływały mu do oczu łzy, ale przynajmniej przez pierwszą godzinę coś innego okazało się ważniejsze niż treść listu: jego zapach lawendy. Ow zapach lawendy, którego Karim nie potrafił i nigdy nie będzie potrafił opisać, był dowodem, że pod jego nieobecność Ziemia nie przestała się obracać, był całą miłością pokrętnego świata zawartą w garści atomów, kroplą wątpliwej, ulotnej i żalostnej nadziei, która nieodparcie potrafiła rozświetlić ocean z oszałamiającą prędkością, z jaką światło ogarnia niebo po długich godzinach królowania ciemności, które jeszcze chwilę wcześniej sprawiały wrażenie, jakby miały trwać na wieki wieków.

Słowniczek służb policyjnych

BRI (Brigades de recherche et d'intervention) – Brygady Pościgowo-Interwencyjne – jednostki policji wyspecjalizowane w walce z przestępczością zorganizowaną

CRS (Compagnies Républicaines de Sécurité) – Republikańskie Kompanie Bezpieczeństwa – oddziały prewencji przeznaczone do ochrony porządku publicznego, zabezpieczenia imprez masowych oraz tłumienia zamieszek i manifestacji

DCRG (Direction centrale des renseignements généraux) – Centralna Dyrekcja Wywiadu Ogólnego – jedna ze służb kontrwywiadu i bezpieczeństwa wewnętrznego, zlikwidowana w 2008 roku

DCRI (Direction centrale du renseignement intérieur) – Centralna Dyrekcja Wywiadu Wewnętrznego – służba kontrwywiadu i bezpieczeństwa wewnętrznego, w 2014 roku przekształcona w DGSI, Dyrekcję Generalną Bezpieczeństwa Wewnętrznego

DGSE (Direction générale de la sécurité extérieure) – Dyrekcja Generalna Bezpieczeństwa Zewnętrznego – agencja wywiadu wojskowego

DOPC (Direction de l'ordre public et de la circulation) – dyrekcja do spraw porządku publicznego i ruchu drogowego paryskiej prefektury policji, zajmująca się ponadto ochroną budynków publicznych oraz zabezpieczaniem imprez masowych

DST (Direction de la surveillance du territoire) – Dyrekcja Nadzoru Terytorialnego – jedna ze służb kontrwywiadu i bezpieczeństwa wewnętrznego, zlikwidowana w 2008 roku

GIGN (Groupes d'intervention de la Gendarmerie nationale) – Interwencyjne Grupy Żandarmerii Narodowej – elitarne jednostki żandarmerii wspomagające inne jednostki w walce z aktami bandytyzmu i terroryzmu

GIPN (Groupes d'intervention de la Police nationale) – Interwencyjne Grupy Policji Narodowej – elitarne jednostki policji wspomagające inne jednostki w walce z aktami bandytyzmu i terroryzmu

GSPR (Groupe de sécurité de la présidence de la République) – Grupa ds. Bezpieczeństwa Prezydenta Republiki – elitarna jednostka zajmująca się ochroną najwyższych osobistości w państwie oraz ich miejsc zamieszkania

IGS (Inspection générale des services) – Generalny Inspektorat Policji Narodowej – wydział wewnętrzny policji zajmujący się przestępstwami popełnianymi przez policjantów

RAID (Recherche, Assistance, Intervention, Dissuasion) – Poszukiwanie, Pomoc, Interwencja, Odstraszenie – elitarne jednostki policji zajmujące się walką z aktami bandytyzmu i terroryzmu

SDAT (Sous-direction antiterroriste) – Wydział Antyterrorystyczny policji
sądowej

¹ Lista skrótów dotyczących francuskich służb policyjnych, wraz z ich polskimi tłumaczeniami i objaśnieniami, znajduje się na w rozdziale „Słowniczek służb policyjnych” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² W angielskim slangu facet głupi, mówiący o sprawach, o których nie ma pojęcia, cymbał, idiota.

³ W dialekcie korsykańskim osoba pochodząca z kontynentu.

⁴ Trójkątne pierożki z nadzieniem z warzyw, baraniny lub tuńczyka i koniecznie jajka, specjalność kuchni arabskiej.

⁵ William Szekspir, *Król Lear*, akt I, scena 2, tłum. Leon Ulrich.

⁶ Nieistniejący w Polsce, a we Francji utworzony w 1987 roku status pośredni między statusem świadka a oskarżonego. Świadek z asystą, w przeciwieństwie do zwykłego świadka, może występować przed sądem w asyście adwokata, ale nie dysponuje pełnią praw oskarżonego.

⁷ Blaise Pascal, *Myśli*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński.

